

# Ziemkiewicz Rafał

## Zgred

Copyright © by Rafał Ziemkiewicz, 2011

Wiersz "Mamo, kocham cię" © by Marysia Ziemkiewicz, 2011 All rights reserved

Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Herman

Redaktor

Jan Grzegorzczak

Redaktor techniczny Teodor Jeske-Choiński

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-818-4

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań tel. 618532751,618532767

Dział handlowy, tel./faks 618550690 sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

1

Kto mieszka w wspomóżeniu Najwyższego, ten w obronie Boga niebieskiego będzie przebywał. Rzecze Panu: Tyś jest obrońca mój i ucieczka moja; i same przeciwko mnie bramy nie przemogą piekielne.

Wespazjan Kochowski, „Psalmodya Polska” XXXVI

Kapitan Mac Whirr, będąc zupełnie pozbawiony wyobraźni, mając jej tyle tylko, ile potrzeba na przeżycie jednego dnia, był zupełnie spokojny i pewny siebie; z tego też powodu nie było w nim ani krzty zarozumiałości.

Joseph Conrad, „Tajfun”

ZAPISUJ TO WSZYSTKO, RAFALSKI - mówiłem sobie tyle razy. Już przecież wiesz, że z tego twojego opus magnum, z twojej księgi ksiąg nic nie będzie, nie ma kiedy, nie ma jak. Więc przynajmniej na bieżąco zapisuj, bo przepada.

Niby jak, odpowiadałem sobie. Nie będzie .w tym żadnego ładu. Żeby zacząć zapisywać, trzeba mieć jakiś początek. A jaki tu początek, życia przecież nie upozujesz jak do pamiątkowej fotografii, proszę się ładnie ustawić, spojrzeć w obiektyw i przez chwilę nie

ruszać, najpierw ekspozycja, za nią perypetie aż do punktu kulminacyjnego i pointa, z narastającym fabularnym napięciem, w logicznym ciągu przyczynowo-skutkowym. Nawet żeby zamieszać narracją, zacząć od środka i dozować retrospekcje - bo czemu nie, to przecież dla paperback writera elementarz - też trzeba mieć gdzieś początek, zawiązanie fabuły. Inni nie muszą widzieć szwów, nawet nie powinni, ale ty je musisz zrobić solidnie. Inaczej tylko marnujesz uwagę swoją i czytelnika, nie dogadacie się, drzewa zasłonią las. A przecież jesteś pisarz.

No więc dobrze, więc mam wreszcie jakiś początek. Mam nawet kilka, ale teraz ten jeden się narzuca.

Początek będzie taki:

- O zrzuciłeś parę kilo, no, świetnie!

7

- E, chyba ci się wydaje.

- Nie no, skąd, chu-uu-dniesz, chłopie, wyraźnie, przecież

widzę, no gratulacje.

Zaczęła to zauważać żona. Zaczęły to w końcu pokazywać dziurki na pasku, coraz luźniejsze ubrania, zwłaszcza te starsze, w które od dawna ledwie mogłem się wcisnąć, a teraz nagle ... Jeśli ktoś próbował już tyle razy rozprawić się z nadwagą, poczuł, ile to wymaga uporu i jak beznadziejny się on prędzej czy później okazuje, bo za każdym razem całe sadło odrasta z nawiązką, to w końcu musi się zgodzić, że coś jest nie tak.

Ja się, mimo wszystko, nie zgadzałem. No dobrze, przyznaję, nie przywidziało się wam. Schudłem. Bardzo fajnie. Były wakacje, morze, baseny, więcej się ruszałem, po prostu. Ale nie przesadzajmy, nic w tym nadzwyczajnego, zresztą tak jakby już powoli odrasta ...

- Idź wreszcie zrób te badania, proszę cię - powtarza Oleńka.

Trudno żonie wytłumaczyć, dlaczego sprawa nie jest prosta.

Nawet nie to, że trzeba się tłuc do przychodni na czczo bladym świtem. Trzeba by cały wcześniejszy dzień nie pić, bo inaczej całe badania na nic. To nie tak, żebym miał jakiś kłopot z alkoholem, ale kiedy trzeba coś napisać czy pozbierać się do występu w telewizji czy radiu, szklaneczka burbona jest nieoceniona, wprawia w nastrój, dodaje wigoru. A wieczorem też trzeba się jakoś odprężyć do snu.

- Pamiętam, słonko, w przyszłym tygodniu naprawdę się postaram.

A potem historia z mamą, nerwy, szpital, formalności pogrzebowe. I do tego wyjazdu, bo już się stały, nie wiadomo kiedy, częścią pracy, no i pisanie, terminy, robota przecież nie czeka, trzeba szufłować masę tekstową, i jeszcze łązić po mediach, żeby promować gębę i nazwisko.

Pewnie, zawsze mogę odmówić, mam prawo nie mieć czasu, nastroju, siły. Zadzwoń do kogoś innego. Tylko następnym razem, jak będą

8

potrzebowali tekstu, zadzwonią do tego kogoś, mnie już pomijając. Wolny zawód.

- Pamiętam, kochanie. Może w poniedziałek - i w końcu naprawdę poszedłem w poniedziałek. Akurat trafiła się niedziela bez żadnej pisaniny, tylko z rodziną, i uważałem, żeby się nie napić.

A poza tym, teraz się przyznam, z czasem, w tajemnicy przed samym sobą, też się w końcu zacząłem niepokoić. Starłem się o tym nie myśleć, ale jednak - chudłem.

Następnego dnia akurat na mnie wypadło rozwożenie dzieci do szkoły i przedszkola, więc prosto stamtąd - po wyniki. Pomarańczowa koperta, pierwsze spojrzenie: OB - 2. Super. Morfologia, leukocyty? W normie. Ulga. Co tam jeszcze ... Cholesterol, trój glicerydy - no, trzeba będzie ... Cukier ... Co?!

Komputerowe piktogramy ze strzelającą do góry strzałeczką po prawej stronie wydruku: "poważne przekroczenie normy". Na czczo - 314? Po 1,5 godziny - 348? No tak, ślepy przecież nie jestem, stoi jak wół.

I dokładnie w tym momencie - dzwoni Oleńka. Telepatia.

Bym się zdziwił, gdybym nie wiedział już od dawna, że ożeniłem się z czarodziejką,

- Tak kochanie, właśnie odebrałem. - Trzeba trzymać fason: - No, dobra wiadomość jest taka, że to nie rak.

Po drugiej stronie - słyszę, jak żona nerwowo nabiera powietrza.

- W sumie jest nieźle, jak na moje lata - mówię szybko.

- Morfologia i OB doskonale ... No, będę jednak musiał pójść

do lekarza. No wiesz, jak to u faceta w tym wieku, cholesterol, cukier ... No, sporo. Sporo, kochanie. Nie aż tak, żeby coś wielkiego, ale trzeba będzie coś z tym zrobić ... Więcej ... Więcej, niestety. Ponad trzysta.

W końcu trzeba powiedzieć - kochającej kobiety nie da się zbyć byle czym. A potem trzeba natychmiast zacząć wypełniać ciszę w słuchawce pocieszającą paplaniną: jak już wiem, to sobie

9

z tym dam radę, najgorzej, jak człowiek nie wie i się nie leczy. No, nie martw się, zmienię tryb życia, schudnę, co za problem, są lekarstwa, nic się wielkiego nie dzieje ...

I żeby to sobie udowodnić - że nic wielkiego się nie dzieje - do roboty, dzień jak co dzień. Oczywiście, od tej chwili jestem na diecie, umawiam na jutro lekarza, ale poza tym normalnie, trzeba orać. Chociaż, pamiętam, że pierwsza pociecha, jaka mi przyszła do głowy, to było: przynajmniej mam teraz solidny powód przełożyć spotkanie z Irkiem. Choćby o tydzień. Przez ten czas może wymyślę, jak się wykręcić, przecież zawsze w końcu coś mi się udaje wymyślić.

Zresztą, o tym kiedy indziej.

- Ale obiecaj mi - powtarza Oleńka, to już później, w domu, gdy powoli oswajamy się z sytuacją. - Obiecaj, że tego nie zlekceważysz.

- No pewnie, że nie zlekceważę! Kotku, ja mam młodą żonę, małe dzieci, za dużo do stracenia - zapewniam z przekonaniem. I po raz nie wiedzieć który powtarzam zakłęcie: nic się wielkiego nie dzieje. Zmienię sposób życia, dietę, przejdę na abstynencję, zrzucę, ile tam będzie trzeba, nawet czterdzieści kilo, a co za problem, przecież wiem jak. I zapiszę się na siłownię. Albo na pływalnię, na kręgosłup lepsze pływanie.

A Mania, młodsza, zaraz potem włazi na mnie i podskakuje na moich fałdach - tłuscinkach, jak to nazwała Zosia, starsza. Oleńka mówi "miszeleny", bo rzeczywiście, trochę przypominam przez nie tego ludka z reklamy opon, ale wolę określenie córki.

~ Duzi bziuch! Duzi bziuch! - woła Mania, zdaje się, że to dla wszystkich dzieci ulubiona zabawa: skakanie po tacie. Jak zwykle pyta przy tym co i raz: - Tataaaa, dlaczego mas taki duzi bziuch? A ja zawsze: bo za dużo jadłem. Teraz mówię: naciesz się nim, bo tata będzie musiał schudnąć.

Nic wielkiego się nie dzieje, wieczór jak każdy. Ale Ola nie może się obronić przed powagą. A ja, dla odmiany, przed papla-

10

...

niem, w kółko o tym samym - że teraz przecież jest zupełnie inaczej niż za czasów mojego taty, że medycyna, ho, ho, jak poszła do przodu, wszystko się w ogóle zmieniło, zresztą w ogóle, cukrzyca, co to za problem, niewygoda, owszem, ale tylko tyle. Za dużo tego gadania - uświadamiam sobie w końcu - żeby brzmiało wiarygodnie. Właśnie w takiej chwili człowiek najbardziej potrzebuje szklaneczki - a tu akurat się okazało, że limit na życie został wykorzystany, koniec. Kiedyś się zaprosi gości, żeby dopili niepotrzebne już zapasy, przynajmniej to, co już odkorkowane, resztę się z czasem rozda na prezenty. Dużo tego niewypitego zostało. Szkoda.

00

I

Poniewczasie do mnie dotarło, że to akurat 15 lutego. Dzień

śmierci taty. Feralna data. "Dnia piętnastego Burns pozbiarał wiosła / I wyszedł w zamieć, jakby wchodził w kościół".

Dwa dni później, wieczorem

Dopiero teraz się przejąłem - po rozmowie z lekarką. Zapisuję, żeby się jakoś pozbiarać. Nasza domowa lekarka, od zagładania dziewczynkom w uszy i noski, oczywiście nie liczyłem, że się zajmie sprawą, niech tylko kogoś poleci. Wiadomo, jak jest z lekarzami, każdy na swój strój, a ty nie masz najmniejszej szansy tego zweryfikować - trzeba móc zaufać, albo robić z siebie idiotę, biegając między jednym a drugim.

Nasza pani doktor oczywiście nie chciała mnie dołować.

Wprost przeciwnie - a co tam za choroba, ludzie z tym żyją latami, pan przecież jest odpowiedzialnym człowiekiem. Jest kilka rodzajów lekarzy, ona akurat należy do tych, którzy sposobem postępowania z pacjentem nieodparcie przypominają szwadronowego felczera: baczność, chory, przestańcie się nad sobą litować, wy nawet nie wiecie, co to naprawdę choroba, nic wam nie jest właściwie, szpila w siedzenie i nazad do szeregu. Na mnie ta obcesowa pewność siebie rzeczywiście działa

11

uspokajająco. Pani doktor - oczywiście, bez problemu, ma bardzo dobrą koleżankę, proszę się nie przejmować, że bez profesorskiego tytułu i młoda, ale bardzo dobrze się zna, a poza tym pracuje na Komarowa, no, a trzeba będzie załatwić miejsce

na oddziale.

Zaraz, co, nie przesłyszałem się? No niech się pan nie boi,

chłop jak byk, a się boi szpitala, przecież nie będą tam pana operować. Nie boję się, ale po co od razu do szpitala? Ja nie mam czasu się wylegiwać w szpitalu, mam w opór roboty, umówione spotkania, i w ogóle po co, przecież to nic, co by trzeba z dnia na dzień, nie przewrócę się na ulicy. Ale proszę pana, to jest rutyna, tak się robi, trzeba ściągnąć ten cukier do normy kroplówkami, bez tego nie ma żadnego leczenia, nawet badań nie ma sensu robić. Ja znowu na to, ale po co, znajomy znajomego - dwa dni wystarczyły, mam już całą kolekcję takich casusów do opowiadania - samą dietą i zieloną herbata, w kilka tygodni, i ma wszystkie badania jak złoto, a inny kolega kolegi, też samą dietą

i ćwiczeniami, i już trzy lata, nawet żadnych leków nie bierze ... Panią doktor raczej to rozbawiło, niż przekonało - a ile lat ten kolega ma? Trzydzieści? A ile miał tego cukru? Sto czterdzieści na czczo? Może nawet sto pięćdziesiąt? No, ale jak się ma lat czterdzieści sześć (pięć, poprawiam bezsilnie, sześć dopiero we wrześniu) i cukier ponad trzysta, to nie ma co gadać. Zresztą to koleżanka zadecyduje, ale na parę dni musi pana położyć, dla pana dobra, i niech się pan przestanie bać, duży chłop ... Znowu jest w tym coś dragońskiego: wykon, i nie widzę inaczej!

Powinienem na wyjście trzasnąć obcasami.

Nie, powtarzam sobie. No nie. Nie zgadzam się, Jak będzie

trzeba, to oczywiście, nie jestem jakimś wariatem, co się będzie z poważnej choroby leczyć fazami księżycy czy brzdąkaniem w tybetańskie misy. Ale nie tak, żeby nie dać sobie najpierw szansy. W końcu dwa tygodnie czy miesiąc różnicy nie zrobią, i tak cholera wie, od jak dawna już chodzę z tym cukrem, co tu

zmieni parę dni więcej?

12

Im dłużej o tym myślę, a o niczym innym myśleć chwilowo nie potrafię, tym bardziej się robię zawzięty. Najpierw - ostra głodówka. Zero węglowodanów, zero tłuszczu, zero cukru, same warzywa, bez ziemniaków i strączkowych, chude mięsko z folii albo z wody. Byłem na takiej kiedyś trzy tygodnie, więc wiem, że mogę, swobodnie. I dużo ruchu. Wycisnę to z siebie, tę zarazę, wypocę razem z sadłem. Jak to nie pomoże, to dopiero będziemy mogli mówić o kroplówkach. Nie wcześniej.

W nocy

Wracam jeszcze do zapisywania, bo zadzwonił Irek. Nie spodziewałem się. Zostawiłem mu wiadomość w biurze - proszę przekazać panu posłowi, że muszę odwołać spotkanie, przyczyny zdrowotne, nie wiem dokładnie, być może to poważniejsza sprawa, jak będę wiedział, to się skontaktuję. Odezwał się, jeszcze przeprasząc, że tak późno, ale wcześniej nie mógł - co tam, stary, mam nadzieję, że nic poważnego? No co zrobić, sypimy się. To znaczy, miał na myśli - my, rówieśnicy.

Przewijam w myślach tę rozmowę, czy aby się nie rozkleiłem.

Bo jednak, nie chcę się przyznawać nawet przed samym sobą, ale trochę mnie to rozbiło, za dużo gadam, a on mnie zaskoczył tym gestem, zainteresowaniem - dzwoni po godzinach, prawie nocą, nie oficjel, którego zdrowy rozsądek dziennikarza każe traktować ostrożnie i podejrzliwie, ale stary kumpel z młodości, zmartwiony jednym nieopatrzonym "być może to poważniejsza sprawa". A może jednak właśnie polityk, oficjel, który robi pode mnie podchody, do czegoś mu jestem potrzebny, sam nie wiem do czego, żeby właśnie wykorzystać chwilę mojego osłabienia. "Kolega jest dla mnie kolega": Pokazać: patrz, stary, do głowy mi nawet nie przyszło, że szukasz pretekstu, żeby odwołać spotkanie, każdy inny by tak może pomyślał, ale ja szczerze się zmartwiłem, bo wiem, że z byle powodu byś nie odwoływał, że coś się musiało stać. Bodaj nawet coś takiego powiedział, że jak mnie zna, to musi być poważna sprawa.

13

Chyba nie powiedziałem za dużo? Suche informacje - że takie a takie wyniki, że być może będę się musiał położyć na jakiś czas do szpitala, nic jeszcze nie wiem, dopiero mam umówioną wizytę u pani doktor, jednak trzeba będzie zrobić sporo badań, no i wszystko, o czym mówiliśmy, jest oczywiście aktualne, ale za parę dni, nie mam głowy. Coś tam jeszcze ze mnie wydobył takiego bardziej "my, starzy kumple": chyba jednak nie za dużo.

Ale niebezpieczeństwo jest, człowiek w takim stanie cholernie potrzebuje starego kumpla z heroicznymi czasami, choćby ten przez lata przepoczwarzył się w usadzonego przy dworze dygnitarza. Żonę mam cudowną, ale przede wszystkim trzeba

. o nią dbać, uważać, żeby jej nie przestraszyć - gdzież by tam zarzucać własnym lękiem. A kiedy rodzina już śpi, miałoby się ochotę zrzucić maskę twardziela. Wygadać się. Wobec kogokolwiek. A już Irek, gdyby nie jego obecna pozycja, byłby słuchaczem wręcz idealnym.

Pisanie okazuje się najmniej złym rozwiązaniem.

Więc, niepostrzeżenie - kapitulacja. Życiowa. Jak pisarz już nic nie ma do napisania, jak zupełnie już sobie nie umie poradzić z formą, to bierze się do dzienników. Gdybym nie miał tej świadomości, zacząłbym pewnie zapisywać wcześniej; może ocaliłbym trochę pięknych chwil i porywów, których dziś już nie umiem przywołać z przeszłości, może zdołałbym dobrze wyartykułować parę ważnych myśli, które rozdrobniłem i rozproszyłem po gazetowych bieżączkach - za cenę utraty szacunku dla siebie i tej wiary, że jeszcze znajdę czas i siły, by pozostawić po sobie jakąś ważną, wielką książkę.

A teraz - nagle zaczynam dziennik? I po co, przecież nie bawi mnie "opukiwanie złożoności szczegółu, tego co drobne":

A jeszcze mniej upiększanie "parszywych związków człowieka z epoką"; człowiek nie tego formatu, a i parszywość epoki godna co najwyżej splunięcia, nie analiz. A jednak, jak widać, zacząłem pisać i po raz pierwszy w życiu czuję potrzebę, żeby pisać dalej. Więc muszę powtórzyć - po co? I odpowiedzieć - po nic.

14

Nie "po co": ale "dlaczego": Bo pękasz, Rafałski. Nie chcesz się przyznać przed samym sobą, ale trząchnęło tobą. Nie strach, że umrzesz, nie, tego strachu nie ma, na to jeszcze, daj Boże, nie pora. Zresztą, co tu się bać umierania - żal by było, ale bo to niby ja pierwszy? Znacznie bardziej przeraża perspektywa niedołożnienia. Nigdy nie byłem typem sportowca, dorośli faceci biegający bezproduktywnie po parku albo tracący czas na ganianiu za piłką tylko mnie śmieszyli, ale dotąd mogłem być swojego organizmu pewien. A teraz się popsuł, trudno nad tym przejść ot tak do porządku. Chyba najbardziej poraża - jak to nazwać? - utrata tego przeświadczenia; że wszystko, co się przydarza, przydarza się innym, a ja jestem bezpieczny .

Napłotłem dalej w tym duchu jeszcze kilka stron, same straszliwe banały - więc cofnąłem się i wszystko wykasowałem. Zanotuję tylko decyzję, że od dziś staram się codziennie złapać godzinę, co najmniej trzy kwadransy ostrego marszu. Bieganie czy siłownia to nie dla mnie, rundka na Myśliwiecką albo Woronicza i z powrotem w solidnym tempie pozwala spokojnie pomyśleć, a koszulka jest potem do wyżęcia.

Dziewczyny już dawno śpią, spróbuję i ja.

W nocy

Ze spaniem chyba się na pewien czas trzeba będzie pożegnać. Sam już nie wiem, nerwy czy głód. Chyba bardziej głód, pierwsze dwa-trzy dni są najtrudniejsze, potem wraca już tylko falami, niekiedy intensywny, ale na krótko.

W słuchiwałem się długo w oddech śpiącej żony, potem w pokojach dzieci posiedziałem przy jednej i drugiej córeczce, zmówiłem dla każdej "kto się w opiekę": no i wreszcie nie zostało nic, tylko iść do siebie, usiąść przy biurku i stukać w klawisze. Chociaż akurat niewiele jest do zapisywania, dzień przeleciał jakoś między palcami, nie wiadomo, na czym zszedł. Głównie na kupowaniu, obieraniu i siekaniu warzyw. Głodówka zajmuje niewiarygodnie dużo czasu; żeby utrzymać rytm pię-

51 ciu posiłków dziennie i w żadnym niczego konkretnego nie zjeść, trzeba się bez przerwy krzątać po kuchni. Trochę energii pochłonęło jeszcze odwoływanie wszystkich spraw i spotkań w najbliższych tygodniach, przesuwanie terminów - Paweł podszedł do sprawy ze zrozumieniem, układ z "Rzepą" mam taki raczej dżentelmeński, i dobrze, bo na handryczenie się o wierszówkę zupełnie nie mam nastroju. W innych miejscach też na razie po odwoływałem, nawet się zdziwiłem, że aż tyle mam tych bieżących. Jak tak człowiek mechanicznie, tu trzy tysiące znaków w poniedziałek do południa, tu tysiąc osiemset co środę, tu komentarz do radia, to przestaje zauważać. Tylko telewizja - trzeba będzie się pozbierać i jakoś poprowadzić. I tak już kombinują, jak by mi zabrać program, nie mogę dawać łatwego pretekstu.

Na razie udało mi się wyczyścić kalendarz, ale dłużej niż tydzień się tak nie da - pojęcia nie mam, jak pogodzę wymogi nowego życia ze wszystkimi bieżąciami starego. Pani doktor przyjmuje dopiero pojutrze, zresztą wcale mi nieśpieszno, im później, tym większa nadzieja, że głodówka da jakiś zauważalny efekt. Opowiadam sobie, siekając papryki i cebule, stale tę samą bajkę, wyobrażam to sobie na różne sposoby, jak odbieram pojutrze rano badania, i, okazuje się, wyszły doskonale, a pani doktor objaśnia, że to wszystko pomyłka, nieporozumienie, żadna tam cukrzyca, tylko jakiś, ja wiem, stan przedcukrzycowy, nasilone objawy, ale teraz już wszystko w porządku - pewnie, że nie jestem taki głupi, żeby na poważnie się czegoś podobnego spodziewać, po prostu miło sobie wyobrazać. Ale tak na wszelki wypadek, śluby jasnogórskie, niniejszym: jeśli by się okazało, to i tak wszystkie dotychczasowe postanowienia co do odchudzania i abstynencji pozostają w mocy. Nawet, gdyby było można, to przynajmniej do Wielkiej Nocy ani kropelki, a potem też już tylko symbolicznie, nigdy tak jak dotąd. Solidna oferta, dobry Boże, bez żadnych ukrytych haczyków - ale, oczywiście, bądź wola Twoja.

16

Poza tym cały dzień myślałem o tacie. Dawno o nim tyle nie myślałem, ale teraz to najoczywistszy temat do rozmyślań. U niego też to wyszło mniej więcej w tym wieku. No nie, później, jak już był po pięćdziesiątce, ale trzeba wziąć poprawkę, że do lekarza poszedł dopiero, kiedy już się zaczął naprawdę męczyć, zasypiać nagle między jednym i drugim słowem, i nie dało się tego dłużej nie zauważać. Dlatego od razu bez żadnych lekarzy wiem, co znaczą te moje wyniki. Stara rodzinna tradycja, tato na to umarł, babcia też, to na pewno, bo pamiętam, że miała wszystkie objawy jak z podręcznika. Dziadek to nie wiem, ale może i on, bo właściwie nie wiadomo na co, na wsi, póki człowiek chodził, to był zdrowy, a jak umarł, to był umarły, po prostu, i co za różnica na co - na śmierć, kto by się tam ciekawił. Chociaż dziadek na jedynym zachowanym zdjęciu jest chudy, jak nikt w rodzinie, więc może niekoniecznie. A dalsi przodkowie, gdybym cokolwiek o nich wiedział - też by się pewnie paru znalazło. Niby zawsze dobrze wiedziałem, że skłonność do cukrzycy się dziedziczy, że się powinienem spodziewać, właśnie ja, bo z całego rodzeństwa jestem do ojca najbardziej podobny, wszystko mam po nim, więc można się było spodziewać, że to też. Powinienem o



tym w porę pomyśleć i się tak nie zapuścić, zadbać o siebie, póki było łatwiej. Ale teraz nie ma sensu sobie robić wyrzutów, jak już i tak jest po klocach.

Ile czasu tato z tym żył? Tylko siedem lat. I męczył się coraz bardziej. Jednak do nas nie docierało, jak poważna jest sprawa. Niby się mówiło, że powinien być na diecie, ale gdzie tam - tato i dieta. Jakiś lekarz mówił matce, opowiadała, ręce tylko rozłożył - proszę pani, wojenne pokolenie, ilu ja takich znam; jak ktoś w dzieciństwie głodował, to nigdy nie będzie się umiał powstrzymać, nie ma co liczyć. Ojciec w czasie wojny rzeczywiście poznał, co to jest głód, wszyscy wiedzieliśmy, ale miałem wrażenie, że matka powtarzała to z jakimś trudnym do uchwycenia, a przecież wyraźnym lekceważeniem, że jak wszystko inne, także i to było dla niej okazją, żeby go w naszych

17

oczach poniżać: no, zre i zre, przecież wie, że mu nie wolno, a nie umie przestać!

Nie wiem, nie umiał, czy nie chciał. Fakt faktem, że wszystkie wskazania lekarzy puszczał mimo uszu, jadł jak zawsze, tylko łykał jakieś tabletki, coraz więcej. I mówił, jeśli ktoś się tym zainteresował, że się czuje dobrze. A myśmy chętnie wierzyli - jak dobrze, to dobrze. W ogóle, wypchnąć go do lekarza, to była prawdziwa wojna, a jak już poszedł, to nic nie mówił, na starość lekarstwa nie wymyślili i nie wymyślą, ucinał co najwyżej, chował wyniki badań i nie przyjmował żadnej cukrzycy do wiadomości. Aż po prostu przewrócił się i już nie podniósł.

Teraz, od lat, nie mogę zrozumieć, jak mogłem mu na to pozwolić. Trzeba było go zmusić, wyrwać mu te kartki, sprawdzić, załatwić w porę szpital, badania, ale wygodnie było właśnie tak - skoro sam nie robił sprawy, to po co drażnić, każdy ma swoje problemy, a ja się wtedy urządzałem z pierwszą żoną, lata osiemdziesiąte, wszystko było problemem, byle zakichana szafka, kończyłem studia, działałem, więc skoro ojciec się nie domagał opieki, skoro matka, starszy brat, siostry, kupowali to jego "na starość lekarstwa nie ma": jakby naprawdę był nie wiedzieć jaki stary, a przecież nawet emerytury nie dożył - więc dlaczego akurat ja miałem wszystko rzucać i walczyć z nim, żeby dał się zaprowadzić do lekarza i sobie pomóc?

Oczywiście, że powinienem to zrobić właśnie ja. Kto niby inny? Filip, co z tego, że pierworodny - o tym trzeba będzie kiedyś napisać więcej - darł z ojcem koty od dziecka, i tato też go ledwie tolerował, właściwie widywali się, jak już naprawdę musieli, i zawsze z awanturą, zresztą przy Filipie święty Franciszek by po minucie osiem zaczął kląć po maciach. Z matką z roku na rok żyli coraz gorzej, a siostry ... Kaśka już wtedy była mężatką i pojechała na te swoje Dębiny, kawał drogi od Warszawy, a Martynka - szczawik, późna wpadka rodziców, o dziesięć lat ode mnie młodsza, to ile wtedy miała? Zero do gadania, tak czy owak. To ja powinienem się zachować jak chłop, wziąć go

18

i powiedzieć: Tato, nie ma gadania, zabij jak chcesz, ale musisz i już. Ale wolałem udawać, że mu wierzę, choć, gołym okiem było widać, wyglądał coraz bardziej niezdrowo. Uciekłem od tego. "Skoczyłem ... Tak sądzę".

Może w tym było nie tylko wygodnictwo. Mnie się wtedy po prostu nie mieściło w głowie, że tato może potrzebować pomocy. To tato zawsze pomaga. Tato przecież jest wielki, silny,

biceps ma jak mały Cygan nogę, a że gruby, to tylko jeszcze bardziej mu dodaje potęgi. To do niego zawsze po ratunek, po pomoc, po radę - lata niby mijają, ale człowiekowi się wydaje, że tak jest i będzie zawsze, ja malutki, a on - olbrzym. Tato, którym ja się muszę zająć, któremu ja muszę pomóc? Po prostu nie przyszło mi to do głowy.

Matka wściekała się potem, nawet po śmierci nie potrafiła mu odpuścić, że jak mógł, że nieodpowiedzialny zupełnie, o sobie myślał, a o niej nic, Filip krzywił gębę w tym swoim złośliwym grymasie, jak to Filip, siostry zawodziły, jak to baby, a ja milczałem, nie odważyłem się nawet wziąć go w obronę przed starą. A przecież wiem, że to nie było wygodnictwo. Pewnie, nie uśmiechały mu się szpitale, cewnikowania, smród i rżenie na zbiorowej sali, nie chciał być zniedołężniałym starcem, ale zmusiłby się, gdyby był w tym jakiś sens. Tylko właśnie nie było. Dla niego, znaczy, nie było. Dzieci odchowane, wszystko, co było do wybudowania, wybudowane - niczego już się w życiu nie mógł spodziewać, poza przykrościami. Więc po co się miał czepiać życia pazurami? Pewnie się modlił o taką właśnie śmierć, szybką i lekką, pewnie od dawna był przygotowany, żeby już iść tam, dalej.

Ale nie zdobyłem się nawet, żeby go wtedy bronić. Uchlałem się, spłakałem, i tyle było. A potem, we śnie, wróciło do mnie takie wspomnienie: nie wiem, ile miałem lat, chyba jeszcze nie chodziłem do szkoły, albo do którejś z pierwszych klas, na jakichś rodzinnych imieninach, tato, troszkę podpiły, bardzo rzadko pił, zresztą na rodzinnych uroczystościach piło się ta-

19

kimi malutkimi kieliszkami, ręka mogła człowiekowi odpaść, zanim by się porządnie zaprawił, więc raczej nie tyle podpiły, co w nastroju - śpiewa. Na tych imieninach czy innym rodzinnym zjeździe, kiedyś tam, naprawdę, śpiewali razem ze stryjem i kimś tam jeszcze, śpiewali chyba co innego, coś na wesoło. Ale w tym moim śnie - on sam, i taką powolną, melodyjną pieśń, niesamowitą:

Zachodź, słońce, zachodź Skoro masz zachodzić

Bo nas nogi bolą

Po tym polu chodzić Nogi bolą chodzić Ręce bolą. robić ...

Nie pamiętam dalej słów. Ale tę melodię, ten synkopowany zaśpiew z bluesową transakcentacją, mogę przywołać w pamięci w każdej chwili. Prosta i wzniosła zarazem, powolna, dźwięczna, chwytająca za serce. Pieśń zmęczenia. Pieśń ludzi grzebiących się w ziemi, depczących błoto i gnój, ludzi o rękach czarnych od pracy, o grzbietach obolałych od zginania. Pieśń pełnego godności pogodzenia, że tak trzeba, że trzeba orać, choć nie na swoim, orać nie dla zapłaty, nie dla pana, ale dla ziemi samej - trzeba, bo po prostu trzeba, póki słońce nie zajdzie. I tęsknoty za tą chwilą odpoczynku i ukojenia, i pewności, że ona w końcu przyjdzie, bo wszystko inne może zawieść, ale żeby słońce nie zaszło, jak ma zajść, o swoim czasie, to się jeszcze nie zdarzyło. Najprawdziwszy biały blues z samych bebeczków Polski, gdzieś spomiędzy Łomży a Białegostoku. Aż mnie ciarki przechodzą, jak sobie przypominam ten śpiew - "zachodź, słońce, zachodź ... "

Nigdy nie uwierzę, że to mi się mogło przyśnić tak przypadkiem, znikąd, jak zwykły sen. To tato tak właśnie chciał mi się przyśnić, tak mnie pożegnał - żeby nie myślał, że się bał czy

nie umiał prawdzie spojrzeć w twarz, nic podobnego. Po prostu już go ręce bolały robić, już go nogi bolały chodzić, już był czas, żeby zejść z tego pola i odpocząć. "Praca wykonana".

Więc to tak było z tatą. Ze mną jest zupełnie inaczej. Ja się jeszcze nie czuję zmęczony, jeszcze się ani trochę nie zestarzałem. Co to dzisiaj jest - czterdzieści pięć lat? Starsza ledwie co poszła do podstawówki, Oleńka jak pochyli dekolt albo zakręci tyłeczkiem, wszyscy się ślinią, małolaty na ulicy ukręcają sobie za nią szyje - życie mi się właściwie dopiero co zaczęło, gdzie tu miejsce na zmęczenie? Tato z tym żył siedem lat, bo tak chciał, a ja chcę pociągnąć jeszcze drugie czterdzieści pięć, i pociągnę, i to w dobrej kondycji, mogę przyjmować zakłady;

O tacie to jest w ogóle osobna powieść do napisania. Jedna z tych, którymi powinienem się zająć, zamiast komentowaniem tej świętej wojny mafioza z inkwizytorem, tego picerskiego tańca kabotynów, gangsterów i nawiedzonych, zwanego polityką. Ale za komentarze polityczne mi płacą, a brać się za powieść, to jakbym żonę i dzieci okradał. Zresztą poczekam; jak w końcu jedynie słuszna mafia weźmie ostatecznie wszystko, a to już mamy jak w banku, wielu jeszcze nie wierzy, ale ja już to widzę (i serdecznie to chrzańię - "ten jest mój azard", i tyle), więc jak będzie już miała i mały pałac, i duży pałac, i całą kasę, i samorządy, i ostatnie jeszcze jej dzisiaj podskakujące media, to mnie szybko wykopią i dadzą szlaban na telewizję, i wtedy będę wreszcie mógł z czystym sumieniem usiąść do pisania książek.

Wtorek

Zaspałem po tym nocnym klepaniu w literki, Oleńka wymknęła się z dziewczynami cichutko, sza, na paluszkach, żeby tatusia nie budzić, bo w nocy pracował zamiast spać, i w drodze powrotnej nakupowała w markecie parę toreb różnych dietetycznych zapychaczy, żebym nie musiał się nigdzie fatygować. Akurat się obudziłem, jak była pod prysznicem, usłyszałem, jak się kąpie, potem zobaczyłem te siaty z zakupami złożone

21

w kuchni, i tak mnie to nakręciło, że wyciągnąłem ją z łazienki prosto do łóżka. Tylko już w trakcie przestraszyłem się, że a nuż akurat trafimy, a w tej sytuacji może lepiej by najpierw wypytać lekarzy, jakie są perspektywy - więc jak już zrobiliśmy sobie nawzajem dobrze, skończyliśmy jak w pornosie; też przyjemnie. Strasznie ulżyło, że armatura mi nie nawala, nawet pomimo całego tego stresu, bo w tym, czego się naczytałem o cukrzycy, pośród innych plag egipskich straszą i impotencją. Więc dobry znak od samego rana, widać większych spustoszeń w organizmie jeszcze mi chorobsko narobić nie zdążyło.

Teraz Oleńka poszła w miasto, wydać trochę kasy na swoją urodę - przy wszystkich maminych zajęciach znajduje jeszcze czas na fryzjera, masaż, siłownię czy "pazurki"; jeszcze jedna rzecz, za którą ją kocham. Za to, że jej się ciągle chce walczyć z "umamieniem": za zadbaną fryzurę, koronki, pończoszki. Moi rówieśnicy przeważnie mają żony zapuszczone jak pani marszałkowa, paradujące nawet przy gościach w jakichś powyciąganych dresach - "kobiety ekologiczne": podśmiewamy się z Olą - i tak przywykli, albo zaniżyli oczekiwania, że nawet już tego nie zauważają.

Zapchałem poranny głód gulaszem z bakłażana z beztłuszczowej patelni i wracam do zapisywania, z dodatkową energią, bo po udanym seksie zawsze dostaję przyływu sił. Chłop, nie da się zaprzeczyć, prosta konstrukcja - tu pomacać, tam pociągnąć, zrobi swoje i już jest dumny, jakby nie wiadomo czego dokonał.

Normalnie powinienem teraz zabrać się do snucia dla gazety wywodów o długu publicznym, kłamstwach rządu, obłudzie salonu czy głupocie nadymanych VI mediach "autorytetów", ale skoro mili chlebobdawcy odpuścili mi na kilka dni, póki nie dojdę do ładu ze swoim wydzielaniem dokrewnym ... A poza tym nastrój mam za dobry, żeby go sobie psuć powszednim babraniem się w szambie naszego życia publicznego. Stać mnie, żeby okazać dziś .waaadzy" i jej potakiwaczom miłosierdzie

22

!:\_

....

i zamiast ich unieśmiertelnić swym piórem, zająć myśli czymś przyjemniejszym.

Najprzyjemniej jest zawsze myśleć o rodzinie. Podobno, jak rozmawiam z ludźmi - sam tego nie zauważam, ale tak do mnie dociera zwrotną po różnych spotkaniach, a ze spotkaniami jeżdżę dużo ~ to w trzecim zdaniu schodzę na i,a moja córka ostatnio': albo "a moja żona': "Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie" - co za bzdura, jeszcze jedna z głupot puszczonej w obieg przez wieszczka. Dopóki człowiek nie znajdzie szczęścia w domu, to "Ojczyzna" jest w ogóle tylko pustym słowem. Niczym, haselkiem, fetyszem - fanaberią napalonych gówniarzy, którzy już dorośli do "czynu", ale wciąż jeszcze są za głupi, żeby najpierw pomyśleć, co z tego czynu ma wynikać i jakie będą jego skutki. W pole wyruszyć, ofiarę złożyć, i żeby było dużo fajerwerków, heroicznym okrzyków i chwały, żeby sobie potem do późnej, wiecznie niedojrzałej starości mogli powtarzać, a pamiętacie, jak nas sprali, sprali nas tak, że, ho, ho, wieki będą o tym laniu pamiętały. A że przy okazji cokolwiek się w międzyczasie udało odbudować znowu pójdzie z dymem - to im za nic, jeszcze lepiej. Nie będzie prozaiczna codzienność odwracać uwagi następnych pokoleń od ich bohaterstwa.

Wiem, co mówię, bo gdyby się inaczej ułożyło, też bym mógł dołączyć do tej szczeniackiej sztafety terroryzującej naszą historię. Trzymam na półce, sam nie wiem po co, swoją debiutancką książeczkę, na karcie tytułowej jest rok 1988, ale tak naprawdę pisałem to jeszcze jako nastolatek, pięć lat wcześniej, po prostu tyle się wtedy czekało na książkę. Science fiction, bo "na powierzchni" to my byliśmy klubem science fiction, pod egidą, a jakże, socjalistycznego związku młodzieży, i strasznie nam samym imponowało, jak się świetnie zakonspirowaliśmy - różne czerwone świnię patrzyły z pobłażaniem, że się młodzież zajmuje UFO, kosmitami i innymi dyrdymałami, zamiast rzucać kamieniami w milicję, a pod stolikami - bibuła, Orwell, Zamiatin, i co kto chce. Piękne, proste czasy, zanim Marek wpadł

23

przypadkiem z bagażnikiem pełnym świeżego towaru i dostał dwa lata, w DTV powiedzieli, że za rozpowszechnianie pornografii, bo faktycznie, akurat wiozł wtedy nowy nakład Pornografii - Gombrowicza. Przez następny miesiąc przekonałem się, że żaden ze mnie materiał na bohatera, omal nie osiwiiałem ze strachu, kiedy po mnie przyjdą, nawet pamiętam,

że w pewnym momencie aż miałem jakieś zawroty głowy - swoją drogą nigdy nie spytałem lekarza, jak to w ogóle możliwe, żeby od zwykłego cykora człowiek tracił równowagę i musiał się łapać mebli. Ale nie przyszli, Marek nikogo nie sypanął, za to za karę nie puścili go z innymi, odsiedział wszystko od gwizdka do gwizdka, i w ten sposób stał się wybitnym specjalistą, uznanym w świecie autorytetem od socjologii więzienia. Dzisiaj jest profesorem w Kalifornii, przyjechał kiedyś z promocją książki - gratulował mi Oleńki i dziewczynek, smakował wino ostrożnie, bo odwykł, u nich się w zasadzie nie pije, i w pewnym momencie spytał z gorzkim uśmiechem: no i warto się było szarpać, żeby wymienić Rakowskiego na Millera? Warto było?

Marek siedzi w Kalifornii i wszyscy, poza zdaje się nim samym, uważają, że Pana Boga za nogi złapał, Tomek został egzekutywem w koncernie wydawniczym, ja - mężem i tatusiem, a Irek zblatował się z rządzącą ferajną, wmontował pięknie w establishment i bombarduje mnie argumentami, dla których koniecznie powinienem jak najszybciej podążyć jego śladem. "W swoim czasie trzeba walczyć, w swoim czasie się urządzać" - ale on oczywiście nie mówi nic o urządzaniu i kasie, tylko jakie to dzięki temu układowi zrobimy razem wspaniałe rzeczy dla Ojczyzny. Dobra, nie chcę teraz myśleć o Irku i rozgryzać, do czego właściwie jestem mu potrzebny - tylko o tamtych czasach jeszcze sprzed wpadki Marka, kiedy wydawało się nam, że cały naród nienawidzi czerwonych tak jak my i o niczym innym niż wolność nie myśli, i w ogóle, że robimy coś strasznie heroicznego i dla wszystkich ważnego. I jeszcze do tego, że wszyscy będziemy wielkimi pisarzami. Zresztą Jackowi czy

24

Jeremiaszowi coś tam się naprawdę udało, na miarę tej niszy, jaką jest fantastyka - wydają nowe kawałki, zbierają nagrody od czytelników; czy są w stanie z tego wyżyć, to inna sprawa. Dziś trzeba pisać o mieczach, czarach, toporach i wojowniczkach w blaszanych bikini, wszystko inne to już jest nisza w niszy. Albo o nastoletnich wampirach. A te moje stare opowiadanka, jedno w drugie, działały się oczywiście w kosmosie i dalekiej przyszłości, gdzie jakieś straszne galaktyczne imperia podbijały i prześladowały wolne planety, a na tych podbitych planetach walczyli z nimi szlachetni, młodzi rebelianci i ginęli z żarliwą pochwałą wolności na ustach. Głupie i naiwne przeraźliwie, musiałbym się palić za te historyjki ze wstydu, gdybym poczuwał się do jakiegokolwiek łączności z małym sfotografowanym na skrzydełku okładki. Szczęśliwie, nie czuję żadnej. Wiem, że metrykalnie to byłem ja, ale wewnątrz jakoś to zupełnie do mnie dociera, i tylko te juvenilne opowiadania pozwalają mi się domyślić, co mi kiedyś chodziło po kudłatym łbie, bo w pamięci nie pozostało nic, zupełnie nic.

To by było warte jakiegoś tekstu - poczucie obcości wobec siebie samego sprzed lat. To chyba mnie różni od większości ludzi. Większość hołubi swój "kraj lat dziecińczych", idealizuje go, zachwyca się, jacy to byli śliczni i szlachetni w czasach, kiedy mogli wbiec na czwarte piętro bez zadyszki albo bez widocznych skutków imprezować całą noc. Ja zupełnie nie. Ja byłem głupim, zakompleksionym gówniarzem, który łatwo dawał sobą manipulować, usiłował sobie dodać powagi ordynarnym słownictwem i pozą kaskadera literatury, choć swój skromny talent już wtedy rozmięniał na głupoty. Całe szczęście, że młodość przechodzi człowiekowi z wiekiem.

00

Przerwa na przyrządzenie jarzyny i zapchanie nią organizmu.

Siadam, napiszę parę zdań, i nie wiedzieć kiedy już minęła godzina czy dwie. Nagroda Nobla dla tego, kto wyjaśni, dlaczego

25

z wiekiem czas płynie coraz szybciej i coraz bardziej między palcami. Parę zdań - i trzeba będzie przelecieć się spocić, potem chwila na wysapanie, potem kolejny posiłek, i w sumie nic się przez cały dzionek nie zrobiło, bo czasu zabrakło.

Na dodatek diabli mnie podkusili, żeby z nawyku przejrzeć na on-line gazety. W końcu to nadal mój zawód. Trafiłem na wielki wywiad z Wiesiem, nie powstrzymałem się, żeby nie przeczytać, no i od razu adrenalina strzeliła w żyły. Wiesio raczył "przerwać milczenie" i złożyć publiczny akces do Ferajny: weźcie mnie, weźcie, mogę się przydać. Następny uciekający z tonącego okrętu. Swego czasu czołowy pampers, krzewiciel wartości chrześcijańskich i pogromca "kapitalizmu politycznego": a teraz - czym dyskretnie się nie chwali, chociaż wszyscy wiedzą - facet pilnujący interesu jednemu z bardziej znanych oligarchów. Co znaczy, że wbrew powszechnemu przekonaniu, jednemu z tych kiepsiejszych, bo o tych naprawdę ważnych żadne media się nie odważają wspominać. Wśród dziennikarzy mówi się zresztą ostatnio, że "Gruby Rychu" jest już wykończony, wojskówka wpuściła go w jakieś naftowe interesy u Ruskich, myślał, że jest ważny, przyjaciel przyjaciół, a wycykali go na miliardy jak zwykłego leszcza. Kara za zdradę - jak wygrał Kaczor, to Rychu obstawił Kaczora, zgodnie z biznesową logiką postkomunizmu, że trzeba być zblatowanym z każdą władzą, opłacać się i rządowi, i opozycji, i sodomitom parady zasponsorować, i prymasowi świątynię Opatrzności. Nie zrozumiał, że Kaczor to inny przypadek niż dotąd, że to coś takiego, jak rząd Olszewskiego: nie element normalnej politycznej karuzeli, ale ciało obce w systemie, groźne, horrendum, naruszenie fundamentalnych zasad projektu, porządku świata, ktoś spoza układu, kto wlaź, gdzie absolutnie wleźć nie miał prawa. Takiego kogoś nie dotyczą normalne zasady, musi być zniszczony, zdelegalizowany, jako zewnętrzne zagrożenie dla panującego porządku. No i "Gruby Rychu" wyszedł jak Zabłocki na mydle - Sekta i tak oferty nie doceniła i poszczuła go CBA, a Ferajna wykańcza teraz

26

jako odstępcę. Nie żebym współczuł. Ale jakby się potwierdziło, bo skoro Wiesio próbuje się nagle wkupić z powrotem do polityki, to widać w "kapitalizmie politycznym" grunt pod nogami zaczął się zapadać.

Wkupia się zresztą w sposób prymitywny: donosząc na Kaczyńskiego. Kolejny skruszony prawicowiec łka, że straszny Jarosław zmuszał jego i innych do niegodziwych rzeczy, bo - teraz dopiero to biedaczyna odkrył - jest ponurym obsesjonatem, który wszystkich nienawidzi, wszystkich podejrzewa i bez ustanku intryguje. A Wiesio tak bardzo chciał zrobić coś dobrego dla Polski, że przez wiele lat zamykał oczy na tę straszną prawdę i teraz dopiero, gdy Platforma idzie już na pewniaka do władzy stuprocentowej i bez jej placetu nie będzie można zostać nawet dzierżawcą szaletu przy publicznym basenie, sumienie nie pozwala mu dłużej milczeć.

Ciekawe, czy coś Wiesiowi za ten wywiad skapnie. Platforma nie jest pamiętliwa i nie ma ideologicznych przesądów. To jest właśnie przewaga gangu nad sekta, przyczyna

oszałamiających sukcesów Donalda i tego, że może pluć z piętra na wszelką przyzwoitość, o prawie nie wspominając, bo cokolwiek zrobi, słupki popularności twardo przekraczają pięćdziesiąt procent. Z Ferajną każdy może się zakumplować, jeśli przyjmie reguły gry i coś ma do zaoferowania. Katolik, socjaldemokrata, liberał - a nazywaj się jak chcesz, byłeś grał z nami. I Cimoszewicz się nada, i Krzaklewski, ostatnio w Krakowie wzięli czterech Wszechpolaków - parę lat temu chłopcy rzucali kamieniami w "gay pride" i byli diabłem wcielonym, ale teraz te cztery głosy dają Ferajnie większość w małopolskim sejmiku, więc świętoszki od Michnika nawet nie miauknęły. Poza takimi mamutami jak ja chyba już nikt nie pamięta, jakich konwulsji obrzydzenia doznawały kiedyś salony na Wałęsę czy Niesioła, a wystarczyło, że i oni się zblatowali - i proszę, prostak z siekierą już jest narodowym herosem, a religijny fanatyk i pośmiewisko autorytetem, zasłużonym działaczem opozycji.

27

Po co tu o tym piszę? W końcu od tego właśnie mam swoje felietony, komentarze, spotkania, przynajmniej, póki mi nie zamkną gęby - ale to łatwe nie będzie, za duży już wyrosłem, nawet jak mnie przytną tu, to im wylezę tam. Dziennik, myślałem, jeśli już, powinien służyć zapisywaniu tego, czego nie wykorzystuję w mediach, prywatności, uczuć. Ale weź to oddziel, kiedy cię po prostu najjaśniejszy szlag telepie, gdy widzisz na każdym kroku, jak się gangsterzy moszczą, jak triumfują, garną pod siebie, jak doją ten biedny kraj na potęgę i łupią frajerów do gołej skóry - i wszystko jest ich, nikt im nie podskoczy - "między Bugiem a Odromnysom to najważniejsze ze wszystkich my som!". A bezmyślne stado cieszy się, że centra handlowe takie wielkie, tyle kolorowego badziewia w takich dobrych, promocyjnych cenach, i można zrobić karierę u Angoła. Na zmywaku. Rządzący doją, ale i nam dają pożyć. A że to wszystko na kredyt, że cała ta władza siedzi na górze weksli i tylko coraz szybciej dokłada nowe - kto o tym chce wiedzieć? Sześćset sześćdziesiąt miliardów długu, przez ostatni miesiąc przybyło ponad siedem, to znaczy - cholera, aż mam kłopot z policzeniem - zadłużamy się w tempie dwustu milionów złotych dziennie. Przez dwadzieścia lat Polactwo marzyło, żeby było znowu jak za Gierka, i Donek im to marzenie spełnił. Tyle się pozmieniało, żeby w końcu wszystko wróciło do punktu wyjścia. Warto było? Marek siedział, ma prawo tak pytać, mnie, dekownikowi, nie wypada.

Co najsmutniejsze. jak mówię Irusiowi, w jaki gang polazł, to wcale nie próbuje zaprzeczać. On tylko: sam wiesz, że inaczej nie będzie. Tak wyszło, bo tego właśnie Polacy potrzebują, tego chcą, przez dwadzieścia lat próbowano ich uszczęśliwiać na siłę, i po Kaczorach nikt już więcej nie będzie próbował. Tak, Donald zrobił z władzy kartel, ale inaczej się nie dało, nie ma się co obrażać na rzeczywistość, trzeba w ten kartel wchodzić i pomału, stopniowo, tylko tak da się coś naprawić. Mojzesz musiał Żydów tyle lat prowadzić po pustyni, aż całe pokolenie zdeprawowane

28

niewolą wymarło, i u nas też z czasem się w ludziach narodziła potrzeba uczciwości w życiu publicznym, prawdy, nieskłamanej historii. Ale na razie jedyne, czego potrzebują, to kiełbasy na grill i czegoś do popitki. Masz gwarancję na jeszcze tyle życia, żeby nadal czekać?

Pewnie dlatego kombinuję jak koń pod górę, żeby jakoś wykręcić się od kultywowania tej nieoczekiwanej odnowionej przyjaźni, wzdragam się nawet przed zastanawianiem się, co mu odpowiedzieć - dlatego, że ciężko mi z nim dyskutować. Ion wie, bo mnie przecież zna, zna moje fascynacje Dmowskim i Popławskim, czytał te wszystkie publicznie ogłaszane

pochwały politycznego realizmu, myślenia o konkretach, a nie romantycznych mrzonkach, sztuce osiągania celów i tak dalej - podpisałeś to własnym nazwiskiem, Rafalski, to teraz nie możesz go wyśmiać. A tymczasem publicystyka publicystyką, ale w środku widać siedzi jeszcze ten długowłosy osiemnastolatek, który jak patrzy na nową siłę przewodnią narodu, na tych wszystkich lokalnych Rysiów i Zdzisiów, którzy przy niej kręcą lody, na pana Purchla i jego mocodawców, i na takich nawróconych Wiesiów, robiących do władzuni maślane oczka i przebierających nogami, jak uświadamia sobie cały ten splot sitw, koterii i gangów, które się wiją u koryta, i jeszcze błogosławiących to wszystko celebrytów intelektu, ustrojonych w szaty mędrców i moralistów, to mu się po prostu zwraca. Tu polityczny realizm, a tu po prostu obrzydzenie. „Rzyg-rzyg”

Dlatego trudno rozdzielić życie uczuciowe od zawodowego.

00

Pobawiłem się z dziewczynami, przeczytałem bajki na dobranoc, pogruchaliśmy sobie długo w noc z żonką - w końcu zasnęła, chyba uspokojona, tak myślę, że mi się ją udało uspokoić, że mi ta cukrzyca jeszcze wyjdzie na zdrowie, bo będę musiał schudnąć, zadbać o siebie, popracować nad kondycją.

29

A teraz mnie samego dopadł strach. Jak rzadko. Jutro świtem jadę na badania, a po południu do pani diabetolog. Rozsądek swoje, a organizm nie słuca, i co zrobisz. Nawet pisać się nie za bardzo idzie zmusić. Zresztą po diabła mi to całe zapisywanie? Chleba z tego nie będzie, do druku się nie nada, myślałem sobie - za jakiś czas z dystansem przeczytam, czy pamiętam, jaki byłem parę lat wcześniej. Ale niby warto? Kto to u licha pisał, że dziennik pisarza jest jak trening u sportowca, sam z siebie, nie ma się czym chwalić, ale pozwala utrzymać formę, żeby właściwe dzieła były wyczynem ... Na pewno ktoś tak napisał, ale nijak nie mogę sobie przypomnieć, kto i gdzie. Rzadki jak na mnie wypadek, jestem z takich, którzy mogą nie pamiętać, gdzie odłożyli klucze, ale przeczytane książki cytują z głowy; widać zaczęło się już wapnienie mózgu. W każdym razie krzepię się tym zdaniem. Żeby brać się za poważne pisanie zbyt jestem rozbity, więc niech przynajmniej takie chlapanie słowami, jakie tam akurat do głowy się ciśnie.

Jestem przyzwyczajony do odgrywania twardego faceta, do tego stopnia, że czasem już nawet sam w to wierzę. Ale tak owertajm, całodobowo - czasem trudno.

Ubiorę się i pójde połazić po nocnych ulicach. Szybki, długi marsz bardzo w takich sytuacjach pomaga.

Nazajutrz

Bomba! Cukier na czczo już tylko 215, a po półtorej godziny nawet poniżej dwustu. Norma 120, więc jeszcze trochę zostało, ale to przecież dopiero parę dni. Inne cholesterole też dużo lepiej, zwłaszcza trójglicerydy. Yes, yes, yes! Zapisuję od razu na gorąco, bo jednak wygląda, że się skończy na strachu. Dała Bozia sygnał, że czas o siebie zadbać, bo mnie zna, że inaczej bym się do tego nigdy nie pozbierał, ale zna mnie też, że jak się już zebrałem, jak się zawiąłem, to dotrzymam, więc ...



Miseczka odtłuszczonego twarożku z pomidorami i lecę wydeptać trochę sadła. Do przychodni piechotą i z powrotem to też będzie parę kalorii mniej.

30

1

00

Zupełnie nie jestem w nastroju, więc z pełnym zrozumieniem ze strony Oli odpuściłem Bal Dziennikarzy. I tak zawsze byliśmy tam tylko przez parę godzin, potem - stały punkt wieczoru - zaczyna rzępolić dziennikarski zespolik, dla niektórych może atrakcja towarzyska, ale akustyczna na pewno nie.

Z blogowych relacji wynika, że straciłem możliwość obejrzenia nawalonego redaktora Ciołka, który wprawiał się w stan bliski orgazmu odgrazaniem, że wszystkich "pisowców" wy... powiedzmy, powyrzuca, i to w ogóle z zawodu. "Na kolei będziecie pracować!": upajał się, "co do jednego!": Chyba wierzy, że teraz naprawdę zacznie wreszcie coś znaczyć, że Ferajna powierzy mu czyszczenie mediów z wrogiego elementu. Nawet gdyby - to tylko gówniarze się odgrazają, straszą "zniszczę cię, zniszczę cię" ... Mężczyzna tak nie robi. Jest zdecydowany i może - to zabije. A jak nie może, albo się boi, to trzyma jęzor na wodzy i nie robi z siebie pajaca.

W pętactwie Ciołka jest jednak coś pouczającego, wartego zapisania, bo choć służy im gorliwie, to i u dworu, i w salonie mają go w gruncie rzeczy za głupka i nieudacznika, używają, ale nigdy niczym nie nagrodzili. Po co by mieli, jak już i tak sprzedął się im cały, z gnatami? Sztuka kolaboracji polega na tym - nie interesuje mnie praktyka, ale znam dość przypadków, by teoretycznie mieć sprawę dobrze przerobioną - żeby sprzedając się, nigdy nie oddać wszystkiego, stale mieć coś jeszcze do sprzedania. Z czystego wyrachowania trzeba zachować jakąś odrobinę przyzwoitości, jako odnawialny kapitał. Całą maszyną dystrybucji szacunku w III RP do dziś przecież zarządzają ci, którzy znaleźli punkt wyważenia - ile cnoty stracić z Partią, ile zachować dla "Solidarności". Bo kto przegiął z pierwszym, popadł w niesławę, a kto był zbyt niezłomny, nie miał szansy zaistnieć i zginął kompletnie w niepamięci.

Przeczytałem, co przed chwilą napisałem, i odniosłem wrażenie, jakbym gardził redaktorem Ciołkiem za jego nieprak-

31

tyczność, a nie za brak kręgosłupa. A tak oczywiście nie jest. Marny człowieczek, kiedyś uchodził za prawicowca, nawet za endeka, ale w końcu nie wytrzymał braku sukcesów i postanowił przytroczyć się do rydwana zwycięzców; i to mu też marnie wyszło, może tylko po kielichu snuć przed samym sobą miraże, jak to niebawem zacznie wreszcie coś znaczyć i wszystkim nam załatwi wilczy bilet.

Piątek

Jazda na spotkanie do Ostrowca - co można podwoływałem, ale nie wszystko się da. A zawodu ludziom sprawiać nie można. Oleńka przygotowała mi dietetyczną wałówkę,

szczęśliwie w pociągu spokojnie jak rzadko, więc jakoś tam, skrobiąc co i raz zębami surową marchew jak królik, przetrwałem. Na miejscu jak na miejscu, nie chce mi się zapisywać, o czym konkretnie tym razem mówiłem - jak zwykle, po trochu o wszystkim, o postniewolniczym obciążeniu, pańszczyźnianej mentalności ... Od czego bym zresztą nie zaczął, ludzie i tak wszędzie pytają mniej więcej o to samo. O co tu chodzi? Do czego to wszystko idzie? Co można zrobić? Staram się, jak się da, trochę ich odtruć z medialnego wrzasku, podrzucić sprawy do przemyślenia, zasiać parę pytań. Czasem przytłacza mnie ciężkie zwątpienie, czy cokolwiek z tego wynika; czy ludzi rozruszałem, czy tylko przyszli usłyszeć od pana redaktora z Warszawy to, co chcieli usłyszeć, i to właśnie usłyszeli, a nie to, co mówiłem? Ale nie ma co kombinować. Mówił tato: "trzeba orać".

Natomiast jazda pociągiem dała mi okazję, żeby przeczytać najnowszą powieść Eustachego, dostałem jeszcze w szcztokach, bo wydawca liczy, że coś tam napiszę. Boże mój, jedyne co mogę napisać to: cóż by to był za pisarz, gdyby nie to wyziębienie serca! Gdyby oprócz tej wirtuozerii słowa i daru chwytania kilkoma zdaniemami charakterów miał jeszcze Wiarę. Dlaczego ten skarb dostaje się tylko niektórym? Skąd się bierze, że jedni, jak tato, po prostu mają tę głęboką ufność i pewność, a innym Pan głodu

32

Boga nie daje, jak nie daje muzycznego słuchu albo zdolności odróżniania barw?

Książka cała z zauroczenia Iwaszkiewiczem; dla Eustachego to, niestety, bratnia dusza w niewierze. Ja Iwaszkiewicza żywołowo nie lubię. I nie za kolaborację z komuną, w kolaboracji to on był wirtuozem, Petroniuszem; na tle tych wszystkich cerowanych "autorytetów moralnych": które świły się po prostacku, pazernie, za kasę, przywileje i organizowanie im entuzjazmu na widowni, on się puszczał z prawdziwą klasą. Nie lubię go za pustkę. Tak, wspaniały styl, zmysłowość, intensywność - no i co? Piękne powtarzanie, że wszystko na świecie mija, psuje się, że życie przecieka między palcami, i że żal. Uh, żal ... No tak, ładne to, ale beznadziejne jak ateistyczny pogrzeb. Nic w tym poza smutkiem, i nie tym smutkiem, który oczyszcza, ale tym, który uzależnia, wciąga jak w bagno w jałowe rozsmakowywanie się w samym sobie.

Możliwe, że było to sprzężone z homoseksualizmem. Cały świat ułożył mu się na wzór pedalskich amorów, pewnie jest z nich jakaś rozkosz, zakładam, ale nic nie wynika - poza pedalską starością, która musi być czymś najbardziej ponurym, co sobie umiem wyobrazić.

Ale, najbardziej interesująca rzecz, co Eustachego w tym Iwaszkiewiczzu tak fascynuje? Strzelałbym, że właśnie jego niewiara, którą przykłada do swojej niewiary, chłodnego sceptycyzmu, któremu zwykł hołdować. Ciekawe, na ile ten chłód i sceptycyzm jest rzeczywistym brakiem łaski, a na ile wyborem, czy może nawet kreacją? Większość pisarzy wykuwa sobie rozmaite zbroje, nie dla pozerstwa, tylko z konieczności, bo własne skóry mają cienkie (ja mam grubą, i właśnie dlatego jako pisarz jestem słaby; coś za coś). Jeden pozuje na rzemiechę, co to tylko dla kasy, inny, że on produkuje literaturę rozrywkową i o nic tu nie chodzi, tylko żeby było ciekawie ... Ale co jest przyczyną, a co skutkiem - dorabia sobie tę pochwałę "chłodu" do tego, jak go Pan Bóg poskręcał, czy właśnie wmawia w siebie niewiarę po do-

33

świadczeniach pokolenia, które się na różnych wiarach sparzyło? Nie rozgryzę, ale smakować dobrą prozę zawsze przyjemnie.

W każdym razie, tak na estetykę, to i tak milszy mi ten agnostyczny chłód niż różne niuborny, wywrzaskujące jak swego czasu Czarus i inne pampersy "Jezus cię kocha, Jezus cię kocha!":

Może i w niebie jest wielka radość z neofitów, ale na Ziemi lepiej ich traktować z dystansem. Połowie się szybko nudzi i kierują entuzjazm gdzie indziej - co i raz trafiam na wiadomość, że ten czy tamten z głośnych w ostatnich latach nawróconych teraz już jest satanistą, radykalnym wegetarianinem albo publicystą "Krytyki Politycznej".

W ogóle nie szanuję ludzi, którzy za bardzo drą mordę, a już w tych sprawach zwłaszcza. Nie potrafię sobie przypomnieć, żebym kiedyś rozmawiał o Bogu z tą, a przecież jakoś mi wszystko, co trzeba, przekazał. Jako coś tak odruchowego i oczywistego, jak przeżegnanie napoczynanego bochenka chleba. Mam nadzieję, że moje dziewczyny też nie będą miały problemu.

00

Kiedy nie mam terminów nad głową i noża na gardle, to od razu robię się rozlazły. Zwłaszcza, jak jeszcze jest bodaj cień pretekstu, żeby się trochę nas sobą poroztkliwiać i poużalać. I teraz też, ogarnęło mnie od rana dojmujące poczucie bezsily i bezwoli; gdyby nie wstyd przed rodziną, przeleżałbym bezmyślnie dzień na wyrze, gotów zawrzeć pakt o nieagresji z całym bulgoczącym wokół łajdactwem, dopóki nie wyciągnie paluchów po mnie i moją rodzinę. A przecież wiem, jak się takie paktory kończą - tak, że kiedy wyciągnie, to już nie będzie nikogo, kto by mógł pomóc.

Uczucie nie nowe, ale doświadczane po raz ostatni jeszcze w poprzedniej epoce, w, jak to nazwałem, "czarnej dziurze" po rozwodzie. Tylko wtedy nie było się przed kim wstydić i faktycznie potrafiłem zmarnować cały dzień na bezmyślnym wodzeniu wzrokiem po suficie. W pewnym momencie nie chcia-

34

ło mi się już nawet przez cały dzień sięgnąć po butelkę, żeby sobie nalać, i wtedy doszedłem do wniosku, że jakoś się trzeba pozbierać, bo dno jest blisko.

Żeby nie pokazywać po sobie niepozobierania, wychodzę na spacer - ale to żaden spacer, bo potrzebuję solidnego, szybkiego marszu, przyspieszającego oddech i tętno, a po prostu się snuję z rękami w kieszeniach. W tym stanie dopada mnie sąsiad, żeby opowiedzieć o swoich kolejnych potyczkach z żoną. Z była żoną, z którą toczą wojnę o uczucia syna.

Kompletnie mi brak asertywności, żeby spuszczać takich rozmówców na drzewo. Próbuje to racjonalizować, że powinienem wysłuchiwać wszelkich ludzkich opowieści, będę przecież kiedyś pisał wszystkie te powieści, scenariusze, i przyda mi się. W istocie nie przyda się na nic, wpada jednym uchem, wypada drugim. Ludzie krzywdzą się nawzajem z godnym lepszej sprawy uporem, a jedyne, co potrafią robić zgodnie, to okaleczać swoje dzieci. Nie wiem, dlaczego tak jest. Prawdopodobnie kopiują swoich rodziców - taka sztafeta pokoleń, jak wojskowa .fala" Ja miałem chore układy ze starymi, to teraz się odegram, urządzając emocjonalne piekło małemu.

Sąsiad jest z siebie dumny, bo po latach upokorzeń zaczyna być górą. Syn dorasta, więc naturalną kolejną buntuje się przeciw matce, przeciw ojczymowi, a on korzysta z tej samej przewagi, którą ma kochanka nad żoną - jest tylko od święta. Na mój gust, psuje szczeniaka na potęgę, ale nie ma sensu mu czegokolwiek tłumaczyć. Zafiksował się, że baba próbowała nakręcić własnego syna przeciwko niemu, no to teraz on jej pokaże. Zresztą diabli go wiedzą, może rzeczywiście, jak uważa, cała słuszość jest po jego stronie. Dla losów kolejnego pokręconego psychicznie faceta, którego w ten sposób wychowują, jest to zupełnie obojętne.

I jak zwykle różne mętne aluzje, że o sytuacji takich ojców jak on powinno się zrobić jakiś program, powinien się tym ktoś z takim znanym nazwiskiem jak pan, panie sąsiedzie ...

35

Uratował mnie telefon z domu: taci, mozesz przyjechać z nami pobawić? Dzisiaj środa, czyli jedyny dzień w tygodniu, kiedy dziewczynki nie mają żadnych dodatkowych zajęć. Wiem, że jakoś głupio to wychodzi, wkurzam się na rodziców z poprzedniego przedszkola Mani, którzy od trzylatka poganiają własne dzieci do wyścigu szczurków, a nasze też mają zagospodarowany tydzień po brzegi. Ale ile razy próbowaliśmy z czegoś odpuścić, choćby po to, żeby mniej było wożenia i wydatków na nianię, to okazuje się, że one same wszystkiego chcą. I tańczyć, i chodzić do filharmonii, i rysować w Zachęcie ... z tej Zachęty zrezygnowałbym najchętniej, bo przed każdymi zajęciami dzieci oglądają wystawianą tam sztukę współczesną, z fachowym komentarzem pań animatorek, co im, boję się, może spaczyć gusty na całe życie. Ale potem jest zawsze lepienie, malowanie, wycinanie czy jakies inne paczorki, a to uwielbiają.

Właściwie, można zapisać, że ostatnim razem podczas przechodzenia przez salę ekspozycyjną, wypełnioną gigantycznymi odwzorowaniami genitaliów, pani zorganizowała dzieciom ćwiczenia w chodzeniu z zamkniętymi oczami - nawet promotorzy sztuki współczesnej okazują się mieć jakieś poczucie wstydu. Albo może po prostu nie chciała narażać się na pytania, co to niby za sztuka, takie badziewie; dorosłych już się dało wytresować, że takich pytań zadawać nie wolno, a z dziećmi nie wiadomo.

Więc wieczór spędziłem na wspólnych wycinankach, podziwiając umiejętności Oleńki w rozsnuwaniu czarodziejskiego nastroju. Nie mam pojęcia, skąd ona to ma, ale zawsze coś wymyśli - normalnie dzieci nie chcą jeść jarzyn, ale jak zupa z brokułów nazywa się "zupa shrekową", a prosta kartoflanka zamienia się w czarodziejsko brzmiącą "zupę złoty ziemniaczek": jeszcze z "magiczną wysepką" ... Po takim wieczorze zawsze zazdroszczę dziewczynom ich wieku. I przypominam sobie, jak mnie gorszyło, że tato na moje żale, jak bardzo bym już chciał być duży i starszy od Filipa, śmiał się, że nie wiem, co wygaduję i nie ma się do czego śpieszyć.

36

00

Zadzwoił Pawlasty, który jeszcze broni publicystyki w jedyńce, jak oblężonej twierdzy, z propozycją roboty - nie wypadało odmówić przynajmniej rozmowy, chociaż ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę, to jakieś nowe programy. Perspektywy beznadziejne; codzienna, na zmianę z Aśką i ewentualnie kimś jeszcze, publicystyka w niespecjalnie mocnym paśmie, w okolicach Teleexpressu, za marne pieniądze i w zasadzie przeciwko wszystkim, z jedynym

wsparciem samego Pawlastego i Anity, którzy będą pierwsi do odstrzału, bo naprawdę chcą coś zrobić i wierzą w to, co robią, podczas gdy "pisowcy" w zarządzie kombinują już tylko jak się w porę zblatować z czerwonymi i nie wylądować "na kolei". Pawlasty słusznie założył, że to właśnie jedna z takich spraw, w jakie zwykłem się pakować z entuzjazmem.

Wyjaśniłem z rezygnacją, że od paru dni już tak nie jest. Że nie wiem, czy nie trzeba się będzie położyć do szpitala, a nawet jeśli nie będzie trzeba, po prostu muszę zacząć się szanować, odpoczywać, a codzienny program to przecież masakra - dziesięć minut na antenie, a cały dzień przy telefonie albo w riserczu, a gdzie jeszcze pisanie, spotkania ... Mówię to wszystko, i nagle sobie uświadamiam, że brzmi odrażająco szczerze - bo wcale się nie wykręcam, tylko naprawdę taki się czuję, zniechęcony, zmęczony i bezsilny.

"Zmęczenie jest najświętszym stanem człowieka", pocieszał wielbiony na moim roku Stachura. Myśl słuszna, tylko on akurat - czym się niby mógł zmęczyć? Włóceniem bez celu i młóceniem do białego rana w karty?

00

Telewizja - tkwię jeszcze myślami przy dzisiejszych sprawach - to codzienne wbijanie miliona gwoździ w milion desek, powtarzał swoim podwładnym towarzysz Szczepański. Niewiele się od jego czasu w telewizji zmieniło, nawet gwóźdź został

37

mniej więcej ten sam: odnosimy sukcesy. Wtedy byliśmy dziewiątą potęgą gospodarczą świata, teraz zieloną wyspą sukcesu. Wtedy PRL była ukoronowaniem naszej tysiącletniej historii i walki z germańskim naporem, teraz III RP jest "największym bezkrwawym sukcesem w całej historii Polaków", a Okrągły Stół, przy którym spotkali się najświetlejsi Polacy "z różnych stron historycznego podziału" - kulminacyjnym momentem naszych dziejów.

Gdybym musiał narysować socjalistyczny "kraj lat dzieciennych": tak, jak mi najbardziej zależało za skórę, w jednym, jedynym obrazku, to byłaby codzienna scena, jak tato bezsilnie przeklina przed telewizorem, jak złości się na te wbijane mu w głowę gwoździe, i wdaje w nieustające, bezsilne kłótnie z kłamiącymi głowami. Wiem, bo nierzadko o tym rozmawiałem, że dzielę to wspomnienie z wieloma rówieśnikami.

Trudno sobie przypomnieć, kiedy uderzyło mnie, że zachowuję się tak samo. Chyba gdy towarzysz prezydent Kwaśniewski dekorował Orłem Białym Kuronia i Modzelewskiego, laudując: "wy pierwsi mieliście odwagę powiedzieć »nie« totalitaryzmowi!": Zacząłem kłąć, aż wstyd przy żonie: oni pierwsi! Dwieście tysięcy ludzi, najostrożniej licząc, działało jeszcze przez wiele lat po wojnie w antykomunistycznej konspiracji, kilkadziesiąt tysięcy walczyło z bronią w ręku, ostatniego żołnierza podziemia dopadła obława bezpieki na rok przed moim urodzeniem, ludzie siedzieli po więzieniach, szli na zsyłki, do kopalń i "strojbatalionów": latami borykali się z zakazem pracy, z wilczym biletem - i to wszystko nic, to się nie liczy! Dopiero jak potem dwóch młodych komunistów skrzytkowało partię, że się biurokratyzuje i odchodzi od ideologicznych pryncypiów Marksa i Lenina, i, jak to w gangu, za wyrwanie się przed szereg dostali po parę lat ... A kiedy szli na tę odsiadkę, towarzysze śpiewali im "Międzynarodówkę". I teraz - oni pierwsi! Żeby miał odwagę, taka jego mać, powiedzieć jasno: "wyście pierwsi spośród nas, spośród nas, partyjniaków", to

proszę bardzo, ale tego nie powie. Po prostu, polska wolność się zaczęła od "Listu otwartego do partii"!

Wtedy, kiedy patrzyłem na kłócącego się z telewizorem tatę, wydawało mi się, że to głupie, że nie powinien, jak to wygląda w końcu. A teraz sam doświadczam tego przytłoczenia, zdławienia kłamstwem i absurdem. On przecież rzeczywiście nie miał innej możliwości protestu, ja mogę się jeszcze stawiać wbijaczom gwoździ na ich własnym polu - a też nie umiem się powstrzymać, bezwiednie podnoszę głos w domu: no, jak oni pierwsi, jak od tego się wszelka walka z socjalizmem zaczęła, to gdzie ten sławny list?! Dajcie go ludziom przeczytać, niech się zachwyca tym komunistycznym bełkotem jak z referatu na plenum! Ale nic, nigdzie tego listu nie ma, nikt nawet fragmentów nikt nie cytuje. Tabu.

Jak z dziełami Marksa- Lenina, jak z życiorysami czerwonych przywódców: wszystko masz podane w opracowaniu, tego się ucz i powtarzaj, a o oryginał nie dopytuj, bo takie gadanie to wrogie gadanie. Bitwa pod Lenino wielkim, bohaterskim czynem ludowego żołnierza była, i to sobie w głowę wbijcie. Ale dopytywać się o szczegóły tego bohaterskiego czynu, o przebieg, o rozkazy i losy dowódców - no, co wy, ustrój się wam nie podoba!?

Im bardziej ma który z bohaterów i autorytetów chwalebny życiorys, tym bardziej się historycy boją pisać jego biografię. Jakies tam wyimki, przyczynki, starannie przebrane i ocenzone przez odpowiedzialne czynniki, to owszem - ale tak po całości to lepiej nie. Geremek, Kuroń, Michnik, Wałęsa - takie wspaniałe życiorysy, chwalebne, a nie można ich młodzieży podać za wzór, bo z jakiegoś powodu są tabu. Żywoty świętych III RP we fragmentach. Jak Krótki kurs historii WKP(b). Też był tylko we fragmentach, nigdy jakoś nikt nie napisał i nie wydał kursu pełnego. W normalnym kraju każdy z herosów Okrągłego Stołu miałby po całej półce biografii, od naukowych, przez popularne, aż po plotkarskie, a tu historycy i dziennikarze wolą

na wszelki wypadek omijać te chwalebne biografie szerokim łukiem. Im bardziej która chwalebna, tym szerszym. Sam strajk sierpniowy, zobaczcie: trzydzieści lat minęło i nikt się nie pokusił o monografię tak przełomowego dla historii wydarzenia! Raz się jakiś naiwny wyrwał i zapytał, gdzie właściwie jest ten mur, przez który, wedle kanonicznej wersji legendy, przeskoczyć miał Wałęsa ., i już następni nie próbują i innym odradzają.

Pod tym względem nic się a nic nie zmieniło; już nie w tym rzecz, że wciąż każą wierzyć w kłamstwa, ale że te kłamstwa tak niespójne, niechlujne, urągające elementarnej inteligencji. Jak z tym "Bolkiem": Po pierwsze, wcale nigdy nie kapował, a po drugie, przecież już dawno swe winy odkupił!

Połowa mnie mówi, żebym się przestał kłócić z telewizorem, a dla drugiej połowy jest to oczywiste jak oddychanie. Akurat jakaś dyskusja, i jak zwykle dyskutanci licytują się w intensywności wzajemnego przyznawania sobie nawzajem racji. Moim faworytem jest młodszy o pokolenie publicysta "Wyborczej", który powtarza, że trzeba tylko, żeby Polacy się wreszcie wzięli do solidnej roboty, a poza tym wszystko jest super. I dla podkreślenia

nieopatrznie deklamuje z przekonaniem: "wszyscy ludzie, jakich znam, bardzo zyskali mi transformacji ustrojowej".

Ależ oczywiście! O to właśnie chodzi, że oni się wszyscy obracają we własnym gronie - gronie ludzi, którzy nie mają żadnego powodu do niezadowolenia. Oni raczej doją, niż są dojeni, im żaden pan Purchel nie składapropozycji nie do odrzucenia, oni nie tłoczą się w państwowych przychodniach, bo stać ich na prywatne, dzieci posyłają do prywatnych szkół i przedszkoli. Jacek - nie szwagier, inny Jacek, pisarz, którego los rzucił do krakówka - opisał ten syndrom zwięźle: "nie znam nikogo, kto by nie głosował na Unię Wolności, więc to oczywiste, że Unia Wolności jest najlepsza!".

Spójrzmy na sprawy oczyma dziennikarza "Wyborczej", najlepiej z tych obdarowanych pakietem akcji, od którego nikt nie wymaga wychylania nosa nie tylko poza rogatki, ale nawet poza

40

drzwi kawiarni - no tak, oni naprawdę nie rozumieją, o co temu polactwu chodzi. Ich zdumienie jest szczere. Wszyscy, których znam, są zadowoleni. To kto może być niezadowolony? No jacyś "straszni ludzie", nieprzystosowani, pewnie nieudacznicy, którzy sobie nie poradzili w transformacji i szukają rekompensaty w zawiści i religijnym fanatyzmie. Nie da rady, musi nas to-to odumrzeć po drodze do Europy, tak jak ci Izraelicy nienadający się do Ziemi Obiecanej ciągni po pustkowiach, aż wykruszyli się po drodze ...

Tak, ja też posyłam dzieci do prywatnych szkół, też płacę prywatnym lekarzom i tak dalej. Tylko że ja pamiętam, skąd mi nogi wyrastają. I to jest właśnie zdrada, niewybaczalna zdrada swojej kasty. Jak ci dobrze, to siedź cicho i się ciesz, do cholery, a nie brzdąkaj. Wrażliwość społeczna cię męczy? Ależ proszę, my pochwalamy wrażliwych społecznie, mamy dla nich szeroką ofertę - mogą się angażować w sprzeciw wobec ocieplenia klimatu, mogą się wyzywać w walce o społeczną emancypację mniejszości seksualnych, przeciwko globalnym korporacjom, i jeszcze w stu innych akcjach, bardzo "tryndowych" i sexy. Ale co za pomysł, ujmować się za tym katolickim ciemnogrodem, który może i subiektywnie został pokrzywdzony, ale obiektywnie stanowi przeszkodę w pełnej integracji z cywilizowanym światem!

00

Jeszcze mi się przypomniał, dopisuję, bo wciąż mnie nosi, pan Józef. Stary działacz "Solidarności", z tych najmniej szczytów, na skalę parowozowni, z której go w końcu wyleli i ledwie teraz doprosił się od wolnej Polski jakiegokolwiek emerytury. Jedna z takich przygodnych, prowincjonalnych znajomości zawartych - już kawał czasu temu - przy okazji spotkań w interiorze, i jedna z wielu opowieści, wartych scenariusza albo co najmniej noweli. W zasadzie to tym solidarnościowcem został przez przypadek, prosty człowiek, na wielkich sprawach się nie znał, bo

41

i skąd - ale Opatrzność zrządziła. Przejmował raz, maszynista, ekspres wracający z Wiednia. Bo tylko niektórzy, sprawdzeni, mogli jeździć za granicę, i żeby ich nie zamęczyć, w kraju od razu przejmowała skład druga drużyna. I tak się złożyło, że akurat tym ekspresem wracał z

Wiednia prymas Wyszyński. Postój, wedle rozkładu, dwadzieścia minut, na peronie zebrał się nieprzebrany tłumem "element religiancki, podjudzony przez wrogo nastawiony kler", a do kolejarzy przyszedł esbecy z jasnym i prostym przekazem: dziś żadnego postoju nie ma. Siadać na maszynę i natychmiast mi - rura, do Warszawy, żeby tam nikt nic nie zamarudził, bo już my wam niebójtasie. On nic nie powiedział - wsiada, przejmuje skład, pociąg stoi, kardynał zaczął przemawiać, esbek drze mordę, a mój pan Józef do niego spokojnie: a przepisy? A bezpieczeństwo jazdy? To nie są żarty, to jest międzynarodowy ekspres, tu nie ma mowy o żadnym błędzie. Ten, co zdawał maszynę, blady i spocony, ale przecież nie powie, że tak na co dzień to oni te przepisy, wiadomo gdzie ... musi potwierdzić. Więc obaj regulamin w rękę i cała procedura, punkt po punkcie, sprawdzają każdą wajchę, każdą śrubkę, każdy licznik ... Esbecy wściekli, ale on do nich uprzejmie: da mi pan na piśmie, że pan przejmuje odpowiedzialność za ludzi i cały pociąg? Da mi pan na piśmie, że organa każą mi złamać zasady bezpieczeństwa? No to jak nie, to ja odpowiadam, pan może mieć swoje rozkazy, a ja mam swoje przepisy, i muszę się ich słuchać. I tak pociąg odstał na stacji, co miał odstać, do jednej minuty, kardynał swoje wygłosił, ludzie wysłuchali, i pewnie nikt nawet się nigdy nie dowiedział, dzięki komu, bo facet się nie chwalił. Dwadzieścia minut, które zadecydowało o czymś życiu. Bo już od tego momentu był podpadnięty definitywnie, chciał nie chciał, został "elementem antysocjalistycznym" ze wszystkimi tego konsekwencjami.

A po latach, w wolnej Polsce, dowiedział się, że był tylko zwykłym frajerem: nie zrobił kariery, nie dorobił się nawet porządnej emerytury. A tamci się podorabiali. U własnych dzieci nie ma

42

szacunku, bo jak niby, mierzą go dzisiejszymi kryteriami - musi być sukces, dla sukcesu wszystko. Nie żalił się, opowiadał po prostu, potrzebował się wygadać, wcale nie, żeby się redaktor nad nim użalał, tylko żeby - ja wiem - z kimś się podzielić. Nic mu nie miałem do powiedzenia, tylko przybiłem piątkę i obiecałem sobie zapamiętać i kiedyś o nim napisać.

Takich historii może się dziennikarz nasłuchać, kiedy wychyli nos za rogatki. To po co miałyby wychylać? Żeby go do telewizji przestali zapraszać?

Sobota

Właściwie to już się wczoraj zdecydowałem skasować całą tę pisaninę i dać spokój; pewnie bym to zrobił, gdyby nie myśl, że może coś się z zapisków da wydłubać i przerobić na felieton. Bo, skóra cierpnie na myśl, ale trzeba się pozbierać i zarobić trochę marności, wysłać tekst przynajmniej do "Gazety".

Jestem beznadziejnie daleko od jakiegokolwiek pozbierania.

Pani diabetolog zdołowała mnie kompletnie - wróciłem taksówką, i, chyba po raz pierwszy od początku tej historii, miałem taką minę, że Oleńka nawet nie próbowała mnie pocieszać. Spytała tylko szeptem, czy dam radę się trochę pobawić z dziewczynami i porozmawiać z nimi, żeby się nie bały, bo przecież czują, że się coś dzieje. Trzymamy twardo taką zasadę, żeby mówić dziewczynom wszystko, więc wszystko im przy zabawie wyjaśniłem, na co tata jest chory i co musi zrobić. Przy okazji sam też trochę się jakoś rozruszałem. Nie ma co za dużo gadać, bo wyjdzie sentymentalnie i płasko, ale jak się w człowieka takie dwie małe istotki wtulą, to światu wracają właściwe kolory.



W każdym razie obie teraz już wiedzą o cukrzycy wszystko, co trzeba wiedzieć, i że jak schudnę, nie będę więcej jeść ciastek i popijać „Jiskiego” to wystarczę im jeszcze na długo. Wszystkie lalki, misie, smerfy i cała menażeria wzięły udział w wielkim pożegnaniu „dużego bziucha”. No a potem długie, nocne małżeńskie rozmowy. Dobra wiadomość jest taka, zacząłem, że co

43

do naszych planów - to pani doktor mówi, że cukrzyca nie

. przeszkadza. To znaczy, w sensie medycznym, no bo, osobna sprawa, muszę mieć też pewność, na ile człowiek oczywiście może być czegokolwiek pewien, że przez tych paręnaście lat zachowam dość sił i sprawności, żeby zarobić na trójkę i móc ją należycie wychować. Ale taką pewność akurat mam, chociaż, odpukać, poczekajmy jeszcze na wyniki badań.

Więc skąd ten dół? Rzecz nie w tym, żeby rokowania były jakieś poważne, tylko ... Tylko właśnie co? Samemu trudno mi to rozplątać. Oli powiedziałem „stukło się jajeczko”, i od razu wiedziała, o co chodzi. Coraz częściej porozumiewamy się cytatami z własnych dzieci, których sens i kontekst trudno wytłumaczyć innym.

Matka miała co do lekarzy proste kryterium - starszy doktor zna się lepiej niż młodszy, a mężczyzna zna się lepiej niż kobieta. Wedle tej kwalifikacji powinienem na panią doktor machnąć ręką. Obejrzała mnie starannie, zmierzyła ciśnienie - wyszły jakieś straszne wartości, ale zawsze mi tak wychodzi, doznaję hipochondrycznego łomotu serca podczas wszelkiego rodzaju badań, uprzedziłem zresztą lojalnie, ale mnie zignorowała. Opukała, obejrzała z namarszczoną miną cal po calu stopy i tak dalej, zupełnie puszczając mimo uszu moją nerwową paplaninę, ze wszystkiego zainteresowała ją chyba tylko informacja, że ojciec również chorował - i zaczęła wygłaszać referat. Bo lekarz opłacony poczuwa się u nas do obowiązku obszernie pacjenta poinformować o wszystkim, co się z jego sprawą wiąże. Ten sam lekarz na państwowym ledwie na ciebie spojrzy, przez cały czas wizyty, czyli jakieś pięć minut, wypisuje papiery, a zapytaj go o cokolwiek, potraktuje to jak osobistą obrazę. Tłumaczył mi kiedyś pewien kucharz, zresztą z dość drogiej knajpy, że sekret jego zawodu polega na niezauważalnym dowałaniu do wszystkiego tłuszczu; organizm ponoć jest tak zbudowany, że jak odnośne receptory nie odnotują w posiłku tłuszczu, to klient się nerwi, sam oczywiście nie wie, co mu przeszkadza, czepia

44

się czego popadnie; a jak doświadczony kucharz wkręci w faszerowanego szczupaka na parze polec słoniny, to klient jest zadowolony, że no, widzicie, można zjeść i zdrowo, i smacznie. Skojarzyło mi się, bo wylewność lekarza, kiedy przyjmuje prywatnie, ma ten sam cel - żeby gość wyszedł zadowolony. A jak gość przychodzi państwowo, to pies go rąbał razem z jego zadowoleniem. Więc, wracając, pani diabetolog oświeciła mnie gruntownie co do stanu badań nad cukrzycą, zignorowała kompletnie przechwałki o chudnięciu i walce z chorobą i zaczęła wypisywać skierowanie do szpitala.

Zaprotestowałem. Wysłuchałem cierpliwie pouczeń i zaprotestowałem znowu. Spada. Chudnę, pocę się, to daje wyniki. Jak przestanie dawać, sam się zgłoszę, ale najpierw chcę

zobaczyć, ile mogę osiągnąć sam. Badania? Przecież mogę sam zrobić, stać mnie. W końcu chodziłem z tym Bóg wie jak długo, więc chyba przez najbliższe dwa tygodnie nie padnę jeszcze na ulicy. Co prawda, badania właściwie należy robić dopiero po " .. wyrównaniu" - no, ale, machnęła ręką, ostatecznie możemy jeszcze tydzień, dwa poczekać; w domyśle, aż sam się przekonam, że bez kroplówek z insuliny o wyrównaniu cukrzycy nie ma mowy. Potem przeszła do wypisywania leków. Metformina na samą cukrzycę, ramipril na obniżenie ciśnienia i simwastatyna na cholesterol .. Zaraz, zaraz, ale po co to? Przecież ja chudnę, niedługo będę o dwadzieścia, gdzie tam, dwadzieścia, o trzydzieści kilo szczuplejszy, a na medycznych stronach piszą, że wtedy i ciśnienie, i sterole leczą same z siebie.

Proszę pana, perswaduje ze skrywanym w głosie politowaniem dla mojego entuzjazmu, ta utrata wagi to tylko taki sygnał, bardzo dobrze, że pan jej nie przegapił, ale to tylko parę kilogramów i na krótko, proszę nie liczyć ... Ale ja naprawdę zamierzam schudnąć, wejdę na bardzo ostrą dietę, już zacząłem ... Widzę, że mi naj zwyczajniej w świecie nie dowierza - ot, słomiany ogień, przstraszył się i może sam na razie wierzy, że umie zmienić tryb życia, ale za parę tygodni zacznie się obżerać po staremu .- na

45

pewno tak myśli. Więc tym bardziej postanawiam się uprzeć. Nie, proszę mi na razie leków nie zapisywać, nie chcę.

Chyba zaczęło ją to bawić, tacyawanturni klienci nie zdarzają się pewnie często. Ale, przypominam, rzecz dzieje się w przychodni prywatnej, więc pani doktor cierpliwie, jak chłop krowie na rowie: najnowsze zachodnie badania pokazały, że u chorych na cukrzycę od samego rozpoznania ryzyko "incydentu naczyniowego" jest równie wysokie, jak u chorego po zawale, i dlatego światowa organizacja cukrzycy, czy jak tam się to szacowne gremium zowie, zaleca leczenie farmakologiczne w kierunku ... - teraz ja poczułem się zmuszony machnąć ręką i przyjąć receptę. A długo to będę brał? - spróbowałem udawania naiwnego, chociaż to akurat wiem. Pierwszy i jedyny raz zdobyła się na nieco luzu: "jak pan będzie brał regularnie, to długo. W przeciwnym razie nie gwarantuję":

Ola powiedziała, a Ola zna się na ludziach - nie wiem, czy to wrodzone, czy ten jej "dyplom z oszustwa": w końcu trzeba umieć ludzi czytać, by móc ich przekonująco zagrać - że pani diabetolog może się zna na diabetologii, ale psycholog z niej jak z koziej. Powinna wszystko zrobić, żeby mnie zmotywować do wysiłku, a nie dołować. Tylko że ona pewnie nie wierzy, by można z chorobą cokolwiek osiągnąć samemu, pomaga tylko farmakologia, nic więcej. W ogóle lekarze nie wierzą w nic poza chemią. Tak ich uczą.

Pokazałem potem Oli - dziś rano - książeczki, czy jak to nazwać, prospekty dla cukrzyków, które od pani doktor dostałem. Bardzo pięknie wydane, z kolorowymi zdjęciami (jedno, z cukrzycowym owrzodzeniem stopy w pełnym rozkwicie, mogli sobie darować) - we wszystkich powtarzają się uspokajające kawałki, nie martw się, nie musisz sobie odmawiać przyjemności jedzenia, przelicz tylko wymienniki węglowodanowe i zaplanuj odpowiednią dawkę insuliny. Ona też - lubi pan czekoladę? Można czasem pasek czekolady. A w broszurce: "jeśli jesteś przyzwyczajony do słodkich deserów, nie musisz z tego całkowicie

46

rezygnować, pamiętaj tylko o dostosowaniu do posiłku dawki insuliny":

Broszurki, które rozdają w gabinecie, wydrukowane zostały przez koncern farmaceutyczny specjalizujący się w analogach insuliny, więc ukochana poszła od razu teorią spiskową: po cholere ma ktoś walczyć z chorobą, odchudzać się - niech właśnie, trzeba namawiać, opycha się ciastkami, to będzie potrzebował więcej insuliny i więcej im zostawi w kasie. Niby żartowała, ale w sumie sam nie wiem. Mnie mój chłopski rozum każe się trzymać brzytwy Ockhama - współczesny człowiek nie jest wychowywany, żeby sobie czegoś odmawiać, przeciwnie, w głowie mu się nie mieści, że można by od niego żądać jakichkolwiek wyrzeczeń. Oleńka, jeśli ma czas pooglądać przekazior, wybiera na kablówce różne amerykańskie czy brytyjskie progra - my o grubasach, tam to świetnie widać - dziewczynka waży dwieście kilo, pochłania na każdy posiłek co najmniej cztery wielkie pizze, i całe konsylium kombinuje przed kamerami, czy próbować farmakologii, czy od razu operacji bariatrycznej, nikomu nawet nie przemknęło przez myśl potworowi zasugerować, że może by tak na początek spróbował mniej zjeść. Jak to, mogłaby nie jeść, kiedy ma apetyty? Przecież ona chce! A jak chce - no to musi. Żądać od kogoś, by sobie czegoś odmawiał - nie ma takiej opcji. A prawa człowieka gdzie? Od tego jest państwo, lekarze, ubezpieczalnia, telewizja, żeby podali pigułkę albo zastrzyk, które "rozwiążą problem". Przecież nie żyjemy w ciemnym średniowieczu. Więc i koncern farmaceutyczny nie będzie taki durny, żeby mówić, że nic ci, grubasie, nie pomoże, jak sam sobie nie pomożesz; po co sobie zrażać klientów?

Jak się zastanowić, ta zasada rządzi dziś całym myśleniem ludzi Zachodu. A raczej ich zdegenerowanych potomków. W każdym razie, wywaliliem te książeczki w ką, i pytam Olę ostrożnie, co mi doradza? Bo mi się łykanie tych pigułek nie uśmiecha. Nie mówię, że w ogóle, ale chcę sobie dać szansę, zobaczyć, ile mogę osiągnąć sam. Dopiero, jak wymacam tę granicę, za którą już

47

sam nie dam rady, będę potrzebował pomocy. Ale nie wiem, kochanie, może ja się mylę? Może sobie tylko szkodzę, odwlekając leczenie? Nie wierzyć lekarzom, niebezpieczna sprawa, ale wierzyć, też się czasem kończy fatalnie - jak ty myślisz?

Stanęło na tym, że poczekam, jak wyjdą badania. Badań dostałem całą stertę, rentgen, USG, dno oka, wszelkie możliwe analizy ... Zobaczymy. Jeśli się uda trochę odwlec przejście na leki, to już mój zysk. Przecież muszę, mówię, pociągnąć w dobrej kondycji jeszcze ze czterdzieści lat, żebyście ze mnie miały pożytek.

Nastrój mi się, jak to po takich rozmowach z żoną, poprawił, ale ogólne poczucie rozbicia i zdołowania pozostało, przetrwało nawet noc i gnębi od rana. Niełatwo mi to samemu rozplątać, co mnie właściwie gnębi. Nie strach, powtarzam, do strachu na razie nie ma powodu. Dam radę, zawzięty jestem. Bardziej chyba wyprowadza mnie z równowagi utrata poczucia własnej niezniszczalności: człowiek niby wie, że jest kruchy, ale zawsze się o tym dowiaduje nagle. A może to, jeszcze inaczej, utrata poczucia kontroli nad sytuacją. Mężczyzna źle znosi świadomość, że coś nie zależy od niego, że choćby się nie wiem jak sprężył, wysilił, nic nie zmieni - a z chorobą tak jest. To wkurza i rozbija, na pewno.

Ale to chyba nie wszystko. Po rozwodzie miałem świadomość totalnej klęski, tego, że wszystko się rozsypało, i że to ja spieprzyłem, nie ma na co i na kogo zwalić, też było mi się ciężko pozbierać, kryzys wieku średniego jak z podręcznika, a właściwie, jak z sitkomu - ale

wtedy nie czułem się wypalony czy stary. Niedawno obchodziłem 45 urodziny, "półmetkowe": napisałem na zaproszeniach, żeby trochę oswoić tę magiczną liczbę, miałem świadomość, że już nie jestem młody, ale nie miałem zupełnie takiego poczucia. A teraz właśnie się na mnie zważyło: point of no return. Szczyt już za mną, teraz tylko w dół.

Myślę o tym i przypomina mi się Monte Cassino Wańkowicza - osobna historia do napisania, dlaczego to była dla mnie

48

tak niesamowicie ważna książka - scena ze sztabu, z ostatniego dnia bitwy, jak siedzi tam Anders z oficerami, wpatrują się w mapy i odbierają meldunki: San Angelo - utknęli pod wierzchołkiem i już nie ma czym atakować, Albaneta - ugrzęźli tuż przed wyjściem z Gardzieli, 593 - przygwożdżeni kilkadziesiąt metrów od celu, i tak wszędzie, wszędzie natarcie utknęło na ostatnich metrach i już nie ma go czym podeprzeć, bo wszystkie odwoły zaangażowane, wszyscy ludzie wysłani do walki, nawet z kucharzy zaimprovizowano grupy szturmowe pod dowództwem oficerów kasynowych i pchnięto na pierwszą linię. A ta pierwsza linia, w którą wszyscy wpierają się resztką sił, stoi, godziny mijają, ludzie zaczynają padać z nóg ... Ależ sobie umiem teraz tę scenę plastycznie wyobrazić. Nagle, razem z tą cukrzycą, zważyła się na mnie świadomość, że już użyłem wszystkich sił, wszystkiego, na co mnie stać, nic więcej z siebie nie skrzeseam. I nie mogę powiedzieć, że bym nic nie osiągnął, ale - wszędzie brakuje tych ostatnich kilkadziesiąt metrów do wierzchołka, o włos, o krok, o wyciągnięcie ręki za mało, żeby mieć poczucie sukcesu. A teraz sił już będzie mi tylko ubywać. Dotąd sobie mogłem powiedzieć, że znajdę jeszcze chwilę na dodatkowy felieton, występ, na jazdę gdzieś, wyrobię się - a tu nagle przeraża mnie myśl, że nie da się dłużej niż przez parę dni wykręcać i prosić o przedłużanie terminów z powodu zdrowia, a potem - jak ja się wypłaczę tylko z dotychczasowych zobowiązań? A skąd jeszcze wziąć czas i siły, żeby się wreszcie przebić przez ten mur, żeby dokończyć, przecież nie odpuszczę teraz, kiedy mam cele w zasięgu wzroku!

Idiotyczna myśl: Irek o tym skądś wiedział, wybrał ten moment, żeby mnie wodzić na pokuszenie. Rzeczywiście, chwycić wygodną synekurę, grzać się w ciepłku władzy, najlepiej iść na senatora, albo co tam, nawet eurodeputowanego, przecież mam jakieś nazwisko, kto by mnie zresztą próbował kupić, gdybym nie miał - nagle wydaje się, że mi z nieba spada z tą ofertą. No, ale przecież nie mógł wiedzieć. Więc co - jeszcze bardziej

49

idiotyczna myśl: Opatrzność tak właśnie chce, Opatrzność podesłała we właściwym momencie starego kumpla i daje sygnał: odpocznij, Rafalski, pomyśl o dzieciach, oszczędzaj zdrowie; swoje się już nawojowałeś.

Chyba za daleko idę w tym zapisywaniu - jeszcze parę akapitów strumieniem świadomości i naprawdę skasuję to wszystko w diabły. Już się na to zdecydowałem, ale kiedy usiadłem rano do klawiatury, zauważyłem, dopiero teraz, że pod lampą, na biurku, Mania usadziła swojego ukochanego misia. Żeby tacie dotrzymywał towarzystwa i poprawiał humor. Coś mnie ścisnęło za gardło i postanowiłem, że jednak znajdę codziennie choć parę minut na te zapiski. Może coś z nich wyniknie.

Tato - strzępy historii

I dobrze, że nie skasowałem. Może to grafomania, może pensjonarskie egzaltacje, ale jako sposób wypełniania bezsennych nocy i rozedrganych dni pisanie jest bezcenne. Inaczej albo bym w końcu wyciągnął flaszkę, albo poszedł na dworzec napchać się hamburgerami i czekoladą; może i jedno, i drugie.

Znowu myślę o tacie. Jak zawsze z poczuciem winy. Pierwsza powieść, jaką w życiu napisałem, powinna być powieścią o nim. A jeśli nie pierwsza, to ta największa, najważniejsza, którą mam jeszcze przed sobą, przynajmniej tak sobie wmawiam, że mam ją przed sobą. Tymczasem wszystko, co wiem o własnym tacie, to skrawki rozmów, okruchy, których nie ma czym uzupełnić. Obaj stryjowie już nie żyją - nie pochodzę z długowiecznej rodziny, u nas pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat to maks. Żadne dokumenty się nie zachowały, a jeśli, to prawie na pewno niewiele warte. W szkole oficerskiej tato bez przerwy pisał życiorysy, taki był wymóg Informacji - stale trzeba było pisać życiorysy, i biada takiemu, któremu się zdarzyło napisać w jednym życiorysie cokolwiek innego niż w drugim. Ojciec już wtedy dobrze wiedział, gdzie żyje, więc ułożył sobie życiorys "pozytywny", wkuł na pamięć i powtarzał za każdym razem co do przecinka. Potrafił

50

go wyrecytować jeszcze na starość, ale sam mówił, że prawdy w nim nie było. Więc co z tego, gdybym się nawet dostał do jakichś wojskowych archiwów i znalazł tam ten życiorys?

Wiem, że to dotyczy nie tylko mojego taty, ale całego jego pokolenia. Oni stracili swoje biografie, a my, synowie, straciliśmy historię swoich rodzin. Kto w Polsce ma zdjęcia swoich dziadków, kto zna ich życiorysy, kto potrafi wymienić imiona pradziadków? Pamiętki, fotografie, pamięć - wszystko poszło z dymem. Często nawet groby przodków zostały gdzieś o kilkaset kilometrów, za granicznymi zasiekami. Ojciec prawie nigdy nie chciał mówić o swoim życiu, o historii rodziny, oduczył mnie o to pytać. Otworzył się dosłownie parę razy.

Urodzony 27 października 1927 roku we wsi Sulęczyno powiat Kobrzyń w województwie lubelskim, jako czwarty syn małorolnego - zdaje się, że tak brzmiało pierwsze zdanie. I już w nim tkwiło maskujące kłamstwo, bo dziadek był jednym z bogatszych na owe czasy gospodarzy we wsi, najlepszy dowód, że jak przyszli okupanci, to od razu wyrzucili rodzinę z domu - byle kurnej chaty by nie zajmowali. W sumie na dobre wyszło, bo inaczej komuna wykończyłaby dziadka już za sam ten dom, jako kułaka. Tym, że dziadek działał w samorządach, budował we wsi szkołę, współzakładał uniwersytet ludowy, nawet że jakieś chłopskie strajki współorganizował, też się tato przezornie nie chwalił. Z dziewiątki rodzeństwa jeden brat umarł w dzieciństwie, dwóch zaginęło w czasie wojny, nigdy nie udało się ustalić, co się z nimi stało, a raczej, gdzie znaleźli śmierć i z czyich rąk, bo żywi by się przecież odezwali. Tato jako szesnastolatek wylądował w partyzantce. Mówił, że właściwie poszedł tam nie z jakiejś szczególnej chęci do wojaczki, tylko żeby nie objadać młodszego rodzeństwa, bo we wsi się przymierało głodem; w lesie też, ale przynajmniej łatwiej się było człowiekowi łudzić, że jak się wysili, to w końcu coś do zapchania brzucha znajdzie. A i rodzice woleli, żeby synowie byli w lesie, bo tam bezpieczniej. Teren był dobry dla partyzantki i w okolicy działała jej sporo, nie tylko Polaków.

51

Byli też komuniści, więcej Ruskich i Ukraińców niż naszych, mówił tato, i byli Żydzi, uciekinierzy, którzy chowali się w bronią w rękę przed Niemcami. Sowieci uważali naszych za wrogów na równi z hitlerowcami, więc rabowali i niszczyli co popadło, komuniści za swoich uważali, z wzajemnością, tylko naj gorszą biedotę i fernali, bo w okolicy przed wojną biedy było sporo. Natomiast bogatsze domy palili. Palili też plebanie i mordowali księży. Żydzi również rabowali księży i chłopów, więc nasi, jak dorwali pepeerowca albo Żyda, to go zabijali, a oni naszych. To znaczy, na samym początku tylko się zabijali. W czasach taty to już nie było zwykłe zabijanie, tylko wydziwianie jak w jakimś Humaniu. Ksiądz z Sulęcyna komuniści rozerwali końmi, więc jak któryś z batalionów chłopskich dopadł potem tych, albo może innych AL-owców, to ich zakopali żywcem; a może to nie była zemsta, tylko oszczędność. Tamci zresztą w końcu byli górą i odpłacili z nawiązką - bo jak przyszli Sowieci i lubelski rząd, to wszyscy AL-owcy, których się naszym nie udało dorznąć, poszli w komplecie na milicjantów, a Żydzi do UB, i pod ich dyktando KBW z Sowietami w parę lat spacyfikowali całą okolicę i wszystkich wytlukli, chyba, że ktoś w porę zwał na "ziemie odzyskane", albo, jak tato, do poboru.

Brud, wszy, okrucieństwo, zatracenie w jakimś takim zbydlęczeniu, w poczuciu, że nie dziś, to jutro - o tym czasem wspominał. Tylko o tym, wydawałoby się rzecz naj oczywistsza, w jakim oddziale był, nie wspominał, a ja, młody dureń, nie byłem wtedy ciekaw. Ale przypominam sobie mgliście opowieść ciotki Jagody, tej, która po wojnie została na wsi; z jej słów, jeśli czegoś nie pokręciłem, wynikało, że tato poszedł do lasu razem ze starszym bratem, jednym z tych dwóch, cO przepadli, do dowódcy, który nosił pseudonim "Głowbicz": Jeśli tak, to z opracowań wynika, że długo się tam nie nawojowali - w początkach czterdziestego czwartego Głowbicz zginął w zasadzce partyzantów sowieckich i kolaborantów z AL, a jego oddział poszedł w rozsypkę. Był to oddział NSZ, i to by wyj aś-

52

niało, dlaczego tato narzucił sobie tak głębokie milczenie na ten temat, że nie przyznał się nawet mnie.

W każdym razie znalazł się u berlingowców. Znowu bardziej się domyślam, niż wiem, że razem z kilkoma wykombinowali, że pod samą latarnią, w czerwonym wojsku, uchronić się łatwiej niż w lesie, bo stamtąd w końcu Ruscy wyczesażą wszystkich. Ruskich w mojej rodzinnej okolicy widziano już w trzydziestym dziewiątym, więc złudzeń co do "wyzwolenia" nikt nie miał.

Cała kompania, do której tatę przydzielili, została wybita przy forsowaniu Wisły. O tym, jeśli pytałem, opowiadał najłatwiej: jak przez cały dzień leżał na rozmokłej łące w zwale trupów, na skrawku ziemi oranej ruskimi i niemieckimi pociskami, w kałużach krwi, pod piekącym słońcem, umierał po wielokroć - a miał tylko siedemnaście lat i strasznie chciał żyć - i jak w kółko, bez końca, wciąż od nowa odmawiał modlitwę "Kto się w opiekę": I czasem, mówił, tkwił przez całą wieczność nieruchomo jak kłoda, ze wstrzymanym oddechem, bez jednego drgnięcia - a czasem coś mu w duszy nagle podpowiadało, żeby teraz się ruszył, przepełzył kawałek do przodu albo w bok, a potem, mówił, widział, jak tam, gdzie był jeszcze przed chwilą, pada pocisk.

Opowiadał, że pogonili kompanię do forsowania rzeki nocą, po linach, uczepionych ruin mostu, na tratwach, deskach, na czym popadło - a jak się rozjaśniło, okazało się, że posłali ich z gołymi rękami na umocnienia nie do ugryzienia. I nie tylko nie dali wsparcia, ale i sami

zaczęli po nich tłuc z artylerii. Z przodu Niemcy, z tyłu Sowieci - wybili wszystkich. W historycznej książce, wydanej długo po śmierci taty, znalazłem informację, że w oficjalnych dokumentach policzono w tamtej bitwie straty: poległych dziewięciu, zaginionych stu trzydziestu siedmiu.

Na wojnie różne pomyłki się zdarzają, i strzelanie po swoich też, ale tato nie wierzył w przypadek. Mówił, że do tej kompanii dawali samych takich jak on, z leśną przeszłością, podejrzanych, a dowódcą był w niej przedwojenny oficer z Września, którego

53

złośliwy kacap, komendant łagru, nie wypuścił na czas do Andersa. Mówił zresztą o tym swoim dowódcy z podziwem, jak chyba o nikim innym. Więc uważał, że posłali ich wszystkich na tę śmierć celowo, żeby się za jednym zamachem pozbyć politycznie podejrzanego elementu i zmylić Niemców co do miejsca głównego natarcia.

Pewnie miał rację, bo w peerelowskich podręcznikach ten epizod w ogóle nie istniał. A tato twierdził, że żyje tylko dzięki temu, że potem w bałaganie kancelista się zlitował, a może dał przekupić, i przypisał go wstecz do zupełnie innego batalionu, który podczas forsowania został za Wisłą, i do którego po całym dniu udawania trupa zdołał dopłynąć nocą. A tam już, mówił, wszyscy oficerowie jeden w drugiego - ani słowa po polsku. Sami Ruscy z polskimi nazwiskami.

Potem, opowiadał, raz go tylko podkusiło. Już po wojnie, w akademii oficerskiej, na zajęciach, gdy im wykładowca opowiadał właśnie o forsowaniu Wisły, wstał powiedzieć, że to wszystko było zupełnie inaczej. Bo przecież tam był, widział wszystko na własne oczy. I znowu miał szczęście, może jeszcze większe niż wcześniej, bo trafił na jakiegoś uczciwego człowieka, który po prostu - baczość, podchorąży! - rozkazał mu się zamknąć. A po zajęciach wziął go dyskretnie na stronę i powiedział: ty durniu, mańczaj, morda w kubeł, nigdy więcej! Nigdzie nie byłeś, nic nie widziałeś, wbij sobie w łeb, czego cię tu uczę, i ktokolwiek się spyta, tak powtarzaj.

Zapamiętał tę lekcję.

Tata i tak w końcu wyleciał z tej szkoły, bez promocji, ale z zupełnie innej przyczyny. Pochodzenie miał wprawdzie - w papierach - nieposzlakowane, szlak bojowy wspaniały, bo jeszcze był ranny przy zdobywaniu Kołobrzegu, o tym zapomniałem wspomnieć, a z tej rany się śmiał, nie żeby nie była poważna, bo kilka złamań i nadwreżony kręgosłup, ale nie został trafiony, tylko jak biegli po murze gazowni, ukruszyła się od ostrzału cegła i poleciał parę metrów w dół: widzisz,

54

synku, tam we mnie biło parę pułków haubic przez cały dzień, a jak się cokolwiek poruszyło, z bunkra szyły cekaemy, i nawet draśnięcia - a karku sobie mało co nie skręciłem na prostej drodze, Ale nawet najlepszy życiorys nie mógł pomóc wobec uporczywości, z jakim w rubryce "światopogląd" wpisywał w ankietach "katolicki": Męczyli go, żeby się po dobroci nawrócił, bo szkoda pięknie się zapowiadającej kariery, trochę próbowali nawet straszyć, a w końcu uznali, że na głupiego wieśniaka nie ma rady, że może za mocno go tam pod Kołobrzegiem jakiś faszysta walnął w dekiel, i łaskawie pozwolili wybrać sobie uczelnię cywilną. Tato

wybrał sobie politechnikę i wyuczył się, 011, chłop z Sulęcyna - na inżyniera budowlanego. Dziadek, jak się o tym dowiedział, pękał z dumy.

Co jeszcze wiem? Jak ktoś, tak jak on, widział wejście Ruskich już we wrześniu trzydziestego dziewiątego, i ich rządy, choćby jako dzieciak, to potem nie mógł mieć żadnych iluzji. Widział trupy naszych żołnierzy, policjantów i urzędników, których bolszewicy rozstrzelali pod lasem i zagonili wszystkich chłopów do kopania zbiorowego grobu, ale nie pozwolili postawić żadnego krzyża; dopiero od paru lat stoi tam pomniczek, nie chwając się zresztą, też się odrobinę do jego postawienia przyczyniłem, kontaktując gminę z fundacją Grzegorza.

Natomiast nic zupełnie nie wiem o tych dziewięciu latach po wyjściu taty z wojska. Skończył studia, jeździł po budowach po całym kraju, i w końcu przy okazji jednej z nich poznał mamę, która pracowała wtedy w jakimś biurze. Ale co wcześniej, gdzie był, co budował, kim była ta dziewczyna, o której kiedyś wspomniał - że miała przez niego straszne kłopoty, bo całował ją na ulicy, przyciął ich milicjant, zapisał sobie adres z jej legitymacji (tak tata powiedział, ale czego to mogła być legitymacja?) i potem ją nachodził pijany, że niby taka, co się całuje w miejscu publicznym, to musi dawać każdemu. I jeszcze, co kiedyś opo~ wiedział, jak pili w towarzystwie jakiegoś durnego partyjniaka, z takich, co to zachłynał się na kursie informacją, że człowiek

55

pochodzi od małpy, i ten partyjniak, jak pochłał, nabijał się z ojca i jego pobożności. Jak jest Pan Bóg, mówił, no to niech mnie strzeli w mordę - no? Wystawiał gębę i śmiał się triumfalnie, a tato modlił się bezsilnie, żeby Pan ten jeden jedyny raz zarzucił zasadę niereagowania na głupie zaczepki i coś zrobił. I Pan go wysłuchał. Nie minęło pięć minut, jak z przyczyn dla anegdoty nieistotnych partyjniak wszedł w konflikt z wykidająką, a ten wyciął natręta w kły, aż się poturlał ze schodków. A mój tato wyskoczył za nim, skacząc z radości i wrzeszcząc na całą ulicę, i co, taki synu, strzelił cię Pan Bóg w mordę, strzelił?! Jeszcze po latach cieszyło go to zdarzenie niesamowicie.

Skrawki - no dobrze, jak przysiądę, będę umiał wypełnić puste miejsca między nimi. W k011CU nie myślę o naukowej biografii, myślę o powieści, o zmyśleniu, prawdziwym, ale jednak zmyśleniu. Jeśli od lat nie mogę się do niej zabrać, to nie przez dziury w faktografii. To dlatego, że nie umiem sobie poradzić z dziwną dwoistością, jaką te losy mojego tatę naznaczyły. Żarliwy katolik, komunizmu nienawidził jak zarazy, a z partii się nigdy nie wypisał. Wybuchł, kiedy go za to zaatakowałem, że przecież ma czworo dzieci! Czworo dzieci! Ale nie mogło chodzić o pieniądze na nasze wychowanie, nic mu ta legitymacja, w sensie materialnym, nie dawała, żadnych profitów. Uważał, tak dziś myślę, że musi nas w taki sposób chronić, młodzieńcze przeżycia nauczyły go ostrożności jak na późny peerel przesadnej i dla nas, dorastających w czasach KOR-u i KPN-u, niezrozumiałej.

No dobrze, tę partię można jeszcze jakoś racjonalnie wyjaśnić. Ale nikt go przecież nie zmuszał do kupowania tych strasznych płyt czy książek. Jakieś moczarowskie opery partyzanckie, "wróć chłopcy z wojny jak należy" - do dziś mi to brzęczy w uszach. Powieść, do przeczytania której mnie zmusił, nazywało się to Ptasie gościniec, właśnie o ludowym wojsku, naprawdę był tym zachwycony - taki miał gust, po prostu.

A z drugiej strony, jak wyczał u mnie podziemną gazetkę - oczywiście nie przyznałem się, że mam z nią cokolwiek



wspólnego, niby to znalazłem po prostu - z wierszem "Czekamy ciebie, czerwona zarazo, byś wyzwoliła nas od czarnej śmierci", to chyba jedyny raz w życiu zobaczyłem tatę tak wzruszonego, że aż płaczącego.

To było jakoś tak zaplątane, że nie mając do peerelu złudzeń, nienawidząc go szczerze i zasłużenie, był jednak jego dzieckiem, jego produktem. Jeśli się zastanowić, miał właściwie wszelkie dane, żeby się w tym ustroju ześwinić - na takich jak on komuna stawiała, takich dowartościowywała, i ocalił go tylko ten jego, jak to dziś cedzą z pogardą mędrkowie, "płytki" katolicyzm, taki w duchu kardynała Wyszyńskiego, taki z odpustów, z mszą pod gołym niebem, odświętnie ubranymi dziećmi w pierwszych szeregach, orkiestrą strażacką i maryjnym obrazem. "Płytki", czyli właśnie głęboki do szpiku kości, mocny, niepodlegający żadnym dyskusjom, odporny na rozterki czy szyderstwa. Ocaliło go, że jak się urodził, tak do końca pozostał prostym człowiekiem, który wie, gdzie jest dobro, a gdzie zło, i nie da sobie w głowie namącić. Tacy ludzie jak on mogli z bandytami kolaborować, mogli nawet do nich przystąpić, ale zawsze ze świadomością, że to są bandyci, że okupacja to nie jest wyzwolenie, a chlew to nie jest źródło, cokolwiek by im gadano. Żadnych heglowskich ukąszeń - czasem trzeba ulec, żeby przetrwać, ale duszy sprzedać nie wolno. A wielcy mędrkowie, profesorowie, nobliści, łamali się przed logiką dziejów, dorabiali sobie do draństwa pokrętne usprawiedliwienia, całe systematy absurdów, i potrafili z przekonaniem wmawiać sobie i innym każdą brednię. Żeby dopiero po latach, na starość, kiedy już z partii wydoili wszystko co mogli i obrazić się na komunę zaczęło być w gruncie rzeczy nie tylko bezpiecznie, ale wręcz opłacalnie, dojść nagle w intelektualnym mozole do rzeczy, które on, prosty chłop, chociaż wyedukowany na inżyniera, wiedział od zawsze.

O tych sprawach niedobrze nam się rozmawiało. O historii, którą się bardzo pasjonował, tak - tej dawniejszej. Nama-

wiał, podsuwał książki, wyjaśniał. Ale co dotyczyło wojny, a już zwłaszcza Sowietów, czerwonych -- zwykle ucinął, jeśli bardzo nalegałem, mówił, że pogadamy, jak podrosnę, bo na razie nie zrozumie. Albo mówił rzeczy, od których podskakiwałem z oburzeniem. Że Stalin był zbrodniarz nie lepszy od Hitlera, ale państwo i granice mamy tylko z jego kaprysu, Churchill z Rooseveltem przycięliby nas do Kongresówki i oddali na siedemnastą republikę bez mrugnięcia okiem. Że komuniści to zbieranina, tak mówił, Żydków, mętów i bandziorów, ale Bogu dziękować, że się w porę Sowietowi nadarzyli, bo - patrz wyżej. I ucinął moje oburzenie: za smarkaty jeszcze jesteś, żeby gębę drzeć, podrośniesz, to ci wytłumaczę. Ale zanim uznał, że już podrosłem wystarczająco, wyedukowałem się w tych sprawach sam, po swojemu, i w ostatnich latach już wręcz unikałem tych tematów, tak ciężko nam się było dogadać.

Teraz go rozumiem lepiej, tak mi się przynajmniej wydaje.

Tak, wiedział, że to kraj nieprawości, kraj rządzony przez kolaborantów, łajdaków i cymbałów. Wiedział to wszystko jak mało kto, bo stale dostawał w tym kraju po głowie, bo całe życie się tu użerał. Pamiętam te jego opowieści, nie do mnie oczywiście kierowane, podsłuchiwałem dorosłych w ich błogim "a, co on tam rozumie" - opowieści o partyjnych

dyrektorach, kretynach, każących wylewać elementy konstrukcyjne na dziesięciostopniowym mrozie, i robotach, którzy mu bluzgali, kiedy wstrzymywał prace, że co on, chce, żeby ludzie nie dostali premii za wykonanie planu w terminie; o ścianach stawianych bez zbrojenia, bo stali nie dowieźli, a nie było odważnego zatrzymać priorytetową budowę, o "największych w Europie" fabrykach wymyślanych przez partyjnych ignorantów z dala od ujęć wody, bez możliwości poprowadzenia drogi dojazdowej czy bocznic - stale się o jakieś takie rzeczy użerał, i stale go za to szykanowali, dręczyli, usiłovali zaszczyć jako wrogi element, wywelekali mu, że pomaga proboszczom stawiać samowole budowlane, co skądinąd zresztą było prawdą, bo przecież inaczej niż jako samowolę kościoła się

58

wtedy postawić nie dało, a on znał prawo budowlane i wiedział, jak je obchodzić. Więc stale miał jakieś kłopoty, stale go różni dobrze ustawieni cwaniacy usiłovali usadzić - ale jednak czuł się z tym dziwnym tworem, tą niby- Polską nierozzerwalnie związany, czuł się jednym z tych, którzy ją zbudowali z powojennej perzyny, i nie wierzył, żeby jeszcze kiedykolwiek mogła powstać jakaś inna. Na dodatek nieufność, w której się przez całe życie ćwiczył, nie pozwalała mu popaść w zachwyty i entuzjazm dla przywódców opozycji, entuzjazm dla mnie i moich rówieśników tak oczywisty, że ja z kolei nie mogłem pojąć, jak on może go nie dzielić.

No i do tego jeszcze rozczarowanie największe - moja głęboka pogarda dla przedmiotów ścisłych i brak najmniejszego zainteresowania kontynuowaniem inżynierskiej tradycji, z której był taki dumny. Bo że Filip poszedł na teatrologię, to go nie ruszało w najmniejszym stopniu, na Filipie położył kreskę tak dawno, że nie umiałem sobie przypomnieć kiedy. Ale ja, ten lepszy syn - na polonistycę? Żeby przynajmniej na historii, ale tak? Nie mogłem mu sprawić większego zawodu.

Może dlatego nie chciało już mu się walczyć z chorobą. Nie widział, na co jeszcze miałby czekać.

00

Tyle pisania, i jak zwykle mam wrażenie, że najważniejszego zabrakło. A tu zagląda do pokoju Ola, że się wykończę. Przepraszam, ukochana. Wpadłem w ten nastrój, że tak tej nocy nie zasnę. Wiem, że zrozumiesz. Zawsze mnie rozumiesz.

Napiszę o nim wreszcie kiedyś porządnie, nie jakieś strzępy, zapiski po łebkach. Ciągle tak sobie obiecuję, i. ..

Zresztą czego ja sobie nie obiecuję, że wreszcie napiszę?

Książkę o II RP i jej samobójstwie, o Becku, Rydzu i londyńskich mędrkach, którzy beztrąsko w imię swojego zakichanego honoru posłali cały naród - tamten, dawny naród polski - na zagładę; cała teczka wycinków, całe archiwum notatek,

59

i ciągle ich nie dość. Sztukę o towarzyszu Dycembrze i innych gierkowskich prominentach wsadzonych przez Jaruzelskiego do internatu; materiał na nie złą groteskę. I jeszcze większy

temat na narodowy dramat - o Tadku, zamordowanym przed laty niezłomnym opozycjoniście, przy grobie którego po raz pierwszy od lat przypadek styka byłych towarzyszy z opozycji. Ten inżynier z akowskiej rodziny, ten katolik, a tamten prostak obdarzony nieludzkim sprytem i manią wielkości; ten został emigrantem, ten wyszydzanym w mediach outsiderem, a tamten prezydentem; oni mają swoją niezłomność i uczciwość, a on, wsiowy cwaniaczek, zwycięstwo. Oni mu wyrzucają, że zdradził ich, sprawę, prostych ludzi i poszedł w zakłamanie; on im, że zdradzili jego, nie dorosli, nie rozumieją: przecież komunę wyrolował, gdyby nie podpisał, nie udawał, to by go tak samo jak Tadzka wtedy - w łeb i do kanału ... I nic by nie było, tylko msze żałobne. A on im wszystkim wolność dał, jak złotą sztabę, którą sobie, durnie, na nogę upuścili, zamiast go słuchać. Tamci umieli tylko przegrywać, a on cwaniak komunę wyrolował, przyjaciół też wyrolował, i na ostatek siebie samego ... Bo tak naprawdę to przegrali wszyscy, i jak zwykle tylko szuje mają powody do zadowolenia. Co najśmieszniejsze, wymyśliłem to i zacząłem pisać jeszcze przed pierwszą rozmową z Irkiem. Pół pierwszego aktu, parę skrawków - i wszystko leży odłogiem.

Z bardziej zaawansowanych projektów jest jeszcze alternatywna historia Andrzeja Trzebińskiego, który, porucznik, w 1944 ginie na polskim froncie, we wspólnej z Wehrmachtem walce przeciwko Sowietaom - sam się pchał na front, "do czynu", jak każdy nasz nieszczęsny poeta, choć Piasecki starał się ochronić talent, utrzymać go na zapleczu, w propagandzie. Ale nie w tym dramat poety, że ginie, tylko że w poleskim błocie i zmechanizowanej rzezi gubi wiarę w sens tego "czynu", tej ofiary, wiarę w polskie imperium, które ma powstać z jego krwi, i w Polskę w ogóle. Powieść, właściwie, w pakiecie z tą eseistyczną książką o samobójstwie dawnej Polski.

60

Bo z tamtej Polski, tu jest właśnie problem, że nikt tego nie chce zrozumieć - nie zostało śladu. Trochę gruzu i zapamiętanych nazwisk, jak z Aten i Sparty, ale to tylko historyczna cepelia. Tamta Polska spłonęła, zginęła do cna, poszły z dymem i ciała, i dusze, na własne życzenie, z ułańską fantazją i ochotą. Mówi się - zagłada, shoah, holocaust - o Żydach. Ale Żydzi, nic nie ujmując ich tragedii, przetrwali, wciąż są tym samym narodem, może tylko mocniej sfiksowanym na swoim punkcie. A Polaków, tamtych Polaków - nie ma.

Na tych, którzy tu żyją, trzeba patrzeć już jako na coś zupełnie innego, nowego. Szukającego dopiero tożsamości, a właściwie, jeszcze mniej, odkrywającego dopiero potrzebę jej posiadania. Jak już płomienie opadły, obce wojska nasyciły się gwałtem i kradzieżą, to z zapadłych wsi, z czworaków, z kryjówek, wychynęło pochowane tam chłopstwo, i z początku lękliwie, potem coraz bardziej ośmielone, zaczęło szabrować ruiny dworku. A potem stopniowo je zasiedlać, zagospodarowywać, najpierw pod kijem zwycięzców, z czasem dla samych siebie; w końcu młodsze pokolenie nawet zaczęło czytać książki po jaśnie panu, to znaczy, te ich resztki, które nie poszły na podpałkę i podcierkę, ktoś wzbogacony pożalował starych mebli i dał do renowacji, ktoś zainteresował się, co to za wąsacz na starym, porąbanym portrecie ...

Nie zmyślam tego obrazu, to jeszcze jedna opowieść taty.

Taki dworek, którego dziedzica wywieźli Ruscy w czterdziestym, a dalsza rodzina zagubiła się w czasie wojny, był koło Sulęcyna, i tato patrzył, jak go wieśpo "wyzwoleniu" stopniowo wchłaniała, chociaż nie widział w tym tej metafory, którą ja widzę, Zrobili tam najpierw biura PGR-u, potem, jak niszczał, dali komornikom pod kwaterunek, a jak tam byłem ostatnio,

słyszałem, że ktoś odkupił ruinę i remontuje sobie na rezydencję. Nie dopytałem się o tego kogoś, tyle wiem, że go tam nienawidzą strasznie, ale chamstwo każdego nienawidzi, to zresztą w jakiś sposób logiczne - głupio by im było okradać bez tej nienawi-

61

ści, a żyć bez kradzieży jeszcze przez parę pokoleń się to-to nie nauczy. Pełnia metafory wymagałaby, żeby ten nowobogacki, który teraz przeklina rozkradającą mu budowę hołotę, okazał się potomkiem takich samych fernali, jak ci, którzy szabrowali resztki dworu nazajutrz po apokalipsie.

Myślę, że powieść o tacie, jego zebranych przez syna i uzupełnionych prawdziwym zmysleniem losach, to zadanie ważniejsze od tamtych książek czy sztuk. To jest materiał na powieść o nas. O tym, czego wszyscy ci wykorzeni mędrkowie nie pojmują, nie rozumieją - oni mają tylko pogardę dla polskiej tłuszczy, patrzą na nas z obcością i wyższością. W koloniach różni zlatynizowali, sfrancuziali czy zangliczeni tubylcy, dopuszczeni na pomagierów w biurach, podoficerów w kolonialnej armii, albo nawet do służby, co za zaszczyt, na pokojach samego gubernatora - tak samo właśnie patrzeć musieli na swych dzikich pobratymców odprawiających stare rytuały dla tubylczych bogów. Z obcością i złością, że przypominamy swym istnieniem, skąd się wzięli. I, prawdę mówiąc, nie umiem się opędzić od równie żywiołowej pogardy, kierowanej w przeciwną stronę,

Naprawdę, nie żebym był skłonny nas idealizować. Napisałem całą książkę o objawach i przyczynach postkomunistycznej deprawacji, a przecież to półwiecze nałożyło się na deprawację i degenerację jeszcze starszą, carską, sarmacką nawet. Ale jesteśmy, czym jesteśmy - brzydzy, zdziczali, po chłopsku pazerni i amoralni, po reymontowski bezwzględni w walce o przetrwanie, piękniejący tylko do kościoła, a i to nie w każdą niedzielę. Ale za to - ciężko nas zająbać. I ciężko nas przefasonować pod jakikolwiek obcy strychulec. Wielu już próbowało i nie dali rady, i wam, salonowa gadzino, też się nie uda.

Nie ma kiedy tego napisać, nie ma jak; kasy przecież z tego nie będzie. A w tym czasie, który mogą poświęcić na pracę za darmo, więcej będzie miało sensu objechać parę parafialnych salek, gdzieś z dala od warszawki i krakówka, pomóc ludziom uporać się z tym wszystkim, co się na nich wylewa z przekazio-

62

rów. Z tego jeżdżenia zawsze coś może zostać; ktoś się ruszy, ktoś sięgnie po książki, zacnie szukać kontaktów, zapraszać innych prelegentów, coś zorganizuje ... Trzeba orać, jak to mawiał tato.

O, tak przy okazji - tego nie można tutaj nie zapisać; tego, co mi właśnie na temat mojego jeżdżenia po Polsce oznajmił Irek. Że to obiektywnie zła robota - "robisz obiektywnie złą robotę": tak to dokładnie ujął, i bodaj czy nawet nie nazwał mnie na to konto szkodnikiem albo chyba zacytował, że tak mnie tam u dworu nazywają ---' bo w interesie modernizacji jest, żeby ta polska masa zachowała bierność, tylko kiedy jest bierna, można ją przeprowadzić przez reformy, do nowoczesności. Ładnie jest wzruszać się Dickensem i współczuć dzieciom pracującym w fabrykach, mówił z tym charakterystycznym dla nich grymasem na twarzy, ale gdyby tam wtedy mieli strajki i socjal, to by dziś tak nie wyglądali.

Po takiemu się tam u nich myśli.

Nowy tydzień

U Zosi w szkole wywiadówka. Wielkie święto: tatuś znalazł wolną chwilę, żeby pójść - zwykle całą krzątanię przy dzieciach zwałam na Oleńkę, wstyd, ale naprawdę z czasem jak z tą przykrótką kołderką. Wyjątkowo, dzięki cukrzycy, mam go trochę, więc idziemy. Ale zamiast o szkolnych sprawach córki, myślę przez większość wywiadówki o niemożności porozumienia się z obcą cywilizacją, do której należy moja własna żona.

Wychodzenie z domu, dokądkolwiek, zawsze przebiega według tego samego wzoru. "No, jeszcze nie jesteś gotów?" - dziwi się żona. "Przecież ty też jeszcze nie", mówię. "Już prawie, pośpiesz się! No i ja oczywiście, jak idiota, bo przecież wiem, co będzie dalej, ubieram się, wbijam w ciężkie buciory, stoję przy drzwiach coraz bardziej zapocony, a żona co jakiś czas przemyka powiedziec - no, już idziemy, jeszcze tylko to albo tamto. Oczywiście już jesteśmy spóźnieni, ale milczę o tym jak grób,

63

czas płynie, Ola dopada butów albo kurtki, zawraca po coś tam jeszcze, co zapomniała wziąć, albo czego zapomniała zrobić, za każdym razem mnie, stojącego w pełnym oporządzeniu przy drzwiach, popędzając, aż w końcu nie wytrzymuję i rozpinam się, żeby na chwilę przysiąść - w tym momencie, zawsze, bezbłędnie, okazuje się wreszcie ubrana i głosem łamiącym się z irytacji krzyczy: "no ile można na ciebie czekać, zlituj się, spóźnimy się przez ciebie!".

Oczywiście nie ma nawet co próbować o tym rozmawiać, bo niczego dziwnego w swoim zachowaniu nie zakonotowała. Po prostu, machnąć ręką i się śmiać - najgłupsze jest to, że jeszcze za każdym razem muszę długo do tego oczywistego wniosku dochodzić, jak teraz, tracąc pół wywiadówki.

Inna sprawa, że strata niewielka. W szkole teraz zapanowała jakaś obsesja, żeby dzieci nie stresować, w związku z czym nie ma żadnych ocen, a tych, które są, nie wolno ujawniać - więc wywiadówki w ogóle tracą jakikolwiek sens. Najgorzej oczywiście wychodzą na tych odstresowujących pomysłach dzieci. Te słabsze tracą sygnał, że coś trzeba poprawić, i motywację, a te lepsze zasłużoną nagrodę za wkładany w naukę wysiłek. A potem i tak trzeba w końcu oceny wprowadzić, w którejś tam klasie, i okazuje się, że dzieci, latami trzymane pod kloszem, teraz sobie nie potrafią poradzić z najmniejszym nawet problemem, i byle niepowodzenie staje się od razu przyczyną hysterii i załamania nerwowego.

Może to zresztą mieści się w ogólnych założeniach. Jeśli wytyczne są takie, żeby prawie wszyscy mieli maturę, a ponad połowa dyplomy, to nie ma innej możliwości niż masowa produkcja analfabetów z papierami. Wykształcenie stanie się fikcją, ukrywającą fakt, że społeczeństwo dawno już wróciło do odwiecznego podziału na możnowładców i plebs, zapychany socjałem i igrzyskami. Ktoś gdzieś tam może wyliczył, że do obsługi nowoczesnego państwa wystarczy nieliczna, prawdziwa elita, którą się wyhoduje głównie z potomków warstwy panującej

64

- a reszta to, jak raczył ujmować Gurdzijew, "ludzki nawóz", i starczy go tylko uperfumować.

Jak by nie patrzył, trzeba jakoś dziecku ten brak szkolnych stopni rekompensować na własną rękę - odpowiednio stosując pochwały i niezadowolenie, i jak szczepionkę dozując jednak trochę stresu, żeby kiedyś tam wiedziało, że życie jest na poważnie, i umiało mu stawić czoła. W tych kretyńskich czasach nie możesz sobie pozwolić na to, żeby ci dzieci wychowywali "fachowcy", bo skutki mogą być opłakane.

Rodziców też się w ten sposób okrada z należnej satysfakcji - dostajemy w wielkiej tajemnicy jakiś arkusz ocen, z którego na pierwszy rzut oka wynika, że Zosia rozwija się i radzi sobie z nauką znakomicie, ale nie można tego porównać - kto wie, może tak po prostu piszą wszystkim, żeby klienci byli zadowoleni?

Środa

Dzień generalnego przeglądu organizmu - plik skierowań w jedną rękę, karta płatnicza w drugą, nawet już mi nie przeszkadza, że na czczo, bo teraz po jedzeniu żołądek równie pusty, jak przed. Państwowo zmarnowałbym na to pewnie z miesiąc, tak przynajmniej mam wszystko, jak to mówi Oleńka, "w jednym wyrzucie" - rentgen, USG, EKG. Rozmowa z panią doktor od EKG warta zapamiętania: cukrzycy, mówi, mają obniżony próg wrażliwości na ból. Często nam przywożą ludzi w takim stanie, że normalnie człowiek by wył, a oni - nie boli pana? No, coś rzeczywiście, jakby taki ucisk tutaj, ale żeby aż ból?

To miało być ostrzeżenie, żebym uważał i nie lekceważył nawet lekkich objawów, udzielone zresztą przed badaniem, bo sam wynik - zero obaw. Ale coś mi się w tym podoba: mieć obniżony próg wrażliwości na ból. Nawet wrażliwości w ogóle.

Druga zabawna rozmowa - z doktorem robiącym USG. Pije pan? No, piję. Dużo? Ze dwie, trzy szklaneczki (zełgałem, prawdę mówiąc; raczej cztery-pięć). Ale jak często? No, codziennie.

65

I dawno tak? No, ze dwadzieścia lat. Powiedział tylko: to widać. Nigdy pana wątroba nie bolała? Naprawdę? Nie mógł uwierzyć, bo, twierdzi, stłuszczona jak u francuskiej gęsi na foie gras. Faktycznie, na obrazku, który mi pokazał, coś wyglądającego jak szklana bania nadmuchana nie równo papierosowym dymem. Zdrowa powinna być jednolicie czarna. I co z tym zrobić? Jak nie boli, to nic. Będzie pan przestrzegał takiej diety jak dotąd i odstawi alkohol, to się z czasem zregeneruje. Wychodzi, że gdyby mnie nie dopadła teraz przypadłość rodzinna, to za rok, góra dwa dopadłaby mnie jeszcze mocniej przypadłość zawodowa.

Właśnie, tu jest coś, co mnie od paru dni dziwi. Odstawienie alkoholu poszło mi nadspodziewanie łatwo. Jak na faceta, który od tylu lat, może przesadziłem dwudziestu, ale ładnych parunastu, sięgał w miarę wzrastających finansowych możliwości i gustu po coś stymulującego codziennie, dojmujący brak odwykowych objawów.

Tylu pisarzy, niemających o czym pisać, poświęciło opasłe tomy alkoholowemu głodowi i niemożności oparcia się mu. Ze zwykłego chłania i jego fizjologii zrobili całą mistykę, cały osobny świat, w którym można w nieskończoność analizować i uwznioślać każde beknięcie, nurzać się w upadkach i smakować własną bezradność, wszystko usprawiedliwić, wszystko

zabełkotać, i pierdzielić tak, pierdzielić, całymi latami, stronicami, wieloksięgami. .. Artyści. A ja - otwieram butelkę small-batcha, wciągam w nozdrza miły aromat, ostrożnie biorę kropelkę malutką jak łypek szpilki na czubek języka. Dobrze? Pewnie, że dobrze. Napiłbyś się, Rafalski! Pewnie, że bym się napił. To się napij, co się będziesz szczypał? No, chyba cię porąbało, szatanie. I tyle tego kuszenia. Na pół drętwego akapitu. Beznadziejna, chamska natura spod Kobrzynia. Zero wrażliwości.

00

Czasem wyłazi ze mnie jakaś złość, której nie rozumiem \_ to znaczy nie tyle samej złości, co jej przypadkowego ukie-

66

67

runkowania akurat w takim a nie innym kierunku. Wieczorem przyszedł ksiądz po kolędzie. W wielkowiejskiej parafii na kilkadziesiąt tysięcy dusz, z tego większość w blokowiskach, nie może to wyglądać porządnie i nie wygląda, najczęściej przypomina wizytę ankietera spisu rolnego. W zeszłym roku przysłali jakiegoś młodego księdza, który patrzył na mnie jak dziewczynka z prowincji na sławnego piosenkarza, dwa lata temu księdza praktykanta z Kalabrii, który wkrótce miał jechać do Kamerunu, nawet bardzo ciekawie się z nim rozmawiało, tylko co to ma wspólnego z życiem parafii. W tym roku przyszedł starszy i otyły, sprawiający wrażenie, jakby był w parafii od niedawna i nie mógł się w niej odnaleźć. Pewnie zresztą tak jest, nie wiem, i tak chodzimy do innego kościoła, bo nam wygodniej i mają lepsze msze dla dzieci.

Pochwalony, to znaczy "Szczęść Boże" - teraz już księża nie mówią "niech będzie pochwalony": nie wiem, za długo czy źle się kojarzy? - no to się pomódlmy, Amen, i cała buchalteria na stół. Mają państwo ślub kościelny? Tak, mówię, tylko niestety każde z kim innym. Chwila konsternacji. No to, niestety, sakramenty święte będą państwo mogli przyjąć dopiero na łożu śmierci. No to, niestety, podkusiło mnie, ofiarę na kościół też zapiszę dopiero w testamencie.

Właściwie to już wystarczająco zwarzyło atmosferę i uwagi o biskupach kapusiach i episkopacie, który zrobił z Kościoła po prostu jeszcze jedną korporację zawodową, tak samo pazerną, amoralną, wchodzącą w układy i broniącą swoich za wszelką cenę, jak każda inna, mogłem sobie darować. Chociaż tu akurat miałem wrażenie, że ksiądz protestował raczej z urzędu i chętniej by się zgodził, tylko mu nie wypadało. Zwłaszcza jak opowiadałem o swoim ulubionym kazaniu wielbionego w mediach metropolity, w środowisku dziennikarskim zwanego "narcybiskupem": Bo że się hierarsze mylą homilie ze wstępniakami do "Wyborczej", to już niedobrze, ale kiedy pouczył z ambony Wiernych, gromiąc ich za dawanie posłuchu "spiskowym teo-

riom", że "światem rządzi przypadek i prawa fizyki" - to już chyba jak na katolickiego duchownego, jeszcze tej rangi, dość zdumiewające odkrycie? Kombinowałem nad tym tak i owak, nawet psychologa spytałem, czy człowiek wierzący może tak lapsnąć, i pewien jestem, że cholera nie może, nie przysłaby mu taka myśl do głowy. Po prostu klasycznie, po freudowsku, wyszło szydło z "wora.

Swoją drogą, temat na ponurą powieść albo sztukę, co ma zrobić człowiek, jeśli całe życie robił karierę duchowną, i mu się udało, wpływowa partia polityczna zagroziła, że nie poprze konkordatu, jak go nie zrobią metropolitą i kanclerzem największej katolickiej szkoły wyższej, episkopat dobił dila, papież klepnął, a tu nagle wiara w sercu - wyschła? Co, rzucać teraz wszystko? I z czego żyć, z pisania do gazet?

- Pomyślałabym normalnie, żeś się urznął - powiedziała potem Oleńka, ale bez cienia podziwu, tylko ze zdumieniem, bo zwykle jak ktoś przy mnie wygaduje na księży, to reaguję jak mój stary. - Taki pobożny ...

- A co to ma ... ? My jesteśmy bardzo pobożny naród, ale i biskupów się zdarzało wieszać, jak kolaborowali z zaborcą - mówię, żeby jakoś trzymać fason. Co zrobić; fundamentalista katolicki po rozwodzie, nic na siebie nie poradzę,

Ale w gruncie rzeczy mi głupio, nie wiem, co mi ten biedny księżulo zaszkodził, żeby wylewać gniew akurat na niego. Normalnie wszystkie złe emocje rzucam od razu na papier, wsiąkają tam i mam je z głowy; nawet czasem do mnie docierają wyrazy zdziwienia, że taki miły ten pani mąż, no bo po tych tekstach, co pisze, to człowiek sobie wyobraża ... Zresztą Ola też przyznała, że spodziewała się znacznie gorszego zakapiora. Godziny przy piórze może nie leczą ran, ale na pewno pozwalają oczyścić organizm z toksyn. Tyle że na te akurat tematy, kościelne, nie bardzo mam gdzie sobie upuścić jadu. Nawet nie to, że niepolitycznie, że wystarczy już, jak budzę panikę u dyrektorów domów kultury czy szkół, tylko brakuje, żebym dostał szlaban jeszcze

68

i na salki parafialne ... Chociaż, właściwie, nie grozi. Bo przecież z normalnych księży, proboszczów, to więcej jak połowa, mogę się założyć, podpisałyby się pod tym, co myślę o hierarchach, gdyby mogła, oburącz.

Tylko jakoś nie idzie publikować rzeczy, które i tak nic nie zmieniają, a kupie mend sprawiłyby radość.

00

Nie ma trudniejszej rzeczy dla pisarza, niż zebrać się do pisania. Tym trudniej to idzie, im bardziej gardłowy termin wisi nad głową. Bester opisywał kolegę, który przewalał kolejne dedlajny, w końcu żona, żeby ratować sytuację, odłączyła telefon, zabrała dzieci na wieś, zostawiła mu na kilka dni jedzenia, żeby tylko nic go nie odciągało od pracy. Kiedy wróciła, całutki dom, od strychu po piwnice był wysprzątnany i wyglancowany na błysk, a mąż kończył właśnie czyszczenie ostatniej srebrnej łyżeczki z wielkiego kompletu, niewyjmowanego z kredensu od czasu ślubu. A pierwsza kartka wkręcona w maszynę na biurku - oczywiście nieskazitelnie biała.

"Znam, za bardzo dobrze znam': Postanowiłem zastosować radę Chan dl era: wyznaczyć codzienny, stały czas na pisanie, i narzucić sobie zasadę, że można w tym czasie nie pisać, jeśli zupełnie nie idzie, ale absolutnie nie wolno robić niczego innego. Po krótkim okresie leniuchowania człowiek w końcu zaczyna kleić jakieś zdania, żeby nie zwariować z nudów, radzi mistrz.



Zadziałało, tylko że nie całkiem tak. Piszę, ale zwykle coś innego, niż akurat powinienem. Im bardziej wisi nad głową jakiś tekst, tym bardziej biorę się za zupełnie inny. W sumie się może i opłaca, bo tamten drugi też jakoś rozpaczliwie ukończę na ostatnią chwilę, bo dom trzeba za coś utrzymać, i koniec końców mam dwa. Ale ile to stresu, nikt, kto nie próbował, nie wie.

Z tego punktu widzenia rozpoczęcie tych tu zapisków było genialnym sposobem na spotęgowanie mąk twórczych do kwa-

69

dratu. Obkładam się źródłami, sporządzam konspekt artykułu, i potem już spokojnie zamiast do nich bodaj zajrzeć zaczynam zapisywać przychodzące akurat do głowy refleksje na dany temat.

Dzisiaj postanowiłem z tym skończyć. Nie wolno nie pisać, ale też nie wolno tykać prywatnych zapisków, dopóki nie skończę pracy zarobkowej. A konspekt do książki zalicza się do zapisków prywatnych czy do pracy? -- zapytało coś chytrze po paru minutach. Musiałem uczciwie przyznać, że to jednak praca. Uff, no to jak tak, to wyciągamy leżący od paru miesięcy odłogiem konspekt do mojego requiem dla II Rzeczypospolitej i pracujemy nad książką. Bo akurat dziś właśnie nagle mam natchnienie sprawdzać w źródłach, co wiedzieli, a czego nie wiedzieli Beck i Śmigły Rydz, i jak dzień po dniu dojrzewali do decyzji, żeby dla ułańskiej fantazji i honoru posłać własny naród do diabła, zgodnie zresztą z najwyższym wskazaniem udzielonym im przez umierającego Piłsudskiego: balansujcie między Niemcami a Rosją dopóki się da, a jak się już dłużej nie da, podpalcie cały świat. Tego drobiazgu, że w pożarze ucierpią i wrogowie, ale przede wszystkim sama Polska spłonie do cna, pierniczący dyktator, czczony dziś jak półbożek, nie wziął pod uwagę. A może wziął? Można prześledzić, jak w miarę wieku i postępu choroby przeżerało go rozczarowanie Polakami, jak przeradzało się stopniowo w nienawiść do tego narodu, złość i irytację, na polityków i paszkwilantów, na sobiepaństwo, bezład, bezmyślność, na "zaplutyh karłów" ... Naród ani trochę nie chciał dorosnąć do oczekiwań króla-ducha, więc kto wie, czy król-duch zupełnie na poważnie postanowił: jak tak, to rzućmy Polaków na stos, niech płomienie przetopią zjadaczy chleba w aniołów. A jeśli Polska spłonie? To pies ją zajął, widać sobie zasłużyła, sprawiając tyle rozczarowań "Dziadkowi"!

Napisz tak, Rafalski, napisz i wydrukuj; świetny pomysł, żeby stracić ostatnich czytelników, których jeszcze nie odstraszyła do ciebie przyszywana przez "szczujnych" po kilka razy dziennie

70

etykieta "pisowca". I nie zapomnij dodać paru słów o podnieconych honorem durniach, którzy nie byli w stanie ani na stopę odejść od wskazań Wielkiego Wodza i nie posłać bez zmrżenia na pewną zagładę całego pokolenia i dorobku wieków. W imię

honoru.

Honor, panie Beck, rzecz piękna i pożądana. Ale jak prawie

wszystko na świecie mająca swoją cenę - wysoką, ale wymierną. Nie ma honoru za wszelką cenę. W życiu jednostek i narodów jest tylko jedna rzecz bezcenna - przetrwanie. Uchronienie

przed zniszczeniem gniazda, ocalenie kobiety i potomstwa, wychowanie następnego pokolenia, ukształtowanie i wypuszczenie go w świat. Czasem trzeba za to umieć umrzeć, ale czasem też umieć się od umierania powstrzymać, choćby przeżyć się dało tylko na kolanach. "Dla ciebie zjadł smakują trucizny, dla ciebie więzy, pęta niezelżywe" Po to jest mężczyzna, żeby walczył, ale walczy się po to, żeby wygrać, a nie żeby dać natchnienie do pieśni, których i tak nie będzie miał kto słuchać.

Napiszę o tym wszystkim, prędzej czy później, żeby nie wiem jakie miały być konsekwencje. Bo budzi to we mnie wściekłość, nie potrafię o tej samozagładzie myśleć spokojnie. Ojciec, który porzuca rodzinę, nie troszcząc się zupełnie o jej los, skazuje ją na głód, upodlenie, śmierć, nie może nie budzić wściekłości, cokolwiek by tambredził o wartościach, w imię których ta ucieczka. A tamten naród tak właśnie został przez swoich ojców porzucony. Prości ludzie idą na wojnę za sprawę, bo wierzą, że ci tam, wodzowie, pomyśleli o ich żonach, dzieciach. Ale oni wtedy o następnych pokoleniach Polaków nie myśleli. A niech uleczą "z dymem pożarów", będzie jeszcze bardziej duszoszczypatelnie i wzniośle. Byle dobrze to wyglądało na trumiennych portretach. Dać rozkaz powstania, wiedząc, że żołnierze mają jeden karabin na stu i po dwie sidolówki na pluton, nadymać się, że się nie da guzika od munduru, żeby zaraz potem zgubić całe gacie, uciekając do Londynu, prowadzić mocarstwową politykę, przywodząc nie mocarstwu, ale biednemu, zrujnowanemu

71

~

krajowi, który po wiekach zaboru ledwie się zaczął odradzać i dorabiać ... Co powinni ocaleni potomni zrobić z takimi bezmyślnymi szabelkarzami? Powyrzucać ich ścierwa z grobów na wieczną hańbę, a nie jeszcze sprowadzać na lawecie i z kompanią honorową do Ojczyzny, którą z takim wielkopańskim gestem przeputali, tak jak ich przodkowie puszczały u karcianych stołów całe klucze folwarków ...

Ale widocznie losem ludzi zdradzonych przez ojca jest się okłamywać, wmawiać sobie, że był inny, dopatrywać się w nim jakichkolwiek dobrych cech, wbrew całemu światu, wbrew najoczywistszym faktom. Znam takie przypadki indywidualne, i tak samo jest z nami jako z narodem, jeśli na to określenie zasługujemy. Prawda jest zbyt straszna, byśmy jej umieli spojrzeć w oczy. Nawet ostatnich dwadzieścia lat daliśmy sobie zakłamać, "choć wszyscy wszystko oglądali przecież", a już międzywojnie, wojna, to najczystszy mit. Mit strzeżony historycznym odruchem nienawiści do każdego, kto śmie go bodaj zarysować. Cenzury niby nie ma, ale spróbuj tu napisać cokolwiek złego o sanacji,

o ówczesnej biurokracji, korupcji, wszechobecnej protekcji,

o głupocie i beztrosce odpowiedzialnych za najżywotniejsze dla narodu sprawy .. , Paru historyków złamało sobie w ten sposób kariery, a reszta woli zachowywać wiedzę o faktach dla siebie.

Ja to w końcu napiszę, choćbym miał stracić ostatniego czytelnika i zająć się uprawą pietruszki - zresztą z doświadczenia wiem, że od tych czytelników, którzy się oburzają, większym kłopotem są zawsze ci, którzy się zachwycają; już słyszę te gromkie okrzyki poparcia od różnych ubeckich kanałii. Ale muszę w tym grzebać, aż zaboli. Trzeba, bo to jest jedna z głównych przyczyn, dla których nie możemy ze sobą dojść do ładu - to, że brakuje

nam przodków, do których by się można z dumą przyznać. Do tych poległych - nie idzie, bo co z bohaterstwa, kiedy bezpożyteczne? Dali się pozabijać bez sensu, za marne "Bóg zapłać" obcych, a właściwie nawet i bez tego, nie myśląc zupełnie o nas, o potomnych, o tych, którzy tu, w kraju, pozostaną; jak ich

I

72

szanować? Ale do tych, co przeżyli - też nie, bo się ześwinili, przecwelili, i nawet to, co osiągnęli, co w wolnym kraju byłoby powodem do szacunku i autorytetu, tu zostało podszyte zezumaczeniem, kolaboracją i załgan.iem. Ciężko być potomkami pokoleń niezasługujących na szacunek, nic dziwnego, że tylu u nas zaprzańców, przechrzt, próbujących gdzieś uciec, wykorzenić się i udawać kogoś zupełnie innego. Muszę to wreszcie wyszlifować; problemem nie jest nadstawienie karku, problemem jest tylko ogrom pracy do wykonania i brak czasu.

Tym bardziej że, jak się właśnie zastanowiłem, trzeba by to wszystko zakroić jeszcze szerzej. Opowiedzieć o całym rozdziale naszej kultury, jaki napisała kresowa szlachta, bo przecież tamtą Rzeczpospolitą i odrodzili, i wydali na mękę ci, dla których Polska była jak obwarzanek, co w niej wartościowego - to z tej stepowej fantazji ludzi, którzy nigdy nie musieli orać ani siał, bo od mozołu mieli chłopstwo, którzy przywykli robić wszystko dla efektu, a nie dla konkretnego skutku, pięknie, zamiast mądrze ... Pamięć polonisty usłużnie podsuwa, jak Bartek zwany "Prusakiem" nijak się nie może przebić przez bezmyślny entuzjizm dobrzyńskiego zaścianka. "Siadę na konika, podkręcę wąsika": i "jakoś to będzie": Ot właśnie całopalenie września. I teraz, po wszystkich kataklizmach, nadal się będziemy okłamywać kultem Piłsudskiego, czy w końcu pluniemy na durnych wodzów, oszukany przez nich bohaterom damy, jak Pan Bóg przykazał, wieczny spokój, i weźmiemy się za jakieś rozważne gospodarzenie w tym kraju? Czy wracamy do ulubionego wariantu: zaborca buduje drogi, kanały i robi reformy, a my go nienawidzimy i stawiamy opór, umiarkowany, oczywiście, żeby nam się, broń Boże, nie zniechęcił i nie zostawił nas znowu sam na sam z wolnością?

Iezuuu, siedemnaście po czwartej, a do szóstej mam dać na osiem tysięcy znaków odpór wdowom i córkom nękaającym sądownie biografów. Nigdy czas nie leci tak szybko, jak kiedy się ma dedlajn na karku.

73

00

Przyszła Zosia, na "poważną rozmowę": A jak dziecko potrzebuje uwagi, to wszystko inne na potem. Nie zawsze tak można, ale staram się. Zresztą, śmieje się Oleńka, trzeba wykorzystać czas, kiedy chcą z nami rozmawiać, przecież ledwie się człowiek obejrzy, będą miały własne towarzystwo, lepsze, i wtedy już -tatusiu, nie nudź.

Sam się teraz łapię, że strasznie tu mało o Zosi i Mani, można by odnieść, że to w życiu wypełnionym rozważaniami o rodzinnej historii, polityce i insulinie jakiś zupełny margines, ornament, a jest akurat dokładnie odwrotnie. Kiedy Zosia była malutka, może miała ze trzy miesiące, Oleńka zabrała ją na promocję mojej książki. Spotkanie, wiadomo, czy są pytania z sali, proszę bardzo - wstał jakiś prowok i rzucił: "jaki jest sens życia": Powiedziałem tylko do

żony: "kochanie, okaż proszę", no i Oleńka uniosła Zosię na rękach i okazała ku aplauzowi publiczności.

Więc naprawdę. Tylko - nie bardzo umiem pisać o dzieciach. Co napisać? Jak wzruszająca jest buzia córeczki, jej dziecinny głosik, jaką dumą napełniają tatusia rezolutne odzywki] Jak się cały organizm cudownie rozgrzewa i serce topnieje, kiedy to małe się w niego, jak to Mania nazywa, .wkreci"? Do jakiego stopnia wszystkie myśli, wszystkie plany i potrzeby krążą wokół potomstwa? Jak to oddać, żeby ktoś, kto nie zaznał tej burzy uczuć, odczuł choć posmak? Wyjdzie płasko i sentymentalnie.

Mogę tylko napisać o nieustającym zdziwieniu ojca, że dziecko tak szybko dojrzewa. Zawsze okazuje się mądrzejsze i dojrzałe, niż człowiek przywykł myśleć, zawsze zaskakuje celnymi pytaniami, jeśli się oczywiście głupio nie zabiło w nim tej chęci zadawania rodzicom pytań.

- Tato - mówi Zosia. - Ja nie rozumiem: dlaczego to jest smutne, że oni się śmieją?

Chodzi o Smoka. Zaraz - przeglądam dotychczasowe zapiski i nadziwić się nie mogę, że jeszcze o tym nie wspomniałem,

74

to cholerne chorobsko strasznie mi zdeorganizowało myślenie. No więc, wystawiamy w szkole Smoka Jewgienija Szwarca, to znaczy, właściwie to Oleńka wystawia; zaoferowała się na początku roku, że może się trochę zaangażować w szkolne życie, i pani dyrektor natychmiast skorzystała z oferty, powierzając jej szkolny teatrzyk. W pierwszej chwili wydawało się, że dzieciom generalnie teatr dziś nie imponuje, nie ma chętnych, ale moja żona byle czym się nie zniechęca - teraz obsada już skompletowana, próby trwają. Moja rola ograniczyła się tylko do zaproponowania sztuki i skrótów w tekście, bo jednak dla szkolnego teatrzyku trzeba było trochę uprościć. Nieskromnie zresztą powiem, że Smok po moich cięciach jest znacznie lepszy, zwężlejszy i bardziej zwarty, autor, gdyby mógł, na pewno by je docenił (ja w każdym razie, jak mi kto mądrze umiał skrócić tekst, zawsze doceniałem - samemu się na własne pustostowie szybko ślepnie, dobry redaktor to skarb, zresztą, jak wszystko, co dobre, niezmiernie dziś rzadki).

A skoro już to Oleńka i ja robimy przedstawienie, no to, odro-

bina prywaty -- nasza córka musi zagrać. Na Elżę jest za mała, więc została Kotem. Grać kota, dla dziecka czysta radość, a rola dość prosta. A tu się okazuje, że nie jest, jak myślałem, że Zosia do swej roli podchodzi z pełną powagą i profesjonalizmem.

\_ Bo jak ja mam grać, jak nie wiem, o co chodzi? Jak to,

smutne, że się uśmiechają?

\_ Naj smutniejsze - poprawiam odruchowo, zastanawiając

się, jak to wyjaśnić. - Widzisz, Zosiu, ten smok panuje nad miastem od czterystu lat. .. - łapię się, że zupełnie nie umiem dziecku, które miało szczęście urodzić się w normalnych czasach, wytłumaczyć, dlaczego ci ludzie żyjący pod władzą smoka wolą sobie wmawiać, że to władza najlepsza z możliwych, że wprawdzie smok zabija, ale tylko rycerzy, wprawdzie co miesiąc

trzeba mu składać w daninie tysiąc krów i pięć tysięcy kur, no i co roku jedną dziewczynę, ale za to uwolnił miasto od Cyganów, a kiedy dwieście lat temu groziła epidemia cholery, zionął

75

ogniem i zagotował wodę w jeziorze, proszę, i całe miasto piło gotowaną, i uchroniło się od choroby ... Czy to przypadkiem nie wypadło w skrótach? Nie. Szarlemań: "zapewniam pana, jedyny sposób uchronienia się od smoków, to mieć własnego smoka!":

Opowiadam Zosi, że był socjalizm, Związek Sowiecki, że istniała cenzura i pan Szwarc nie mógł wprost napisać swoim rodakom, że nic nie będzie lepiej, dopóki tej złej władzy nie zmienią, dlatego napisał taką bajkę - smutną bajkę o tym, że kiedy człowiek nie ma wolności, to jego dusza choruje, tak, jak ciało choruje, kiedy nie ma słońca, świeżego powietrza i ruchu. A tym miasteczkiem smok rządzi już od czterystu lat, wszystkich, którzy gotowi byli mu się przeciwstawić, pożarł, a reszta wychowała się w takim strachu, że sami mu się starają przypodobać, nie potrafią już żyć inaczej - kartkuję do sceny z ogrodnikiem i mieszczuchami, czytamy razem dialogi. Po tylu latach ich dusze są już tak bardzo chore, mówię, że kiedy smok wybiera Elżę, żeby ją pożreć, to jej ojciec, i ona sama, uśmiechają się i wmawiają sobie, że to nic, tak jest dobrze, bo najważniejsze, to żeby pan smok był zadowolony.

- Ale jeśli oni tego nie rozumieją, to dlaczego kot rozumie?

Przecież on też tam mieszka? - pyta, zaskakująco celnie. Bo smok na kota nie zwraca uwagi, kot ani smokowi nie może zagrozić, ani nie ma niczego, co by mu smok chciał zabrać. Więc kot może chodzić swoimi drogami. Kot się smoka nie boi, bo wierzy, że zawsze przed nim ucieknie, schowa się w jakąś dziurę. Ale też nie zamierza z nim walczyć - "jak komu ciepło i miękko, to najmądrzej, żeby sobie drzemał i milczał". Marzyć, żeby smoka nie było, żeby ktoś, jakiś błędny rycerz, wyzwiał go na pojedynek i zabił, to tak, ale on sam będzie się grzał na przypiecku i drzemał.

Z opresji ratuje mnie Mania; jak tato za długo rozmawia ze starszą, to młodsza robi się zazdrosna, że coś się obywa bez niej. Ale, oczywiście, udaje, że wcale jej to nie interesuje.

76

Wpada do pokoju na czworakach. - No co, jestem psem! - i udaje, że obwąchuje podłogę. - Właśnie znalazłam trop!

Młodsza codziennie, albo i parę razy dziennie, jest innym zwierzakiem. Albo jakąś postacią z bajki. Bawi ją to niezmiernie.

- Mania, wyjdź! Wyjdź w tej chwili! Przeszkadzasz nam w ważnej rozmowie - złości się Zosia, tupie, więc młodsza tym bardziej: - Tropienie to jest dla psa sprawa najważniejsza! - oznajmia, zabierając się do przeszukiwania pokoju. Manię nie jest łatwo speszyć, na wszystko znajduje odpowiedź, nawet w sytuacji, którą by każdy uznał za beznadziejną, brnie uparcie; długo by o tym pisać. W każdym razie to starszej zwykle pierwszej zaczyna brakować argumentów, i teraz też nie potrafi znaleźć na małą innej rady niż krzyk; nie mogę się powstrzymać od śmiechu, na szczęście Ola wyciąga mnie z problemów, zabierając obie, bo "tatuś musi pracować".

- Jak młodsze dziecko pyta, to trzeba mu wyjaśnić, wiesz, Zosia, a nie mówić, że to sprawy nie dla niego! - słyszę jeszcze zza drzwi strzęp dyskusji. Ale jak już mam w ręku Smoka, to znowu go czytam. Najgorsze, że Oleńka ma rację, tatuś naprawdę musi pracować. A teraz już zamiast pracować wczytuje się po raz enty w bajkę i myśli o swoich córkach.

Dzieci to nieustające zdziwienie. Choćby to, jak różne są moje dwie córki. Te same geny, a efekt ich połączenia za każdym razem inny - "jak dziwnie tasuje się krew". Rozważna i rozrywkowa. Zosia - wykapany ojciec, i z wyglądu, i z charakteru, tak samo powolna do granic lenistwa, ze skłonnością do popadania w melancholię i zagapiania się, czasem irytująca tą swoją powolnością i gapiostwem nie do wytrzymania; po latach przypominam sobie teraz wszystkie swoje awantury z matką i uświadamiam sobie, jak to musiało wyglądać z jej punktu widzenia. "Gdybym nie wiedział, po kim ona taka jest, to bym się chyba na nią wściekł", mówię w takich chwilach do żony. Za to jest, jak to mówi Oleńka, "mądrus". Miała, bo ja

77

wiem, że trzy latka, kiedy rozłożyła panią w "Smyku" próbującą nam sprzedać jakąś strojną podróbkę Barbie tekstem: "dziękuję, nie jestem zainteresowana tą laleczką, wolałabym coś bardziej rozwijającego". Pani szczeka opadła, i sam nie wiem, czego w jej wzroku było więcej - podziwu czy współczucia dla rodziców. Mnie akurat nie trzeba współczuć, bardzo mi to odpowiada, że zamiast o krasnoludkach czy księżniczkach córeczka prosi, żeby na dobranoc opowiadać jej, na przykład, skąd się wzięły samoloty, albo jak działa radio. Albo jaki jest sens życia. Ostatnio zresztą najbardziej ją interesują właśnie tematy religijne, ale może po prostu widzi, że tatę cieszy, kiedy o to pyta. Moim zdaniem człowiek w ogóle zaczął się od tego momentu, kiedy jakaś mała popatrzyła w niebo i zaczęła się zastanawiać, gdzie tam jest ten ktoś, kto to wszystko stworzył, i jaki miał w tym cel. Cała reszta to już sprawy drugorzędne.

A Mania - sama radość życia. Nawet iść nie potrafi inaczej, niż podskakując i tańcząc, ciągle się śmieje, wygłupia. Nie to, żeby nie była zmyślna, bywa nawet jeszcze cwańsza od siostry, ale tylko wtedy, gdy ma jakiś konkretny cel- coś chce osiągnąć, od czegoś się wykręcić albo z czegoś wybrnąć; jak coś działa i dlaczego - to nie są sprawy zaprzatające jej głowę. Fizycznie niepodobna ani do mnie, ani do Oleńki, najbardziej do teścia. A teść za młodu był, niestety, bardzo rozrywkowy facet, i nie ma najmniejszej wątpliwości, że wnuczka też będzie lubiła zaszaleć. Właściwie to można zważyć w całą pedagogikę, kiedy się widzi, że dziecko przynosi charakter ze sobą, jest, jakie jest, od pierwszych miesięcy, i naprawdę niewiele już można zmienić.

Zważyć, albo - uwierzyć w magię imion. Bo, niedawno to sobie uświadomiliśmy, greckie sophia to przecież "mądrość":

A miriam znaczy ponoć po hebrajsku tyle, co "radość rodziców":

Nieskładne to wszystko ... Piszę tak, jak paplałem u pani doktor. Na razie badania mi się upiekły, ale na pojutrze zamówiłem wizytę u okulisty, i przecucie mam jak najgorsze. Wzrok

78

mi się popsuł naprawdę bardzo, właściwie zauważałem to już wcześniej, że muszę iść po nowe okulary, ale myślałem sobie, normalna sprawa, dawno nie wymieniałem, a z czasem trzeba coraz silniejszych szkieł. Teraz, niestety, wszystko pasuje.

00

Zapomniałem wczoraj wpisać dzień tygodnia, ale właściwie - co to ma za znaczenie, piątek czy kolejny poniedziałek. I tak, jak mnie coś odrywa, to potem kończę, czasem nie ma w ciągu dnia czasu przysiąść do notatek, a czasem mnie akurat najdzie jakaś myśl czy wkurzenie ... O tak jak teraz z fotoradarami. Jeszcze jeden z nieskończonej listy, prosty sposób dojenia Polaków. Wystarczy powiązanie z gminną władzą i trochę kapitału założycielskiego (nie jest konieczny, jak powiązanie dobre, gmina pożyczy z funduszy), żeby kupić fotoradar, zainstalować go przy jakiejś przelotowej drodze i podpisać z gminą umowę o podziale zysków.

Ograniczenie prędkości jest ustawione tak idiotycznie nisko, że nikt przecież go nie przestrzega - gdy ktoś próbuje, wściekli współuczestnicy ruchu drogowego trąbią i wygrażają zawalidrodze pięściami ("proszę pana, jak zakażemy jazdy po-wyżej pięćdziesięciu, to będą jeździli siedemdziesiątką, a gdybyśmy ustalili siedemdziesiąt, to by się wszyscy pozabijali" - pouczał mnie z grymasem wyższości na ustach jeden posełek w czasach, gdy te kretynizmy uchwalali); więc wystarczy ustawić losowo co któryś tam samochód, i więcej już nic, bo egzekucją mandatów od czesanych frajerów zajmuje się państwo; i kasa płynie, połowa dla gminy, połowa dla właściciela fotoradaru. Co najważniejsze, biznes jest nie tylko zgodny z prawem, ale jeszcze szczerze popierany przez miejscowych, bo przecież oni wiedzą, gdzie ten radar stoi, łupi się przejezdnych. W krajowym zrobili listę gmin-rekordzistek, które mają szczęście leżeć przy przelotówkach, i z tego myta nałożonego na podróżnych czerpią do 60 procent swego budżetu. Czyli tej puli, która podlega dalszemu dzieleniu między lokalną elitę. "A to Polska właśnie".

79

ill:1

00

Zadzwonili z młodzieżowego stowarzyszenia z Katowic, gdzie byliśmy umówieni na piątek na kilka spotkań w szkołach. Nagle, zupełnie przypadkiem i niezależnie od siebie, wszystkie trzy dyrekcje stwierdziły, że jestem "zbyt kontrowersyjny" i "nacechowany politycznie", i spotkanie z takim typem mogłoby ich podopiecznym zaszkodzić. Od pewnego czasu to klasyka, przynajmniej w niektórych województwach - można łatwo się domyślić, gdzie która partia rządzi kuratorium. I zawsze, ciekawe, w ostatniej chwili. Chłopcy przepraszają, będą się starali o inne sale, ale w tak szybkim terminie się nie da ... W sumie nawet mi na rękę, posiedzieć na razie w domu, póki sytuacja ze zdrowiem się nie wyklaruje. Pocieszam rozmówcę, że mam już w takich razach doświadczenie, i wiem, że na dłuższą metę lepiej, kiedy w oczach potencjalnych młodych słuchaczy jawię się jako ktoś, z kim "derekcja" zabrania im się spotykać, niż z kim każe.

00

"Trza się do roboty brać", zwolnienia i urlopy są dla klasy robotniczej, a nie dla takich, co to, jak mawiał jeden z kolegów po piórze, "ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co łeb wydoli". Lenistwo podpowiadało, żeby przystosować coś z powyższych zapisków, ale spróbujmy na razie takiej rozrzutności, żeby to, co tutaj, zostało tutaj; przynajmniej dopóki przekonam się, że nie będzie to krojeniem kozucha na ściereczki do kurzu.

A tematów na bieżące teksty przecież - starczy rękę wyciągnąć. Wyciągnąłem, i od razu znalazłem tekst z "The Economist", zalinkowany od Łukasza. Angielski mi rdzewieje z roku na rok, ciągle muszę grzebać w słowniku, więc po takie źródła sięgam coraz rzadziej, ale też Łukasz z reguły byle badziewia nie linkuje, i tym razem też się zawiodłem: jest analiza wygranej Francji przed eurotrybunałem w sprawie ich rządowej pomocy dla stoczni. Widać gołym okiem, że sprawa bliźniaczo podobna do naszej - z tą oczywiście różnicą, że jak na nich pani Kress

80

nałożyła karę, za dofinansowywanie stoczni niezgodnie z prawem wspólnotowym, to Paryż się odwołał. I proszę - wygrał. A nasi, dziady katarskie - maul halten i uszy po sobie. Ludzi na bruk, a stocznie przerobić na aquapark, najatrakcyjniejsze kawałki wykroją i rozdadzą koleśiom pod centra handlowe albo, te z widokiem na morze, pod deweloperkę.

W tej ekipie organicznie nikt nie jest zdolny pomyśleć, że jak pani unijna komisarz coś każe, to można by się - zgodnie z procedurą przewidzianą unijnym prawem - od tego odwołać. No przecież porobiliby ze strachu, że to zmniejszy szansę premiera na życzliwy komentarz w jakimś frankfurter-almemajne, a nasz premier tak kocha być klepany po plecach przez przedstawicieli wyższej cywilizacji. .. Cały jego pijar na tym klepaniu bazuje - nasza pozycja w Europie wzrosła, ufają nam już tak bardzo, że posyłają po piwo, i jak chwałę, że szybko je im przynosimy ... Postkolonialny nawyk służalstwa wobec obcych stolic, ot, tyle, że metropolia się zmieniła na znacznie lepszą i bogatszą. Ale że mogłoby jej nie być, że można by myśleć o własnych interesach, a nie usługiwać mocarstwom, to się "elitom" po prostu w głowie nie mieści. Od premiera po najmarniejszego stażystę z "Wyborczej" "nie chcom chcieć":

A poza tym, jak na kolebce "Solidarności" trawa wyrośnie, to tylko lepiej. Zrobi się tam na trzydziestolecie fetę Wałęsie, a ten w ramach historycznej wymiany przysług odwdzięczy się apoteozą przewodniej siły narodu i jej prezesa. Stary kawał, jeszcze z podstawówki, telepie mi się pod czachą, że budzi się Ruski, patrzy w okno - łoj, nie ma rzeki Moskwy! Dzwoni do przełożonego, ten do swojego, w końcu ktoś do samego Łońki: towarzyszu Breżniew, nie ma rzeki Moskwy! A Breżniew: wiem, kazałem zasypać. Ale dlaczego, towarzyszu Leonidzie? A, bo miałem taki sen, że szedł Lenin i takim drągiem mierzył głębokość: przepłynie tu "Aurora", czy nie przepłynie ...

Oczywiście, zaraz siadam zrobić z tego artykuł, do "Rzepy", więc trzeba się będzie liczyć ze słowami, uderzę w dzwon,

81

zadam retoryczne pytania, gazeta wydrukuje, ktoś się wkurzy, ktoś pokiwa głową, mendy internetowe powpisują pod spodem swoje gotowce o KRUS i podlizywaniu się Kaczyńskiemu, a pojutrze papierowym wydaniem ludzie wyłożą kosze na śmieci, i tyle tego.



Jakbym bohatercko strzelał z armaty do wzbierającej i już-już nas zatapiającej fali gnojowicy. Plusk, plusk, plusk. Jeszcze parę celnych strzałów, i trzeba będzie poszukać jakiejś rurki do oddychania, bo zaraz zaleje z głową.

00

Napisałem, posłałem - pluśnie jutro albo pojutrze, kiedy tam macierzysty dziennik znajdzie miejsce na łamach. Pewnie niedługo, bo od dłuższego czasu nic mojego nie szło. Została chwilka, więc, póki siedzę przy klawiaturze, jeszcze słówko o tym, dlaczego moje powieści, dramaty czekają i pokrywają się pyłem, a pierwszeństwo na warsztacie mają zamówione bieżączki o błahych partyjnych przepychankach. Bo może kiedyś przyjdzie mi do głowy te zapiski komuś udostępnić, więc żeby miał jasność: jeśli bycie artystą wymaga plunięcia na swoich najbliższych, spieprzenia im i sobie samemu życia, a tak się zdaje wynikać z biografii wielkich artystów, to ja dawno marzenie o byciu takowym zarzuciłem. Tym bardziej, że na jednego potwora, który naprawdę się unieśmiertelnił, przypada z tysiąc takich, którzy złożyli wszystko na ołtarzu zupełnie niczego. Jak ten reżyser-kabotyn, ostatnio, co funkcjonuje tylko jako facet, który na starość wychędożył młodą córkę byłego ministra, a potem ją, jej rodzinę i cały świat przy okazji zmieszał z gnojem w skandalizującym pamiętniku.

Bardzo chciałem kiedyś, żeby się okazało, że mam wielki talent - dziś widzę, że Pan dał mi litościwie taki skromny, nie za duży, jak raz na moje siły. Chociaż Oleńka mówi, że mógłbym być naprawdę dobry, gdybym się nie bał pisać o duszy. ZnoWU o drugorzędnych sprawach, a o duszy nic, recenzuje krótko, ile-

82

k.

króć uda mi się urodzić jakąś prozę. Jakiej tam znowu duszy, ja ze wsi jestem, odpowiadam, mnie interesuje naprawianie świata, a nie nurzanie się w głębiach własnego jestestwa; zwłaszcza że tam nie ma żadnych głębi, prosty organizm z Sulęcyna i tyle. Przestań pozować, złości się na to, wcale tak nie jest, ty się tam po prostu boisz zajrzeć, jak tylko się przypadkiem zbliżysz, to zaraz uciekasz i pozujesz. Napisz wreszcie coś głębszego, mówi, to będzie dobre ... Takie tam rozmowy, jeśli dzieci przypadkiem dadzą na nie chwilę czasu. Ale, wracając, nawet gdybym rzeczywiście miał jakiś wielki talent, to naprawdę - bym go wolał zmarnować, niż pozwolić, żeby zaszkodził Oleńce i dziewczynkom. Jeśli tak to rzeczywiście musi wyglądać, że "przez ciebie płynie strumień piękności, a ty sam nie jesteś pięknością" - to wolałbym odwrotnie. I to nie żadne zakichane poświęcenie z mojej strony, żeby nie było nieporozumień. Po prostu wolę być lepszym tatusiem i mężem niż pisarzem. Zresztą skąd niby wiadomo, co prędzej da człowiekowi nieśmiertelność? Kim byłby Mozart, gdyby nie ojciec, który rzucił całą swą karierę, żeby mu zapewnić godny geniusza szlif?

Jak mu szczeniak za to odplacił to osobna historia.

To jedna z tych wielu spraw, w których zgadzamy się z Oleńką tak dokumentnie, że nie musimy o tym rozmawiać. Pewnie tęskni za aktorstwem, przyjemnie byłoby jej mieć swój teatr, czy bodaj jakąś ciekawą rolę w serialu (jeśli jeszcze istnieją sensowne teatry czy ciekawe role w serialach), ale jak trzeba wybierać, to wybiera to, co ważniejsze. Opowieści w kolorowych pismach o celebrytkach, co z kilkumiesięcznym dzieckiem grają, nagrywają płyty

i jeszcze jadą dookoła świata, skaczą na bungee i studiują medytację transcendentálną w replice tybetańskiego klasztoru identycznej z oryginałem, to kit dla przeżuwaczy. To można zrobić tylko, zostawiając dziecko jakiejś niani, jak bagaż w przechowalni. Taka "samorealizacja", jaką ten chory, współczesny świat wykreował na najwyższe z praw człowieka, dokonywać się może tylko kosztem rodziny i dzieci. I przyszłe

83

pokolenia będą musiały za to zapłacić, tak, jak będą musiały spłacać długi za bez troski dobrobyt naszych dobijających do, kreski czasów.

No tak, bo przecież wszystkie poprzednie pokolenia, cokolwiek robiły - robiły z myślą o przyszłości. Zapewnić dzieciom życie lepsze, niż mieli rodzice, zostawić im świat lepszy, niż się go samemu zastało. To był motor białej cywilizacji. A dziś? Już nie mówię o Polsce, Polska jest tylko marnym epigonem cudzego upadku. Tam, w tej metropolii, w którą z takim baranim podziwem się wpatrujemy, z której nasze zakichane "elity" oczekują szczegółowych wskazówek i wytycznych w każdej sprawie - trwa przejadanie wszystkiego na trzy pokolenia' naprzód. Wszystko podporządkowane dogodzeniu własnemu tyłkowi. Arab, Murzyn, który przyjeżdża do Europy, widzi to od razu: tak, to jest świat bogatszy, ale w żadnym wypadku nie lepszy, to jest świat samolubnych starców, którym nie chciało się mieć dzieci, bo to niewygody i poranne wstawanie, a oni wszystko podporządkowali własnemu przyjemnościom. I teraz jeszcze chcą, żeby ktoś dookoła nich skakał. Tylko my, głupi Polacy, patrzymy na Zachód jak w tęczę, z tym naszym wsiowym kompleksem niższości. Jak niemiecka gazeta skrytykuje nam polityka, że nieeuropejski, to skończony. Jak pochwali - to bożyszczce. Przyjedzie byle bubek z Zachodu - mędrzec, byle wyjec - gwiazda. Patrz Bolesław Prus Lalka i włoski skrzypek, podrzuca pamięć polonisty.

Jak ta chora cywilizacja, którą tak nas tresują, traktuje swo- . je potomstwo, to najlepiej pokazują scenki z wakacji. Jedna z Majorki, gdzie cały hotel, basen, pełne Niemców, przeważnie strasznie zapuszczonych i zapasionych - wyjątkowo szpetna

i nieudana rasa, trudno pojąć, nawiasem mówiąc, że to ona akurat mogła stosunkowo niedawno wydawać z siebie takie idee. Dzieci jak małe prosiaki, napychane frytkami i hamburgerami, i każde z małą konsolą do gier w rękę. Przy obiedzie, basenie, na plaży - nikt z nikim nie rozmawia. Na plaży jedyny

84

wyjątek: ruska rodzina, dziadkowie, rodzice i dzieci, śmieją się, gadają, grają w warcaby. Ale Niemcy - mama i tata z nosem w 'Bildzie', albo w talerzu, a małe pik, pik, pik, ta-ta-ta-ta na komputerku. Raz widzieliśmy, jak jedno dziecko coś tam próbowało do rodziców zagadać, może komputerek mu się zepsuł, nie wiem, a wtedyfrau, nie odrywając wzroku od kolorowego magazynu, sięgnęła do jego talerza, zgarnęła garść frytek i dla uciszenia wcisnęła mu do paszczy, tak, jak się zadaje karmę psu.

A druga wakacyjna scenka z Turcji. Knajpka przy plaży, w niej przy barze grupka młodych rozbawionych Turków, popijają, żartują. Sami faceci. Podchodzi jeszcze jeden, z dzidziusiem na rękę - tak góra ze sześć miesięcy. Niesie go z dumą, patrzcie - moje! Rozgląda się, czy cały świat widzi i podziwia. A kumple przy barze - rejwach, zachwyty, i wszyscy do tego dziecka, cmokanie z zachwyty, podniesione kciuki, klepanie młodego taty po plecach,

zachwyty pełen. U nas dwudziestoletni faceci mogliby się tak zachowywać, gdyby kumpel chwalił się nowym modelem jakiegoś "ajpoda" - ale dzieckiem?

No, to w temacie jak musi się skończyć "zderzenie cywilizacji" jasność posiadamy już zabezpieczoną.

00

Z opóźnieniem -- żeby nie zapeszać - notuję pierwsze wyniki z glukometru, który kazała mi kupić pani doktor. Nie mogę sobie przypomnieć, od ilu lat nie czułem tak histerycznego strachu, jak podczas pierwszych prób jego użycia. Idiotyczne, ale co człowiek poradzi na swoją fizjologię - łomotanie serca, puls rozsadzający uszy, nawet jakieś takie przygasanie wzroku, słowem, wszystko jak w najgorzej wspomnianych momentach dzieciństwa i młodości. No i oczywiście trzęsące się ręce. Zmarnowałem z pięć pasków, zanim udało mi się uzyskać poprawny wynik. Teraz już kłuję się po paluchach regularnie, na czczo, półtorej godziny po każdym posiłku i przed snem, i pracowicie

85

zapełniam kolejne rubryki w otrzymanym od pani doktor dzienniczku. Żeby nie zapeszać - nie jest źle. Ocieram się o górną granicę normy. Co ciekawe, na czczo wyniki mam gorsze niż po jedzeniu, sądziłem, że powinno być odwrotnie.

W każdym razie, pożyteczny sprzęt -- walka z jedzeniem nabiera jakiegoś sportowego wymiaru, pokusa, żeby sobie odpuścić i coś podezreć od razu słabnie, kiedy z punktu widzisz skutek ulegania słabości. A jak już uległeś i wskakujesz wypocić nadmiar cukru na stepper (steper też sobie już kupiłem, i ciężarki, żeby mięśnie pracowały w miarę równomiernie) - to efekt pokuty też widzisz od razu.

Gdyby coś takiego, mówię o glukometrze, można było dostać równie tanio za czasów taty, może by go to zmobilizowało. Ale wtedy nikt sobie w Polsce podobnych cudeniek nawet nie wyobrażał.

Co do wzroku, to właściwie nie mam już wątpliwości, co jutro usłyszę - z dnia na dzień tego nie zauważałem, ale jak się chwilę zastanowić, to zmiana jest oczywista i poważna, widzę gorzej niż kiedykolwiek, stale muszę mrużyć oczy. Właściwie już się z tym pogodziłem. Na coś paść musiało; EKG, rentgen płuc, USG wyszły dobrze, no, poza wątrobą, ale to inna sprawa; analityka, nie znam się na tym, ale chyba też w miarę, więc w sumie nie ma tragedii, chyba nie czeka mnie nic gorszego niż po prostu silniejsze okulary.

00

Pewnie nie wdałbym się publicznie w rozmowę na ten temat, ale tak prywatnie, to żeby się upierać, że duchów nie ma, trzeba być tępym. Uważałem tak na długo, zanim poznałem Olę - że "tam" coś jest. I że mądry człowiek powinien się od tego trzymać z daleka, a w razie czego wołać księdza proboszcza. Znałem trochę ludzi, którzy się "niuejdzowo" pootwierali na różną demonerkę. i nie było wśród nich ani jednego, którego by od tego nie pogięło.

86

Ale że Oli zdarzają się takie, nazwijmy to, przeczucia, których żaden zakuty racjonalista nie dałby rady wytłumaczyć po swojemu, to się okazało już na początku naszej znajomości, przez cały ten czas, kiedy się rozstawaliśmy i schodziliśmy, bo z jednej strony czułem, że nie wolno mi jej stracić, a z drugiej nie mogłem przezwyciężyć panicznego strachu przed wpakowaniem się znowu w poważny związek i szukałem ucieczki w jakieś mniej zobowiązujące układy. Staram się nie trzymać tego czasu w pamięci i nie wracać, dość mi wiedzieć, że bez tych swoich "przeczuć" pewnie by tak długo nie czekała, aż łaskawie zmądrzeję,

Kilka dni po sylwestrze - tak się właściwie ten rok zaczął - Ola, bardzo poruszona, obudziła mnie słowami: śniło mi się, że twój a mama umarła.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, na pewno coś w duchu "sen mara". Mama ma swoją siedemdziesiątkę, choruje, jak każdy na starość, ale przecież trzyma się świetnie, zawsze aktywna, zadbana, na bieżąco z wydarzeniami, i w ogóle daj Boże każdemu taką formę,

- Ale to było takie bardzo, bardzo realistyczne, bardziej, niż zwykły sen -- powiedziała Oleńka. -- Że leżała na dywanie, obok tego dużego stołu z ciemnego drewna, taka zupełnie biała, jak z wosku. I bardzo ciężko oddychała. A ty ją próbowałeś podnieść i mówiłeś, żeby się nie wygłupiała. Nie wygłupiaj się, mamo, tak mówiłeś.

- Jak to, umarła i oddychała?

- No fakt - stropiła się Oleńka. - Jeśli oddychała, to żyła.

Ale ja w tym śnie wiedziałam, że nie żyje.

Pomyślałem sobie, że cokolwiek bym mówił do umierającej matki, na pewno nie byłoby to "nie wygłupiaj się": ale na bardziej wnikliwe przedyskutowanie snu zabrakło nam oczywiście czasu, Ola zabrała się za rozwożenie dzieci, a ja na dziesiątą musiałem zrobić bieżaczkę, komentarz do portalu - 1800 znaków o przywróceniu do komisji hazardowej Wassermana i Kempy, pamiętam, takie było akurat zamówienie prowadzącego numer.

87

A potem pisałem jeszcze coś do weekendowego wydania; dzień jak co dzień. Nie powiem, żebym się tym snem żony nie przejął, ale przypomniałem sobie, że ostatnio rozmawialiśmy z Martyną o pogarszającym się zdrowiu mamy i jej absurdalnym uporze, Oleńka musiała to słyszeć, albo opowiadałem jej, i nawet jeśli nie zapamiętała, to wystarczy, że zapadło gdzieś w podświadomość.

No tak, kiedy tak się opowiada, to wszystko wydaje się oczywiste. Tuż przed jedenastą, posłałem właśnie tekst, Oleńka akurat wróciła nieoczekiwanie po jakiś zapomniany scenariusz czy coś takiego, i nagle - dzwoni moja komórka. Swietłana, taka dziewczyna, polecona Martynce przez znajomą znajomych, która kilka razy w tygodniu przychodziła do mamy pomóc w domowych sprawach. Dzwoni, że z "panią" coś nie tak, trudno się z nią dogadać, krzyczy, że strasznie ją boli i ma zawroty głowy, aż nie może ustać ani usiedzieć. Oczywiście, Ola złapała za kluczyki, jedziemy - w drodze kolejny telefon, że pani się przewróciła i nie odpowiada, krzyknąłem do Swiety, żeby wzywała pogotowie, a sam całą drogę usiłowałem złapać Martynkę, żeby uruchomiła znajomych, niech rzucą komu trzeba na pogotowiu, żeby to wezwanie potraktować poważnie. W końcu udało mi się ją wydzwonić, i

rzeczywiście, przez kogokolwiek to załatwiała, zrobił co trzeba, bo pogotowie było po parunastu minutach. Nie ich wina, że nie miało to już wielkiego znaczenia.

Matka leżała koło stołu, biała jak figurka ze stearyny, z posiniałymi wargami, nie reagowała już na nic, tylko rzeziła cicho; kiedy dotarli lekarze, klęczałem obok, podtrzymując jej głowę i powtarzając bezwiednie - co? Oczywiście: "mamo, nie wygłupiaj się, proszę, mamo, powiedz coś, nie wygłupiaj się" i tak dalej.

Potem było jeszcze parę dni czekania, że może otworzy oczy, ale pani doktor od razu po pierwszych badaniach wzięła mnie na bok i zapowiedziała, żeby sobie nie robić wielkich nadziei. Masywny wylew, jeśli nawet przeżyje, co samo w sobie grani-

88

czyłoby z cudem, to będzie warzywem. Rzeczywiście, po paru dniach wysiadły nerki i cała reszta narządów i nie pozostało nic, tylko wyłączyć respirator. Potem widziałem się z tym lekarzem z karetki, powiedział, że na jego rozeznanie, matka wtedy jak ją widział, tak naprawdę już była martwa, chociaż jeszcze oddychała. Oddychała, ale nie żyła. Spróbuj tu być racjonalistą.

Dlaczego mówiłem do niej "nie wygłupiaj się", zamiast, żeby wracała, że ją kocham czy coś w tym stylu? Odruch. Matka miała takie swoje pogardliwe słowo "rozmaślać się": którym określała przesadne czuwanie się, a przesadne znaczyło dla niej właściwie każde. "Skończ z tym rozmaśleniem! Nic w ten sposób u mnie nie zyskasz!" - ucinała. Nawet w tej sytuacji nie chciałem się narażać na takie skarcenie.

Wiem, że zabrzmiało to potwornie, ale nie przeżyłem śmierci matki jakoś strasznie głęboko, bardziej jako życiowy problem - pogrzeb, wszystkie te sprawy - zwłaszcza w porównaniu ze śmiercią taty. No, ale jestem o te dwadzieścia parę lat starszy, to też coś zmieniło. W ostatnich latach nasze stosunki były bardzo poprawne, zwłaszcza odkąd zobaczyła Olę i porzuciła nadzieję, że zdoła mnie jeszcze kiedyś zapędzić z powrotem do Magdy. Chociaż oficjalnie nigdy nie okazała mi jakiegokolwiek niezadowolenia z faktu, że zmarnowałem swoje pierwsze małżeństwo, i to jeszcze w tak nieładnym stylu. Była zbyt zasadnicza i nazbyt sprawiedliwa, aby mnie za to potępić, skoro nie potępiła nigdy romansów Filipa - a Filipa nie potępiła nigdy za nic z zasady.

Nigdy tego nie rozumiałem, tego dziwnego układu mojego starszego brata - odrzucanego przez tatę, hołubionego przez nią. To znaczy, wystarczyło mi do zrozumienia, że Filip ma po prostu wyjątkowo wredny charakter. No bo nikt, kto go zna, nie jest w stanie temu zaprzeczyć. Że ojca nigdy nie szanował, to w jakiś sposób mogę zrozumieć, tato też go nie trawił, starał się nad tym zapanować, przynajmniej ukryć, ale był na to zbyt prostolinijny; po prostu wkurzało go w Filipie wszystko, najbar-

89

dziej chyba to coś niemęskiego, co w sobie ma. Ale matki Filip nie szanował tak samo, wykorzystywał tylko beczelnie fakt, że starała mu się zrekompenzować niechęć ojca, i tyle. Nigdy dla niej niczego nie zrobił, na pogrzeb też ledwie dotarł, bo jak zwykle zanadto był zaprzątnięty własną samorealizacją.

Nie wiem, czy powinienem to zapisywać, ale - teraz sam się zastanawiam, czy rzeczywiście coś widziałem, czy mi się uroiło - ale podczas pogrzebu matki zupełnie przypadkiem odwróciłem się i zobaczyłem tego faceta, który z wielkim bukietem kwiatów wszedł właśnie do kościoła i uklęknął tuż przy trumnie. Faceta, który wyglądał po prostu jak siedemdziesięcio, może osiemdziesięcioletni Filip. Świetnie się zresztą trzymający. Był siwy, mocno przeliniaty na czubku czaszki, pomarszczony, ale - miał jego twarz. Twarz, nigdy na to nie zwróciłem uwagi, niepodobną ani do matki, ani do taty, ani w ogóle do nikogo w rodzinie, suchą, wyciągniętą, podczas gdy my mamy wszyscy twarze raczej okrągłe i nosy "z klupą" tak jak tato. Mama powtarzała często, że Filip wrodził się w jej dziadka, tego, co to, opowiadała czasem, dziedziczył w Warszawie aptekę i miał jakieś koneksje w sanacyjnej dyplomacji, ale ten pradziadek zamknął oczy jeszcze przed wojną, a jedyne jego zdjęcie się zachowało takie, że nic na nim nie widać - więc tak naprawdę Bóg jeden raczy wiedzieć.

Facet klęczał tam, zamyślony, może rozmodlony, odwróciłem głowę, bo msza właśnie się zaczęła, a kiedy mogłem spojrzeć ponownie, już odszedł i wmieszał się między ludzi. Musiał wyjść z kościoła przed końcem mszy, a może od razu, bo potem go już nie znalazłem. Może zauważył, że zbyt nachalnie mu się przyglądam. A może w ogóle nikogo takiego nie było.

Nie mówiłem o tym nawet Oleńce i nie chcę się zapuszczać głębiej. Możliwe, że matka faworyzowała Filipa ze znacznie prostszego powodu, na przekór tacie. Za późno przyszedłem na świat, żeby wiedzieć cokolwiek pewnego na ten temat. Może widziała w nim swój charakter? No, to sugestia niezbyt uprzej

90

ma pod jej adresem. Filip jest typem wyjątkowo męczącym; nie idzie z nim po prostu normalnie porozmawiać, w każdym zdaniu będzie się starał jakoś cię sprowokować, jakoś ugryźć, trzeba bez przerwy kontrować jego złośliwości, uważać, ripostować, zмагаć się - nie do wytrzymania. Matka aż taka nie była, była tylko zasadnicza do bólu i powściągliwa aż do granic oschłości. Ale coś zakapiorskiego też w sobie miała, jak to tata mawiał w chwilach złości: dziury w człowieku nie robi, a krew wypije.

Fakt, że zbyt dobrze się ze sobą nie dogadywali. Nie żeby zaraz Kobycycki i Chomcówna, ale pamiętam, jak umiała być dla niego przykra. W ogóle z matką mam związane raczej nieprzyjemne skojarzenia, wiecznego strofowania, pouczenia i mocowania się; niektórych awantur zresztą nigdy już nie zrozumieję, na przykład, dlaczego ją złościło, kiedy się do taty zwracałem: "tato!". Nie mów tak, bo to po wsiowemu. To jak mam wołać? "Tata!" Nie wiem, co sobie uroiła. No i jedzenie, to było nieustające pole sporu. To znaczy, nie tyle jedzenie, co nóż i widelec. Nie przy każdym posiłku, tylko "przy ludziach" - naucz się wreszcie jeść jak człowiek, przestań mnie kompromitować, nie odkładaj noża, wyjmij tę rękę spod stołu, nie napychaj się jak dzikus, i tak dalej. Nie słuchałem jej, i nie mogę dzisiaj dać głowy, co za tym stało. Mam nadzieję, że zwykle wygodnictwo, bo lubiłem zjeść szybko i iść do swoich spraw, a skomplikowana szermierka sztucami tylko po to, żeby przypodobać się jakimś ciotkom, wydawała mi się zwykłą głupotą; do dziś mam zresztą skłonność do zapominania się w różnych oficjalnych sytuacjach - nakroić kotleta czy czego tam dali od razu, nóż na bok, widelec do prawej ręki, i wiosłujemy, jak jankes, chyba Że Oleńka kopnie mnie wcześniej w kostkę. Ale nie mogę tak na pewno zaprzeczyć, czy nie robiłem matce na złość z całą premedytacją, wiedząc, jak dziwnie ważne dla niej było, żeby jej "nie kompromitować": i że potem najwyżej na mnie nawrzeszczy, Szarpnie, naubliża, ale nie uderzy. Tego nigdy nie robiła. Tacie,

jak się wściekł, a był impetyk, lepiej było uciekać spod ręki, bo mógł łeb urwać, potem by płakał i sklejał, ale dopiero potem, a matka panowania nad sobą nie traciła nigdy.

Miała za to paskudny z punktu widzenia dziecka zwyczaj zawstydzania nas przy obcych. Może to miała być taka "pedagogika przez wstyd", sądziła, że w ten sposób zmobilizuje do pracy nad sobą, ale wychodziło odwrotnie. Nie daj Boże było coś przy niej palnąć, albo zrobić nie tak - potem trzeba się było skręcać i czerwienić, ilekroć trafiła się jej jakaś znajoma, sąsiadka, ciotka czy jakakolwiek wdzięczna słuchaczka. A już najgorzej było się matce nieopatrnie z czegoś zwierzyć. Wywlekała to potem bezlitośnie. Bła, bła, bła, bła - i: hihihihihhi, hahahaha. Strasznie jej w takich chwilach nie cierpiałem. Więc możliwe, że ten nóż, widelec i siorbanie były moją dziecięcą zemstą,

Ciekawe swoją drogą, że nasze wspomnienia co do rodziców kompletnie się rozmiągają. Pamiętam jakieś spotkanie przy rodzinnym stole, u Kaśki, kiedy Martynka walnęła coś o naszym ojcu, że "apodyktyczny", czy "tyran" - popatrzyłem na nią zdziwiony, jak może takie rzeczy wygadywać, ale naprawdę zdumiała mnie Kaśka. Wydawała się zdziwiona wcale nie tym, co powiedziała młodsza siostra, tylko moją reakcją. No chyba przyznasz, powiedziała, że łatwego charakteru to nasz stary nie miał.

\_ Porąbało was - tyle tylko umiałem na to odrzec. Bo jeśli któregoś z naszych rodziców miało coś nie tak z charakterem, to właśnie matka. Martynka zaczęła na to, że sam chyba nie wierzę w to, co mówię, ale Jacek, szwagier, wrzucił szybko inny temat, ku ogólnemu zadowoleniu zresztą, bo nie byliśmy w nastroju do draki.

Właściwie miałem dziś pisać o czym innym, ale skoro zeszło na matkę, to dokończę temat - nigdy się za dobrze nie dogadywaliśmy, ale przynajmniej przez ostatnie lata udało nam się nie kłócić. Co nie było łatwe, zważywszy, że zdrowa skądinąd ambicja, pewnie mająca korzenie w niedopuszczeniu za młodu

na studia, żeby być na bieżąco, czytać gazety, nowe książki i tak dalej, w połączeniu z wiekiem uczyniła ją bezbronną wobec medialnej indoktrynacji. Stała się jedną z tych starszych pań z głowami napchanymi wiadomą gazetą, wiecznie utrzymującą je w spazmie najświętszego oburzenia; z tych, co kiedyś unosiły się, jaki to wstyd i hańba, mój Boże, żeby ten Wałęsa, taki cham, taki prostak reprezentował nas przed światem, co tam sobie o nas teraz myślą - a kiedy indziej, ach, jaki to wstyd i hańba, że nawet Wałęsę, takiego zasłużonego Polaka, takiego wielkiego bohatera, znanego na całym świecie, pozwalamy obrażać jakimś pętałkiem z tego Ipeenu, i co o nas świat teraz myśli, mój Boże! Jakoś umiałem puszczać mimo uszu, kiedy mi zasuwawała takie teksty; zresztą na szczęście do utwierdzenia się w poczuciu obłąkania przez strasznych chamów i oszołomów miała różne swoje przyjaciółki, z dawnej pracy i z firmy.

Tak, bo - śmieliśmy się z siostrami - została przecież na stare lata kapitalistką, współwłaścicielką firmy, zarejestrowanej jako "usługi biurowe": Bo tę jej "centralę", w której spędziła paręnaście lat, sprywatyzowali i zrestrukturyzowali na polski oddział koncernu handlującego elektroniką po całym świecie, ale szef pozostał ten sam, i, trzeba przyznać,

bardzo uczciwie się zachował. Kiedy Austriacy kazali mu zwolnić wszystkie starsze panie, poradził im, żeby założyły firmę, nawet podesłał kogoś do pomocy przy rejestracji, i różne zlecenia, jak tylko mógł, zatrzymywał dla nich, tak że mogły dotrzeć do emerytury, a w wypadku mamy nawet jeszcze i na emeryturze. Stary komuch, partyjniak, a okazał się bardzo porządnym człowiekiem; wypadek godny odnotowania.

00

"Breughel malował wołu - ten był w pierwszym planie":

Gdzieś tam w tle ;,chuda chłopięca noga zadarta do nieba': trzeba się dobrze wpatrzeć, żeby ją dostrzec - gdyby nie tytuł obrazu, wszyscy by mówili, że taki, ot, landszafcik, rodzajowy obrazek

93

z epoki, ludzie chodzą w polu, zginają grzbiety, gracują, handlują i nie mają czasu na zmarnowanie.

Nie wiem, jaki ma sens zapisywanie ulotnych myśli i nastrojów; jednego, wbrew stereotypowi, nie ma na pewno - nie dokumentuję tymi swoimi notatkami historii. Bo historia to właśnie to coś, co się okazuje ważne dopiero po latach. Przyszli barbarzyńcy, wklepali, wymienili tak zwanego cesarza na swojego, nic specjalnego, nic nowego, czy jakiś współczesny Rzymianin zapisałby w dzienniku, że właśnie upadło cesarstwo rzymskie i skończyła się starożytność, a nastały wieki średnie? Albo wcześniej triumwirat - spotkało się trzech oligarchów i uzgodniło, że nie zdarzy się w państwie nic, żadna polityczna decyzja ani nominacja, która nie zyska wcześniej akceptacji całej " grupy trzymającej władzę". I w tym momencie Republika Rzymska się skończyła, ogromne imperium stało się monarchią, choć o to, kto ostatecznie zostanie monarchą, trzeba było jeszcze stoczyć kilka wojen - a kto o tym w ogóle wiedział? Kto by zauważył i zapisał, nawet gdyby wiedział? Gdyby w Rzymie istniały już media elektroniczne, przez kilkadziesiąt następnych lat żyłyby z wykpiwania maniaków, głoszących spiskowe teorie, jakoby Rzym nie był republiką, jakoby wybory, Senat, wszyscy edyle czy inni urzędnicy, wszystko to stanowiło pic i atrapę, pod którą rzeczywistą władzę sprawuje sitwa z dożywotnim Trybunem Ludowym, znanym też pod honorowym tytułem Augusta, z niezwykle dla Rzeczypospolitej zasłużonej rodziny Cezarów - tak jak u nas telewizornie od paru lat żyją z wykpiwania słowa "układ" i marzeń o jakiejś lepszej, IV RP.

Mam na półce rocznik przedwojennego kolorowego tygodnika z 1939, dostałem w prezencie na któreś urodziny. Pouczająca lektura - gdyby nic innego się z tamtego czasu nie zachowało, to żaden historyk nie mógłby z tego pisma wywnioskować, że w tydzień po wydaniu ostatniego zachowanego numeru zaczęła się wojna światowa. Owszem, gdzieś tam człowiek znający historię dostrzega oznaki nadchodzącej burzy, ale to małe notatki na

94

dalszych stronach. Na okładce i pierwszej kolumnie jest o wyścigach samochodowych, paryskiej modzie, spotkaniach dyplomatów w pirogach i frakach, którzy jednym głosem z wielkimi intelektualistami zapewniają, że lekcja Wielkiej Wojny nigdy nie zostanie zapomniana, pokój jest wartością najwyższą.



Właśnie poszła wiadomość, że rząd ostatecznie klepnął umowę gazową. Też po dalszych stronach, odnotowana głównie w działach gospodarczych. Jeszcze sto lat temu, żeby narzucić drugiemu państwu taką umowę, musiałyby mocarstwo wygrać z nim wojnę. Oddaliśmy im monopol na całą infrastrukturę przesyłową na naszym terenie na 45 lat, na 35 lat zobowiązaliśmy się kupować rocznie o kilka miliardów metrów sześciennych więcej, niż prawdopodobnie będzie wynosić nasze zapotrzebowanie, i to po stałej cenie, ustalonej w oparciu o cenę ropy; w momencie, kiedy na całym świecie cena gazu odkleiła się od ropy i leci w dół, bo Amerykanie wynaleźli gaz z łupków i przestali brać jakkolwiek inny! Można krzyżyk postawić na dywersyfikacji, gazoporcie, niezależności energetycznej, i na suwerenności też; w razie czego wystarczy że car przykręci kurek, i zaraz porządek zapanuje w Warszawie.

00

Odgłosy z przedpokoju: Oleńka ubiera dzieci do wyjścia, trochę w niedoczasy, więc żeby przyspieszyć zaczyna Manię sama dopinać. Ta protestuje raz i drugi, wreszcie krzyczy: "jak mi będziesz pomagać, to się nigdy nie nauczę!" Paltocik trzeba rozpiąć i odczekać, aż Mań poradzi sobie sam.

Nic na tym świecie bardziej dumnego niż dumny tata.

00

Powinienem coś napisać, ale nie mogę skupić myśli, więc żeby jakoś przed samym sobą udawać, że jednak pracuję, zacząłem przeglądać internetowe komentarze pod tekstami. Nie tylko swoimi.

95

Każde zagłębienie się "pod kreskę" przypomina zanurkowanie w szambie. Na moderowanych portalach znać jeszcze jakieś granice, na tych starających się pochwalić potencjalnym reklamodawcom maksymalną liczbą kliknięć przechodzi wszystko. Podobno polski internet należy do najbardziej chamskich we wszechświecie. Trzy czwarte wpisów to wykwyty frustracji jakichś strasznych ludzi, którzy nienawidzą wszystkich i wszystkiego, którym o nic już zupełnie nie chodzi, tylko żeby ulżyć sobie, opluć, zelżyć i splugawić. Przypomina mi się od razu opowieść Andrzeja, który przez parę miesięcy próbował uczyć w szkole na popegieerowskich terenach. Szczególne doświadczenie, mówił - młoda ludożera na każdą wiadomość o jakiegokolwiek historycznej podłości reaguje rechotem i szczerą radością. Spalili Giordana Bruna? Dobrze mu tak. Holocaust? Dobrze tak Żydkom. Katyń? Bardzo im dobrze. Spalił Hitler Warszawę? Radość na samą myśl. Postniewolnicza nienawiść, jak śmierdząca ropa cieknąca z nieoczyszczonej rany - najjaskrawszy objaw degeneracji wywołanej przez komunę. Wszystkie warstwy tego społeczeństwa zostały nią przesączone i cuchną,

Staram się nabrać do tego badawczego dystansu. Trzy czwarte nienawistnych wpisów dotyczy oczywiście Kaczyńskich, w duchu obowiązującym w mediach. Charakterystyczne, że gdyby przeliczyć, to najczęściej powtarzanym w nich epitetem jest "burak". Dlaczego trzeba popierać Tuska, choćby nie wiem co? No bo kto nie popiera, ten burak. Burak, czyli prostak, cham, wsiór, przedmiot pogardy ... omal nie napisałem inteligenta, ale nie, inteligent wszak chama po bronowicku kochał, jak Miętus Walusia. Ten prawdziwy inteligent, pochowany w Palmirach i pod Smoleńskiem, oczywiście. Co innego peerelowski "inteligent pracujący": i

jego współczesny potomek, wyhztalony metodą "wytnij-wklej". Ten "wiochy" nienawidzi obsesyjnie i żywiołowo, z takim wstrętem i obrzydzeniem, jaki można czuć tylko do samego siebie.

Kaczyński "burakiem"? Każdy kto zna prezydenta powie, że to ostatnie, co można mu zarzucić. Polityk może z niego żaden,

96

ale właśnie człowiek - cudownie przedwojenny, żoliborski, z fantastyczną kindersztubą, który nigdy nie usiądzie, dopóki nie zrobi tego jego gość, i za nic nie wejdzie w drzwi przed kobietą. Ale przecież fakty nie mają tu nic do rzeczy, ta nienawiść to projekcja.

Muszę to rzucić w twarz Irkowi, jak znowu będzie mnie próbował przekonać do rządzącego kartelu i ludzi historycznym musem. Tajemnica tej niezatapialności, która pozwala im na sknocenie każdej sprawy, zrobienie każdej afery, i bodaj narobienie Polakom na głowy, a ci i tak będą ich uwielbiać i sondażowe słupki ani drgną, tkwi w wymacaniu przez Tuska i jego pomarcowe salony najpotężniejszej nienawiści trawiącej Polaka - nienawiści do samego siebie. Do swojego chamskiego, wsiowego pochodzenia. Kompleks niższości leczony kompleksem wyższości, ucieczka przed sobą w wyższościowe urojenia. Przyłącz się do seansu nienawiści wobec buraków, a twoje własne buractwo zostanie ci odpuszczone.

I dlatego właśnie nie ma dla nich nic groźniejszego, niż leczenie Polaków z tego kompleksu i budzenie w nich dumy. I nic bardziej pożytecznego, niż sączenie w nich wstydu, odbieranie wspólnoty, bombardowanie opowieściami o szmalcownikach i frazesami o porąbanym narodzie, który trzeba zaozać do cna, żeby wreszcie powstała tu jakaś cywilizacja.

Obrywam rykoszetami, ale mnie to nie boli; znam swoją wartość równie dobrze, jak swoje ograniczenia, i nie obserwuję u siebie żadnych kompleksów, a już na tle pochodzenia zwłaszcza. Bardziej niż szable i konterfekty na ścianach imponuje mi greps Napoleona, który przyciął pochlebcę, ciągnącego mu rodowód het od rzymskich cesarzy, krótkim: co pan bzdurzysz, mój ród zaczyna się ode mnie.

Z zawodowego punktu widzenia liczba bluzgów pod moimi tekstami to raczej powód do zadowolenia, zawsze dowód popularności - smętna jest tylko ta monotonia. Na pięć postów trzy usiłują powiązać mnie z Kaczyńskim, jeden nazywa

97

złodziejem i kombinatorem na okoliczność KRUS-u, a jeden odsyła z powrotem do science fiction. Ale czasem zdarza się coś ciekawszego; ostatnio ujawnił się psychofan, który pod każdym tekstem wkleja link do odrażającego filmiku, bez wątpienia owocu własnej pracy. Pod black-metalową muzykę i jakiś charkot, z którego można zrozumieć tylko jedno, za to powtarzane w kółko słowo „szatan”, podłożył montaż zdjęć rozpruwanych kotów i pokrzwawionych dzieci, ludzi załatwiających czynności fizjologiczne tudzież zbliżenia samych odchodów - i, co chwila, mój konterfekt, obracający się do góry nogami. Muszę zapamiętać, żeby się pochwalić kolegom. Chyba nikt inny takiego pracowitego świra się jeszcze nie dorobił.

00

Walka z cukrem we krwi przynajmniej uchroniła mnie od konieczności pisania o podniesionej do rangi narodowego problemu współpracy Kapuścińskiego z komunistycznym wywiadem. Godne zapisania są w tym tylko dwie rzeczy, że fakty w sumie oczywiste - przecież wiadomo, że nie jeździłby po świecie bez ubeckiego błogosławieństwa, nie byłby wydawany i promowany przez zachodnie lewactwo, gdyby te jego "reportaże" nie były po linii sowieckiej propagandy i tak dalej - nie istniały, dopóki ich nie podał do wiadomości facet ze stempelkiem Michnika i jego gazety.

A druga, że nawet ten stempelek nie uchronił go przed opluciem i zmieszaniem z błotem według nawykowego wzorca: nie czytałem, nie przeczytałem, i zabraniam czytać innym, bo to podłość, plugastwo, fekalia, a autor to nienawistny łajdak opluwający niedosiężną dla niego wielkość ... Taką deklarację, nie widząc zupełnie własnej śmieszności, składa czcigodny nestor polskiego dziennikarstwa, a basuje mu człowiek promowany jako największy z żyjących bohaterów walk o wyzwolenie narodowe i społeczne (sondaż na 90-lecie odzyskania niepodległości "najwięksi bohaterowie polskich walk o niepodległość: Władysław

98

1

ślaw Bartoszewski, miejsce czwarte, za Piłsudskim, ale przed Sikorskim i Andersem, o ludziach w rodzaju Pileckiego czy Fieldorfa nawet nie wspominając). I to wyznanie przyjmowane jest w powadze i namaszczeniu, nikt się nie odważa przekłuć nadętych skleroza i pieniactwem balonów - co ja tu jeszcze robię z jakimiś felietonowymi złośliwościami? Co ja mogę, żeby bardziej obnażyć umysłową i moralną nicość tych "elit"? Kto ma oczy, niech patrzy, kto ma uszy, niech słucha, kto ma rozum ... hm, nie za dużo od ludzi wymagasz, Rafalskii

00

A skoro już wylazłem ze skorupy, to i o drugiej sprawie, której komentowanie mnie ominęło; też nie ma czego żałować, bo jedyny możliwy komentarz aż zbyt oczywisty, żeby go publicznie wygłaszać. Nawet wokół czegoś tak oczywistego, jak rocznicowy hołd pomordowanym w Katyniu, musieli narobić smrodu. Nagle się okazało, że jak Kaczyński się wybiera, to Tusk się wybierze wcześniej. Żeby "przykryć": że te ważniejsze uroczystości to z nim, a nie z prezydentem. Ciąg dalszy zenującego wrywania spod siebie krzesła na brukselskim szczycie, ale Paweł napisał, i słusznie, choć zbyt oględnie jak na mój temperament, że tym razem pada jakaś kolejna bariera. Dla upokorzenia prezydenta RP premier RP gra równo z Ruskimi; ambasador Grinin zaczyna ustawiać sytuację w Warszawie jak jego poprzednicy przed dwustu laty, dozując przecieki do mediów i raz po raz zmieniając wersję, kto jest zaproszony, a kto nie jest, z kim co ustalał. ..

Irek cytował mi z zupełną otwartością, jak na dworze patrzy się na przyszłego, niebawem już, rywala ich padrone w wyborach prezydenckich. Jak to tłumaczył pijarowiec premiera: Kaczyński to jest taka małpa w klatce; trzeba w tę klatkę jak najczęściej kopać, żeby małpa po niej skakała, miotła się, krzyczała, bo wtedy cała publika patrzy na małpę i jest śmiechowo. I przy okazji nie myśli o innych sprawach. Jak się małpa uspokaja - to

99

znowu kopa. Coś tam o mamie, o bracie, to zawsze podziąła. Że alkoholik, że biegunki dostał na międzynarodowym szczycie, każdy sposób dobry, niech się oburza i zaperza, im bardziej mała skacze, tym bardziej ludzi śmieszy, tym mniej ją szanują. Katyń, okazja do lansu równie dobra, jak każda inna, a jak Putin oferuje pomoc, to czemu nie brać?

00

Spotkanie w Kutnie, umówione już dość dawno, o tyle nietypowe, że najpierw projekcja filmu o Dmowskim, a potem moja prelekcja, co z jego myśli pozostaje dziś aktualne. Ten film to zresztą historia sama w sobie warta zapisania - jak prezesem telewizji został Farfał, dyrektor jednego z ośrodków regionalnych, zasadniczo komuch, dowiedział się, że jest na liście do wywalenia i zaczął swoimi kanałami sprawdzać, co może zrobić, żeby jednak zostać. Donieśli mu, że ma przechlapane, bo jak na miejscowym uniwersytecie urządzali rocznicową sesję o Dmowskim, nie przysłał żadnej kamery. Ależ to było nieporozumienie, to nie tak, ja właśnie o Dmowskim robię cały film! - i rzeczywiście, w dzikim tempie znalazły się moce przerobowe i film został nakręcony. Co naj śmieszniejsze, bardzo dobry. Ale o tym można się przekonać tylko na takich pokazach, na antenę wejść nie zdążył, bo "faszyści" poleciecieli, przysłała nowa ekipa i za ten film o Dmowskim wylała gościa jako endeka. A co myślicie - przetrwać i zachować stanowisko w publicznych mediach wolnej i demokratycznej RP to nie zła sztuka.

Skądinąd na tego rodzaju spotkaniach naj częstsze zamówienie organizatorów to właśnie jakaś prelekcja o mass-mediach. Mówię. wtedy mniej więcej w tym duchu, że media w czasach elektronicznych są formą przemocy, niewiele odmiennej od przemocy policyjnej. Obrazy atakują bezpośrednio sferę emocji, telewizja jest bronią, przed którą ocalić może tylko inna telewizja. Ale żeby takową stworzyć, trzeba pieniędzy, a pieniędzy nie da się zdobyć bez władzy, a władzy nie da się zdobyć bez

100

telewizji. .. Trójkąt gorszy od bermudzkiego, w którym znalazła swój kres piękna skądinąd idea nowożytniej demokracji.

Po prelekcji oczywiście godzinka pytań, niestety, wszystkie w jedną stronę, bo spotkanie w domu przyparafialnym, więc właściwie przekonywanie przekonanych. To jest narastający ból- wpychają mnie stopniowo w "pisowską" szufladę, w przekonaniu, że to wymierający skansen, niech tam sobie oszołomy siedzą. Generalnie mylą się, ale na razie - przykrość.

Czasem próbuję sprowokować. Raz, parę miesięcy temu, była okazja, w takiej właśnie parafialnej salce, bo się akurat zgadało, żeby rozprawić się z mitem Polaka-katolika, stworzonym przecież późno, grubo po powstaniu styczniowym; właściwie ugruntowanym dopiero w II RP. Bo akurat przez cały wiek XIX Polak-katolik to był lojalista, kolaborant, który stał i stać chciał przy tronie Najjaśniejszego Pana, a całą niepodległościową robotą zajmowali się jacyś jakobini czy zgoła sekciarze; niektórzy, jak generał Bem gotowi się nawet zbisurmanić, byle móc dopaść rosyjskich gardeł.

Nie wyszło to tak, jak oczekiwałem - żadnej gotowości dyskusji, wyjścia ze schematu. Zgnębieni ludzie przyszedli na psychoterapię, nie na historyczne seminarium; a ja ich nieoczekiwanie zawiodłem. W końcu prowadzącemu udało się jakoś wrócić na standardowe

tory demaskowania panującego ustroju - to w końcu też ma swoje znaczenie, żeby ludzie wiedzieli, co ich boli, i jaki jest mechanizm zła - i publiczność łaskawie incydent mi wybaczyła.

W drodze powrotnej trafia mi się ciekawy współpasażer.

Wygląd mylący, małomiasteczkowy, widać, że człowiek dość prosty, ale, okazuje się, kumaty nad pojęcie, całkiem nieźle prosperujący przedsiębiorca, w którym wezbrała właśnie potrzeba pochwalenia się panu redaktorowi. Właśnie chwalenia się, a nie wyżalania. Żeby pan redaktor, jak się tak ładnie w telewizji za przedsiębiorcami ujmował, znał sprawy nie tylko z teorii.

Różne interesy już robił, ale aktualnie to handluje na wschód polskimi serami. I zapewnia, że to rzekome otwarcie ruskiej grani-

101

cy na polskie produkty to guzik prawda. Musi sery przesyłać przez Estonię i Łotwę i tam tracić na ich "lokalizowaniu", a Ruskie mówią otwarcie: jakie tam przepisy, jakie umowy, dopóki nie będzie przykazu puszczać, zablokują każdy transport, a przykazu nie będzie, póki się Putin z Tuskiem nie umówi. Żadnego tam pochodzenia "europejskiego" nie respektują i co im zrobisz. (Strzygę uchem, bo "odblokowanie handlu ze wschodem" dawno już zostało propagandowo skonsumowane jako wielki sukces rządu).

Jeszcze ciekawsza jest opowieść, jak facet zarabiał wcześniej na gazie. Przed 2006 akcyza była "naliczana" przez pompiaży, zresztą gaz ma akcyzę zależnie od przeznaczenia, tak jak olej opałowy - którego, dygresja, w Belgii nie barwią i nie jest zanieczyszczony, wiadomo, jakie to otwiera możliwości - więc fortuny na tych akcyzach powstawały. Potem przenieśli obowiązek akcyzowy na hurtownię, więc on musiał założyć skład celny, i przysłali mu celnika - ale głąba, nie szło się dogadać, "za dużo chciał od razu zarobić". Blokowali mu cysterny całymi tygodniami (a "osiowe" trzeba płacić, czy cysterna stoi bez pożytku, czy kursuje), więc rzucił to i zajął się spożywczym asortymentem. Najpierw upychał nasze jedzenie na Zachodzie, ale tam wszystko trzymają wielkie koncerny, i już łatwiej przekupić naszego urzędnika, czy nawet obcego, niż ludzi pilnujących interesów korporacji. A z kolei w Anglii wszystkich wymietli z rynku Pakistańczycy, bo to mafia doskonale zorganizowana, i rzną Angoli na przepisach na potęgę, tak że wszystkich przebijają schodzeniem z ceny.

No, nie tylko w tym ich siła, oczywiście, że akcyz nie płacą, bo tych akcyz czy VAT -ów nikt przecież nie płaci, i w Polsce też, ale zwłaszcza odkąd decyzje się przeniosły na poziom europejski, to już przepisy zupełnie nie są w stanie nadażyć za praktyką. On na przykład "w Łotwie" ma bank, gdzie zarejestrowanie angielskiej spółki trwa 10 minut, a przerzucanie płatności ("komasowanie VAT", o tym to nawet coś pisaliśmy w "Gazecie"), z kraju do kraju załatwiają mu od ręki. Teraz się podobno stawia na całą

102

Europę odpowiedni system komputerowy, żeby to ukrócić, ale tego jakoś się nikt nie boi.

A czegoś się boi? Tak jak powiedział - wielkich korporacji.

Państwa, rządy czy tam Komisja Europejska o swoje zadbać nie umie, a tamci potrafią drobną konkurencję wyniszczyć do imentu.

Przyznaję, że to logiczne. W takiej sytuacji od tej osławionej "eurobiurokracji", której rozwojem straszą w Radiu Maryja, bardziej perfidnym sposobem egzekwowania swych przywilejów przez nową europejską oligarchię może się okazać właśnie oddanie rynków w pacht korporacjom. Bo korporacje i tak z natury żyją w symbiozie z rządami, i mogą im płacić podatki, jak się tylko umówią, i tak wszystko sobie ściągają z nawiązką z klienta, kiedy się go już, wspólnym wysiłkiem władzy i wielkiego biznesu, pozbawi jakiegokolwiek wyboru.

Facet słucha mojego wyводу i historycznych porównań z przyjemnością, robię wszak z niego tymi słowami Robin Hooda i tym samym dostarczam jego codziennej krzątaninie wzniosłości. Nawet najprostszy, zgoniony za groszem człowiek chce w swojej pracy móc dostrzec jakiś wyższy cel.

00

Deptanie, deptanie, deptanie stepera, machanie ciężarkami, siekanie i przyrządzanie warzyw, znowu deptanie; trudno skupić myśli, trudno się zabrać do pracy, i chwilami ciężkawo wytrzymać, ale zaskoczyło, działa - waga leci w dół, a cukier trzyma się w normie.

00

W strząsając, jak się zastanowić, badanie Eurostatu - z zeszłego roku, ale wygrzebałem je teraz ponownie, do artykułu. Badaniem z całej Europy kazano z podanej długiej listy rozmaitych cech wybrać dziesięć tych, które są najbardziej typowe dla poszczególnych narodów, w tym własnego. Polacy samym sobie

103

przypisali wyłącznie cechy negatywne, co do jednej. Nikt nie potraktował nas tak źle. Nawet Niemcy i Austriacy, choć generalnie widzą w nas pijaków, złodziei i brudasów, przyznali, że kojarzymy się także z odwagą, umiłowaniem wolności i fantazją. Tylko sami Polacy nie widzą w sobie niczego, ale to literalnie niczego dobrego.

Pacjenta z takimi objawami każdy psychiatra natychmiast wsadziłby w kaftan; chorobliwie zaniżona samoocena, oczywisty kompleks niższości - delikwent w każdej chwili może sobie zrobić poważną krzywdę. A co zrobić, kiedy takie chorobowe objawy zdradza całe społeczeństwo?

Rzecz w tym, że jest jak w starym kawale: panie doktorze, żona wpadła w kompleks niższości, co zrobić, żeby jej to przypadkiem nie przeszło. Dla tutejszego establishmentu stan odrazy Polaków do samych siebie i ich przeświadczenie o własnej niższości jest skarbem, ciężko pracują nad tym, aby ten stan pogłębiać. Od dwudziestu lat cały przekaz medialny, cały dyskurs tej napuszonej, narzucającej się "elity" to nieustanne tresowanie nas w poczuciu niższości. Tak jak za Jaruzela DTV co dnia wbijał w głowy strach, niepewność jutra i umęczenie chaosem, tak dziś zewsząd wsączają wstyd, że się jest Polakiem. Z całej polskiej historii pozostaje tylko Jedwabne, i to w wersji wyłganej przez Grossa, ze wszystkich powstań, bitew, wojen, tylko to, co da się przedstawić jako głupie, dziwaczne i żalodne.

Wyparowali gdzieś wynalazcy i inżynierowie, odkrywcy i naukowcy, wielcy społecznicy, zniknęła Konfederacja Warszawska i państwo bez stosów, paradis judeorum i neminem captivabimus. Z krajów, gdzie Żydów przez wieki palono na stosach i jak za Hitlera pozwalano wychodzić z gett tylko w specjalnych strojach, i gdzie jeszcze w latach sześćdziesiątych kobieta nie mogła mieć konta w banku bez zgody męża, przysyłają nam polajanki, że jeszcze nie zaimplementowaliśmy europejskich przepisów promujących awans kobiet i gwarancji dla mniejszości. A salonowe pętaki nie ośmielą się oczywiście zauważyć, że to do nas uciekali Żydzi z Francji i Niemiec, o Hiszpanii nie mówiąc,

104

L \_\_

a nie w odwrotną stronę, i że dzisiaj w każdym z tych krajów w kilka dni notujesz więcej antyżydowskich incydentów, także z przemocą w tle, niż w Polsce przez lata; albo przypomnieć, że polskie kobiety prawo głosowania uzyskały najwcześniej w Europie, w 1918. Gdzie tam - na kolana, Polska hołoto, kajać się i przepraszać! Wszystkich przepraszać, tylko ten, kto przeprosi, kto się stanowczo odetnie, napluje i nasika tam, skąd jego ród, wnijdzie w Unię Europejską.

A chętnych do cywilizacyjnego awansu jest wielu, więc łamy codziennie zapełniane są elaboratami, jak to ciemne i wredne polactwo nie pasuje do kapitalizmu, nie radzi sobie w transformacji, jakie leniwe, niezorganizowane, nieufne, no, prosto - "wsio dzicz i dzicz!". Trzeba ich dopiero całkiem przeorać, przefasonować, odpolaczyć, wyleczyć z resztek narodowej dumy, z tych "godnościowych wzdęć" jak z jakiejś choroby. Dopiero gdy się wyhoduje "typ Polaka nowy": elita uczyni nam zaszczyt i zacznie się do nas przed światem przyznawać.

Ludek niby się tym nie przejmuje, ale łyka ten szlam rok po roku, dzień po dniu, i nasiąka wiarą w swą nieudaczną i w to, że trzeba pokornie słuchać spasionych, zdegenerowanych starców z Zachodu, i skakać jak obsmyczny pudelek ku zabawie ichnich salonów.

A tak naprawdę, wszystko co dobre mamy, przeciwnie niż oni, przed sobą. To przecież młody naród - ledwie wyszedł z czworaków i spod strzech, pełen jest chamskiej jurności, której innym, tchórzliwie chowającym krzyże i bożonarodzeniowe szopki w strachu przed własnymi sprzątacami ulic, nie pozostało za grosz. Młody naród, który wszystko może osiągnąć, jeśli oczywiście wcześniej nie pozwoli sobie ze szczeniem napaskudzić do głów. Na razie, niestety, pozwala.

00

Skoro wspomniałem, ciekawostka z serwisu agencyjnego: najczęściej nadawanym w ubiegłym roku imieniem męskim

105

w Wielkiej Brytanii było Mohammed. Dalej długo nic, potem Oliver, a potem Muhammad i Mohamad, czyli też Mohammed.

Dodaję do tego samego pliku, w którym trzymam do wykorzystania kolejne informacje z kwitnącej Unii, ku której tak pracowicie dążymy: o pielęgniarce wyrzuconej z pracy za to, że pomodliła się za chorego, o zakazie ubierania świątecznych choinek, żeby nie obrażać braci muzułmanów, o cenzurowaniu przez supermarkety świątecznych kartek ("świąteczne pozdrowienia", broń Boże ani słowa o Bożym Narodzeniu czy Wielkiej Nocy), o ukaraniu aresztem rodziców, których dziecko uparcie odmawiało udziału w obchodach szkolnego tygodnia "dumy gejowskiej": fundacji charytatywnej, której sąd dowalił grzywnę, że darmową zupę rozdawaną bezdomnym robiła na wieprzowinie, "dyskryminując" bezdomnych z mniejszości religijnych, i tak dalej ... Dużo tego się zebrało z ledwie paru miesięcy.

Oleńka przyszła przed chwilą, że zaczyna się robić zazdrosna o ten dziennik, i jeśli nie przestanę nad nim ślęczeć po nocach, poskarży się pani doktor. Więc już tylko szybciotko i pokrótce dorzucę rozmowę Dominiki, znajomej dziennikarki, z marokańskim taksówkarzem w Brukseli. Pan od dawna w Belgii? O, tak, prawie od urodzenia. I jak tu panu jest? O, tak, całkiem przyjemny kraj, ludzie uprzejmi, tak. .. Ale naprawdę? Bo wie pan, ja, jako Polka czuję się tu trochę wyobcowana ... Polka? - tu muslim aż odwraca się, puszczając kierownicę - Polonia, papież? Aj, proszę pani, co pani pyta, jak tych ludzi można szanować, jak przecież oni sami siebie nie szanują! Starych rodziców oddają do domów starców, dzieci do żłobków i przedszkoli, jak były targi erotyczne, to miejsca do parkowania nie mogłem znaleźć w promieniu kilometra, a kościoły w niedzielę puste! W nic nie wierzą, nic im się nie chce, tylko sobie dogadzają, tfu, niech wyzdychają jak najszybciej, po co w ogóle ziemia takich nosi!

"Na koniec nowoczesny ten świat ci się przejada ... Żegnaj, słońce - szyjo ścięta".

106

00

Niepostrzeżenie zaczął się marzec. Zdumiewająca jest ta łatwość, z jaką człowiek do wszystkiego się w końcu przyzwyczai. Uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu ten codzienny głód gdzieś zniknął, Organizm widocznie odpuścił, przestał stawiać opór. Wszystko, co było życiową rewolucją, jakoś nią być przestaje. Że się jedzenie rozkłada na pięć, sześć małych porcyjek, że trzeba godzinę dziennie sapać i się pocić, że oprócz bieżączek coś jeszcze wystukać w dzienniku, raz mniej, raz więcej; to też swoisty szyfr, bo jeśli mniej, to znaczy, że humor lepszy, praca idzie normalnie, w domu spokój. A jeżeli więcej, to coś idzie nie tak. Nie zawsze mam ochotę zapisywać, co akurat. W pierwszej chwili myślałem, że tak powinienem, że na tym polega pisanie dziennika - dzisiaj byłem tu i tu, zrobiłem zakupy, wieczorem w klubie spotkanie z tym a tym, napisałem do "Rzepy" o tym, do "Gazety" o owym, a do portalu jeszcze o czym innym, spotkałem tego a tego, to a to wyczytałem ... Ale to by była straszna robota, i po co? I może jeszcze dodać do tego sny Oleńki. Zresztą to akurat może najbardziej warto - Oleńce się śniło, że stałem na jakimś lotnisku, dookoła była straszna, gęsta mgła, i słuchać było zbliżające się silniki samolotu, a potem huk i jakieś głosy, które mnie wołały. Ale mówi, że nie było to wszystko straszne, raczej jakieś takie - dziwne. Bogu dzięki, bo po śmierci mamy zacznę się już tych jej snów bać.

Mnie tam się nic nie śni, oczywiście. Mózg w ciągu dnia musi wyprodukować tyle emocji i słów, że jak już padnę na wyro, wyłącza się całkowicie, zadowolony z siebie.



Niewiele dziś napisałem, bo ćwiczyliśmy z Zosią sceny ze Smoka. Ona jako kot, a ja Lancelot, Szarlemań i Elza za jednym zamachem. Manię, żeby się nie poczuła zazdrosna, usadziliśmy na fotelu, że niby cały spektakl jest dla niej. To potem z kolei ja musiałem usiąść na fotelu widowni, a dziewczyny zasunęły dla mnie jakąś improwizowaną bajkę. Właściwie, gdybym miał skądś pieniądze na dom, szkoły i w ogóle, rodzinę, to mógłbym

107

tak po całych dniach tylko się bawić z dziećmi. Odłączyć komputer, telewizora używać tylko jako ekranu do wyświetlania bajek, odciąć się kompletnie od spraw zawodowych ...

Zresztą, o tym już, żeby mnie odciąć, myśli władza. Na razie mają pilniejsze sprawy, ale w końcu przecież porządki muszą dotrzeć i do mojej niszy. Już teraz widać, jak ludzie do niedawna rozsądni zaczynają pękać. Część próbuje się wspiać na łajbę zwycięzców, za taki szeroki, wygodny trap, jaki mnie rzuca Irek, pewnie by się dali pokroić. Część, przeciwnie, idzie w kult Jarosława i Lecha. Sam nie wiem, którzy bardziej wariują, Ci, którzy nagle gorliwie podkreślają wszystkie osobowościowe słabości Kaczora, jego pomiatanie ludźmi, nielojalność, totalną odmowę . udziału w jakiegokolwiek grze zespołowej i niezdolność przyznawania się do błędów, jakby teraz dopiero się o tym wszystkim dowiedzieli - czy ci, którzy zamykają na to wszystko oczy, że trudno, jemu widnieje, w obecnej sytuacji trzeba zewrzeć szeregi wokół takiego wodza, jakiego mamy, a nie szukać lepszego.

00

W telewizji posełek z Platformy wyjaśnia, że trzeba jak najprędzej zakończyć pracę sejmowej komisji badającej "tak zwaną aferę hazardową", bo każdy dzień jej pracy oznacza ponoszenie przez podatników niepotrzebnych kosztów. Dosłownie kilka dni temu w tej samej telewizji inny platformers, może nawet ten sam (już w czasach młodości zauważyłem, że członkowie partii władzy zawsze wyglądają jak sklonowani) wywodził, że 'dla demokracji jest niezbędne, aby komisja w sprawie Blidy i tych tam "nacisków", nikt nawet nie wie, jakich niby, działały nadal. Wprawdzie to już trzeci rok, jak szukają jakiegokolwiek "haka" na PiS i niczego znaleźć nie mogą, ale muszą szukać dalej, bo może się im wreszcie uda (a nawet jak im się nie uda, to tuż przed wyborami „wyborcza” ogłosi na pierwszej kolumnie jakąś dętą sensację - o ile zakład?). Nawet oni tam zakładają, że ich targetowy "wykszałciuch" to kompletny debil, niezdolny

108

zauważyć nawet belki, o którą się potknie, jeśli autorytety mu jej nie wskażą i nie wyjaśnią, czy to jest belka nasza, czy wroga. I w tej kwestii, jak rzadko, muszę się z nimi zgodzić.

00

Zadzwoiła Martynka (wspominałem już? Moja siostra-małolata) - z pretensjami, niby to tylko żart, dąsik, ale jak zwykle musiała z siebie zrobić idiotkę extraordinaire. Czy ja się muszę ciągle wstydić przed ludźmi, że mój brat nawypisywał jakichś głupot, hm? A tak konkretnie, to o co ci chodzi? N o w "Gazecie Wyborczej" cię wyśmieli, że się zabrałaś do lustrowania Hłaski, że niby był pedałem, a co cię to obchodzi, musisz się na takie tematy mądrzyć?

No to pytam spokojnie: a czytałaś, co ja napisałem? Oczywiście nie czytała. Nawet tego swojego szmatławca nie czytała, ktoś jej tam coś tam piąte przez dziesiąte, i to wystarczy, żeby mieć poczucie jedynie słusznej wiedzy na każdy temat. Wyszła biografia Hłaski. W niej spory rozdział o miłosnych grach i listach, jakie wymieniał u zarania kariery z prominentami peerelowskiego życia literackiego. No, przecież teraz jest bardzo "tryndy" odkrywać u różnych pisarzy ich "homobiografie", prawda? Prawda. Taka książka ostatnio wyszła, że wielu naszych wielkich pisarzy było homo, nawet tych, co wcale nie byli, i że powinniśmy być z nich dumni. Prawda? No prawda. Twoja ulubiona gazetka tę książkę może skrytykowała? Nie, chwaliła. Jeszcze jak chwaliła, na całą kolumnę. Zachwyty! Pamiętasz? Cieszę się. No to ja tylko zapytałem w felietonie, dlaczego o Hłasce niczego w tej apologii literackiego pedałstwa nie było, skoro rzecz znana? No pewnie, że nie wiesz. Pewnie dlatego, że Hłasko, odkąd wyjechał na Zachód, to już nie ma ani jednego śladu jakiegokolwiek jego zainteresowania mężczyznami. Co by znaczyło, że on tak tylko dla kariery, zacisnął zęby ... A z tego przypadkiem wynika też, że pruderyjni stalinowcy powierzyli rządy nad literaturą bandzie pedałów, bo mieli na nich wspaniałego haka, zapewniającego

109

całkowite posłuszeństwo, każdego mogli w każdej chwili zgnoić. Więc jeśli ktoś chce pisać „liomobiografie” to zamiast emancypacyjnego bełkotu powinien uczciwie o tej sytuacji napisać, a jeśli ktoś recenzuje, to powinien zauważyć ... To możesz mi powiedzieć, co takiego śmiesznego napisałem, i za co się mam wstydzić?

O już dobrze, no tak, nie no, tak, no, rzeczywiście ... Zresztą ja w ogóle w innej sprawie, to już to zostawmy. Coś przerażającego, jak można sobie pozwalać mącić w głowie, bo przecież w osobie Martynki mam przykład, jak to działa na setki tysięcy ludzi z dyplomami, uważających się za elitę "tego kraju", za mających własne zdanie i osąd. Pewnie, jeśli chwilę z każdym z nich pogadasz i zmusisz do zastanowienia, to w większości wypadków przyznają, że, no tak, właściwie, nie pomyślałem o tym w taki sposób (a niby to w ogóle choć przez chwilę pomyślałeś?) - ale przecież wiadomo, że nie dotrzesz, nie pogadasz, bo od rana do nocy mają zalepione mózgi tym szlamem produkowanym przez media, wiecznie wprawiające ich w spazm oburzenia i pogardy dla pisowców, głupków i buraków. Następnego dnia nie potrafią sobie przypomnieć, co ich tak oburzyło wczoraj czy przedwczoraj, nawet nie pomyślą, że dokładnie za to samo, za co dziś zachwycają się Tuskiem, kiedyś miotali gromy na Kaczyńskiego. Jakaż Martynka była zdziwiona, kiedy na jej mędrkowanie, że przez ten celibat księży się robią pedofilami, przypomniałem jej, że kilka dni temu udowadniała mi, w ślad za swoją gazetą, oczywiście, jaką to głupotę powiedział prawicowy polityk, sugerując, że homoseksualizm może prowadzić do pedofilii, przecież pedofilem ktoś po prostu jest, z głębokich przyczyn osobowościowych. Hm? No, rzeczywiście, jest tu pewna niekonsekwencja ... ale sama z siebie by jej nigdy nie zauważyła.

Pani psycholog - bo takim się Martynka legitymuje wykształceniem.

Zabawna rodzinna historia, związana z Martynką, a właściwie raczej z Olą, że obie są w tym samym wieku. To znaczy,

110

zabawny jest nie sam fakt, tylko że kiedy moja żona pierwszy raz o to spytała, zaprzeczyłem gorliwie - ale co ty, to małolata zupełna. Jakoś tak się wszyscy w rodzinie przyzwyczaili ją

traktować, nikt nie powie "Martyna", tylko zawsze "Martynka": No, ale który to rocznik, ta twoja Martynka? Czekaj, czekaj ... 1974? Czyli ten sam co ja. O rany, jęknąłem, mów mi, Dutroux ...

Być może to ten sam mechanizm, który sprawia, że dla matki syn zawsze jest chłopczykiem w krótkich majtkach, nieważne, że zdążył już osiwieć, wymienić dwie żony i ma dorosłe dzieci. Ale myślę, że Martynka po prostu włożyła wiele pracy w to, żeby nigdy się nie stać Martyną, tylko być środkowoeuropejską podróbką Bridget [ones, żyjącą w wiecznym "tymczasem". Ilekroć zadzwoni, łapię się na strachu, żeby zanadto nie rozpieścić swoich dziewczyn i na parę godzin stać się dla nich niepotrzebnie szorstki.

00

Chybiona próba wychowywania dzieci: "Zosiu, znowu oglądacie tę samą bajkę? W kółko to samo, ile razy można?!" "Oj, tatusiu, a ty przecież też chodzisz ciągle do tej samej telewizji, i możesz".

Trafiony, zatopiony.

00

Przy okazji pisania artykułu o tym samym co zawsze - link do starego wywiadu z Tuskiem, wyliczającym największe sukcesy pierwszego roku swych rządów. Sukces numer jeden: likwidacja zezwoleń budowlanych. Dodaję link do wyliczeń Centrum Adama Smitha, że uzyskanie "zezwolenia" wymagało czterech czynności prawnych, a teraz uzyskanie "zgody" (tym, że likwidacja wymogu "zezwolenia" polegała na zastąpieniu go wymogiem uzyskania "zgody" premier już się oczywiście nie chwalił) wymaga sześciu. No i najważniejsze: nowy ranking swobody gospodarczej Banku Światowego, w rok po tym

111

~-----~ -

największym z sukcesów jedynie słusznej władzy rozpoczęcie budowy wymaga w Polsce uzyskania 32 rozmaitych zezwoleń, co zajmuje średnio 311 dni. Na 183 badane państwa w tej kwestii jesteśmy na miejscu 164.

Nie chcę się robić purchlocentryczny; w którąkolwiek rubrykę spojrzeć, cały ten ranking stawia włosy na głowie - że daleko nam do Singapuru, USA, Wielkiej Brytanii czy Skandynawii to oczywiste, Turcja i Ghana też nie dziwi, ale aż tyle miejsc za Białorusią, Gruzją czy Macedonią? Biurokratyczny nowotwór przeżera wszystko, państwo puchnie, właśnie nie rośnie, tylko puchnie, jest coraz większe i coraz bardziej bezsilne, dlatego poszczególne jego organa pracują nie pod kontrolą żadnej władzy, choćby najgorszej, tylko jakichś gangów, mniej lub bardziej lokalnych. Ktoś ci robi konkurencję, psuje interesy? Idziesz do prokuratora albo skarbowki, gdzie akurat masz lepszy układ, i załatwiasz, żeby frajera "zajebali" pod byle lipnym zarzutem. Potem niech się odwołuje, za ileś tam lat wygra oczywiście, no i co? Nawet jeśli mu zapłacą odszkodowanie (przeważnie sąd orzeka, że wprawdzie było bezprawie, ale odszkodowanie nie przysługuje), to przecież z kieszeni podatników, a nie cwaniaczków, którzy może już zresztą w międzyczasie, jako sprawdzeni w terenie samorządowcy czy biznesmeni, wpadli w oko jakiemuś partyjnemu baronowi i z jego

łaski przeniesieni zostali do Warszawy, na bezpośrednie zaplecze rządu. Nawiasem, odzyskanie należności na drodze sądowej to w tym roku tylko 830 dni. Pamiętam czasy, kiedy było ponad tysiąc, a przecież o żadnej reformie czy usprawnieniu sądów nie słyszałem; pewnie po prostu mniejsze obciążenie, bo kto mądrzejszy już się nauczył, że trzeba sprawę załatwić polubownie albo pogodzić się grzecznie ze stratą i cieszyć, że chałupy nie podpalili.

Do gazety z tym - po co zachwaszczam prywatne zapiski?

Przecież nie jestem, do diabła, przynajmniej jeszcze, zepchnięty do dziennika jak Tyrmand czy Kisiel, nie muszę robić kroniki "czasu marnego" w skrywanym przed rewizją zeszytcie, mogę

112

pisać o wszystkim do gazet, do netu, "serce krwawić, duszę krwawić": i piszę, walę łbem o ściany, i jeszcze mi za to płacą, i nie brak czytelników, którzyślę mejle pełne podziwu dla mojej odwagi, życzenia i wyrazy otuchy. A mimo wszystko poczucie bezsilności takie samo, jakie przed laty odnajdywałem w tamtych powielaczowych wydawnictwach.

Tyrmand - wertowałem, wertowałem, aż znalazłem - o niejakim Koźniewskim, esbeckim kapusiu o kryptonimie „33" (oczywiście Tyrmand o jego kapowaniu nie wiedział, myślał, że do piorunującej kariery wystarczył sam konformizm): "Pracuje, osiąga i błyszczy. Co z tego, że jego powieści mają głębię komiksu i że to, co mówi, jest często cynicznym głupstwem. Ale działa, pruje przed siebie, daje z siebie - i mu za to płacą. Życie Kazika ma sens. A moje? Nikt nie chce ode mnie scenariuszy, nie błyszczyć, nie bywam, nie mam rangi, nie stoję na szczelbu. Po prostu nie ma mnie ... A co będzie, jeśli ja się mylę? Jeżeli oni są dobrzy a ja zły, oni mądrzy, a ja głupi, oni dalekowzroczni a ja ograniczony? Nic tylko zmarnowane życie, kibicowanie, ubocze, gorzkie rozżalenia przy wódce':

Wiesio czy Czarus, o Ciołku-pachołku nie wspominając, pewnie Tyrmanda nie czytali, ale właśnie ta opisana przez niego obawa musiała ich zgnębić i przywieść do upadku. To poczucie, że czas wsiąka jak resztkę rozlanej wody na pustyni, świat ucieka i scena polityczna zabetonowała się już na lata; a scena polityczna reglamentuje sukces nie tylko w polityce, nie zostaniesz uznanym artystą czy uczonym, nie będąc w Towarzystwie, nie zrobisz dobrego biznesu, nie będąc w jakiejś sitwie, a jeśli nawet zrobisz, Ferajna cię szybko zgnoi. Boję się, że i do mnie argumenty Irusia trafiają, bo podświadomie basuje im ten tyrmandowy lęk.

Tylko skąd on u mnie? Ja przecież nie muszę się bać "ubocza" i zmarnowanego życia. Kiedy dzieci zaczną pytać, jak to możliwe, że banda cwaniaczków tak zrujnowała państwo, zmarnowała niepodległość i niepowtarzalną międzynarodową koniunktę-

113

~ - - -

ry, jeszcze przy aplauzie tłuszczy, zachwyconej, że nic jej nie przeszkadza pożytkować kupionych na borg kielbasek do grilla i piwka, przy sondażach szybujących, jak pewnie szybowałyby za Augusta III Sasa, gdyby się wtedy w badanie opinii publicznej bawiono - to ja przynajmniej będę mógł ucziwie powiedzieć, że robiłem, co mogłem. Ja mam ten swój wysoki zamek, swoje hektary na wypadek, gdyby się zrobiło bardzo źle, swoje dziewczyny,

dla których jest sens żyć, i wcale nie małą grupę wiernych czytelników, choć może równie bezsilnych i zrozpaczonych. No i mam Oleńkę, która, kiedy wpadam w jakieś pisarskie narzekania, że nie czuję się dość doceniony i słuchany, ucina krótko: nie grzesz, już ty naprawdę nie masz prawa marudzić!

Dobrze, poczucie niedoceny, frustracje, to choroba zawodowa, rzeczywiście machnąć by na to ręką - ale przecież nie to mnie boli, że nie dostałem Nobla, za co zresztą niby, tylko że wszystko idzie swoją drogą, w złą stronę i coraz gorszą; mimo moich starań, krzyków, wyrywania sobie nad klawiaturą wątroby, ślęczenia nad tabelami czy grzebania w sieci, żeby jeszcze mocniej, jeszcze bardziej przekonująco przyszpilić ich kłamstwo - i proszę, przyszpilam, no i co, ktoś przemknie po tym wzrokiem, westchnie i wróci do swoich codziennych zajęć; albo i tego nie.

To wszystko przez tatę. On się też tak czasem męczył, chociaż nie chciał o tym gadać ze mną, za smarkaty byłem, ale widziałem - męczyło go to wszechobecne draństwo, złodziejstwo, głupota i bylejakość, a własna bezsilność najbardziej. Chory był na Polskę, której nie umiał pomóc, i przekazał mi tę chorobę w genach, tak samo jak cukrzycę. To, jak nie umiał się poddać entuzjazmowi "Solidarności" i temu romantyzmowi, że siedzimy przy bimbrze, wolno się kręci powielacz i tak dalej, jak i mnie próbował przed tym ochronić, może też było częścią tej choroby. A może jej powikłaniem.

Bo, teraz zrozumiałem, oto jest nieomylny znak, że wszedłeś w wiek dojrzały: uświadamiasz sobie, że w twoich młodzień-

114

",

czych, zajadłych sporach z ojcem, to jednak on miał rację. Synu, nie bądź głupi. Potrzebują frajerów, żeby za nich nadstawiali głowę, a jak już się po ich plecach wdrapia, to ani spojrzą w dół. To czerwoni paniczki, jedna rodzina, może akurat pokłócona, ale zawsze im będzie bliżej do tamtych - dzieci Róży Luksemburg, komunistycznych przechrztów, które nigdy w życiu nie były w Kościele, chyba że z nakazem rekwizycji, nigdy w domu nie miały choinki na wigilię, zresztą Chanuki też nie - niż do nas. Teraz się łaszą do Prymasa, do robotników, bo nas potrzebują, ale niech tamci tylko skiną na nich palcem, że pogódźmy się, my was tu dopuścimy do koryta, a wy nas tam poznajcie z zachodnimi salonami - to się nam znowu wezmą za rwanie paznokci. Myślałem, jest zgorzkniały, taka już starości uroda, ale dzisiaj co bym mu mógł powiedzieć?

Że wiesz, tato, chyba mnie jednak zaraziłeś tą nieufnością i teraz gnębi mnie coś jeszcze gorszego, o czym nie ma z kim pogadać. Czy nasza Polska, gdyby była, byłaby tak naprawdę inna? Czy towarzysz Kwiatkowski z Rywinem nie robiliby w niej patriotycznej i katolickiej telewizji, a Rysiu ze Zbysiem patriotycznych i katolickich przekrętów? Czy pan Purchel nie byłby tam, gdzie jest, z patriotyczno-katolickiej nominacji, a wiodące media nie kłajstrowałyby naj gorszego łajdactwa Bogiem i Ojczyzną, zamiast Europą? Ferajna, jaka by wyrosła pod skrzydłami Ojca Dyrektora, okupująca mu się ofiarami na zbożne dzieła, byłaby jakoś znacząco lepsza od tej, jaka rozkwitła w cieniu Michnika, oddając hołd wyznaczonym przez niego świętościom i sponsorując mitotwórstwo "wielkiego porozumienia Polaków z obu stron historycznego podziału"? Czy to by w ogóle była inna ferajna, czy dokładnie ci sami "specjaliści od śrub w samochodzie, odkręconych"?

To mnie męczy najbardziej, to mi uniemożliwia zidentyfikowanie się z grupą, rzucenie w wir walki z imieniem Kaczyńskiego czy kogo tam akurat trzeba na ustach. Męczy mnie, że to nie spisek, chociaż są spiski, nie mafia, chociaż to jest mafia,

115

ale - degeneracja, degeneracja i deprawacja totalna. A świnia to już przecież wiesz, tato - zawsze znajdzie błoto.

Męczy mnie jakieś widmowe odbicie w lustrze, że to ja wyciągam Irka na długie rozmowy w zaciszu gabinetu i tłumaczę mu, że ma rację, punktując wszystkie patologie pleniące się za fasadą Katolickiego Państwa Narodu Polskiego, ale tylko taką Polskę mamy, innej nie, i on też powinien coś dla niej zrobić. Że mówię to niby do niego, ale tak naprawdę do siebie, samego siebie chcąc żelazną, nieodpartą logiką politycznej analizy utwierdzić w przekonaniu, że nie ma innej drogi, niż ta, którą idę, nawet jeśli coraz bardziej kręta, po bokach robi się stromo, a cel się nie wiadomo kiedy kompletnie zamglił.

A jeśli nawet tak jest, Irek sam nie jest pewien i po to mnie właśnie potrzebuje, żebym go wsparł w woli zrobienia politycznej kariery - to czy nie powinienem go mimo wszystko poprzeć? Spójrzmy na to tak: w 1918 roku jeszcze byliśmy w stanie odrodzić państwo. Relatywnie znacznie słabsze niż przedrozbiorowe, ale sprawne. Mieliśmy kadry wychowanych u zaborców prawników, skarbowców, urzędników administracji, oficerów. Nie udało się zbudować demokracji, ale państwo - tak. A teraz mamy już tylko peerelowską ludożerę, degenerację i rozpad. Jak opuszczone przez białych państwa kolonialne, funkcjonujemy siłą rozpędu, powoli się rozpadając, w miarę, jak rozsypują się nieremontowane koleje, a struktury państwa przegryza erozja korupcji, mafijności i walka plemion. No, to jeśli się tyle razy pisało pod własnym nazwiskiem, że państwo powinno być dla Polaków dobrem nadrzędnym, faktycznie trzeba wyciągnąć z tego logiczne wnioski.

Jezu, zaczyna się ze mnie robić typowy inteligencik, specjalista od dzielenia włosa na czworo, pławiący się w niezdolności do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

00

To jest dobre, chociaż jeszcze nie wiem, co z tym zrobić: w ubiegłym roku służby specjalne wystąpiły do operatorów

116

L,

komórkowych o udostępnienie bilingów lub włącznie podsłuchu na telefon obywatela ponad milion razy. Statystycznie - 27,5 wniosku na 1000 dorosłych obywateli. Dla porównania Niemczech jest to 0,2 wniosku na tysiąc. W Wielkiej Brytanii jest 8 na tysiąc, no, ale tam jest przecież autentyczny terroryzm, krwawe zamachy, IRA i bardzo liczna społeczność fanatycznych muzułmanów, prowadzących otwartą wojnę z państwem, na terenie którego się znajdują. Ale u nas jest za to aż dziewięć różnych służb specjalnych obdarowanych prawem do zakładania podsłuchu. No i bezkarność taka, że niedawno przecież ubecy posunęli się do przedłożenia w sądzie, w cywilnej sprawie przeciwko dziennikarzowi, zapisów z nielegalnie

zdobytego podsłuchu jako dowodu. Jak się zrobił wokół sprawy hałas, to jak gdyby nigdy nic "dowód" wycofali, i tyle, żadnych konsekwencji.

A ja się i tak mniej obawiam władzy - ta władza nas przecież podsłuchuje tylko z miłości, nie tak jak poprzednia, w złych intencjach - niż faktycznego "sprywatyzowania" tego całego interesu. Dlaczegoż by wywiad czy ABW, nie mówiąc już o jakichś "wywiadach skarbowych", miały być w Polsce wyjątkiem i działać inaczej niż wszystkie agendy państwa i samorządu? Masz kasę albo znajomego w służbach i chcesz się dowiedzieć, czy czegoś tam nie skrywa przed tobą wspólnik albo konkubina - no to idziesz i załatwiasz, rozpiszą to jako lipną sprawę i już. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że nawet nie trzeba mieć znajomości aż w służbach, wystarczy znać kogoś w telefonii komórkowej, a obejdzie się bez żadnych formalnych wniosków.

00

Przestań ciągle o polityce, pisz o duszy - śmieje się znowu Oleńka, zawsze się zastanawiam, przekomarza się, czy naprawdę uważa, że mógłbym coś wielkiego odkryć? Chyba to pierwsze. Raz jeden w życiu napisałem rzecz .bebechową" - nie żeby aż pamiętniczek intymny, ale musiałem odreagować, sam właściwie nie wiem co, chyba głównie wstręt i politowanie dla samego

117

siebie po nieudanym małżeństwie, niegodnym mężczyzny sposobie, w jaki je zakończyłem, i groteskowym, jak na siebie patrzę z czasowego dystansu, okresie seksualnego wyzwolenia. A niech tam: pojechałem po mrocznych zakamarkach duszy własnej i spowinowaconych, nie oglądając się ani na fabułę, ani na przyzwoitość, ani czy ktokolwiek to będzie czytał i, jak przeczyta, czy mu się spodoba, czy go odrzuci. Książka się nawet nieźle sprzedała, głównie dzięki obscenom, ale recenzje wszystkie były w jednym duchu. Jak to ujęła jedna pańcia (ale to trzeba odpowiednio przeczytać, ze zmarszczonym noskiem i buzią w ciup): niestety, gołym okiem widać, że autor złożył swoją opowieść z wyświechtanych schematów literatury wagonowej.

Najpierw się zezłościłem, potem uśmiełem, a w końcu doszedłem do wniosku, że to w sumie prawda. Widać taką mam właśnie duszę: schematyczną. I także duszne rozterki - typowe i banalne. I będę z tego dumny. Proszę bardzo, jestem człowiek prosty, wryćkany z jednego kłoca, i jak mnie kto takiego nie lubi, to jego strata, a nie moja. Nie będę pisał, jaki jestem, bo jestem normalny, niech nawet będzie przeciętny, i nic w tym nie ma ciekawego do rozbabrywania. Ciekawe mogą być najwyżej rzeczy, które chcę wam powiedzieć o "coraz bardziej nas otaczającej rzeczywistości", o tym, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy, z czego będziemy musieli się u końca drogi rozliczyć, co robimy swoim dzieciom, swoim rodzicom, bliźnim.

"Młoda dusza" - podsumowała mnie kiedyś pewna niewiasta, cokolwiek zaburzona w klimaty ezoteryczne, i jeśli dobrze odczytałem mowę ciała, nie było to wyrazem podziwu. Ale ja tam nie mam nic przeciwko, żeby posiadać raczej "młodsza" duszę niż "starsza": To, co tu godzinami wstukuję, to i tak drobna część zdań i akapitów, które mi się rodzą w głowie, zwłaszcza podczas codziennego wydeptywania stepera; gdybym był bardziej skłonny do zachwyty nad swą twórczością, kupiłbym sobie dyktafon i bez przerwy do niego gadał. Byłoby tam, co Rafalski

V" L

sądzi o wszystkim, o czym tylko może cokolwiek sądzić, poza jednym jedynym tematem - jego duszy. I niech tak zostanie.

Oczywiście, mówiąc poważnie, takie beżładne nagrywanie kompletnie nie miałoby sensu. Sztuka pisania polega na kondensowaniu, ściskaniu, sprężaniu i emocjonalnym potęgowaniu tego, co przychodzi do głowy, w nadziei, że słowa ulegną zjawisku analogicznemu do procesu chemicznego (czy fizycznego?), który sprawia, że zwykły węgiel pod ogromnym ciśnieniem i w odpowiedniej temperaturze staje się diamentem. To dlatego wielu pisarze prywatnie rozczarowują i okazują się głupkami, a tak na życie najporządniejszymi facetami są ci akurat niespecjalnie wielu. Bo wielki pisarz całą dawkę wszelkiego rodzaju wielkości daną mu na dzień wypala w jednym zdaniu. Im większy, tym bardziej na życie nic mu już nie zostaje. A ludzie, znając go ze skondensowanej mądrości, spodziewają się Bóg wie czego.

O, wyszło nawet coś o duszy. Nie mojej, co prawda, tylko ogólnie o duszy pisarza, ale zamówienie tego nie precyzowało.

00

Jak na zawołanie, odezwał się Irek. Najpierw, oczywiście, jak tam zdrowie, na pewno nie potrzebujesz pomocy, jakbyś potrzebował to pamiętaj, że dla mnie żaden kłopot i tak dalej - właśnie przelatuję przez twoją okolicę, jest szybka sprawa, coś ci muszę powiedzieć. Jesteś w domu, dobrze - a nieopatrznie od razu się przyznałem, że jestem w domu, może mnie specjalnie tak sprytnie na początku podpytał, że nie mogłem zaprzeczyć - no to w tym american grillu na rogu, jakieś sałatki i mięso

. z grilla to chyba możesz, znakomicie, to za godzinę będę.

Poszedłem nawet z ciekawością, bo już dłuższy czas nie rozmawialiśmy, z czym wyskoczy. Ku memu zdziwieniu, okazało się, że potrzebował się pochwalić. Chodzi o gaz, o ten kontrakt z Ruskimi. Tragedia, prawda? Od kilkunastu lat niby wszyscy Wiedzieli, od tylu lat się gadało o dywersyfikacji, Kaczor tupął

119

nogą i się zarzekał, i co? A my się nie postawiliśmy - masz rację, bo nie mogliśmy, bo w puli jest za wiele spraw, nie mogliśmy tak wprost posłać Ruskich na drzewo. Zaręczam ci, że jak poznasz szczegóły, to się ze mną zgodzisz, Tusk musiał to Pawlakowi podżyrować, nie miał ruchu. A! I wcale nie, właśnie o to chodzi, że nie! Bo ten narzucony przez Gazprom kontrakt, żeby wszedł w życie, musi jeszcze zostać klepnięty przez Brukselę, a nie zostanie. No to ja ci mówię, bo wiem na pewno, za kilka dni się przekonasz. Podpisać musieliśmy, ale jednocześnie, dzięki temu, że od kilku lat pracujemy nad kontaktami w Komisji Europejskiej, możemy być pewni, że Komisarz to zablokuje. I my w tedy przed Ruskimi rozłożymy ręce i powiemy - no cóż możemy, my byśmy z wami chcieli jak najlepiej, ale sami widzicie. Dokładnie tak samo, jak oni to zwykle robią,



Irek wydawał się z siebie dumny, jakby to rzeczywiście on sam uknuł międzynarodową intrygę, sam osobiście przekonał belgijskiego komisarza - a tak naprawdę Niemców - do ogrania Gazpromu w kółeczko. Jeśli jest rzeczywiście tak, jak mówi, to trudno mu nie przyznać racji. A czy jest? Bóg raczy wiedzieć. Irek twierdzi, że sprawa jest przesądzona, że za karę, że dużo na nas chcieli wymusić, będą teraz musieli negocjować bezpośrednio z Brukselą, która wchodzi do gry po naszej stronie. To jest właśnie realna polityka, upaja się tymi dwoma słowami, a nie potrząsanie szabelką i wygrażanie, że Katyń pomścimy!

W sumie, jeśli to się potwierdzi, to powinienem generalnie przemyśleć, czy upór, żeby trzymać dystans i pozostać przy pisaniu, rzeczywiście ma sens; powinienem być jego zachowaniem zirytowany. Ale jakoś przeważa, że, tak zwyczajnie, po ludzku, miło było widzieć, jak ktoś, już nawet nieważne, że stary przyjaciel, przeżywa uniesienie sukcesem, że jest zadowolony, pewny swego, pewny, że sprawy idą w dobrą stronę. Bo w zasadzie po to tylko chciał się spotkać i zjeść ze mną obiad, żeby się podzielić swoją radością i dumą. Wbrew wszystkiemu co mówię i piszę, właśnie to wywarło na mnie znacznie silniejsze wrażenie, niż

120

rzeczowe, logiczne i nieodparte argumenty z dziedziny geopolityki i niezmiennych interesów narodów oraz państw.

Niedziela (wieczór) (noc)

Z oczami wszystko okazało się w porządku - to znaczy, nie wszystko, prawie, ale akurat jeśli chodzi o cukrzycę, to okulista zapewnił, że do żadnych zmian jeszcze nie doszło. Czyli miałem szczęście, aż nie chce mi się wierzyć - badania skompletowane, i jak je wziąć do kupy, to właściwie nie ma się czego czepić, poza cukrem. A i cukier, póki trzymam dietę i codziennie sobie aplikuję te zalecone trzy kwadransy-godzinę wysiłku, siedzi ładnie w normach. Pewnie, skoro nie jem żadnych zupełnie węglowodanów ani tłuszczu, to na razie ten cukier nie ma się skąd brać, ale długo tak na samych rzodkiewkach i filetach nie można, zabawa się pewnie zacznie, jak będę musiał wprowadzić jakieś kasze, oliwę i tak dalej. Ale na razie - mam wrażenie, że Bóg mnie tymi wynikami nagroził za podjęcie jedynie słusznej decyzji. Trochę po dzisiejszej wizycie odetchnąłem. Trochę, bo gdzieś w głębi czai się obawa, że zbyt ładnie to wygląda, coś się zaraz okaże paskudnego.

Leków zapisanych przez panią doktor w każdym razie wciąż nie biorę. Wykupiłem, ale postanowiłem na razie nie brać. Kontroluję cukier na bieżąco, więc gdyby co, zdążę zareagować.

Oleńka się ucieszyła strasznie; marnie widziałem, bo po prostu od dawna nie zmieniałem okularów, a czas swoje robi, zaniedbałem, doktor dał mi silniejsze szkła, i tyle. A to "prawie" to ciśnienie, ale nie takie normalne, obwodowe - no, rzeczywiście, trochę tu te naczynka poprzesuwane, jak to ujął okulista przy badaniu, ale to w ogóle nie problem, chudną przecież, a spadek Wagi obniży też ciśnienie, w naturalny sposób. Wykrył mi za to, że mam za duże ciśnienie w gałce ocznej; nawet nie wiedziałem, że coś takiego jest - ciśnienie w gałce ocznej. W każdym razie nie ma nic wspólnego z ciśnieniem obwodowym, ani od niego nie zależy. Medycyna XXI wieku nie wie, z czego to nadmierne

121

ciśnienie wewnątrz gałki ocznej się bierze, poza obserwacją, że częściej się przydarza krótkowidzom. Ale wie, że nieleczone powoduje jaskrę i ślepotę; na szczęście wynalazła też stosowne krople. Codziennie rano i wieczorem, i po problemie, byle tylko pamiętać. Jak długo? Tak, jak mówiła już pani doktor - jak będę brać regularnie, to długo.

Niby to tylko krople do oczu, ale jakoś człowiekowi tak ...

Jakby się jakieś drzwi zatrzasnęły za plecami. Do końca życia nigdzie się nie będziesz mógł ruszyć bez lekarstw, do końca życia nie będziesz mógł normalnie - skreślić to słowo, "normalnie" to znaczy teraz chudziutko i zdrowo - zjeść, i o alkoholu też trzeba zapomnieć. Mam wrażenie, że nawet Ola, co dopiero mówić o innych, patrzy na mnie z cieniem obawy: wytrzymasz?

Ale i z nadzieją, że tak. W końcu - jej facet, wiadomo.

- Kotku, za dużo mam do stracenia - staram się ją utwierdzić w niewzruszonej pewności. A co do "fiskiego", szczęśliwie prawie wszystkiego zdążyłem już spróbować. I blendów, i maltów, i burbona, i różnych dobrych win. Mam o, tu, postukuję palcem w czaszkę, na twardym dysku, zapisane, i wystarczy. To akurat fakt - zawsze, jak miałem akurat pieniądze kupić sobie jakąś bajerancką flaszkę, mówiłem: trzeba spróbować, póki człowiek może i póki go stać, żeby potem nie było żal. „1 to była słuszna koncepcja jak najbardziej” Rezerwuję sobie prawo do szampana, jak będę wydawać za męża córki, i wystarczy.

W każdym razie - retinopatii nie stwierdzono, podpisano, podstemplowano, dokładałam do czerwonej teczki z wynikami, przygotowywanej na kolejną wizytę u pani doktor.

Z godzinnej wizyty te sprawy zajęły może z dziesięć, piętnaście minut. Doktor wypisał, co miał do wypisania, ułożył recepty i skierowania na kupkę, podrapał się nad uchem, westchnął i zaczął:

- No i jak to z tym wszystkim będzie, panie redaktorze? Jak ja kocham to pytanie. No dawaj, Rafalski, pokazujesz gębę w telewizji, jesteś pan redaktor, to teraz uspokój człowieka, bo

122

przecież o to właśnie w tym pytaniu chodzi, czy je zadaje taksówkarz, czy sklepowa, czy adiunkt: żebyś ich jako fachowiec uspokoił. Żebyś zapewnił, że będzie jakoś, może nie jakbyśmy chcieli, ale nie zawali nam się ten cały interes na głowy.

A ja mam rosnące z każdym miesiącem przekonanie, że właśnie wręcz przeciwnie.

Do głowy by mi w młodości nie przyszło, że za swojego życia zobaczę wolną Polskę, A jeszcze bardziej, że kiedy się ten cud stanie, to że w tej wymarzonej wolnej Polsce będzie tyle samotriumfującego, rozzuchwalonego bezkarnością kłamstwa, draństwa i zbydlęcenia władzy, co w "prylu": Że tak samo rządzić wszystkim będą sitwy i układy, będzie się ludzi mądrych i uczciwych sekować, a lizusostwo, głupota i gnidzie służalstwo pozostaną najskuteczniejszą przepustką do kariery. A już to, że przyjdzie mi z wiekiem także patrzeć bezsilnie, jak ta wolna Polska gnije, rozpada się i ofiarowaną kaprysem historii niepodległość znowu traci, za dawnych czasów nie pomieściłoby mi się w głowie do kwadratu.

- No, a co może być - uruchamiam jeden ze swoich grepsów. - Jak wszyscy krowę doją, a nikt jej nie karmi, to w końcu musi paść.

Reakcja też jest zawsze taka sama: no chyba nie będzie aż tak źle. Dlaczego nie? No bo jakoś się chyba uda. Nasza odwieczna beztroska, która pozwala narodowi przetrwać złe czasy, ale za to uniemożliwia wykorzystanie dobrych. A może to po prostu normalna, ogólnoludzka potrzeba odsunięcia jakoś od siebie czarnych myśli, zwłaszcza jeśli nic konstruktywnego z nich nie wynika.

Mówię, niechętnie, ale doktor wyciąga ze mnie zdanie po zdaniu, o zadłużeniu państwa, o tym, jak jest zamiatane pod dywan w krajowych statystykach, ale w danych Eurostatu wszystko pięknie wyłazi na wierzch, mówię o tym, że się skończyła koniunktura międzynarodowa, Ameryka wycofuje się z Europy, Niemcy już się wyleczyły z kompleksu winowaj-

123

ców, Rosja otrząsnęła z szoku po przegranej zimnej wojnie, a Unia się skichała i cała europejska polityka wraca w koleiny z czasów Bismarcka i księcia Gorczakowa: koncert mocarstw, w którym Polska tylko wszystkim zawadza, zwłaszcza, skoro nie jest w stanie wyłonić żadnej sensownej państwowej elity, wypełnić podstawowych oczekiwań, jakie ma wobec niej Europa, nawet zbudować tranzytowych dróg i utrzymać w jako takim stanie magistrali kolejowych. Mówię o negatywnym doborze, o biurokracji rozrastającej się niepowstrzymanie jak rak, o erozji puchnącego w ten sposób państwa, w którym codziennie jakieś sitwy rozmontowują kolejny kawałek konstrukcji, żeby łatwiej było im kręcić lody, o płynącej stąd totalnej, saskiej niemożności, bo to państwo jest już totalnie bezradne, nie radzi sobie z niczym, poza gigantycznym, nieustannym dojeniem, strzyżeniem i łupieniem obywatela, który z kolei jak może stara się to sobie odkraść na publicznym majątku. Mogę o tym naprawdę mówić długo, nie powtarzając ani jednego faktu, liczby ani argumentu dwa razy, jestem z zawodu Kasandrą, wołanie na puszczy i rzucanie grochem o ścianę, albo i nawet walenie w nią głową, to moja specjalność. Proszę bardzo, o której katastrofie wygłosić dziś tyradę? O sypiącej się kolei, służbie zdrowia, o braku jakiegokolwiek przemysłanej polityki zagranicznej, o armii, której nie ma, bo na obiecane uzawodowienie nie ma pieniędzy, a pobór zlikwidowano, żeby zyskać głosy młodzieży? Może o szkole, w której sztandarowymi reformami staje się likwidowanie kolejnych przedmiotów i obcinanie programów, wedle wzorców płynących z metropolii, z cywilizacyjnego centrum: dziesięciolatki piją i biorą narkotyki, dwunastolatki się mordują, czternastolatki zachodzą w ciążę, a szesnastolatki dostają świadectwa maturalne i nie są ich w stanie przeczytać? O "służbie publicznej" złożonej z samych synekur dla krewnych, znajomych i kolesiów, urzędach traktowanych jako łupy dla polityków, partiach zamienionych w dwory politycznych hersztów, otoczonych stadami cwaniaków, którzy poszli w politykę tylko dla jednego celu, ustaWić

124

siebie, rodzinę, znajomych - aby tylko doić, szabrować wszystko, co wpadnie w ręce, co jeszcze można, na tysiące sposobów, z nieskończoną pomysłowością?

Długo tak można, aż w końcu prędzej czy później padnie kolejne nieuchronne pytanie - no to na kogo głosować? Znowu, wydaje się ludziom, że oni może nie, ale taki redaktor to po prostu musi to wiedzieć.

No wie pan, panie doktorze, w tej chwili to wybór mamy taki, że albo sekta, albo mafia. Ja akurat wolę z dwojga złego sektę, ale większość kombinuje tak, że z gangsterem wiadomo, czego się spodziewać, okrada, ale daje żyć, a inkwizytorowi można podpaść nie wiadomo czym i kiedy.

- Aż mafia, nie przesadza pan?

- A pan ma jeszcze jakieś złudzenia? Bo ja myślę, że do

tej afery jeszcze można było mieć, ale teraz już żadnych. Przecież tak samo jak z Rywinem, przychodzi Rysiu i załatwia sobie ustawę. Tylko Miller i Kwaśniewski się okazali frajerami, bo pozwolili na jakąś komisję, na dochodzenia, i się wszystko wysypało. A ci teraz już nie mają żadnych skrupułów: zamietli, ukręcili łeb, CBA zaorane, komisja sejmowa wzięta za pysk, publika ogłupiona jakąś pic-ustawą. "Zamotaj dobrze węzeł, końce rzuć do wody": Więcej już ich nikt nie podsłucha, a jak nawet podsłucha, to tylko dla jakiejś wewnętrznej dintojry, bo na zewnątrz tego nie wyniesie. A zresztą już nie będzie miał do kogo wynieść, bo mediom też zaraz kaganiec założą.

Kiwa głową, bo cóż, z jednej strony trudno mu się nie zgodzić, a z drugiej:

- No, ale ten Kaczyński, sam pan przecież ... Nie do przyjęcia. Strach.

I to w zasadzie tyle - rozmowa numer jeden, wariant cz inteligentem". Trzeba Kaczorowi przyznać, że jedno potrafił genialnie: przestraszyć ludzi. Wszystkich, od góry do samego dołu. Też Swoista sztuka: wszystkich uderzyć, i to wszystkich naraz, a nikogo nie zabić, wszystkich obrócić przeciwko sobie, a ni-

125

komu nie zaszkodzić. Cóż za idiotyczny pomysł, w kraju, gdzie od wieków radzenia sobie z zaborcami i okupantami wszyscy przyzwyczaili się kombinować i kręcić, gdzie wszystko jakoś się posuwa do przodu wbrew systemowemu idiotyzmowi tylko dzięki smarowi nepotyzmu, wymiany przysług, przymykania oczu, i wszyscy to uważają za normalność - robić sobie sztandar z "oczyszczania" i "walki z korupcją"? Walcz z korupcją, oczywiście, jak to ma znaczyć łapanie jakichś wielkich bogaczy, oligarchów, milionerów, proszę bardzo, kto by ich lubił.

. Ale uderzać w lekarzy biorących koperty? Urządzać im desanty komandosów na dach i wyprowadzać ze szpitala w kajdankach, pod kamerami? Za zwykłe kopertówki? A kto ich nie bierze, i kto ich nie daje, i kto w tym widzi coś złego, skoro taki lekarz oficjalnie zarabia jakieś tam minimum socjalne?

No, jeśli zaczynają zamykać lekarzy, to znaczy, że mogą zamknąć każdego. No bo kto, gdyby się tak zasadniczo do sprawy odnieść, jest w stanie żyć, nic nie biorąc i nic nie dając? Nie w tym kraju, nie w dwadzieścia zaledwie lat po przemianowaniu "prylu" na "III Rzeczpospolitą". I jeszcze długo nie.

Trochę wybiegam do przodu, bo to myśli po wieczornej rozmowie z teściem, o cholernym Purchlu, Tak się dziwnie dzień ułożył, że się jedno z drugim splotło, wyszedłem od okulisty, kupiłem leki i pojechaliśmy do teściów. Teściowie, pod miastem, mają kawałek ogrodu, las pod bokiem, dla dzieci wychowywanych w centrum miasta to nieocenione miejsce na weekend.

A poza tym przyjemnie się z nimi spędza czas.

Nic tak ludzi nie charakteryzuje, jak ulubiony żart. Na przykład tato naj chętniej opowiadał taką historię, jak go za "Solidarności" zaprosili, pana inżyniera, o którym wszyscy wiedzieli, że nie jest z szefostwem zblatowany, na masówkę, co tu zrobić z willami, których sobie nabudowali siłami przedsiębiorstwa gierkowscy prominenci. Chałupy po zbójcu, w niektórych nawet złote zyrandole, specjalnie sprowadzone, ubecja pilnbwała w czasie montażu, żeby nikt sobie nie odłamał takiego złotego

126

listka, i jeszcze w pięknej przyrodzie, bo w parkach narodowych - wszyscy oczywiście wiedzieli, że zamiast montować hale fabryczne przedsiębiorstwo stawia komuchom takie domki, i wszyscy ten układ dyrektora z jakimiś kacykami czy nawet samym politbiurem akceptowali, bo dzięki temu były premie, talony i inne preferencje, i dla prostego pracownika zysk, szło sobie przecież na tych budowach nieźle dorobić. No, ale teraz "Solidarność": witaj sierpniowa jutrzeńko, teraz wszyscy oburzeni, i licytują się: przekazać na szkoły! Na szpitale! Na żłobki! Na cholere żłobki czy szkoła w szczerym polu, albo jak urządzić szpital w luksusowej willi nad jeziorem, nikt oczywiście nie zapyta. Aż tu, opowiada tato, i już się zaśmiewa, wstaje jeden stary majster i mówi: co wy tu gadacie?! Ja wam mówię, najlepiej to rozdać od razu nowym prominentom, i tym z "Solidarności" też, żebyśmy nie musieli drugi raz wszystkiego od nowa budować. Aż mu poszedłem pogratulować, panie, ale żeś pan dobrze powiedział, śmiał się tato, i omalże to widzę, jak przepycha się do tego majstra, żeby mu przybić grabę, a z natury przecież zbyt wylewny nie był. Cały tato właśnie, niczego dobrego się po ludziach nie spodziewał, a jeśli już, to po tych prostych, po zwykłych majstrach czy robotnikach, miał z nimi wspólny język, a w biurze się męczył.

A ulubiony żart teścia to ten o facecie, co się spowiadał: - Proszę księdza, ja byłem komunistą. - No co ty, synu, mówisz, komunistą, jak to? - No tak, proszę księdza, do partii należałem, płaciłem składki, chodziłem na zebrania i pochody ... - A czy ty, synu, masz dzisiaj willę? - No nie, w bloku mieszkam. - A jaki masz samochód? - Małego fiata. - Udziały W SPÓłkach? - No nie, skąd? - Synu, to ty nie byłeś żadnym komunistą, tylko zwykłym głupkiem.

Opowiada ten żart z dużą dawką autoironii - przez wiele lat siedział w NIK-u, tłukł się po kraju w delegacjach i na ~oniec został właśnie jak ten facet z kawału. Na usprawiedliwienie mogę powiedzieć tyle, że miał lewicowe obciążenie

127

dziedziczne, dziadek Oleńki był przed wojną nauczycielem, nawet dyrektorem szkoły w małym miasteczku pod Toruniem. Pamiatką po tym fakcie jest stary, piękny fortepian, który przechował się u rodziny, jeszcze z napisem "Petersburg" - już po tym, jak Niemcy uciekli i

dziadek mógł się wreszcie przestać ukrywać, przywiózł mu ten fortepian miejscowy dziedzic. "Pan jest nauczycielem, powie pan, że to dla szkoły, to może Sowietci uszanują, bo we dworze zniszczą, wszystko, czego nie mogą zabrać, to niszczą". Po tym dziedzicu i jego rodzinie zresztą ślad zaginął, a fortepian Oleńka ściągnęła parę lat temu od dalszych krewnych, u których stał te wszystkie lata i właśnie się zastanawiamy, co z nim zrobić; żal, żeby niszczał, a wyremontować - koszt straszny. Ale fajnie by było, gdyby dziewczyny grały na fortepianie. Tylko tak, w domu, oczywiście, bo generalnie to artystów już w tej rodzinie wystarczy, i tego bym

dla nich nie chciał.

W każdym razie teść, wbrew wszczepionym przez ojca po-

głodom, dopiero po upadku ustroju sprawiedliwości społecznej rozwinął skrzydła - jako prawnik z nikowskim doświadczeniem, i jeszcze na 'dodatek uczciwy, stał się cennym nabytkiem dla wchodzącej na rynek zachodniej firmy, a potem założył kancelarię jako radca. No i zrobił interes życia, kupując kawałek ziemi pod Warszawą, kiedy jeszcze kosztowała grosze; właśnie pierwsze w życiu osobiste doświadczenia z klasą robotniczą podczas budowy domu skutecznie wyleczyły go z bronowickiej "wrażliwości społecznej". Ale zniósł ten upadek ideałów bez szczególnej goryczy. Uczucie goryczy wydaje się zresztą zupełnie obce jego naturze, nie spotkałem w życiu człowieka, który by go przebijał w wielbionej przez jankesów sztuce "pozytywnego myślenia". A poza tym - "znać był z przyrodzenia krotochfilny i za kawalerskich lat musiał moc figlów napłatać". Zresztą, nie wypada mi się domyślać, a tym bardziej pytać, ale nie tylko za kawalerskich; teściowa na szczęście jest z tych "cichych i pokornego serca", do których należy królestwo niebieskie, bo gdyby

128

nie była, to z tak rozrywkowym ojcem sytuacja rodzinna mojej ukochanej mogłaby być znacznie bardziej skomplikowana.

Teść, osiadając paręnaście lat temu pod Warszawą, zaburzył gminny ekosystem; myślę, że nieświadomie, ale gdyby wiedział, jakie będą skutki, zrobiłby to jeszcze szybciej i z jeszcze większym przytupem: Zaczął miejscowemu chłopstwu udzielać porad prawnych, tak po sąsiedzku. Dotąd miejscowe kacyki robiły z każdym co chciały, a tu się nagle zjawiał pan mecenas i zaczął im buntować chłopstwo. No więc najpierw go próbowali pozyskać, teść, a jakże, lubić się możemy, czemu nie, ale prawo jest prawem, pewne zasady muszą obowiązywać. No to zaczęli go zmiękczać. Błąd, bo teść potraktował to jak sport, oczywiście w rejonowym sądzie przegrywał, bo wszyscy tu zblatowani, ale pisał cierpliwie odwołania, potem kolejne, i w końcu tak coś ze cztery sprawy wygrał. Przy okazji zyskał lokalną sławę, ktoś komuś opowiedział, że jest tu taki mecenas, co chłopom pisze za darmo pisma i nawet udało mu się parę razy z władzą wygrać, i w ten sposób teść został na pewien czas doradcą rolniczej "Solidarności": Ale, najciekawsze, fakt, że mój teść zna się doskonale z mężem mojej siostry, odkryliśmy przypadkiem, rozmawiając sobie o wszystkim i o niczym dopiero jakiś rok czy dwa po naszym z Oleńką ślubie.

No tak, ale to wszystko zdaje się należy już do przeszłości.

Parędziesiąt lat palenia zrobiło swoje, teść zaczyna mieć ataki duszniczy, coraz trudniej mu chodzić, napić też się już nie możemy, bo potem całą noc ledwie zipie ... Najpierw próbował

się nie przyznawać, teraz już, pytany o zdrowie, wzrusza ramionami i mówi zwykle: "a, kiedyś człowiek na kacu czuł się lepiej, niż teraz na trzeźwo": A dzisiaj powiedział: "na starość jeszcze lekarstwa nie wynaleźli" - od razu na początku dreszcz mnie przeszedł, no i rzeczywiście, jak Mania i Zosia poszły się bawić z dziećmi sąsiadów, trącił mnie, "chodź, pokażę ci, jak nowe krzaki już odbiły, a dziewczyny niech tu sobie pogadają o swoich sprawach".

129

Wiem oczywiście, że nie chodzi o żadne nasadzenia, że do czegoś się zbiera, ale najpierw musimy sobie pogadać trochę, czego tu jeszcze nie posadzi, żeby dzieciaki miały w lecie jeszcze więcej do zbuszowania - czekam. W końcu:

\_ Wiesz, z tymi tam to już mam tego dosyć. - I po długiej

chwili milczenia: - Trzeba to będzie jakoś skończyć.

Nic nie mówię. Uświadamiam sobie tylko, że teść mówi głosem człowieka zmęczonego, jak nie on.

\_ Jak oni się znowu rozbezczelnili - ciągnie - to już dawno nie pamiętam.

\_ No, przestali się bać - przytakuję. Od wszystkich to

słyszę, gdziekolwiek pojedę: czas jakiś temu trochę się miarkowali, że ktoś ich może nagra, albo że poszczuje CBA. Ale po spektakularnym ukręceniu łba aferze hazardowej lęk skończył się definitywnie. Sygnał do wszystkich prowincjonalnych cwaniaczków, wszystkich Rysiów i Grzechów spotykających się po cmentarzach i kręcących lody na potęgę poszedł jasny: trzymajcie z premierem, płacie swoją dolę na partię, a partia was obroni. Świadków się nie pozwoli wezwać ani przesłuchać, papiery się zgubią, telewizje, też zblatowane, zrobią ze złodziei ofiary prześladowań i zgnoją tych, co ich zakapowali, a jeszcze wszystko rękami byłego prezesa NIK -lepiej Tusk tego nie mógł wymyślić, żeby dać wszystkim sygnał nie do przegapienia. I sygnał został zrozumiany: hulaj dusza, byle mu nie podskakiwać, to pod taką krysą możemy wszystko.

\_ Przestali się już bać zupełnie - powtarza teść. - On mi mówi. ...

- Ten Purchel?

\_ Taki jego pomagier, on mówi do adwokata, do adwokata,

rozumiesz, zupełnie otwarcie, że albo weźmiemy jego znajomą architekt do zrobienia projektu zamiennego, albo się nie odczepi aż do śmierci. My się odwołamy, to on się odwoła, przegra, to wymyśli coś nowego. Teraz zażądał atestów na materiały budowlane ... po trzech latach ...

Nie chce mi się sprawdzać, ale chyba jeszcze tego nie zapisałem - ostatnia wojna z Purchlem toczy się o rozbudowę domu, właściwie o dokończenie jej, po latach, według pierwotnego projektu zadaszeniem tarasu. Taki jest pretekst. Rozbudowa była zgłoszona, urząd w ustawowym terminie nie wyraził skutecznego sprzeciwu, bo przegapił, ale potem jak gdyby nigdy nic Purchel nałożył karę, którą oczywiście inspekcja wojewódzka unieważniła, ale zanim ją unieważniła, ten wyznaczył kontrolę, teść kontroli nie wpuścił, tym bardziej, że w panującym w powiecie bałaganie nie chciało im się nawet prawidłowo wpisać numeru domu, więc kolejna kara, kolejne odwołanie - skoroszyty puchną.

- Zamęczą - mówi teść. Krótko i treściwie, o to właśnie chodzi: żeby zamęczyć. Po to jest polskie państwo, którego niezatapialnym przedstawicielem jest inspektor powiatowy Purchel, lokalny mafijny capo układu spajającego okolicę i wrastającego w struktury województwa, ministerstw i urzędów.

- No tak. .. - co mam powiedzieć? Mogę powiedzieć, że właściwie już wcześniej nie wierzyłem, żeby powierzenie sprawy adwokatowi mogło coś zmienić. Ten adwokat to jakiś stary znajomy teścia, jeszcze z dawniejszych czasów, podjął się zająć sprawą, i teść chyba liczył, że kiedy takie, w końcu, prowincjonalne cwaniaczki zobaczą adwokata z dużej warszawskiej kancelarii, to może się złęką i wreszcie odpuszczą. Ja nie liczyłem. Czesław, szef wielkiej firmy projektowej, robiącej duże inwestycje w największych polskich miastach, swego czasu polityk z pierwszych stron gazet, były poseł, nawet przewodniczący sejmowej komisji, OPOwiadał, jak skończył niedawno biurowiec. Przyjechał pan inspektor z nadzoru, nawet nie rzucił okiem w papiery, tylko się Uśmiechnął, powiedział - budynek jest o siedem centymetrów Za wysoki. I wrócił do samochodu. A co mu tam, że poseł, że gęba znana z telewizji? Wszyscy płacą, on też zapłaci. Na nadZ~r budowlany mocnych nie ma. Na skarbówkę też mocnych nie ma. I na prokuratorów, i na notariuszy, i na geodetów, i na

celników, i na inspekcję pracy, i na samorządy, nie ma zresztą co wymieniać po kolei, wszystko to dawno splotło się w jeden wielki mafijny węzeł. Państwo polskie - marzenie pokoleń, które poszły za nie do piachu - narzędzie w ręku kasty nowych cwaniaków, jaśnie panów, którzy zastąpili zarządców "Prywatnego Rancza Leonida". Zresztą w większości sznurki trzymają, gdzieś tam z tyłu, właśnie ci starzy zarządcy.

A więc - "układ"? Nie, tu się muszę zgodzić z Irkiem: gdybyśmy mieli w Polsce układ, to by zbudował autostrady już dawno. Jak na Sycylii czy w Kalabrii, mafia naprzekręcała na robotach publicznych miliony, ale właśnie dlatego nabudowała dróg czy szpitali nawet ponad potrzebę. Gdyby twój Kaczyński miał rację - myślę, że specjalnie mówi "twój Kaczyński": żeby mnie ściągnąć do swojego poziomu, jakbym też się sprzedał partii, tylko innej, konkurencyjnej; albo po kilku latach spędzonych w polityce już nie potrafi zrozumieć, że można nie być ani od Kaczyńskiego, ani od Tuska, kto nie z nim, musi być przeciw niemu, zresztą nie on jeden jest tknięty tą chorobą, zarazili nią kupę ludzi - gdyby miał rację, gdyby Polską rządziło WSI czy jakieś inne służby, to byśmy mieli państwo, pewnie gangsterskie, ale przynajmniej sprawne, bo wojsko i służby państwa potrzebują z natury. A my właśnie państwa nie mamy, ono się kruszy w rękach, rozpada na tysiące małych gangów i mafijek, Tylko że Polska nie leży na uboczu świata, ale w samym środku, i jeśli nie będziemy umieli



sami, to w końcu znowu ktoś załatwi, że "porządek zapanuje w Warszawie": ku uldze innych państw.

"Ze starcia socjalizmu z kapitalizmem zwycięsko wyszedł feudalizm": jak to kiedyś podsumował Leszek. W gruncie rzeczy III RP wróciła do tego porządku, wpisanego w pańszczyźnianą duszę jako naturalny - jest folwark, są dziedzice, ekonomowie, są chłopci frajerzy, którzy tyrają, i chłopci cwaniacy, którzy mają szansę się wkręcić na ekonomia, a niektórzy nawet zrobić pańską karierę, od wysunięcia przez lokalnych szemranych biznesmenów na prowincjonalnego burmistrza, po, na przykład, szefa

132

klubu parlamentarnego rządzącej partii, załatwiającego ustawy, umorzenia podatkowe, nominacje, synekury dla córek i pociotów. To nie jest układ, to jest całe mrowie układów, które łączy tylko ogólny odruch, poczucie wspólnego interesu - pogłębiać rozkład i bezwład państwa, bo z tego rozkładu i bezwładu one wszystkie żyją, tylko wtedy mogą robić ten wielki szaber. Jednoczy je wspólny sprzeciw przed jakąkolwiek naprawą państwa, jakąkolwiek reformą. Coś to komuś przypomina? Kolejna moja nienapisana książka albo dramat, o Stanisławie Poniatowskim, nie królu, tylko jego ojcu, i ostatniej zmarnowanej szansie naprawy Rzeczypospolitej, grodzieńskim sejmie w 1747. Wszystko, co stało się później, było już przesądzone i nieuniknione, tylko nikt - w moim dramacie poza Poniatowskim właśnie, ale to licentia poetica - jeszcze nie wiedział, że z chwilą zerwania tego sejmku ostatecznie przepadły wszelkie nadzieje, Polska już wydała na siebie wyrok, a czy egzekucja nastąpi jutro, czy trochę się odwlecze, nie ma znaczenia. Nikt nie zauważył, gdyby wychodziły wtedy gazety, to ekscytowałyby się bez końca pojedyńkiem młodego Poniatowskiego z Tarłą i wzajemnymi bluźgami, co który Potocki powiedział o Czartoryskim i odwrotnie. Nasza przeklęta historia - rozkręcona aż w płask karuzela, z której się w żaden sposób nie możemy wyrwać.

Wiara w "układ" to bardzo miłe złudzenie, chroniące przed ponurą prawdą, że pcha nas w otchłań nie jakiś spisek, choć może, oczywiście, obce dwory i ich agenci znów robią swoje, tu sypną złotem, tu błysną sztyletem, ale to tylko drobne korekty ruchu żywiołów, których agenturalnymi sposobami nie dałoby się ani wzbudzić, ani okiełznać. Pcha nas w otchłań społeczna inercja, zwichnięte mechanizmy awansu, zaburzone relacje społeczne wyniesione z wieloletniego poddaństwa; pchają nas zwykła żądza nachapania się Rysiów, Zdzisiów i Mirów, która w normalnym, zdrowym kraju uczyniłaby z nich napęd przedsiębiorczości i rozwoju, a u nas produkuje właśnie grabarzy rozwoju i wolnego rynku, pcha nas powszechna, ludzka potrzeba

133

świętego spokoju, małej stabilizacji i dorobkiewiczowskiego spuszczenia z ambicji, która inne kraje chroni przed szaleńczymi dyktatorami, a u nas obraca się przeciwko wszelkiemu przywództwu, które by jeszcze mogło zatrzymać kraj na tej równi pochyłej. postkolonialna fatalność, kraj kreoli, marzących o tym, by zmienić kolor skóry, uciec, zbieleć, gardzących tubylcami -e--: i tubylców, którzy z jednej strony nienawidzą tych, którzy zdradzili swojaków, przeszli na drugą stronę, ale z drugiej o niczym nie marzą bardziej, niż żeby do nich dołączyć. I jednym, i drugim troska o ten kraj jest naj głębiej obca. Nie potrzeba nam już okupanta ani zaborcy, taka jest nauka z dwudziestolecia ułomnej wolności, sami wyprodukujemy sobie okupantów, ze swoich rodzimych cwaniaczków, ze swoich sitw i koterii, sami z siebie

wydamy wyzyskiwaczy jeszcze bardziej bezwzględnie żyłujących poddanych do ostatniej kropli krwi, i wynaradawiających ich z jeszcze większą zajadłością niż obcy. Nikt bardziej nie gardzi czarnuchami niż czarny sierżant w kolonialnej armii - a przecież nasze "elit y polityczne", intelektualne i opiniotwórcze, to właśnie takie przecwelope, kompradorskie towarzystwo, którego jedyna elitarność zawiera się w bezbrzeżnej pogardzie dla tubylców. „I trzeba golić, strzyc to bydło, a kiedy padnie, zrobić mydło”. I nikt bydła bronić nie będzie, żeromscy dawno powymierali - tubylcy sami sobie winni, że są miejscowym polskim bydłem, zamiast Europejczykami, jak ich elity.

"Jakja was, kurwy, nienawidzę!!!"

Boże mój, tyle razy o tym bezsilnie pisałem w gazetach i książkach ("ale to było »reakcyjne«, więc nie wymagało odpowiedzi") - po cholerę jeszcze raz powtarzam to po nocy samemu sobie w tych zapiskach? Bo nie mogę o tym przestać myśleć, bo mnie skręca ze złości, nie z rodzinnych powodów, nie ze złości na jakiegoś tam prowincjonalnego inkasenta lokalnej mafii, pies go zajmował, tylko ze złości, z gniewu, że to się dzieje z moim krajem, z Polską. Kurwy, kurwy przekłete, załgane, zło-

134

dziejskie - nachapane, rozrehotane, zadowolone, że tyle się udało pod dupy nagarnąć, że nikt im nie podskoczy!

Tak, chory jestem na tę Polskę, staram się z tym jakoś żyć, ale ta choroba po tacie dopada, męczy, psuje radość życia.

I teraz niemal słyszę Irka: no właśnie! No, sam widzisz, musisz się włączyć, musisz być z nami! Ja wiem, że wygodnie ci siedzieć sobie na swoich hektarach i górze felietonów, i wypisywać słuszne epistoły - nie masz moralnego prawa nikogo krytykować, skoro siedzisz na tyłku i nic nie robisz! Polityka polega na wybieraniu z realnie istniejących możliwości tej najmniej złej, a nie na formułowaniu głęboko słusznych postulatów . i obrażaniu się na rzeczywistość, że, niestety, nie chcą się one ucieleśnić. Realne możliwości są takie, że albo sekta, albo mafia. W sekcie nic nie zmienisz, w kartelu - możesz. Lepsze złe własne państwo, niż żadne albo cudze. "Dumne wygnanie" to nie jest żadna opcja

Tylko dlaczego ja miałbym być politykiem? Dlatego, że stary kumpel poczuł powołanie i potrzebuje zmontować w tej płataninie swoją sitwę, swoje stronnictwo, i zobaczył we mnie wyszczekanego, sprawnego medialnie sojusznika, z jako tako rozpoznawalnym nazwiskiem, który marnuje się w dziennikarstwie? Powiniennem mu odpowiedzieć słowami Bukowskiego, kiedy go namawiali, żeby się zapisał do KPZR i włączył w pieriestrojkę: jakbyś namawiał, żebym próbował spłodzić zdrowe dzieci z syfilityczką; jej nic nie pomoże, dzieci, jeśli jakieś będą, to też z wrodzonym syfem, i tylko tyle z tego może wyjść, że sam się zarażę. Tak, gdyby mnie namawiał ktokolwiek inny, to tak właśnie bym od razu uciał. Ale to przecież Irek. ...

A może jednak nie. On mnie dobrze zna, nawet nie o tym myślę, że parę razy mnie zaskoczył znajomością tego, co kiedyś napisałem i sam już zupełnie nie pamiętam. Zna mnie, bo też dobija pięćdziesiątki. Tyle, co ja teraz, miał dwa lata temu. Wie, że w końcu muszę sobie zadać, że na pewno po cichu sobie zadaję pytanie - ile jeszcze tak można? Żyć z wyrwania sobie

bebeczów, z pisania do gazet, z dnia na dzień? Zwłaszcza, że gazety nieuchronnie zdychają, a pisanie do sieci to, owszem, satysfakcja docierania do setek tysięcy czytelników, tylko nie ma kto wypłacić honorarium. Nie przydałaby się wreszcie jakaś stabilizacja, jakieś godne dotychczasowego dorobku stanowisko, nawet - a dajmy sobie spokój z fałszywą skromnością - jakieś zaszczyty nawet? On oczywiście nie robi najmniejszej takiej aluzji, mówi tylko o wielkich sprawach, o spełnieniu marzeń z młodości, ale przecież musi wiedzieć, że nikt nie jest z kamienia. W którymś momencie trzeba odpuścić. Powiedzieć, dość, zrobiłem ile mogłem, więcej już z siebie dać nie mogę, bo musiałbym to zabrać żonie i dzieciom.

Najciekawsze, jak tak dziś na to patrzę, że gdyby Irek przyszedł mnie kusić jeszcze te dwa, trzy lata temu, to bym się pewnie dał namówić bez większych oporów. Miało być tak pięknie - partia wreszcie rozsądna, liberalna, wolna od kwaśniewszczyzny, wolna od dyktatu Michnika i różnych jego nadętych pajaców, wielu w niej uczciwych, solidnych ludzi, z piękną kartą z podziemia, fachowym dorobkiem. Miała być nie partia, ale ruch, inicjatywa obywatelska, oddolna, wielonurtowa, z licznymi liderami, jakich sobie tylko wyborcy zażyczą, z miejscem i dla liberałów, i dla konserwatystów, promująca nowych ludzi, którzy sprawdzili się w samorządach, a wszak reforma samorządowa była najbardziej udaną reformą III RP ... A wyszło jak zwykle. Ruch zmienił się w partię, partia w dwór, a na dworze, wiadomo, do góry idą lizusy i dworacy, a hierarchię ustala dostęp do królewskiego ucha. A ci "sprawdzeni menadżerowie" z samorządów okazali się jeszcze gorszą złodziejską mętównią niż stara nomenklatura, którą mieli ku wspólnemu pożytkowi wyrzucić. Zresztą znakomicie się z nią porozumieli i zrosli.

Powiedziałem Irkowi, żeby rozważył, przynajmniej teoretycznie, inną możliwość - nie że musi tak być, bo innych kadr nie ma, tylko że może jego szef świadomie właśnie na twe kadry stawia, bo do niego pasują. Chyba nawet powiedziałem, grepssem

z felietonu, "premier di tutti capi". I tu nagle racjonalny chłód i dystans Irka skończył się jak uciął. Tusk świadomie stawia na kanciarzy? Tusk jest jakiś surfer, który kapituluje przed korporacyjnymi czy mafijnymi układami, woli im patronować, niż się narażać, z cynicznego wyrachowania, by balansując między nimi, utrzymywać władzę dla samej władzy? O nie, nie wiesz, co mówisz, to wielki przywódca, jedyny mąż stanu, jakiego mamy, nie możesz go osądzać, nie znając sytuacji, i tak dalej ... Więcej nawet nie próbowałem tego tematu ruszać. W ogóle, w rozmowach z Irkiem wolę raczej słuchać, może odczytuje to jako akceptację z mojej strony. A mnie naprawdę ciekawi ten świat, w którym się on obraca, i to, co on z człowieka robi.

Zresztą, może to i racjonalne z jego strony - jako polityk wisi wyłącznie na szefie partii i rządu. Dwa, trzy lata temu nie mógł mnie kusić żadnymi propozycjami, bo był tam nikim, jednym ze stu parędziesięciu posłów, owszem, z ładną przeszłością, ale wielu miało jeszcze ładniejszą. Czasem wysuwali go naprzód jako swoją "konserwatywną twarz" przy rzeczach w rodzaju ustawy bioetycznej, z którymi główni politycy formacji nie chcieli się kojarzyć niechętnemu "Jcatolom" salonowi. Wszystko zmieniła afera hazardowa, premier di tutti capi nagle potrzebował pokazywać się z kimś będącym poza wszelkimi podejrzeniami, kimś niekwestionowanej uczciwości. I Irek zaczął szybko nabierać na znaczeniu. Co prawda, nie za

darmo, bo od razu wykorzystali jego dobrą opinię, robiąc go twarzą pacyfikacji IPN-u ... Kolejny temat, na który nie ma sensu z nim rozmawiać. Nie wiem do końca, czy Irek wierzy w to, co mówi. Sprawia wrażenie szczerze przekonanego i przejętego. Ale polityka, zauważyłem już kiedyś, wyrabia w człowieku taką szczególną zdolność wzbudzania w sobie szczerzej wiary w to, w co kalkulacja nakazuje właśnie wierzyć. Bardziej niż to, czy Irek już temu uległ, ciekawi mnie, czy ja byłbym w stanie ulec. No, powiedzmy, że te dwa, trzy lata temu faktycznie ktoś mi zaproponował wejście do polityki, przyjąłem, powrotu do dziennikarstwa już nie mam, no i teraz

137

jakoś muszę sobie zracjonalizować to, że tam jestem, umoczony w te wszystkie smrody ...

Albo, powiedzmy, i ja dojdę w końcu do wniosku, że nie ma sensu być wiecznie po przegranej stronie, życia mi już tak wiele nie zostało, żeby czekać na lepsze czasy, mam co nieco do sprzedania, więc jak dają dobrą cenę ... - i co, gdybym tak bym o tym myślał, czy wmówię sobie, że robię to „o tę Polskę, o ojczyznę, najboleśniej zatroskany”?

Myślę o tym, bo ta rozmowa z teściem coś we mnie nadwątlila. "Ja bym tak mógł się użerać jeszcze latami, ale Rybka nie da rady, nie chcę jej tego na głowie zostawiać ... Trzeba by to jakoś zakończyć". Czy ja nie mogę znaleźć przez swoje środowisko kogoś, przez kogo dałoby się sprawę załatwić?

Coś tam powiedziałem, że się popytam. Właściwie - co tu powiedzieć?

00

Nie jest dobrze. W samochodzie Oleńka nie chciała za dużo mówić przy dziewczynach, dopiero wieczorem zaczęła o tym, czego się po tej rozmowie i tak domyślałem - z ojcem coraz gorzej, nie może spać po nocach, tak się dusi, co parę kroków przystaje, żeby się wysapać, no i oczywiście nie chce słyszeć o żadnym leczeniu. A lekarka, bo teściowa poszła do niej w tajemnicy, mówi, że na tym etapie zostaje już tylko kupić maszynę z tlenem, że powinien się do niej podłączać na kilka godzin dziennie, może nawet kilkanaście, bo inaczej w każdej chwili może dojść do tragedii.

I oczywiście ja mam wytłumaczyć, dlaczego mężczyźni tacy są. Co jej powiem? Zapytałem, czy widziała, z jaką miną ojciec pił na ostatnich imieninach rozwodnioną wódkę, bo czystej już od dawna nie może, właściwie, nalewał sobie wody z symboliczną kroplą alkoholu, żeby nie mieć poczucia całkowitego wykluczenia z życia. To nie jest tak, że sobie nie zdaje sprawy' ze swojego stanu czy go bagatelizuje. Po prostu ma gdzieś takie rozwodnione życie, na jakiejś aparaturze, w niesprawności.

138

W każdym razie, można się spodziewać wszystkiego najgorszego.

Co za rok, Boże mój - a dopiero się zaczyna marzec, strach myśleć.

Rozbiło nas to kompletnie, Oleńka w końcu zasnęła, ja siedzę i klepię pół nocy w klawisze, a jutro muszę przecież wreszcie zajrzeć do redakcji, na kolegium, wrócić do życia, wieczorem

prowadzę spotkanie w klubie, mam w tym tygodniu parę wyjazdów, no, mówiąc krótko, urlop, jaki sobie zrobiłem na oswojenie się z nową sytuacją zdrowotną właśnie dobiegł końca. I tak od dawna takiej długiej przerwy w codziennym kieracie nie miałem. I akurat musiało się to zbiec z fazą bezsenności, bo zmartwienia zmartwieniami, ale widzę, że organizm tak reaguje na szok głodu i wysiłku - na przemian stanem nieprzewyciężonej senności z okresami jakiejś nerwowej nadpobudliwości, kiedy trudno nie tylko zasnąć, ale nawet spokojnie usiedzieć; niestety, także utrzymać na jednym przedmiocie rozbiegane myśli. Głód jako taki właściwie już nie istnieje, odpuścił, wyraża się jedynie tymi dziwnymi stanami pobudzenia i apatii. Czasem tylko jeszcze nachodzi potworna, przemożna chęć, żeby strzelić lufę, ale i te napady są coraz krótsze. Do wszystkiego idzie się przyzwyczaić.

00

Piętnasty, spłata kredytu. W normalnym kraju zostawiłbym stałą dyspozycję na koncie i nie musiał w ogóle o tym pamiętać, ale gdybyśmy żyli w normalnym kraju, to bym został w Sulęczynie i objeżdżał sobie z dumą traktorem odziedziczone po przodkach hektary, zamiast codziennie niszczyć sobie bebechy beznadziejnym użeraniem się z rzeczywistością. Comiesięczna spłata raty stała się więc upierdliwą operacją, na którą trzeba poświęcić godzinę przed południowym kolegium działu " opinie".

Wszystko dlatego, że mieszkanie kupiłem od Włocha. Makaroniarz, jak tylko stało się pewne, że Polska wchodzi do

139

Unii Europejskiej, przyjechał z kasą do Warszawy i nakupował mieszkania; między innymi wziął tych pięćdziesiąt metrów za ścianą, po zmarłej właśnie staruszce w bloku, gdzie Oleńka miała swoją panięńską kawalerkę. Od samego początku bardzo mi się to mieszkanko udało; wystarczy przebić ścianę i mamy potrzebny metraż, pozostając w tej samej kamienicy, a punkt jest znakomity, trudno by lepszy wymarzyć. Znalazłem tego Włocha, dodzwoniłem się - rzucił sumę, że oczy z głowy. Próbowałem wytłumaczyć, że to ponad dwa razy więcej, niż mieszkania w Warszawie kosztują, że nikt mu tyle nie da, on spokojnie, że, owszem, za dwa, trzy lata będą tyle właśnie kosztować, jemu się nie spieszy, zaprasza, jak zmienię zdanie. Oczywiście, miał cholerny spekulant rację, po dwóch latach jego cena okazała się już całkiem do przyjęcia, fakt, że euro znacznie staniało; bo W tym właśnie cała sprawa, że sobie zażyczył w euro. Z kolei wziąć kredyt w złotych, a kupić w euro - okazało się, kwadratowy trójkąt, takiej transakcji nasz system bankowy ani prawny nie są w stanie przeprowadzić, bo kurs euro zmienia się co chwila o jakieś tam setne grosza i trzeba by latać wielokrotnie między bankiem a notariuszem, uaktualniając go - machnęliśmy oczywiście ręką i znaleźliśmy bank, który dał kredyt w euro.

Gdyby nie to, nie wiedziałbym, jak się masowo kroi z kasy, miliony frajerów, którzy uwierzyli wielkiemu niegdyś aktorowi, zachęcającemu z telewizora bajkami, jak to dojeżdżają, prowizji nie pobierają i tak dalej ("każdy orze tak jak może, obywatelu redaktorze" - w ramach działalności społecznej, dla ulżenia sumieniu, po godzinach wykorzystywał też swoją popularność do reklamowania list wyborczych jedynie słusznej władzy; chociaż może za to też skasował?). Jeśli kurs średni euro do złotego w NBP wynosi, założmy dla równego rachunku, 4,00, to w kantorze na Centralnym kupują euro po 3,95, a sprzedają po 4,05. Natomiast w banku, w którym mam konto, widełki są 3,88-4,12, a w tym, gdzie mam kredyt, 3,85-4,15. Przy czym właś-

ciciel kantoru ma realne koszty, pomieszczenie, pensje i zusy kasjerek, ochrona i tak dalej. A w banku cała operacja polega na stuknięciu kilku klawiszy w komputerze i przeniesieniu cyferek z jednej rubryki do drugiej.

Wystarczy, że raz na miesiąc użyjesz karty gdzieś za granicą, i już bankowi zwróciły się wydatki na znanego aktora i wszystkie inne reklamowe oszustwa. A przecież te bandyckie kursy to tylko jedna z wielu drobnych sztuczek; tu parę złotych za prowadzenie konta, tam dodatkowa opłata za coś, nikt normalny nie ma czasu ani głowy, żeby śledzić, jak go co chwila okradają, zresztą, jak reagować, kiedy to tylko parę groszy ... Jak w ogóle można reagować - przeniesiesz się do innego banku? Przecież to oligopol, wszędzie jest tak samo. I wszędzie żyją z obracania obligacjami skarbowymi, aż dziwne, że chce im się jeszcze osobno doić indywidualnych klientów, skoro rząd doi nas za nich i przynosi im forszę w zębach. Nie podoba ci się, to się obrażaj, proszę bardzo. Równie dobrze możesz się obrazić na centrum handlowe. Albo na dostawcę prądu i gazu. To zresztą temat na osobny tekst, tylko nikt go nie kupi - te brednie wypisywane w rachunkach za prąd, jakieś z sufitu wzięte "opłat y przesyłowe", naliczanie należności według prognozy, ile ich zdaniem zużyjesz energii w następnym roku, z teoretycznym rozliczaniem za kolejny rok, oczywiście o żadnych odsetkach za nadpłaty nie ma mowy. Co innego, jak ty się spóźnisz z ratą o kilka dni.

Wszystko to stare rzeczy, pisałem o tym piętnaście, dwadzieścia lat temu, i już wtedy wydawało się, że nie ma nic gorszego, niż ten zorganizowany, państwowy system grabienia poddanych. Ale III RP zdołała pójść dalej - czy to rozwinięcie "twórcze", to inna sprawa. Poszczególne narzędzia do łupienia poddanych kolejne ekipy posprzedawały różnym koncernom albo porozdawały sitwom. I to pod hasłem "liberalizmu": Gdyby jakimkolwiek liberałowi powiedzieć, że przekazanie państwowego monopolu w prywatne ręce to "prywatyzacja", zabiłby dechą,

ale u nas słowa mają takie znaczenie, jakie im w danej chwili wygodnie nadawać. III RP prowadzi "reformy wolnorynkowe" i buduje kapitalizm - i kto się będzie użerał, że taki "kapitalizm" to był w głębokim średniowieczu. Monarcha dzierżawił cła albo podatki temu, kto akurat mógł mu dostarczyć gotowizny potrzebnej na wojnę, polowanie albo kawalkadę, a ten sobie potem odbijał poniesione koszty na jego poddanych. Jak zdołał z nich wycisnąć więcej, to jego zysk.

Teraz, po bankach, telekomunikacji i energetyce, Irkowy szef pracuje w pocie czoła nad tą samą operacją w odniesieniu do szpitali i przychodni. Bardzo łakoma oferta dla pachciarzy, człowiek, jak mu kto choruje, sprzeda na koszt leczenia ostatnią obrączkę. A stado medialnych idiotów przedstawia pomysł prywatyzowania przychodni przy zachowaniu państwowego monopolu ubezpieczenia zdrowotnego jako kolejną wspaniałą, europejską w duchu reformę, którą zacofany, zaściankowy Kaczor blokuje na złość postępowi; jako "liberalizację rynku medycznego": Jakiego znowu rynku medycznego? Jaki tu rynek - NFZ po uważaniu wyznacza, ile za co zapłaci, i pytanie jest tylko, do czyjej kasy to idzie. W tej sytuacji omijanie wszystkich pośredników i płacenie bezpośrednio lekarzowi, kopertą w łapę, wydaje się działalnością patriotyczną. "Gospodarka wyłączona"; nic nowego. Gniew i bezsilność też wciąż te same.

Zapisuję pierwsze po miesiącu wrażenia koleżeństwa z redakcji na moje wyraźne wyszczuplenie. Najczęstsza reakcja: "i nie jesteś głodny?" - naj głupsze pytanie, jakie sobie potrafię wyobrazić, ale jakże charakterystyczne dla naszych czasów. No pewnie, że jestem głodny. I co? Przecież jestem dorosłym mężczyzną. Jak mówię, że jeszcze sporo przede mną, bo łącznie muszę zrzucić trzydzieści kilo, we wzroku rozmówców pojawia się coś na kształt „0 święta naiwności”: Może zacznę przyjmować zakłady?

Teraz sobie przypominam, nawiasem, że to samo zdziwienie, czy może politowanie w oczach widziałem, jak rzucałem palenie. To już - strach pomyśleć - dwadzieścia lat temu. Paliłem przez dziesięć lat, w porywach do trzech paczek, rzucałem z dnia na dzień, bo się wkurzyłem - robiliśmy jakieś badania, dlaczego nie mamy z Magdą dzieci (swoją drogą, dowód, że wyroki Opatrzności należy przyjmować z wdzięcznością, nawet kiedy boją; na myśl, że Pan mógłby wtedy wysłuchać modlitw i dać nam te dzieci, skóra mi cierpnie, dopiero by się wszystko jeszcze bardziej poplątało) i na tę okoliczność lekarz mi zabronił palić przez cztery dni. Musi pan wytrzymać, powiedział, bo inaczej wyniki będą zaburzone. Co tu wytrzymywać, odparłem, przekonany, że przecież palę, bo lubię, jak chcę, mogę nie palić, co za problem. I, patrzeć, już nazajutrz zaczęło mnie kusić, ciągnąć, trząść, no, wszystkie odwykowe objawy - tak, że się wkurzyłem i więcej nie zapaliłem. To znaczy, nie, potem po paru miesiącach jeszcze raz, na kilka dni, żeby zobaczyć, czy znowu będę mógł odstawić. I takie samo zdziwienie ówczesnych znajomych: i nie czujesz głodu, nie telepie cię? Myśl, że można się głodem nie przejmować, potepie i przestanie, wydaje się dziś ludziom naj głębiej obca.

Warta zapisania opowieść Aśki, która załapała się ostatnio na lot z naszym "euromędrcom". Coś kapitalnego, powinienem ją nagrać, żeby sobie przypomnieć jak wreszcie siądę do "Tadka":

Pani, mówi do niej, uradowany, że znalazł wdzięczną słuchaczkę, ten Bush to był idiota, no, nie słuchał mnie zupełnie! Ja mu przecież mówiłem, że z tymi Arabami to musi sposobem, i jakim, a ten, jakby nie do niego. A ten Sarkozy, no nic do niego nie dociera, wszystko mu powiedziałem, zrobił baran po swojemu, no i ma teraz. A w tej Komisji Europejskiej ... A kryzys finansowy - kryzys też, oczywiście, dlatego, że go, durnie zarozumiałe, nie posłuchali. I tak przez godzinę. On tutaj swoim chłopskim, sprytnym rozumem na poczekaniu rozwiązuje wszystkie problemy ludzkości, na wszystko znalazł radę, wszystko wie, a nikt go

nie chce słuchać. Trudno w to uwierzyć, ale wydaje się najbardziej niespełnionym i sfrustrowanym człowiekiem w tym kraju. Zresztą i Ferajna, i Towarzystwo grają na tych jego frustracjach z doskonałym dla siebie skutkiem.

W szyscy się zarykiwali, bo jeszcze Aśka ma ucho do frazy i powtarza te charakterystyczne wałęsizmy; których nikt, żeby nie wiem Jak kombinował, by nie wymyślił - ale teraz, jak się zastanowię, nic w tym śmiesznego. Właściwie, ludzka tragedia. Facet nie odpuści żadnej okazji, żeby narobić na własny pomnik.

Nie żebym go żałował. Nikt sobie nawet nie zdaje sprawy, jak bardzo Wałęsa zdradził ten naród \_ . ten rodzący się dopiero, zajmujący powoli opuszczone miejsce po dawnych Polakach, moszczący się w jako tako odbudowywanych ruinach dworu. On był nasz, krew z krwi i kość z kości: narodowy cwaniak, uosobienie niewolniczego sprytu. Był takim materiałem nafantastyczny, założycielski mit, jaki rzadko i mało komu Opatrzność daje: mit o chłopie, co diabła wyonaczył. Rycerze polegli, a on - pokombinował, oszukał, i wygrał. Gdzie się nie dało przejść, tam przepełzył. Podpisał, wziął, co dawali, ale duszy nie sprzedał. Na swoje grał, a nie na ich. Jak osłabli i już go nie mogli zabić, tak jak wcześniej zabijali setkami tysięcy bohaterów, żołnierzy, konspiratorów, starych, prawych Polaków, i jak zatłukli i wrzucili do kanału Tadka - to wtedy wyczuł odpowiedni moment i ich za gardło złapał.

Mówię poważnie, chociaż zapisać tego nie mam na razie gdzie, poza tym dzienniczkiem, skoro akurat się zgadało. Cnotą niewolnika nie jest heroizm, prawość - za to mogą tylko łeb obciąć, a pożytku nie będzie żadnego. Cnotą niewolnika jest spryt. Polak to czuje, choć na głos nie mówi. Typ "stary prawy Polak" ma tutaj przegwizdane, nie porywa tłumów. Cwaniaczek - tak. Porównajcie sondáže Jana Olszewskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego. Nie ma dyplomu, a udawał magistra? BraWO, ma łeb. Rodzinę ustawia? Pewnie, a kto by tak na jego miejsCU

144

nie robił? Swój chłopak, spryciarz, nie jakiś nudziarz od Honoru i Ojczyzny. Zresztą właśnie Wałęsa jest najlepszym przykładem. Póki skutecznie udawał herosa z Matką Boską w klapie - dziesięć procent, piętnaście. Jak się pokazało, że kapował, że zniszczył papiery, że kręci, kombinuje, ściemnia - osiemdziesiąt. I bohater narodowy.

Tylko że nie taki, jakiego nam było trzeba. Trzeba było, żeby bohaterem został właśnie jako Bolek, kość z kości, krew z krwi \_ nie jako zalatujący na milę fałszem udrapowany heros, który swe bolkowanie przysypał grubą warstwą kłamstw i obłożył tabu.

Z większością przyjaciół bym się o to pokłócił. Pewnie, że śmiesz u Wałka ta jego mania grandiosa, ale to jej zawdzięczamy wolną Polskę. Tego, by sobie taki chłopiek uroił, że pochodzi od cesarza Walensa, że będzie rządził Polska, gdzie tam Polska, całym światem, tego żaden najsprytniejszy ubek nie przewidział. Myśleli, że go jak tylu innych raz przecwelili i już mają, w razie czego wyjmą kwity z teczki i zgnoją - a tu, o nie, kolesie. Trafiliście na lepszego od siebie cwaniaka. Tłumaczę każdemu, kto chce i nie chce słuchać: czytajcie, do licha, dokumenty, archiwa, przecież to wszystko jest dostępne, wystarczy pokazać w czytelną legitymację dziennikarską. Kryptonim "Renesans" - operacja, bez której cały stan wojenny nie miał sensu, bez której musiał się stać początkiem końca komunizmu.

Miało być tak: Ludowe Wojsko wyszło z koszar, z jednej strony, oczyściło partię z wypaczeń - a po cóż by innego wsadzali do pudła Gierka i jego ekipę? - z drugiej strony, oczyściło zdrowy, robotniczy ruch z agentów "imperialistycznych handlarzy bronią przeciwko socjalizmowi": i tak uratowawszy ludową ojczyznę z ciężkich opresji, powróciło do koszar. To się trzymało kupy. Bala "Oliwii" już była przygotowywana na zjazd tej "oczyszczonej" "Solidarności": a Wałęsę przecież, uważali, mieli w ręku, bo i "Bolek"; i to, jak w marcu 1981 sam złamał związkowi kręgosłup, Odwołując w ostatniej chwili, wbrew wszystkim, strajk generalny (a przecież można zrozumieć - złamawszy w związku demo-

145



krację, stał się jego jedynym dyktatorem, wytyczne bezpieki szły tutaj w parze z jego własnymi ambicjami i interesami). Więc, racjonalnie rachując, szli na pewniaka. Tylko kto by w racjonalnym rachunku uwzględnił, że chłopiec ani myśli być pacholkiem u Jaruzelskiego, że uroiło mu się zostać królem?

W każdym razie, Wałęk ich wtedy pozwoził jeszcze miesiąc -dwa, aż się dobrze rozpatrzył w sytuacji, a potem kazał pocałować wiadomo gdzie. Teraz, jak cały świat patrzy, to już mi włos z głowy spaść nie może. Wyciągnięcie na mnie papiery? A wyciągajcie, kto wam uwierzy. Książek nie czytał, szkół nie pokończył, ale do takich pogrywek miał wdech. Wiedział, że bez niego "Solidarności" nie odtworzą - próbowali zresztą z Miodowiczem, no i co - a jak " Solidarności" nie odtworzą, to cała operacja staje się zwykłym, banalnym zdławieniem narodu siłą, czyli system traci wszelką legitymizację, a wojsko do koszar już wrócić nie może. Bagnetem, wiadomo, może się władza podeprzeć, ale jak musi na nim siedzieć, to się jej prędzej czy później wbije w zad.

A kto wtedy wyrośnie na zbawcę? Na kogo się zwrócą oczy umęczonego narodu i całego świata? Na niego przecież, i z każdym dniem coraz bardziej tylko na niego!

Weź to wykombinuj, mając skończoną tylko zawodówkę Dlatego nikt się nie spodziewał, wszyscy zawsze uważali, że skoro nie umie się wyjęzyczyć, to i widocznie nie myśli, wszyscy byli pewni, że, a tam, weźmiemy prostaka na smycz, posłużymy się wedle potrzeby, a potem mu się da cukierka, albo i tego nie. Najpierw - koledzy z Wolnych Związków. Żaden nie mógł być szefem strajku, bo to byli inżynierowie, inteligenci, potrzebny był jakiś autentyczny robotnik, prosty jak trzonek do motykino to masz, Wałęsa. I w kilka dni im wyrósł na takie bożyszczce całego świata, że już mu mogli tylko naskoczyć. Doradcy, wielcy mędrkowie, dysydenci. I ubecy, oczywiście, ci zawsze odstawiają najmądrzejszych na świecie, i chyba tak ich szkolą, żeby naprawdę w to wierzyli - stale ktoś się nim chciał posłużyć,

146

a to Geremek, a to Kaczyński, a on wszystkich wymanewrował, pracował tylko na siebie. Do momentu, aż się w tych krętaństwach sam zaplątał, stracił wdech, stracił kontakt z tym narodem, który go niósł. Przecwaniaczył.

Pewnie można tę biografię czytać różnie, ale ja to widzę tak, że doradcy nie tylko wpędzili go w podejrzliwość, w przeświadczenie, że wszyscy chcą głupiego chłopka wykorzystać i wystawić do wiatru. To mniejsza, to tak nie zaszkodziło. Oni zarazili go czymś znacznie gorszym, zarazili go swoją pogardą do prostego, ciemnego Polaka. I narodowy przywódca zapragnął być herosem na miarę ich oczekiwań, zaczął się siebie wstydzic, swojego cwaniaczenia, swojego bolkowania, i tego mieszkania, które wysepił od bezpieki. Tu się zaczął upadek - uzależnianie się od ubeków, polowanie na archiwa, a na końcu żalosne błaganie przed kamerą Jaruzelskiego, żeby mu wystawił świadectwo moralności, zaświadczył, że Wałęsa nie był jego agentem. Gdyby się zdobył na uczciwe postawienie spraw, zyskałby podziw - a jaki chłop wstydziałby się, że wygrał nieczysto, czy niehonorowo, jaki w ogóle by rozumiał, co to znaczy? Wygrał, znaczy wygrał. Tylko wygrana zasługuje na szacunek, chłop nie zna żadnych "moralnych zwycięstw": wykretnych samousprawiedliwień różnych jaśnie nieudaczników. Ale Wałęsa już wtedy nie był chłopem, odbiło mu, przewróciło się w głowie. I ludzie to wyczuli; ludzie, tak jak on sam właśnie, nie potrafią tego co myślą złożyć w zdania, nie potrafią znaleźć słów nawet na własny użytek, ale co trzeba

czuć, to czują. Wyczuli w nim fałsz, wyczuli, że się od nich oderwał, że się ich zaparł, więc go posłali do diabła, na rzecz innego cwaniaczka, peerelowskiego karierowicza i magistra bez dyplomu. Wcale nie szło o to "podawanie nogi", którego się wszyscy uczepili, szło właśnie o utratę autentyczności.

Wałęsę zresztą ten fakt przerósł, do dziś nie przyjął go do wiadomości. Podobno każdemu powtarza, że wtedy, z Kwaśniewskim, wcale nie przegrał wyborów, tylko "liczenie głosów":

147

Zapomniałem Aśki spytać, czy jej też to powiedział, zresztą, co za znaczenie.

Co do redakcyjnych spraw - aż się już nie chce człowiekowi pisać o tym żalnym "życiu politycznym". Kaczyński użył gdzieś porównania - poszło o "sukces" Tuska polegający na zablokowaniu emisji euroobligacji, których przecież nikt wcale nie chciał emitować - że to taki sam sukces, jakby jednego dnia powiedzieć, że chce nas napaść Gabon, a drugiego otrąbić sukces, że się tej wojnie zapobiegło. I nagle cała psiarnia rzuciła się na ten Gabon: skandal, hańba, jak Kaczor śmie obrażać suwerenne państwo, co on w ogóle wie o Gabonie, do czego to doprowadzi, że tak sobie ktoś wyciera gębę Gabonem, a gdyby w Gabonie jakiś polityk się źle wyrażał o Polsce, to jak my byśmy się poczuli (szczerze - mam powiedzieć, ile by mnie to obeszło?) Słowem, absurd jakiś kompletny, jak wtedy, kiedy nieopatrznie zacytował "inni szatani byli tu czynni", z wiersza przewidzianego w programie obowiązkowym dla klasy II szkoły średniej, i nasze "wiodące media" ze śmiertelną powagą ogłosiły i roztrąbiły po całym świecie, jak to w ciemnej Polsce premier wierzy, że manifestację przeciwko niemu zorganizował. .. (wielokropek obowiązkowy) Szatan! A potem cytowały z lubością, że wzbudziło to krytykę nawet na Jamajce. A może i w samym Gabonie.

Wygląda na to, że wszystkie medialne "policje tajne, jawne i dwupłciowe" niczym się już zupełnie nie zajmują, tylko śledzeniem każdego kroku i słowa Kaczorów, żeby ich małpować i przedrzeźniać. .

Oczywiście, machnąłem zamówiony komentarz od ręki, bez żadnej satysfakcji. W ogóle, satysfakcji z zawodu mam coraz mniej, a teraz uświadamiam to sobie z nagłą ostrością. Komentarz polityczny w Polsce? W sytuacji, kiedy większość mediów skupiona jest na opluwaniu, poniżaniu i wyszydzaniu Kaczyńskich, trudno ich nie bronić, i w ten sposób od razu stają się, chciał nie chciał, ich obrońcą. Bo przecież są wyszydzani,

148

opluwani i poniżani dlatego, że postanowili zagospodarować politycznie tę chamską, katolicką Polskę, którą salony się brzydzą i która dawno już powinna nie istnieć, właśnie to, że wciąż istnieje, wkurza metapolitycznychmacherów do ostatecznej zatury przyzwoitości, tak samo, jak bandziora z łomem wkurza, że jego ofiara ośmiela się krzyczeć albo stawiać opór. Z drugiej strony, dla milionów ludzi kochających swój kraj i niegodzących się na robienie z nich jakichś eurokundli Kaczyński stał się w ten sposób ikoną, od dawna już widzą w nim nie politycznego lidera, którego się rozlicza ze skuteczności i z mądrości, tylko człowieka, który niesprawiedliwie cierpi za to, że głosi wyznawaną przez nich wiarę i te same wartości.

Polityczne analizy nikomu nie są w takiej sytuacji potrzebne, ani tym zakorzenionym, ani wykorzenionym, bo cały konflikt jest konfliktem kulturowym i obywa się bez jakiegokolwiek merytorycznego wymiaru, gra się wyłącznie emocjami. Polityczne poglądy można w takiej sytuacji mieć tylko w pakietach. Już tylko tak występują - jak w promocji w markecie. Kto to pisał, Kisiel czy Tyrmand, że peerelowski tak zwany inteligent to "indywidualista stadny"? Jak ja podziwiam talenty, które pozwalają znaleźć taką jedną, prostą formułę, chwytającą istotę rzeczy. Najgorsze, że ten "stadny indywidualizm" staje się wzorcem, udziela się też tubylcom, i na co drugim spotkaniu muszę się tłumaczyć, że, na przykład, broniłem przed antykomunistycznymi socjalistami reform Balcerowicza. No, jak można jednocześnie być przeciwko Michnikowi i za Balcerowiczem? Tak nie wolno, Rafalski, to z innych pakietów, mieszasz ludziom skrypty poznawcze. Właśnie to: "za Balcerowiczem, za Kaczyńskim, za Tuskiem" - ludzie skrzykują się nazwiskami, myślą wyłącznie w kategoriach personalnych, kiedy tłumaczę na każdym spotkaniu jak chłop krowie na rowie, że trzeba być za sprawami, a nie za politykami czy gwiazdami mediów, że Amerykanie mówią always stay on issue, not on person, żeby mnie pytali o finanse Publiczne, podatki, system stanowienia prawa, wyzwania, a nie

149

o Kaczyńskiego i Tuska - to pół sali rozdziawia gęby, jakbym objawił nie wiedzieć jakie cuda.

"Najgorsze w tej robocie jest to, że zawsze wiesz więcej, niż możesz napisać" - mówi stary dziennikarz u Chan dl era. Chodzi w tym zdanku oczywiście o prawdę, którą znasz, ale za jej ujawnienie zniszczyliby cię pozwami; nie powiem, ten problem też u nas jest, dla mnie może mniej bolesny niż dla dziennikarzy śledczych. Ale polska pańszczyźniana specyfika to też brak zainteresowania mediów prawdziwymi problemami. Nikt u mnie nie zamówi artykułu, dlaczego i w czym Polska grzęźnie, co z nami zrobiono, jak się z tego wyrwać, tylko takie, ot, głupie bieżączki, pyskówki, kto dziś mówi tak, a wczoraj przecież mówił dokładnie coś wręcz przeciwnego, bo wtedy władzy było na rękę tak, a dziś woli inak, i czy się dogadają, czy nie dogadają, czy wezmą, czy nie wezmą, będą kastrować pedofili czy zakażą hazardu - jednodniowe pseudosensacje, produkowane przez partyjny pijar. Naprawdę mam już czasem dość. Może to się jakoś daje wyczuć, może Irek to wyczuł i dlatego uznał, że już dojrzałem, żeby wyskoczyć z dziennikarstwa i osiąść, jak statek na dnie, na jakiejś synekurze?

00

Rodzeństwo musi rywalizować, to normalne, bagatelizuję dobiegające z pokoju dziecinnego odgłosy kłótni.

Ale potem wrzaski zastępuje jakaś pracowita cisza, i tego już nie da się zbagatelizować. To znak, że siostry chwilowo zarzuciły rywalizację i coś wspólnie knują. A skoro coś wspólnie knują, to tatuś musi wysilić całą inteligencję, bo zaraz zostanie poddany ciężkiej próbie.

Niestety, nie jestem dość sprytnym tatą jak na to, co powstało z połączenia genów moich i Oleńki, zwłaszcza, gdy oba egzemplarze współpracują zgodnie.

Po dłuższej ciszy pojawiają się z minkami niby-nic. Starsza trzyma w ręku album - skąd u licha znalazło się w moim

domu coś takiego?! Sprawdzam: Zosia wypożyczyła ze szkolnej biblioteki - ze zdjęciami psów i kotów. No, to już wiem, że nie będzie lekko.

- Taci - zaczyna Młodsza. - Jak już nam pozwolisz na tego kociaka, to chciałam powiedzieć, że osiągnęliśmy z Zosią konsensus w sprawie maści i płę .. i płęci.

Oczywiście popełniam błąd: zamiast natychmiast sprostować bezzasadną sugestię w zdaniu "jak<: już nam pozwolisz': niepotrzebnie tracę czas na wyjaśnienie, że nie "płęc tylko "płęci": Po czym, całkiem już bezradny, zostaję zasypany informacjami, że na mocy "konsensusu" będzie to kotka biała z czarnymi łatkami, o taka jak tutaj na obrazku. I piskami: jaka słooooodka, 000, prawda, taci?

Problem domowego zwierzątka powraca regularnie, raz silniej, raz słabiej. Straszenie, że zamiast się wysypiać, będą wtedy musiały codziennie rano wychodzić ze zwierzątkiem na spacer, nawet w deszcz i mróz, działało tylko do czasu. Do czasu, aż uświadomiły sobie, że kotka, w przeciwieństwie do psa, wyprowadzać na spacer nie trzeba. Po tej zmianie oczekiwanie na zwierzątko wróciło ze zdwojoną siłą. Ku narastającej irytacji taty, który na myśl o takiej rewolucji w domu po prostu cały cierpnie. Tak, proszę myśleć, co kto chce, jestem potworem, ale po prostu, do diabła, nie lubię piesków ani kotków ("Przestań pleść głupstwa, kto nie lubi zwierząt, ten ludzi też nie lubi!", oburzała się zawsze matka, na co nieodmiennie odpowiadałem: "zgadza się, mam, za ludźmi też nie przepadam") Pewnie to moje chłopskie DNA buntuje się przeciwko z gruntu bezsensownemu pomysłowi hodowania czegoś, co ani włożyć w garnek, ani wydoić.

- Słuchajcie - sięgam po ostatniego ukrytego w rękawie na taką właśnie okazję asa. - To nie jest łatwa sprawa. A jak się okaże, że mama ma uczulenie na koty? Wiecie, że niektórzy ludzie mają uczulenie, prawda?

Niechętnie kiwnięcia głowami potwierdzają, że wiedzą.

\_ I wiecie, że mama ma uczulenie na kurz i roztocza? Pamiętacie, zanim przyszedł pan z taką maszyną do prania kanap, co się działo, jak mama ciągle miała katar i chorowała? A jak ktoś ma uczulenie, to może mieć i na koty.

Noski spadają na kwintę. I gdyby tatuś był rozsądniejszy,

to skończyłby na odłożeniu sprawy do czasu, aż mama zrobi badania, czy' nie jest uczulona, zawsze by się zyskało na czasie. Ale tatuś, jak mu dobrze idzie, zawsze musi przedobrzyć.

\_ A poza tym - ciągnę - jak nam Bozia jeszcze da małego dzidziusia, to też się może okazać, że ma uczulenie na koty. I co, oddawać wtedy kotka, pomyślcie, jakie by to było przykre ...

Oczy Mani natychmiast roziskrzają się myślą, która w wypadku mamy do głowy by nie przysła:

\_ Dobrze, to rezygnujemy z dzidziusia. Taci. ..

\_ No wiecie - moja odpowiedź znowu nie jest tą właściwą \_ gdybyśmy my z mamą tak myśleli, to zamiast was byśmy tu

mieli dwa koty albo pieski ...

\_ Właściwie - oznajmia Zosia - Mania to jest czasem taka

wkurzająca, że ja bym wołała zamiast niej ...

\_ ZOOOSIAAA! - w sumie nie jest tak źle, udało mi się

sprytnie rozbić solidarność domagających się kotka siostr. Tyle, że gwałtowny powrót do fazy rywalizacji owocuje gwałtownym wzrostem w domu poziomu hałasu.

Na szczęście wraca Oleńka. Ona sobie poradzi. Streszczam

krótko dotychczasowe ustalenia i biegnę zabarykadować się w gabinecie, zająć polityką międzynarodową, podatkami, racją stanu i innymi rzeczami nieprzerastającymi mnie intelektual-

nie.

00

Najniepotrzebniej wziąłem do pociągu nową "Krytykę polityczną". I nie dość, że wziąłem, to przeczytałem, chociaż Jli~ spodziewam się dowiedzieć z tego czegośkolwiek, czego by111 jUZ nie wiedział. Raz jeden, u zarania, wybrałem się na robione przez

152

nich spotkanie: Houellebecq (wymawiać: łelbEEEk; wszystkie godne wymówienia nazwiska akcentuje się mocno na ostatnią sylabę) jako taki, a jak nie taki, to jaki i dlaczego taki genialny. Rozmowa panelistów jak do kabaretu - no więc ŁelbEEEk, ale z drugiej strony badjtru, a z kolei bodrijAArd, a deridAAA; miałem ochotę wziąć mikrofon i spytać, a co by na to Dupain Traix-au-trotuar, ale i tak mnie tam mają za ćwoka, więc znudzony poszedłem.

No ale skoro z fanklubu francuskich mędrków stali się wielką nadzieją i bodaj czy nie główną intelektualną potęgą lewicy, to trzeba monitorować. Przyciągnął moją uwagę kolejny wywiad z Wiesiem. Kiedy nie składa samokrytyk za służbę u Kaczora i nie musi się podlizywać jedynie słusznej władzy, wobec której młoda lewica też jest, przynajmniej teoretycznie, w opozycji, mówi znacznie ciekawej. Wynotowałem sobie passus o "Bolku": że w stoczni wszyscy wiedzieli, że Wałek miał jakieś konszachty z bezpieczeńką i to mu przysparzało podziwu, bo uchodził za człowieka, który wycygał od nich samochód (a nie mieszkanie?) a nic w zamian dla nich nie zrobił. Relata refero - może się .. przyda do jakiegoś tekstu.

Z tą opozycyjnością "Krytyki", w ogóle z całym tym środowiskiem jest tak, że wydaje mi się to fanaberią Sławka, sprawcy całego zamieszania. Facet odkrył w sobie życiowe powołanie, by odbudować polską lewicę. Godne szacunku o tyle, że chodzi mu właśnie o lewicę polską, a nie "lewicę w Polsce", to istotne, czyli o reanimowanie Limanowskiego, Pużaka i innych

takich. I chce to zrobić wedle wskazania Gramsciego: "kultura, durnie, kultura, w ostatecznym rozrachunku tylko to się liczy!": Rzeczywiście, udało mu się oczarować młody światek artystyczny, zebrać sporo nazwisk, i po stęsknionych za jakąś zwycięską lewicą mediach, i naszych, i bodaj bardziej jeszcze zachodnich, poszły zachwyty nad sukcesem, mierzonym kwotami pozyskiwanych grantów i dotacji, liczbą zorganizowanych imprez, opublikoWanYch wydawnictw.

153

-----

Trudno oczywiście powiedzieć, co w Polsce jest suc~sem.

Taki Michnik na przykład: zbudował gang skuteczny jak diabli, w mediach i wszystkim co się wiąże z władzą dystrybuowania szacunku, czyli tam, gdzie widział swoje strategiczne cele, do dziś jego sitwa jest potęgą - więc chyba wielki sukces? Ale z drugiej strony, chciał przecież zbudować coś znacznie więcej, niż wielka sitwa wzajemnie się popierających, więc taki sukces jest klapą. Ze Sławkiem podobnie. To, co mu się udało zbudować, to nie żadna młoda lewica, a młody establishment. Który przyciąga aspirujących, oczywiście, bo w systemie nomenklaturowym, neofeudalnym, totalna blokada awansu obejmuje nie tylko wrogów, ale i "swoich" - na Olimpie i Parnasie po prostu wszystkie miejsca zajęte dożywotnio, więc młodzi słusznicy, zmęczeni czekaniem, aż któryś z mistrzów odkorkuje, szukają jakiegoś obejścia czy przynajmniej własnego wicesalonu. Ale poza tym ich spór z establishmentem jest czystą fikcją, pijarewską narracją. W kulturowym podziale Polski na tubylców i kreoli środowiska młodo artystyczne i małpująca je część studenterii są całkowicie kreolskie, i nie kupiłyby niczego, co im choć odrobinę zalatuje polską wiochą. Prawdziwa lewica musiałaby zalatywać, musiałaby się zajmować ludźmi autentycznie zdeptanymi, skrzywdzonymi. A w Polsce tacy stanowią przecież, na swoje nieszczęście, żywioł "ciasnego katolicyzmu" i "patriarchatu", niedocivilizowaną dzicz, godną tylko odrazy.

Więc zamiast lewicy - ekskluzywny, we własnym przekonaniu, klub, gdzie można się pocierać o Sasnała czy Masłowską, popławić w antyklerykalizmie, modnych klimatach gejowsko-lesbijskich, "genderowych" czy antyglobalistycznych prawie jak na francuskim (ach, te nazwiska akcentowane na ostatnią sylabę!) czy amerykańskim kampusie. Można sobie też powyrzekać bezpiecznie na neoliberalizm, pazerne koncerty i kapitalizm jako taki, byle tylko na wysokim poziomie ogólności, gdzie słowa nic nie znaczą poza samymi sobą. Bo gdyby ściągnąć to całe salonowe gładzenie do polskich konkretów, to nagle pazernY .

154

neoliberalizm okazałby się mieć twarz uwłaszczonej nomenklatury i rozdającej jej glejty moralności michnikowszczyzny, a społeczne wykluczenie - wyszydzanych "buraków" i staruszek w moherach. A do wykrzesania z siebie potępienia dla warstwy panującej, z której albo się wywodzą, albo rozpaczliwie chcą do niej należeć, czy do empatii wobec biedoty, politycznie poprawni paniczykowie nie są zdolni.

Ile to przedsięwzięcie ma wspólnego z lewicą, pokazuje każde zdarzenie tego rodzaju, jak nie dawne przymusowe wysterylizowanie kobiety, którą uznano za zbyt biedną, żeby pozwolić jej mieć dzieci. Odezwała się wtedy lewica? Tak, głosem nawiedzonej antyklerykalnie pani profesor, która ogłosiła, że to wszystko wina Kościoła, który zmusza kobiety do zachodzenia

w ciąży. Faktu, że ta kobieta chciała zająć w ciąży, bo żyła w szczęśliwej, normalnej, tyle tylko, że biednej rodzinie, pani profesor oczywiście nie zauważyła. Bieda nie ma w Polsce żadnych praw: urzędnik, miejscowy kacyk, władza, wrosła w symbiozę z szemranym biznesem, depczą ją i utrzymują w zdziwieniu, jak niegdyś dziedzice pańszczyźnianych. A wielkomięjskie elity traktują biedaków jak smrodliwe bydło, psujące im wizerunek w Europie. Kiedy przyjdzie do wyborów, całe to pseudolewicowe bractwo rzuca się gorliwie wspierać polityków szermujących retoryką konserwatyzmu obyczajowego i liberalizmu - w imię niedopuszczenia do władzy "buraków" i powstrzymania powrotu IV Rzeczypospolitej.

Słowem, nie ma w Polsce gleby na takie drzewko, które sobie Sławek umyślił. Musi się to skończyć albo tak, że zgorzknieje i Zostanie pożarty przez wyhodowaną przez siebie menażerię, albo utraci złudzenia i wyjdzie na polityka; czekam i obserwuję z dużą ciekawością.

Jeszcze słówko o politykrytyce, a właściwie o Czarusiu, który po licznych woltach tam w końcu osiadł. Wcześniej, chyba z rozpędu, zaliczyłem go do tej rzeszy "skruszonych" prawicowców, którzy w obliczu ostatecznego triumfu Tuska błagają

155

o wciągnięcie na pokład zwycięskiego okrętu, bo nie chcą jeszcze tonać. Ale to, jak się wczytać, bardziej porąbany przypadek. Przyznaję, że kiedyś mnie nawet ciekawił i starałem się mimo wszystko podtrzymać znajomość; teraz przeglądam, co wypisuje, z poczuciem obcowania z chorobą psychiczną. Wrzaskliwe elaboraty, pełne wyrzucanych seriami nazwisk ludzi, których nienawidzi, żadnej logicznej argumentacji, sam bluzg, i to kretyński. Pisze teraz o mnie, że jestem kulturowo zniewieściały. Wcześniej insynuował, że udaję religijnego i "obrońcę ludu", a tak naprawdę to on wie, że i lud, i Boga mam głęboko. W którymś z poprzednich kawałków przeczytałem nawet, że jestem prawicowym ministrem w skórzanych spodniach i szelkach na gołe ciało - o co tu może chodzić, panie doktorze?

Staram się nigdy nie bawić w psychoanalizowanie swoich polemistów, ale tu inaczej nie razbieriesz - nad pokręconym życiorysem Czarusia zaciążyć musiał ojciec pułkownik, i to bodaj z MSW. To przez niego facet stał się hipisem, antykomunistą z adymiarem, antimichnikowcem tępiącym Czerską za ugodę z komunistami, apologetą Jana Pawła i tradycyjnych wartości, i, wraz z pampersami, których był głównym ideologiem, funkcjonariuszem reform III RP; a teraz wreszcie zajadłym antyklerykałem, antyprawicowcem i antykapitalistą. I w każdym z tych wcieleń, jak się zdaje, swoistym pudłem rezonansowym dla nieodmiennie silniejszych od siebie osobowości swych kolejnych kobiet. Gdyby nie ten ojciec pułkownik, w ogóle bym o sprawie nie pisał, ale przez niego mam nieodparte wrażenie, że Czarus jest czymś, czym i ja mógłbym się stać, gdyby nie chłopska, niespożyta religijność taty, która ocaliła go przed wciągnięciem w tryby peerelowskiej kariery.

Co najzabawniejsze, niedawne nawrócenie Czarusia wzburzyło wcale nie prawicę, tylko właśnie młody salon; nie mogą mu zapomnieć, że z tą samą wściekłością, z jaką dziś jeździ po klekach i "polskich patr-idiotach", jeszcze niedawno poniewierał ich idolami. Podobno jego obecność w młodym salonie

156

wynikła z osobistej, arbitralnej decyzji Sławka, a takim, jak na razie, wszyscy się tam podporządkowują. Moim zdaniem powinni Czarusia wylać wcale nie za jego prawicową przeszłość, bo, wręcz przeciwnie, z takim "hakiem" w życiorysie będzie im jeszcze wierniejszy, to już komuniści wiedzieli. Powinni go wy\_ lać, bo starając się być jak najbardziej ich, strasznie paniczków z politykrytyki negliżuje - zwłaszcza głośzonym żarliwie kultem mieszczaństwa jako klasy modernizującej. Burżuazja nośnikiem wartości lewicowych: oto jest myśl na miarę naszych czasów! I pasuje do nich doskonale; "towarzysze burżuje": pisałem w tekście o awanturze wokół biografii Kapuścińskiego.

00

Jedziemy samochodem. Swego czasu to była ta jedna z niewielu chwil w ciągu dnia, kiedy mogliśmy ze sobą porozmawiać, bo przecież zawsze ja albo przy klawiaturze, albo gdzieś w studio czy w pociągu, Ola też zalatana - nie ma kiedy. Ale dzieci stopniowo zabierają i ten czas, w miarę, jak dialogi z tylnego siedzenia robią się coraz ciekawsze.

- Córka ci musi coś powiedzieć - śmieje się Ola, ledwie się dosiadam, bo dziś akurat ten dzień, kiedy pomiędzy szkołą i przedszkolem a kolacją wybieramy się całą rodziną na zakupy. Znowu o kotku? Raczej nie, bo wtedy Ola, znając moją idiosynkrazję na tym punkcie, nie anonsowałaby tematu tak wesoło.

Obracam się, na ile pozwalają pasy i patrzę na Młodszą py\_ tając.

- Tak, tato, musę się z tobą podzielić pewną sprawą \_ OZnajmia. "Musę się z wami podzielić pewną sprawą" to moje najbardziej oficjalne zagajenie przy wspólnym posiłku; dziecko jest jak magnetofon, dlatego właśnie trzeba bardzo uważać, co się przy nim mówi. Zresztą nie tylko, co się mówi, bo ten magnetofon nagrywasz wszystkim, swoimi emocjami, zachowaniami, stosunkiem do ludzi i świata; co ty nagrasz, ono odtwarza. Nie chce mi się powtarzać oczywistości, chociaż w tym wariującym

157

świecie może trzeba, ale do wychowywania dziecka wystarczy przy nim być, i ono będzie takie samo jak ty. Jeśli mama albo tata mają problemy ze sobą, to żadne uczone podręczniki im nie pomogą. A jeśli nie mają i więź jest mocna, to żadne ministerstwa i systemy indoktrynacji nie zdołają im tego dziecka odebrać, taką żywię głęboką nadzieję,

- No, słucham. Coś ważnego?

\_ Nie taaaam zieby wazne ... - mówi, teraz z kolei wiernie kopiując charakterystyczną intonację Oli. - Po prostu umówiliśmy się z Miłosem, ze będziemy parą.

Super. No w końcu idzie jej na piąty rok, czas najwyższy pomyśleć o życiowej stabilizacji i o stałym narzeczonym.

- Chyba z Michałem? - poprawiam po zastanowieniu, bo pamięć mnie chyba nie myli, chłopczyk, który na inauguracji przedszkolnego sezonu prosił Manię, żeby ją przedstawić swoim rodzicom, miał na imię Michał, a nie Miłosz.



- Nie, tato, z Michałem postanowiłam się rozstać. .. Oleńka zagryza wargi, żeby się nie roześmiać, ja kwituję skinieniem głowy, że przyjąłem tę informację do wiadomości.

- A dlaczego? - nie mogę nie zapytać.

- No wiesz, tato, zastanawiałam się, ale on jest taki. .. za

bardzo męski.

Tu już Oleńka nie wytrzymuje.

- Maniu, a co to znaczy, za bardzo męski?

- No wiesz - wzdycha, jakby z irytacją, że rodzice jak zwykle

nic nie rozumieją. - Długo się zastanawiałam, ale on jest taki .. taki za bardzo. I za dużo rozrabia.

\_ A ja - Starsza najwyraźniej dochodzi do wniosku, że JUŻ za długo cała uwaga skupia się na siostrze - to się z Maćkiem

nigdy nie rozstanę. Nigdy. . .

. - Oj, Zosia - Mania z punktu robi swoją minę "no pseciez";

i potrząsa odwróconą grzbietem do dołu dłonią, z wysuniętym charakterystycznie palcem. - No pseciez to nie ma sensu tak mówić! Jesce mas mnóstwo casu!

158

- Ma sens - a Zosia jak zwykle zasadnicza i stanowcza.

- Ożenimy się i będziemy mieli czworo dzieci, to już postanowione.

- Oj, Zosia, 110, zastanów się, Pseciez, pseciez, mas jesce mnóstwo casu. No pomyśl, dorosnies, będziesz sobie jechała samochodem, i zobacysz jakiegoś fajnego chłopaka, i co, i nie będziesz mogła się z nim spotkać, bo już się ożeniłaś? No to po co się tak spieszyć?

- Nieprawda! - złości się Zosia, ale jak zwykle trudno jej przeciwstawić elokwencji Młodszej równie sprytnie argumenty, więc próbuje ją zakrzyczeć, i po chwili samochód pełen jest wrzasku; normalna rywalizacja, jak zwykle, młodsze chce być starsze i mądrzejsze, starsze broni uszanowania dla swego starszeństwa. Tak widać musi być i tak będzie, dopóki się nie pojawi trzecie - wtedy, pamiętam z własnego dzieciństwa, oboje starszych jednoczy się przeciwko najmłodszemu - i trzeba tylko od czasu do czasu ingerować, kiedy kłótnia przekroczy rozsądną miarę.

- Zosia, mówiem ci, psedskole to nie jest najlepsze miejsce do sukania męża - pointuje Mań. Śmiejemy się do siebie z żoną, zupełnie tą wymianą zdań rozbrojeni.

Najbardziej, powiedziałem potem Oli, załamał mnie ten tekst, że Michał jest za bardzo męski, To co, znaczy, że ja mam jakiś problem z męskością? Dostrzegasz coś takiego, kochanie? No bo to przecież ja jestem dla niej wzorcem męskości, mówią Psychologowie.

Nie ma się co śmiać, problem jest poważny. Łatwiej by mi było być ojcem chłopca, na ten temat coś wiem - ale co mogę dać córkom, żeby sobie potem radziły w życiu? Zwłaszcza w tych dziwnych czasach, kiedy to, co męskie i to, co żeńskie kompletnie się poplątało i płacze coraz gorzej? A raczej, kiedy to, co męskie tak: podupało, zwiędło i zdechło, że kobiety, chcąc nie chcąc, muszą z pokolenia na pokolenie coraz bardziej męźnieć? Można oczywiście dorabiać do tego emancypacyjną ideologię i odwra-

159

cać skutek i przyczynę, ale prawda jest brutalna: mężczyźni łatwiej sobie dać spokój, uciec, zapieć się, a kobieca biologia każe jej mieć potomstwo i nie pozwala go ot, tak, porzucić, nawet pod najbardziej wzniosłym pretekstem. Więc kobieta musi; facet sobie ucieka w co chce, a ona zostaje sama na sam ze światem i przeciwko światu. Cywilizacja i technologia poszły takim torem, że męskie cnoty stały się anachronizmem, a męskie umiejętności przestały gwarantować sukces, więc i mężczyźni wymierają, w każdym razie jeszcze przez parę pokoleń nie będą sobie umieli z tym dać rady. A póki co, ktoś ich musi zastąpić, natura próżni nie znosi. Można to ogłaszać jako wielki cywilizacyjny sukces, można się zachwycać, że normalnego mężczyznę zastępuje typ, który jeszcze za moich czasów nazywany był pogardliwie "otwieraczem do konserw", a teraz to on jest "boy toy", celebryta, jeśli akurat obtańcowuje jakąś wyliftowaną i nabotoksowaną gwiazdę, i że popkultura celebrytuje świat starych panien; ale jakoś nie wierzę, żeby moje córki dały sobie wmówić, że życie singielki w wielkim mieście to godziwa cena za profesjonalny sukces, bogactwo tam cena - że to w ogóle najwspanialsze, co je

może spotkać.

Myślę czasem - gdzieś tam jakiś facet z jakąś kobietą wy-

chowują teraz chłopców, który wyrosną na mężczyzn dla moich córek. Przynajmniej mam taką nadzieję, że wyrosną.

00

Rodzi się w bólach tekst. Na początku jest piękny kwiatek z "Newsweeka", który zapuścił sobie jako stałego felietonistę człowieka prezentującego w stanie czystym do analizy wszystkie umysłowe aberracje polskiej obrazowoszczyzny. Ze śmiertelną grozą i powagą cytuje on swoich znajomych, dających wyraz przerażeniu, że ich dziecko może być w przyszłości prześladowane, bo poczęte zostało metodą in vitro. Pisze o tym tak, jakby pisał o zatroskanych o przyszłość Żydach obserwujących zza firanek triumfujących po zwycięskich wyborach nazistów, albo

160

układanie pierwszych stosów hiszpańskiej inkwizycji. Z pełną empatią, zrozumieniem i współczuciem - tak, to całkiem realne niebezpieczeństwo ...

W tym "dzikim, ciemnym kraju", rządzonym przez "KK", jak akronimują Kościół katolicki warszawka i krakówek, już przecież tylko patrzeć stosów. Powiecie, że już trzeci rok rządzi ich Platforma, a konserwatywna opozycja, już pomijając, iż bynajmniej nie bardziej konserwatywna niż brytyjscy torysi czy francuska UDF, dzień w dzień gnojona jest w mediach i nękana na każdym szczeblu administracji niewiele mniej intensywnie niż na Białorusi? Że władza na każdym kroku wybija pokłony przed "standardami unijnymi" i dostaje od władarzy zjednoczonej Europy cenzurki, iż standardy owe wypełnia? Że warunkiem pozostania w życiu publicznym staje się złożenie publicznej samokrytyki, rytualne oplucie Kaczyńskiego i PiS, odcięcie się od polskiego katolickiego ciemnogrodu - a dla sukcesu artystycznego czy naukowego nawet to nie wystarczy, trzeba się jeszcze zasłużyć, napisać jakąś powieść czy sztukę o Iedwabnem, albo przynajmniej podpisywać apele przeciwko polskiej nietolerancji?

Oni się nie dadzą zwieść. Platformą też tak naprawdę rządzą biskupi, za plecami uśmiechniętego Tuska czai się skrzywiony chytrym grymasem Dziwisz, pazerny kler okrada nas na każdym kroku i .wpięprza się we wszystko': a w ciemnych zaułkach ulic ostrzą noże pisowskie hordy, czekając sygnału, kiedy na okrzyk proboszczów "bij Żyda-masona-liberała!" będą mogły ruszyć do rzezi, wieszać, podpalać, gwałcić i rabować. Elita, jak się ona widzi, cienka skorupka cywilizacji starająca się okiełznać i ucywilizować barbarzyński, tubylczy żywioł (podobieństwo a rebaur tej wizji do mickiewiczowskiej "lawy" czysto przypadkowe) żyje tu w wiecznym strachu przed nocą świętego Bartłomieja. Choć, jako żywo, jedyną w swej historii rzeź tutejsze ciemne chłopstwo urządziło POWstańcom walczącym o niepodległość, więc wedle dzisiejszych pojęć raczej "pisowcom" niż kosmopolitycznym liberałom.

161

Żal nie zrobić z tego jakiegoś tekstu, ale jaki? Dyskutować na poważnie z odmóżdżoną histerią, tłumaczyć wariatowi, że niezgoda Kościoła na dowolne manipulowanie ludzkimi zarodkami ma się nijak do insynuowanej chęci prześladowania poczętych w próbowce dzieci jest przecież nie tylko stratą czasu, ale obrazą dla inteligencji podejmującego taką dyskusję. Chcąc nie chcąc, zmieni się to w pokazanie czytelnikom przykładu "liberalnego" zgłupienia, które tylko utwierdzi przekonanych w ich przekonaniach. Jeśli przy tym ubarwię tekst jakimś ostrzejszym zwrotem, „wyborcza” zacytuje mnie z rozsmakowaniem i odpowiednim komentarzem jako jeden z serwowanych codziennie wiernym czytelnikom dowodów martyrologii, jaką cierpią, prześladowani przez proboszczów i tłuszcę "starszych, gorzej wykształconych i z małych miasteczek", znieważani jako ZOMO, wykształciuchy i łże-elity, by im podbić bębenka, utrzymać w histerii i w nieustającym zwieraniu szeregów wokół właściwych mediów i jedynie słusznej władzy. I jedynym moim sukcesem będą najwyżej dąsy Martynki, że znowu musi się przed koleżankami wstydzić za brata oszołoma.

Tak, codzienna dłubanina, gdybym miał pilny krótki komentarz do "Rzepy", "Gazety" albo na portal, to odrobiłbym lekcję w pół godzinki - w końcu jutro i tak wyląduje to w koszu, tak samo zresztą, jak i jeremiady durnia straszącego wizjami prześladowań za sztuczne zapłodnienie.

Ale mam chwilę czasu, więc zamiast tej mechanicznej pracy - tekst numer jeden wariant jeden a, czyli po raz enty dlaczego michnikowszczyzna jest głupia, obłudna i szkodliwa dla Polski - mogę się pokusić o nieco dłuższy, mocniejszy tekst z przywołaniem dziesiątek

podobnych durnot. Fantasmagoryjny, straszny świat polskiego postinteligenta, warunkowanego przez media do wiecznego życia w strachu. Bo przecież ten jakiś tam anonimowy przywoływany biedak wierzący, że jego dziecko będzie w ciemnej katolickiej Polsce represjonowane za niewłaściwie pochodzenie, nasłuchiwał się intelektualistów ostrzegających

162

~-

przed "polskim faszyzmem": czcigodnych profesorów, modnych aktorów czy pisarek, zwierających się z lęku przed śledzących ich samochodem, przed pukaniem do drzwi, przed grożącymi stosami czy aresztowaniami, a oni z kolei nasłuchali się redaktora naczelnego rządzącej od dwudziestu lat mediami i najlepiej się sprzedającej gazety, zapowiadającego z powagą, że niedługo znowu będzie drukować podziemne pisma na powielaczu ...

I znowu mogę iść w dwie strony. Wykazywać absurd; groteskę zachowań elity, która Urbana, Labudę, czy Olgę Lipińską, ludzi robiących na antyklerykalizmie miliony, kariery polityczne albo przynajmniej dziką popularkę, traktuje jak zaszczyt, prześladowanych dysydentów. Można trochę o mechanizmach - porównać powszechność w tych sferach przekonania, że za rządów PiS panowała groza, "dusznna atmosfera podejrzeń i nienawiści": z powszechnym u prostego ludu przekonaniem, że stan wojenny, jakkolwiek tam żałować zastrzelonych górników, trzeba było wprowadzić, bo kraj pogrążał się w anarchii, chaosie i bandytyzmie. To nic, że twarde dane pokazują wyraźnie, że w karnawale "Solidarności" przestępczość była znacznie mniejsza niż za Gierka, że strajków wcale nie było wiele i żaden nie zagrażał porządkowi publicznemu; ludek pamięta, co mu dzień w dzień wbijała telewizja w łeb: obrazy chaosu, straszenie zimnymi kaloryferami i pustymi półkami. Wcześniej i później cenzura wycinała surowo nawet informacje o wypadkach drogowych, nic nie mogło psuć różowej wizji socjalistycznego rajy, nie wolno było bez osobnej zgody informować o przestępstwach, katastrofach, nic, cisza - a przez tych kilkanaście miesięcy, odWrotnie, szedł prikaz, by pokazywać każde nieszczęście, każde morderstwo, by straszyć i lamentować ile wlezie. Mogła sobie "Solidarność" pisać na murach "telewizja kłamie"; minęło trzydzieści lat i co roku sondaż na 13 grudnia pokazuje, jak bardzo kłamstwo było skuteczne.

Można, oczywiście, opisać ten sam mechanizm na przykładzie ludzi, którzy całą wiedzę o świecie czerpią z "Wyborczej"

163

i "Polityk", a treścią emocjonalną napełnia ich całodobowo TVN 24, TOK FM czy "Zetka": i którzy są naj głębiej przekonani, że czasy "IV Rzeczypospolitej" były czasem grozy, lustracyjnych bojówek, faszystowskich prześladowań. Pamiętają to przecież dobrze! Spytaj ich - ale co konkretnie pamiętasz? Wymień jeden konkretny przykład nadużycia władzy, nieuzasadnionych represji, podaj jeden konkret, przecież kilkadziesiąt wniosków do prokuratury skończyło się umorzeniem, ani jedno śledztwo nie potwierdziło medialnych zarzutów, dwie sejmowe komisje śledcze od trzech lat próbują znaleźć jakiegokolwiek haka na Kaczyńskiego czy Ziobrę, i nic, nic - no, po długim namyśle przypomni ten średnio udany żart, że dziś "oni stoją tam, gdzie stało ZOMO". Ponów pytanie - obrazi się śmiertelnie i zacznie krzyżeć: "pisowiec! pisowiec!"

To też w sumie banalne. Można by pójść w stronę skutków tego życia w histerii, po części spontanicznej, zastępującej nieobecną analizę świata i swoich w nim powinności, a po części cynicznie rozbudzonej przez potęgę propagandową (jak zmierzyć i wyważyć proporcje?). Nie ma wszak nic bardziej niebezpiecznego niż przestraszony idiota. Gotów na każdą podłość i każde szaleństwo, no bo przecież tylko broni się przed nawrotem faszyzmu. Niech tylko tam w interiorze cokolwiek powie, uaktywni się, komuś wzrosną notowania o kilka procent, cokolwiek się stanie, choćby zupełnie niewinnego i niegroźnego, przerażony idiota już podskakuje, już gotów popełnić każdą nikczemność i na każdą się zgodzić, byle tylko straszliwe zagrożenie zostało zdeptane w zarodku. Zabijać może kawiarniany inteligent nie jest gotów, raczej zresztą przez wrodzoną nieudolność, niż dla jakichś zasad moralnych, wszystkie zasady moralne zostały wszak już u zarania niepodległości zinstrumentalizowane - dobre i piękne jest to, co służy postępowej inteligentnej formacji politycznej, transformacji ustrojowej i integracji z Europą, a złe i brzydkie wszystko, co nie służy, i tyle w temacie imponderabiliów. Zabijać może nie zabije, ale zaakceptuje i usprawiedliwi

164

wszystko, każdą podłość, każde kłamstwo. Bo skoro alternatywą są stosy, faszyzm i inkwizycja ... Słowa "wszystko lepsze od tego endeckiego ciemnogrodu" patronka późniejszej o czterdzieści lat udecji zapisała wszak w dzienniku w szczycie stalinizmu.

Do czego ta choroba może doprowadzić? Do wszystkiego, powiedzmy sobie szczerze, dla przerażonego idioty nie ma rzeczy nie do przyjęcia, nie ma tabu, którego nie może złamać, nie ma żadnych zasad przyzwoitości, niczego, poza jedynym przymusem - wspierać wszystko, co ochroni przed zagrożeniem. Nowego Hitlera ani Stalina, który by się ubiegał o ich przyzwolenie, na razie nie ma. Ale jest Ferajna. Splot sitw, mafii i układów, splot koterii i kamaryl, zmijowisko bezwzględnych gangsterów i arywistów, na którym wspiera się władza naszego premiera di tutti capi. Boisz się sekty - no to musisz poprzeć mafię. I popierają, jeszcze jak popierają! A gdzieś za premierem, królem bajeru, mistrzem utrzymywania się jak genialny surfer zawsze na samym wierzchu falujących społecznych nastrojów, nachyla się wielki cień nierzeczywistego, ogromnego pana Purchla. Nie myślę o tym tam powiatowym inspektorze, tylko o takim Purchlu wszystkich Purchli, mrożkowskim Edku, ale Edku innym, nowym, platformerskim, zrodzonym na postkomunistycznym gnojowisku, po chamsku cwany i bezwzględny w garnięciu do siebie. Do cna zdeprawowanym przez komunizm i wcześniejsze okupacje, wyzutym z jakichkolwiek zasad poza najbardziej pierwotnym prymitywnym instynktem: zreć i rosnać kosztem Wszystkich i wszystkiego. I na tego postpańszczyźnianego bandziora liberalne elity III RP są otwarte najszerzej, aż pulsując pragnieniem oparcia się w tym świecie przerażających fantasmagorii na jego pewnej sobie, męczyńskiej sile. To nawet już nie jest "Z Panem? A wie Pan, że zatańczę!": to jest rozpaczliwe "ratuj!":

Ratuj przed straszliwym widmem Polaka-katolika, "katuj, tratuj, ja przebaczę wszystko ci jak bratu"!

Ale gdyby chcieć się najbardziej wysilić, to trzeba by się Wznieść nieco wyżej i te odruchy obrazowanszczyzny nałożyć na

165

zachowania niedobitków inteligencji prawdziwej, tej z dawnym, patriotycznym etosem, "pisowskiej", będącej codziennym celem szyderstw i ataków obozu władzy. Przy wszystkich różnicach, dałaby się zauważyć ta sama bezradność wobec rzeczywistości. Historia nie dostarcza żadnego wzorca do poradzenia sobie z nią, bo nie było w historii takiego pogromu, takiego zestrugania całego narodu do pogardzanych wieśniaków, sytuacji, kiedy to oni właśnie samą swą masą rozchwiali wszystkie normy. Ludzie z samego społecznego dna, bezkarni w kierowaniu się swym prostackim sprytem, pazernością, cwaniactwem, a wręcz zachęcani do tego, bo to im trzeba się przypodobać albo ich uwieść, oni kreują przywództwo, oni po swojemu ustalają, co znaczy dobro, a co zło. Nie ugryziesz ich ani Sienkiewiczem, ani nawet Żeromskim. Więc po tej z kolei stronie ucieka się w schemat powstańczy, w logikę walki z zaborcą. Jeśli odrzucić fakt, że jesteśmy wolni i sarni winni swym nieszczęściom, zanurzyć się w opowieści o zdradzie i o wierności świętej sprawie, to przynajmniej wiadomo co zrobić. Tylko do rzeczywistości ma się to tak samo nijak, jak te historie o państwie wyznaniowym czy faszystwie.

I tu dotykamy najważniejszego. Na cholerę narodowi takie elity, które w niczym mu nie pomogą pomóc, nigdzie poprowadzić, niczego wytłumaczyć, bo same nic nie rozumieją, umieją się tylko znieczulać, żeby mieć poczucie bycia po właściwej stronie? I jak ma przetrwać taki naród, bez rzeczywistego przywództwa, zdany na elity cwaniaczków, szabrowników, nadętych kabotynów i zwykłych sprzedajnych bladzi - nawet jeśli, przynajmy, czasami z pewną klasą?

Nie chce mi się tego ruszać, bo właściwie generalne pytanie brzmi - dlaczego ja tego nie umiałem zmienić? No bo kto inny miał to zrobić? Ja. Dlaczego ja? Dlatego, że o tym myślę, a innym się nie chce. Myślę, ale na myśleniu się właściwie kończy - parę przymiarek, i nagle ręce opadają.

Przecież - co tam, pozwólmy sobie na chwilę "dumy niepotrzebnej" - mam być, jestem, pisarzem. "Kolegą nie byle

166

duchów". Facetem od pracy dużo ważniejszej niż codzienna walka o polityczną infrastrukturę. Jakimś tam, nie mnie oceniać, ziarenkiem, zacytnem, a może tylko garstką torfu dla przyszłej prawdziwej polskiej elity, bo jeśli czegokolwiek mogę być pewien, to tylko że ten nowy naród raz wyrojony z folwarcznych czworaków nie da się już do nich zagnać, rozsadzi w końcu usiłującą go zdławić skorupę i pośle te "gęby za lud krzyczące" w diabły, jak posłał Koźmianów i Felińskich w ślad za wszystkimi hrabiami, damami i sztabsoficyjerami warszawskiego salonu. Wyda z siebie z czasem elitę inną, niż tylko bandycka elita pazernych kombinatorów i geszefciarzy, choć ta wyrosła najszybciej i najłatwiej. Bo takie jest prawo natury, taka jest siła biologii: łodyga pnie się do kwiatu, a naród odgłowiony z elit, póki ma w sobie jakiegokolwiek życiowe soki i siły, odtwarza je. A elity wykorzenione, oderwane od narodu, usychają i odpadają. I na kimś, dla czegożby nie na mnie, spoczywa obowiązek, by zanim skorupa całkiem się osypie, "wymierzyć najwyższą sprawiedliwość widzialnemu światu, przez wydobyć na jaw prawdy". Jeśli nie sztuką o Tadku, jeśli nie powieścią o tacie, niechby na razie choć esejem o skretynieniu tego, co rzekome elity III RP produkują, o ich dzisiejszych "tysiącach wierszy o sadzeniu grochu":

Przecież 90 procent produkcji artystycznej - pozostałe dziesięć przypada na tych, których recenzenci przemilczają albo perfidnie opluwają, którym nie przyznaje się funduszy ani

grantów, raczej blokuje serwery i w ostatniej chwili odbiera sale na spotkanie z czytelnikami czy projekcją, niech się oszołomy, skoro to-to żyje, spotykają w parafialnych salkach, tam ich miejSce - a więc, 90 procent tej produkcji to budowanie wspólnoty twórcy z odbiorcą w jednoczącej obu pogardzie dla "onych", dla Polaków. To się autolizusowsko etykietuje frazesami o odWadze sięgania po bolesne tematy, rozdrapywania narodowych mitów, ale to wszystko kłamstwo - tyle samo w tym odwagi czy samokrytyki, co w antysemickich filipikach "Stiirmera": My,

167

autor i jego wierna publiczność, liberalni inteligenci, siadamy na widowni, a na scenie - oni. Straszni Polacy z Polski "B", oprawcy z mitycznego Jedwabnego, chamstwo i mohery, potworni ojcowie, bijący dzieci, potworne matki-dewotki, tłuszcza, która "Żydówek nie obsługuje" i nienawidzi gejów i lesbijek, katolicka trzoda. Oni, oni, oni - nie my! My z nimi nic wspólnego nie mamy; po to właśnie to wszystko, by pokazać, by się wkupić: nie mylicie nas z nimi, my już jesteśmy o poziom wyżej, już zasługujemy, by nas awansować na Europejczyków, choćby i takich wasser- Europejczyków drugiej prędkości, odcięliśmy się, rozliczyliśmy, wypuliśmy z siebie te polskie głupie tradycje, chybione powstania, anachroniczny patriotyzm, religianctwo; docieńcie!

Cała okrzyczana literatura III RP, film, co tam jeszcze, to jedna wielka emocja odcięcia się, obcości. Patrzcie, jacy oni są, jak dobrze, że oni to nie my - i, mówiąc językiem inteligenckich salonów, chuj z nimi, nie poradzili sobie w transformacji ustrojowej, są roszczeniowi, ciemni, zacofani, tylko nas kompromitują przed światem, im szybciej to-to wyzdycha, tym lepiej. Oto sztuka, oto sukces i sława.

A wszystko inne - pod sukno, jeśli nie pod nóż. Żadne tam "wszystko co ze mnie wieczne - z tych oto ogórków". Takiego poetę by dziś wyśmiali, albo raczej w ogóle go nie wydali drukiem. Nie ma szansy żadna fabuła o prawdziwym życiu, prawdziwych ludziach - rzeczywistość nie pasuje do słusznego wzorca, więc jest niecenzuralna. Nikt nie napisze o zbieraczach jabłek, sprasowanych po trzydziestu w jednym busiku w drodze do groszowej pracy, o postkomunistycznej nędzy i degeneracji polskiej prowincji, gdzie nie zajrzą żadne siłaczki i judymy, za to twardą ręką rządzą stare i nowe układy, a stosunki między pracownikiem, pracodawcą i władzą kształtują odwieczne zasady feudalnego wyzysku i mafijnego podporządkowania. Na takie rzeczy nie ma popytu. "Kandelabry skrzywią się na realizm la wymalowane papugi I na plafonie - jak długi /z dzioba

168

w dziób zawołają: »pisowcyl-s" Nikt tego nie wyda, a choćby wydał, nikt nie kupi, a choćby chciał kupić, skąd się dowie, że jest co kupić? Trzeba lat, potu i pokornego pogodzenia, że jeśli nawet ktoś ten pot doceni, to dopiero po śmierci.

No więc siadaj, Rafalski, siadaj, i pisz! Ba. Ale na razie - gdzie wydrukować? Przecież nie mogę tak sobie a muzom, do szuflady. Trzeba znaleźć kogoś, kto zamówi esej na temat i objętość, i ktoś się oczywiście znajdzie, przynajmniej na razie, póki jeszcze Kaczor siedzi w Belwederze i coś tam może. Ale zanim się znajdzie, temat wystygnie ... zresztą, tak lepiej, na zimno właśnie. To praca, musi być wykonana porządnie, a nie uderzać autorowi do głowy.

Ale sobie poszybowałem - raptem od tego, że jeden dureń zwierzył się ze swych lęków drugiemu durniowi, który to z powagą zapisał i podał do gazety. Jak powiada wschodnie przysłowie, dwunastu mędrców trzeba do podniesienia kamienia, który potrafi rzucić jeden głupiec. Weź się tak, chłopie, nie denerwuj, bo od tego cukier skacze ...

00

Przechodzę podziemiami Dworca Centralnego, bo tak mi najbliższej - przez tych kilka minut trzy razy słyszę puszczaną z głośników grafomańską reklamówkę, zachęcającą, żeby jeździć pociągami, zamiast samochodem. Że niby tak jest bardziej ekologicznie, chociaż z debilnych dialogów, o tym, że "jadąc samochodem, słyszysz stale to samo" wcale to nie wynika. Po każdym powtórzeniu tych zachęt leci stopka, informująca, że reklamę przygotowano dzięki wsparciu funduszy "coś tam natura" Ministerstwa Środowiska, czy może któregoś innego, w ramach programu "przyjazne środowisko" - mniejsza o szczegóły, w każdym razie za moją podatniczą krwawicę.

To się ładnie nazywa "reklama społeczna". A na przemian z "reklamą społeczną" normalna dworcowa codzienność: pociąg z Krakowa w dniu dzisiejszym przyjedzie opóźniony

169

o 40 minut, opóźniony pociąg do Białegostoku przez Tłuszcz-Małkinię-Łapy odjeżdża, godzinne opóźnienie może się już tylko zwiększyć, powtarzam ... Jeżdżę pociągami, jeśli akurat mnie żadna choroba od tego jeżdżenia nie oderwie, z częstotliwością komiwojażera, wagony są z roku na rok coraz bardziej brudne i zdewastowane, ceny coraz bardziej skandaliczne, i wszystko turla się coraz wolniej, bo tory się sypią i nie ma ich za co remontować. A przekręty, to już wiedza dziennikarska, coraz grubsze. Zresztą cała państwowa kolej to jeden wielki przekręt. w jednym państwowym przedsiębiorstwie urządzić kilkanaście zarządów i rad nadzorczych dla kolesiów! Proste, że nie ma już skąd brać na pociągi, skoro trzeba utrzymać tylu prezesów.

A tu - reklama społeczna. Zamiast samochodu wybierz pociąg. Już widzę, jak ktoś pędzi, przypadkiem przez dworzec, do samochodu, bo się wybiera do Krakowa, i pod wpływem apeli z głośników łapie się za głowę, że przecież - środowisko, natura ... I wywała cztery razy więcej kasy, żeby tłuc się brudnym, nieopalonym i spóźnionym składem. Jak z Barei! Podtóż koleją skraca czas podróży pociągiem, kolejarze i artyści raz jeszcze trafili w dziesiątkę!

No i co - grunt, że jakiś cwaniaczek wydoił parę tyśi dla swoich znajomych na "opracowanie kampanii społecznej" dla firmy szwagra, głosy nagrali kolesi i stryjenka, a kto trzeba wziął działkę. A to Polska właśnie - wielkie dojenie, na wszelkie sposoby, doją wielcy i mali, doi co popadnie, kto się tylko dorwie, a kto się dorwać nie umie, ten skończony frajer. Wszystko, całe państwo podporządkowane tylko dojeniu, prawo pisane tak, żeby jak najwygodniej doić, administracja publiczna, żeby jak najbardziej wszystko skomplikować, bo wiadomo, im bardziej to pozbawione sensu i im gorzej działa, tym łatwiej w ten monstrialny system państwowych rurek "swój prywatny wkręcić kurek": I cała przedsiębiorczość poddanych, aktywność polityków i działaczy samorządowych, lobbystów, wysilona na to tylko, jak

170

znaleźć jeszcze jeden patent, jaki kurek jeszcze wykombinować i gdzie go umieścić.



A pani doktor ci mówi: "przede wszystkim proszę się nie denerwować, unikać stresu". Z choinki się urwała.

00

Oleńka zaczyna zdradzać pierwsze objawy zaniepokojenia moim obsesyjnym przesiadywaniem nad tymi zapiskami. Tłumaczę, że pozwala mi to zapomnieć o głodzie, inaczej nie mógłbym myśleć o niczym innym i w końcu bym coś podżarł. Ciekawe, zastanawiam się teraz, czy wymyślając naprędce taką egzegezę mojego pisania, odczytałem trafnie podświadome przyczyny mnożenia zapisków, czy też teraz, gdy już to wymyśliłem, ponieważ racjonalizuję sobie, że wylewanie żółci i jadu odwraca moją uwagę od burczenia w brzuchu i pozwala nie myśleć o poziomie cukru? Nie jest zły, ale ciągle jeszcze trzymam najściślejszą dietę, głodówkę właściwie, całkowicie bez tłuszczu i jakichkolwiek węglowodanów; już ostatnie dni, dłużej naprawdę nie można.

W każdym razie żona delikatnie naprowadza mnie na myśl, że bardzo dawno nie bawiłem się z dziećmi, a skoro akurat jestem w domu ... No, to świetnie. A skoro właśnie wyraziłem chęć żeby się nimi zająć, to ona wyskoczy na masaż.

Więc dwie popołudniowe godziny, jakie mi zostały przed wyjściem do klubu, spędziliśmy na przerabianiu starego pudła po telewizorze na domek dla misia. Godna uwagi prawidłowość, że takie stare pudło jako zabawka sprawdza się dużo lepiej, niż kosztowne cudeńka ze sklepu. Pokusiłbym się wręcz o sformułowanie takiego prawa, że dziecko bawi się tym dłużej, im tańszy i mniej wymyślny jest przedmiot, który do zabawy dostaje - kosztowna zabawka nudzi się po kwadransie, no bo co z nią można zrobić? Tylko oglądać ze wszystkich stron i podziwiać.

Mam wrażenie, że prawie nic tu nie było jeszcze o Zosi i Mani, a zaczynając, myślałem właśnie przede wszystkim o nich - że

171

trzeba zapisywać ich odzywki, wszystkie toczone rozmowy, bo to się przecież marnuje, już wieczorem przypominam sobie tylko mgliście, że mała coś powiedziała, ale co ... Albo Ola próbuje: czekaj, czekaj, co ona dziś takiego wymyśliła ...

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że mieć dzieci to coś tak trudnego. Trudno wejść w ich świat, a łatwo nieopatrznie w nim coś bezpowrotnie zniszczyć. Stale towarzyszy mi strach, świadomość, że nikt nie jest w stanie tak bardzo zepsuć człowiekowi życia, tak bardzo i bezpowrotnie poranić, jak ojciec i matka. Ludzie albo bezmyślnie kopią błędy, jakie popełniali ich rodzice, albo odwrotnie, chcąc ich za wszelką cenę uniknąć, popadają w przeciwną skrajność i efekt jest równie fatalny. Za czasów mojego dzieciństwa panowało, generalnie, przekonanie, że dziecko to zasmarkany głupek, który dopiero kiedyś tam stanie się człowiekiem, kochająca matka musi je nakarmić, umyć, oprąć i ciepło ubrać, ale poza tym nic. Ma siedzieć cicho, kiedy się go nie pyta, i nie pętać się ludziom pod nogami. Teraz przegina się raczej w przeciwną stronę. My z Oleńką staraliśmy się, żeby nasze córki mogły od początku budować poczucie swojej wartości. W granicach rozsądku oczywiście - ale czy "chłopski, zdrowy rozum" jest w stanie właściwie je wyznaczyć? Zawsze pukamy do dziecięcego pokoju i czekamy na "proszę": zawsze tam, gdzie można - która czapka, jakie

jedzenie - staraliśmy się dawać im wybór i szanować decyzje. Ale z drugiej strony wyznaczać bardzo jasno obowiązki i linię pomiędzy tym, co można, a tym, czego nie.

Albo kwestia -- ile wymagać? Ja mam gdzieś w duszy żal do rodziców, że nikt mnie we właściwym momencie nie kopnął w tyłek i nie zmusił do solidnej pracy, do tego, żeby trochę przysiąść fałdów, zwłaszcza nad matematyką. To znaczy, tato trochę próbował, ale nie miał czasu, i skutku żadnego nie osiągnął. (Najdziwaczniejszy prezent, jaki kiedyś od niego dostałem - suwak logarytmiczny w eleganckiej pochewce, nigdy się na tym nie nauczyłem liczyć, nawet nie wiem, co to właściwie jest ten

172

logarytm czy inna całka, więc zachęta spełzła na niczym, ale przechowuję jako pamiątkę). A ja miałem wrodzoną łatwość zapamiętywania różnych rzeczy, żadnego wkuwania, wystarczyło przelecieć wzrokiem przed lekcją, nawet jeszcze na studiach zaczynałem się uczyć dopiero parę dni przed sesją. I to mnie rozpuściło, ta łatwość zaliczania kartkówki i odpowiedzi - wyrósł typowy felietoniści, na każdy, no, dobrze, prawie każdy temat coś tam z grubsza wie, ale właśnie tylko coś tam z grubsza. Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego bym doszedł, gdybym zamiast myśleć po całych dniach o niebieskich migdałach wkuwał równie metodycznie jak koledzy?

Fakt, wtedy oczywiście nikt w takich kategoriach nie myślał - do czego można było dojść bez zeszmacenia się? No a dzisiaj z kolei włosy mi dęba stają, jak patrzę, co ludzie wyrabiają ze swoimi dziećmi. Od maluchów, bodaj czy nie od żłobka - wyścig malutkich szurków. Godzina angielskiego dziennie to za mało, muszą być dwie, trzy, i wszystkie możliwe zajęcia dodatkowe, niech się uczy jeszcze niemieckiego i włoskiego, obsługi komputera, gry na fortepianie, origami, tańców hawajskich, lepienia z gliny. Zabraliśmy Manię z prywatnego przedszkola, bo się zbuntowała, i musieliśmy przyznać rację: czterolatek ma się bawić, a nie tyrać jak wół. Ale nasz pogląd wywołał wśród innych rodziców nieopisane zdziwienie: przecież oni za to właśnie płacą, żeby dziecko było mistrzem mistrzów. Powiedziałem, czy może Oleńka to powiedziała, że bardzo dziękujemy, wolimy wychować szczęśliwą fryzjerkę niż znerwicowaną noblistkę -- po prostu zgroza i szok. Przecież to dziecko musi być na egzaminie do najdroższej podstawówki (egzamin do podstawówki! - biedne pokolenie) bezwarunkowo pierwsze, a potem w ogóle pierwsze we wszystkim, musi osiągnąć Za zgredów wszystko to, co im się nie udało i co spaprali, nie może już na starcie zamarudzić w blokach. A kiedy wreszcie nasze przedszkole uruchomi usługę, którą już wszystkie dobre przedszkola oferują, żeby dzieci mogły zostawać na noc? Bo

173

przecież rodzice nie mają czasu, muszą na to wszystko zarabiać. A idźcie wy do diabła - jak moja matka, cały dzień krzątający, żeby wszystko było u dziecka wypucowane do połysku, ale powiedzieć mu chociaż jedno dobre słowo, to żebyś stanął na głowie albo nie wiem co ...

A idźcie wy, idioci, do wszystkich diabłów, powtarzam sobie - ale przecież, teoretycznie, może być tak, że to my się mylimy, a nie oni. A to się przecież okaże się dopiero wtedy, kiedy już nic nie będzie można naprawić.

Chociaż na brak ambicji u moich córek narzekać niemożę.

Plany życiowe mają już bardzo skonkretyzowane. Mania może mniej, bo zasadniczo będzie chirurgiem miękkim, ale czasem jednak zamierza zostać poetką albo otworzyć hodowlę psów, koniecznie yorków. Natomiast Zosia jest już od roku zdecydowana - idzie do japońskiego liceum z informatyką, potem na mechatronikę (od córki się dowiedziałem, że coś takiego jest), a potem założy firmę, która będzie produkowała roboty. Zosia w ogóle ma bardzo zasadnicze podejście do życia; skoro nawet przyszłego męża też już wybrała i uważa tę sprawę za załatwioną ... Co się dziwić, ja też w jej wieku już wiedziałem i mówiłem o tym z całym przekonaniem, że zostanę pisarzem, z czego oczywiście rodzina bardzo się śmiała. Poza tatą.

Więc trochę rozmawialiśmy, robiąc ten domek dla misia, o przyszłej firmie, bo Zosia ma już pomysły, gdzie wynajmie dla niej siedzibę i w jaki sposób będzie dobierać odpowiednich pracowników (musi przecież sprawdzić, czy naprawdę lubią roboty). A trochę o tym, skąd się wzięło to i tamto, bo o to z kolei wypytuje Mań. To zresztą kwestia wieku, Zosia też miała taki etap - tylko ona chciała raczej, żeby zamiast czytania bajki na dobranoc opowiadać jej, skąd się, na przykład, wzięły samochody, albo kto zbudował pierwszą rakietę kosmiczną. A Mania pyta, dlaczego coś nazywa się tak a nie inaczej. Odpowiadam, jak umiem, bo przyjęliśmy z Olą raz na zawsze, że nie ma głupich dziecięcych pytań, odpowiadamy na każde jak dorosłemu; jak jest za mądrze,

174

to małe się samo znudzi i przerwie. Grunt, żeby miało to poczucie, że w razie czego może się wszystkiego dowiedzieć. Więc dlaczego order nazywa się order? Proszę bardzo: bo order to po angielsku "zakon" - tu wyjaśnienie, co to zakon - a pierwsze orderzy wzięły się stąd, że król, żeby wyróżnić swoich rycerzy, wybierał grupę najlepszych, stawianych za wzór, tak jak rycerze Okrągłego Stołu, i dawał im specjalny znak, medal, który nosili, żeby wiadomo było, kto do tych wybrańców należy - i teraz orderem nazywa się już nie grupę, tylko sam znak. A dlaczego ustęp się nazywa ustęp? Tu mnie zagięła, ale ojciec na wszystko musi mieć odpowiedź: chodź, sprawdzimy w słowniku. Sprawdziliśmy. Jasne, naśladuję w tym tatę, to znaczy to, co najlepiej wspominam - rozmowy z nim, to, że zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia i lubił opowiadać, poza tematami tabu oczywiście, zostawianymi na kiedyś tam, "jak będziesz starszy":

Staram się być w tych dziecięcych światach kimś takim, kim on był dla mnie - gwarantem poczucia bezpieczeństwa i stabilności. A poza tym - ja lubię gadać. Gadanie to mój żywioł; i że jeszcze mi za to płacą, to już fart nieopisany. A w dzieciach mam wdzięcznych słuchaczy, więc mógłbym tak gadać do rana.

Gdyby nie obowiązki, oczywiście, bo to przecież poniedzia-

łek i trzeba było iść do klubu.

00

Nie napiszę co w klubie, przynajmniej na razie, chociaż moim zdaniem spotkanie bardzo ciekawe - zadzwoniła Kaśka, że Jacek jest w złym stanie, nie do końca zrozumiałem, co się konkretnie stało - chyba jakiś wypadek - i czy możemy załatwić szpital? Opieka Boża, że tego ataku bólu dostał akurat, kiedy jechali załatwiać sprawy do Warszawy, bo gdyby tam u nich, na wsi, byłoby już prawdopodobnie po wszystkim; leży od wczoraj w bielańskim. Kaśka pyta,

czy da się go przenieść do MSW. Mam tam znajomego, on co prawda kardiolog, nie internista, ale pewnie zna kogo trzeba. Dzwonię do niego.

175

00

z Jackiem sprawa wygląda na cholernie poważną; Kaśki w takim stanie nie widziałem chyba nigdy. My też jesteśmy w szoku. Nic mu nie dolegało, ot, teraz dopiero Kaśka sobie przypomniała, że jakiś czas temu coś go tam pobolało raz i drugi, ale przecież, jak mężczyzny po czterdziestce nic nie boli, to znaczy, że umarł, ha, ha, a Jacek jut pięćdziesiątkę zaliczył parę lat temu ..

Zaczął się w samochodzie, gdzieś w okolicach Łomianek, więc poprosił Kasię, żeby usiadła za kierownicą, a potem z każdą minutą gorzej - zanim się przebiła przez korki do szpitala bielańskiego, dosłownie się zwijał z bólu. Podobno ból przy zapaleniu trzustki należy do najgorszych, wierzę, w końcu szwagier ułomkiem nie jest. Od razu go wzięli na ostry, dzisiaj rano operowali.

Dodzwoniłem się do Jarka, powiedział, że, oczywiście, może załatwić Wołoską, ale to nie ma sensu - w jego sytuacji to bielański jest jedynym miejscem w województwie, jeśli nie w całej Polsce, gdzie go mogą wyciągnąć. Bo wieloletni szefbielańskiego był niedawno ministrem zdrowia i szpital dostał trochę aparatury na najwyższym światowym poziomie.

Trudność z trzustką, tłumaczył mi Jarek, polega na tym, że tego w ogóle nie można tknąć nożem, bo nie da się w żaden sposób powstrzymać krwawienia. Więc do niedawna jakikolwiek! problem z trzustką, czy infekcja, czy nowotwór, to był w zasadzie szybki wyrok. I przeważnie nadal jest, bo tego nie ma jak leczyć, a zanim samo minie, zakaża cały organizm. Jedyne rozwiązanie, powiedział, jest takie, że się otwiera jamę brzuszną, jak gdyby obmywa trzustkę z tego, co wygniło, i zamyka, i znowu otwiera, i tak aż cała zakażona tkanka wygnije i się zagoi. Potwornie kosztowne i skomplikowane, ale w bielańskim akurat mogą to zrobić.

I robią, Jacek leży pod aparaturą, z plastikowym suwakiem wszytym w brzuch, będą go otwierać i zaglądać do środka co parę dni, i - czekamy, co dalej. Profesor, jak to zwykle lekarze,

176

nie chce nic powiedzieć, więc musiałem prosić Jarka o pośrednictwo - między sobą gadają inaczej niż do prostego ludu - ale tyle tylko przekazał, że szanse są nie za duże, i żeby raczej przygotowywać siostrę na najgorsze. Na razie służba zdrowia nic więcej zrobić nie jest w stanie.

Wychodzi, że gdyby nawet Kaśka zadzwoniła do nas od razu, a nie zwlekała z tym cały dzień, nic by to nie zmieniło. Ale jakoś nie mogę sobie z tym drobiazgiem poradzić. Myślałem, że po prostu za bardzo była w szoku i nie pomyślała, ale, jak się rozbijając przyznała, najpierw dzwoniła o pomoc do Filipa. Bo Filip, oczywiście - zawsze ten najmądrzejszy. Oczywiście, ona sądzi, że to dzięki niemu Jacka wzięli pod tę amerykańską aparaturę - chociaż, jak go znam, to na pewno palcem mu się nie chciało kiwnąć. Zresztą nawet gdyby

mu się chciało, to co tu mógł? Owszem, pewnie mu zostały jakieś udeckie kontakty z dawniejszych czasów, ale nikim takim ważnym w końcu nie był, ot, tyle, że sobie załatwił synekurę w tym instytucie, teoretycznie zajmującym się promowaniem polskiej kultury, a praktycznie - dojeniem z budżetu jakiejskasy dla miernot produkujących "rozprawiające się z narodowymi mitami" dziełka.

Dobra, nie będę jej teraz wyprowadzał z błędu. Proponowaliśmy Kaśce, że może u nas mieszkać, ale na razie będzie kursować w tę i we w tę, albo mieszkać u Martynki; zresztą póki trzymają Jacka w śpiączce i tak nic nie ma przy nim do roboty, można popatrzeć przez szybę; nie pchałem się, dziewczyny mówią, że wygląda to jak jakiś statek kosmiczny z filmu. Cztery piętra - typowy polski szpital, łuszcząca się farba i łóżka na korytarzu, a na piątym - Ameryka, biel, plastik i komputery poćwierkujące jak R2D2 z Gwiezdných wojen. I czystym przypadkiem ktoś się akurat łapie na ten luksus, a kto inny zdycha marnie, bo w jego szpitalu akurat odpowiedniego sprzętu czy leków nie ma, wydoili wszystko na kontraktach. To znaczy: czasem jeszcze o tym, jaki komu przypadnie los, decyduje w Polsce przypadek, a nie tylko, kogo zna i pod kogo jest podwieszony.

177

Umówiliśmy się, że pojedziemy do Dębiny za parę dni, jakoś pomóc siostrze poukładać bieżące sprawy. Nie mam pojęcia, jak sobie Jacek z tym wszystkim dawał radę, prawie pięćdziesiąt hektarów, licząc z naszymi, i dziewięcioro dzieci; Kaśka zostaje ze wszystkim tak jakby sama, bo starsi synowie są na studiach, a Jacek nawet jeśli, daj Boże, wyjdzie z tego zapalenia, to do roboty się już raczej nadawać nie będzie. W końcu to nie tylko szwagier, ale, formalnie rzecz biorąc, sąsiad i dzierżawca, przez tych moich parę hektarów - dlatego je zresztą kupiłem, jak była okazja, że przylegają. A potem się okazało, że jeśli nie mam etatu - a nie mam, świadomie, z wyboru podjętego paręnaście lat temu, żeby żaden szef nie mógł mi czegokolwiek kazać Ci skoro nie jestem twórcą - a nie jestem, twórcą nie jest ten, kto tworzy, ale ten, kto się jako twórca zarejestrował w ministerstwie - to obowiązek ubezpieczenia społecznego muszę realizować jako rolnik. Oczywiście, jak się nie rejestruję, to nikt za mną nie będzie w tej sprawie chodzić. Ale kiedyś, ostrzegł mnie teść, nawet w dalekiej przyszłości, jeśli się komuś ważnemu narażę, a przecież narażam się takowym zawodowo, może się u mnie zjawić "kontrol" z nakazem zapłacenia grzyw"ny za uchylanie się i zaległych składek z dziesięciu lat. Teraz mi się tego KRUS- u czepiają, jak wszy kołnierza, kiedy już nie wiedzą, jak mnie ugryźć, to lecą aluzje do "farbowanego rolnika na hektarze piachu": A to akurat tak, że nie ja kradnę, tylko mnie kradną, fakt, znacznie mniej niż tym, co siedzą na etatach, ale przecież kradną, a nie cokolwiek dają, bo żadnych emerytur i tak nikt nie dostanie, a za lekarza i tak trzeba płacić prywatnie. Zlikwidować KRUS? Ależ proszę bardzo, pierwszy jestem za, znowu wam, złodzieje, ucieknę, jak przedtem, i tyle z mojego zobaczycie, o.

Tak czy owak, swoich hektarów się nie zamierzam pozbywać, jeszcze, jak się da, to dokupię. Nie dla żadnych składek, tylko dla dogodzenia chłopskiej fantazji. I, zresztą, diabli wiedzą, co tam przyszłość niesie, a bezpieczniejszego posagu dla córek wymyślić nie umiem.

178

Musiałem się chorobą Jacka zdenerwować bardziej, niż sądziłem, bo nie wytrzymałem i nakrzyczałem na Zośkę za gryzienie warkocza. Zwracasz uwagę raz, drugi, dziesiąty, i w końcu ... No, wiem, że nie robi tego złośliwie. Pamiętam, że ja w jej wieku miałem stale

ogryzione i oślinione wszystko, kołnierzyki, długopisy, ołówki; widocznie i to musiała odziedziczyć. Ale nie wytrzymałem. Czasem zdarza mi się tak wybuchać zupełnie bez sensu. Potem dziecko zapomina awanturę w pół godziny, a ja chodzę cały dzień struty i pełen wyrzutów, nękany wątpliwościami, czy nadaję się na ojca; w końcu idę i przepraszam. Może to poniżej godności Głowy Rodziny, przepraszać dziecko, ale, uznałem kiedyś, chcę, żeby mnie dzieci szanowały nie dlatego, że coś udaję, tylko wiedząc, że tata, jak każdy człowiek, też czasem się myli, czasem mu nerwy puszcza - ale umie to naprawić.

Raz bodaj widziałem, jak się do Filipa odnosi jego córka, już dorosła - cienia szacunku. Niby nie bardzo ma za co, skoro ją szybko zostawił, dopiero po latach przynajmniej zaczął płacić, ale on się jeszcze wydawał zadowolony, że ma z nią "kumpelskie" układy. Nie daj Boże czegoś takiego, nigdy.

Ta głupia awantura z Zosią chyba bardziej jeszcze niż choroba Jacka odebrała mi przyjemność zjedzenia pierwszej od miesiąca kromki razowca. Boże, cóż za smak - ledwie mogę napisać te słowa, tak się ślinię na samą myśl. Jak się człowiek dobrze przegłodzi, to i w marchewce odkrywa smak No, więc zaczynam stopniowe wychodzenie z głodówki. Teraz to się nakłuję paluchów ...

Przy okazji spytałem Jarka, czy ma jakiegoś dobrego diabetologa, nie żebym miał coś do tamtej pani doktor, ale niech mi ktoś potwierdzi, czy rzeczywiście trzeba pakować się w leki, zbyt poważna decyzja. Tak, ma znajomego, bardzo poleca, bez tytułów naukowych, za to z drugim stopniem specjalizacji - dobry znak, jakoś bardziej wierzę praktykom niż profesorom.

179

00

W redakcji dopiero teraz dowiaduję się, że miesiąc temu minister skarbu interweniował u Anglików - bo to oni są właścicielem większościowego pakietu w "Rzpie" - żeby zwolnili Pawła i mianowali naczelnym "kogoś szanowanego i odpowiedzialnego" (niektórzy się upierają, że to ma być Ciołek, ja w aż taką głupotę mihistra nie wierzę). Nic nowego, łobuz ryje tak pod nami, odkąd Ferajna dorwała się do władzy; gdyby połowę tej energii włożył w ratowanie stoczni, co skądinąd było jego psim obowiązkiem, to by się nie musiał potem kompromitować z "katarskim inwestorem"; inna sprawa, że co mu tam kompromitacja - w III RP nie występuje coś takiego, jak polityk zbyt skompromitowany, żeby nie powierzyć mu kolejnej zabawki do popsucia. Tym razem pojechał do Londynu osobiście, z donosem, że się w redakcji zalegli antysemita, nacjonalista i faszysta. Czyli też nic nowego, wciąż tak samo, jak załatwiono "Spotkania" czy RTL T życzliwy donosik od "kuzynów" z Polski, że uważajcie, nie znacie tutejszych stosunków, a tymczasem ten a ten to faszysta. Przeciętny bubek z Zachodu, który rzeczywiście wie o Polsce tyle, ile michnikowcy podyktowali warszawskiemu korespondentowi "Le Monde'a", na takie słowa reaguje razem z krzesłem i natychmiast zwalnia i zatrudnia kogo mu tutejsze autorytety wskażą.

Tym razem nie wyszło, i chyba nie tylko dlatego, że nasi Angole szczęśliwie zdążyli już wyrobić sobie zdanie o partnerach z ministerstwa. Donosik wypadł krótko po aferze rozpętanej - jak głoszą nikczemne plotki, w które oczywiście nie wierzę, he, he - przez pańnię z „wyborczej”: która zadzwoniła do brytyjskich kolegów z ostrzeżeniem, że Misiu, eurodeputowany PiS i szycha wspólnej frakcji z torysami, to antysemita i faszysta. Co lejburzystowski minister ochoczo podchwycił i uruchomił u siebie wielką nagonkę na

torysów, że się bratają z polskimi antysemitami. I dostał fangę w nos, bo Misiu akurat ma jakieś swoje druzństwa z żydostwem, i sam główny rabin Londynu

180

publicznie skarcił ministra jak pętaka, przypominając, że to on, rabbi, jest od decydowania, kto jest antysemitą. Faktycznie, słyszałem o tej awanturze, ale nie wiedziałem, że miała dobrą stronę - Angole nabrali dystansu do ostrzeżeń przed rodakami, jakich im nie szcędzą tutejsi "Europejczycy". Napisać otwarcie o tym nigdzie nie można, zresztą wszystkie źródła zaraz by się wyparły, ale miło zanotować przynajmniej w dzienniku: chciała ciotka eurorewolucji zaszkodzić pisowskim oszołomom, a niechcący pomogła.

00

Telewizyjna stylistka parsknęła kiedyś śmiechem, kiedy po przymiarce kolejnego garnituru stwierdziłem, że wszystkie są źle uszyte. Powiedziałem coś śmiesznego? Nie, wie pan, po prostu jak już dwadzieścia lat jeżdżę z ludźmi na różne przymiarki, to zawsze każdy mężczyzna, kiedy mu ubranie źle leży, powie: źle uszyte. A każda kobieta, zawsze, ale to zawsze: o Boże, jestem za gruba, albo za chuda ... no nigdy, że nogawka za długa, tylko ja mam nogi za krótkie.

Coś w tym jest. Przypomniało mi się, bo rzuciłem jednym okiem na naj nowszy "ryality szoł" - kandydatki na modelki wdzięczą się, licząc na zrobienie kariery, a w jury siedzą jakieś obrzydliwe cioty ze świata mody i mieszają napalone na karierę idiotki z błotem: ty, cycki ci wiszą jak kozie, dupsko masz jak trzydrzwiową szafę, czego tu szukasz z takimi grubymi udami, nie masz w domu lustra, i tak dalej. Im dziewczyna ładniejsza, oczywiście, tym bardziej cioty się na niej wyżywają. Od razu jest materiał na felieton; właściwie nawet na trzy. Pierwszy, to już Wspomniana podatność kobiet na takie uwagi i ich generalnie zaniżona samoocena.

Drugi, ciekawszy - o tym obrzydliwym modelu telewizyjnego widowiska, jaki ostatnio się upowszechnił, polegającego na publicznym ośmieszaniu i poniżaniu idiotów, szczęśliwych, że dzięki pokornemu nadstawianiu się telewizyjnym iiber-

181

menschom zyskują sławę. Wcale przecież nie chodzi o to, kto "ma talent" czy zostanie "idolem", tylko o wredną satysfakcję przeżywaną przez telegawiedź, kiedy celebryta wyżywa się na takiej ofierze parcia na szkło jak na burej suce, obsypując ją najwymyślniejszymi obelgami i złośliwościami. Przecież cała kariera Powiatowego, zanim stał się czołowym w celebryckim półświatku lizusem jedynie słusznej władzy, wzięła się ze sprawności i pomysłowości, z jaką ku radości publiki wdeptywał w błoto i obsikiwał jednego po drugim kandydatów na idoli. To zresztą chyba ważna społecznie funkcja: włącza się przeżuwaczom do głów bardzo istotny przekaz na temat porządku świata doby mediów elektronicznych, opartego na prawie tych stojących wyżej do poniżania tych co są niżej, i na przyjmowaniu poniżenia w pokorze jako szansy, że przez to awansujesz i wtedy ty będziesz mógł poniżać innych. "Opiniotwórcze" media w nieco inny sposób, ale zajmują się przecież tym samym, sprawowaniem władzy poprzez dystrybucję szacunku i plwocin.

Chociaż jako studium upadku Powiatowy jest w sumie banalny - ot, niszowy dziennikarz muzyczny, czując nadchodzącą starość, postanowił się dobrze sprzedać i kupić sobie porsche czy jak tam się ten kosztowny przedłużacz nazywa. "Byłem anty, byłem alter, lecz mnie kupił Mariusz Walter", rozpowszechniali potem o nim bezsilną fraszkę byli koledzy z branży. Gdybym szukał modelu do opisanego tego szczególnego konformizmu, który warunkuje czasy średniego 'Iuska, to już lepszy byłby redaktor Liz; do pewnego momentu budował popularność na wizerunku ugłaskanego chłopczyka, sprowadzającego wszystko do tak pocziwych banałów, że nikt nie mógł mu nie przyznać racji. A potem nagle zmienił się w doskonale opłacanego propagandystę, klasycznego "szklanego kondona", wyzerającego milionom telewizorów mózgi i włączającego tam słuszną, "antypisowską" papacaję. Ja myślę, że tu wcale nie szło o kasę, nie o nią przede wszystkim - tym, co ściągnęło faceta na manowce, była przemożna potrzeba podobania się milionom, mówienia

182

im tego, co najłatwiej podchwycą. Gdyby Liz miał nieszczęście żyć w latach trzydziestych w Niemczech, wydoskonaliby talent i umiejętności w szczuciu na Żydów, wcale nie żeby coś do nich miał, tylko po prostu, bo wtedy akurat to dawało i aprobatę władzy, i entuzjazm złąknionej prostego wyjaśnienia jej problemów tłuszczy.

Ale może najciekawszy jest wątek trzeci - czyli jak zaniżona samoocena kobiet oddaje je pod przemożną władzę tych różnych poprzeginananych ciot, z woli których miliony idiotek w zachodnim świecie głodzą się, wpadają w bulimie i anoreksje, wrywają sobie zębra i łamią kości policzkowe. Nikt mnie nie przekona, że świat, w którym kanony kobiecego piękna wyznaczają osobnicy, akceptujący kobietę tylko wtedy, gdy od tyłu nie różni się niczym od chłopczyka, jest światem normalnym.

Nie jestem nietolerancyjny. chcą się dorośli faceci ze sobą pukać, niech się pukają, co mi do tego - ale robić z nich arbitrow kobiecej urody? Jedna z koleżanek Oli, która wciąż tkwi w zawodzie, prawdę mówiąc, jedna z najładniejszych młodych aktorek, opowiadała niedawno, jak stylistą przydzielony jej z serialu zdiagnozował, że za bardzo jej sterczą piersi i coś z tym trzeba zrobić, jakoś zamaskować ... Najpierw się obśmialiśmy, ale, jak się zastanowić, to kobiety mają w tym biznesie przechłapanie. A już zwłaszcza takie, które, jak moja Oleńka, są zbudowane jak kobieta, mają piersi, biodra, uda, brzuch i wszystkie inne atrybuty, tak wstrętne stylistom i fotografom.

Oleńka zresztą kiedyś powiedziała, oglądając jakiś pokaz mody, że wszystko to wygląda tak, jakby oni starali się demonstracyjnie kobiety ośmieszyć, zdeformować, pokazać heterokom - no, to się wam, idioci, podoba? Co wy w tym widzicie? Pewnie dlatego teraz w każdym modnym serialu czy filmie obowiązkowo bohaterka musi mieć przyjaciela i powiernika "geja": który na dodatek jest jedynym fajnym mężczyzną w całej fabule. Żeby wpoić stereotyp, że pedał jest najlepszym przyjacielem kobiety.

183

A tak naprawdę jest właśnie jej największym wrogiem, i, zwłaszcza, największym wrogiem kobiecości. Męskości zresztą też.

00



Coś rewelacyjnego dała dziś "Wyborcza" na drugiej kolumnie - w jakiś sposób, choć sam nie wiem jaki, rymuje mi się to z zapiskami z wczoraj. Amerykańskie organizacje troszczące się o naturalne środowisko apelują, by małą potrzebę fizjologiczną załatwiać podczas porannego prysznica. W ten sposób każdy zaoszczędzi cztery galony wody, zużywane do spłukiwania, co pomnożone przez miliony prysznicodni pozwoli ludzkości za kilka lat napełnić zaoszczędzoną wodą rezerwową Atlantycką.

Druga strona, nie ostatnia, na której zamieszcza się rozmaite Michałki - druga, ta, którą poświęca się głównym komentarzom i wiodącym tematami politycznym lub gospodarczym. Przecieram oczy, szczypię się, czytam kilkakrotnie - ale nigdzie nie ma ani śladu, żeby to był jakiś żart, ani jednego dystansującego słówka, news jest serwowany i komentowany z całą powagą. Prosty sposób na uratowanie przyrody i zapewnienie wody pitnej dotkniętej suszą Afryce - zamiast w porcelit, łać do baseniku podczas kąpieli. A jak ktoś nie bierze codziennie rano prysznica - to do umywalki podczas mycia zębów, jak w starej anegdocie o Himilsbachu. Nie, chłopcy, pardon, osoby, nie macieź wy odwagi Lenina. Przecież, kiedy chodzi o ratowanie świata, klimatu i zasobów naturalnych, to nie ma się co szczytać. Nie myć się w ogóle! Mycie czegokolwiek jest zupełnie zbędnym przesądem, od którego świadomość ekologiczna każe się powstrzymać. Podobnie, jak marnowanie papieru z rabunkowo wycinanych amazońskich puszczy do podcierania się. Ludy pierwotne doskonale sobie radziły, nie marnując na podmywanie wody - lewa ręka do gnoju, prawa do jedzenia. Stąd kara obcięcia prawej dłoni oznaczała wykluczenie ze wspólnoty; trudno sobie było wyobrazić tolerancję dla gościa, który by próbował wetknąć do wspólnej miski lewą łapę.

184

Zagalopowałem się - tak daleko w powrocie do życia zgodnie z naturą pójść nie można, bo w zbiorowej podświadomości zostałyby wzmocnione pozytywne skojarzenia pojęcia "prawość" czy pochodnej od niego "prawicowości". A przecież w amerykańskim politpoprawnym przekładzie Biblii obietnicę, że sprawiedliwi zasiądą po prawicy Boga Ojca, zastąpiono już obietnicą, że zasiądą "przy mocnej ręce osoby boskiej": Dobrze się dziś ma kojarzyć tylko lewość.

00

Ola przyznała się, że dzwonił do niej Jarek, żeby jakoś mi przemówiła do rozsądku - jest przestraszony, że nie chce brać leków. Mówi, że to się może skończyć tragicznie, wyskoczy nagle cukier trzysta, czterysta i nie da się zbić już niczym, no i takie tam dalej lekarskie pogróżki. Sama nie wie, co o tym myśleć i co mi doradzać. Ja też nie wiem. Na razie po raz pierwszy od miesiąca objadam się do rozpuku - a to kromka wysuszonego w piekarniku na kamień ekologicznego chleba z pełnego przemiału, a to dwie łyżki półtwardej kaszy czy soczewicy, i na glukometrze jest spokój, na czczo może trochę gorzej, objaja się po granicy normy, ale w ciągu dnia, zwłaszcza po ćwiczeniach, całkiem zachęcająco. Prawdę mówiąc, znowu zaczęło mi się wydawać całkiem możliwe, że dam sobie radę bez żadnych leków, tym bardziej, że waga leci w dół pięknie, i sam się z tym czuję coraz lepiej. Ale Jarek w końcu, jakby powiedzieć, coś tam o medycynie wie ...

Pomyśleć, że matka, a już babcia zwłaszcza, koniecznie mnie chciały wyedukować, jeśli już nie na księdza biskupa, to co najmniej na pana doktora. Przynajmniej miałbym teraz jakieś podstawy do decyzji, a tak miotam się we mgle. Szkoda, że Jarek zamiast ze mną wołał rozmawiać z żoną (to ciekawe, pewnie zawodowe przyzwyczajenie, ale nie powiem, żeby

bezpodstawne - jak sprawa jest poważna, to lepiej od razu rozmawiać z żoną, niż tracić czas z bezpośrednio zainteresowanym facetem), bo

185

przecież nie jestem, jak pewnie uznał na mocy swych medycznych doświadczeń, jakimś wariatem, który się nie chce leczyć. Mówiłem mu przecież: najpierw muszę sprawdzić, ile mogę osiągnąć sam, jak się okaże, że nie mogę, to skapituluję, ale, do licha, nie od razu, nie z góry, nawet nie próbując! Pewnie, mógłbym od razu sobie policzyć wymienniki i wałnąć w żyłę insulinę, jak zachęcają te kolorowe broszurki, tak najwygodniej. Ale ja muszę z tym przeżyć jeszcze czterdzieści parę lat, i to w dobrej kondycji, bo na tyle co najmniej jeszcze mam co do roboty. Chcę po prostu zacząć spadać z jak najwyższego poziomu. Jeśli już teraz wezmę zastrzyki, to co mi pozostanie za dziesięć lat? Może do tego czasu coś wynajdą, pewnie. Ale jeżeli nie wynajdą?

Gdyby to tak można było komuś zaufać ...

Dzwonię do Kaśki regularnie, o Jacku w zasadzie nic się nie da nowego powiedzieć. Organizm walczy, w każdej chwili może być koniec, ale dopóki oddycha, ciągle jest nadzieja. Potwierdziłem, że przyjedziemy w sobotę, dziewczyny zostaną u dziadków.

Irek znowu dzwonił i już dość natarczywie domaga się spotkania, bo "sprawy są pilne i poważne": Nie mam siły, żeby teraz o tym myśleć i zapisywać, jak będę miał dłuższą chwilę, to opracuję temat osobno i w miarę wyczerpująco. Nie wiem, co sądzić, czasem mam ochotę wysłać mu esemesa, żeby się pałował i w ogóle zerwać starą znajomość, a chwilami wydaje mi się, że Pan Bóg zsyła mi życiową szansę na odegranie jakiejś naprawdę wielkiej roli. Nie wiem. Do diabła z tym, na razie. Na razie to najważniejsze jest, co powiedziała Mania, kiedy Oleńka jej wyjaśniała, co jest więcej, trzy czy pięć. Bo Mania, jak na prawdziwą kobietę przystało, jak raz coś powie, to potem brnie, i za nic się nie przyzna do pomyłki.

No więc, więcej to jest trzy. Trzy? Trzy. Hm, Maniu, zastanów się: czy lepiej byłoby zjeść trzy czekoladki, czy pięć? Ona twardo - trzy. No to masz tu emenemsy i liczymy ... raz, dwa ... Przy

186

trzecim widać, że mała kombinuje, aż dym idzie. "No, mamó ... - zaczyna tłumaczyć, rączka wygięta, wystawiony paluszek. - No, mamó, psieecz sama mówiłaś, że za dużo słodczy jeść to nie zdrowo, no, więc ja mówię, że to dla zdrowia jest lepiej zjeść tylko trzy cekoładki. ..

Da sobie radę w życiu, jak rany.

00

W Klubie Oszołoma, niech przynajmniej to nie ucieknie, dawno niewidziany Jurek - przelotem w Warszawie, bo kręci na Mazowszu, w autentycznych plenerach, film o "Roju": Pełnometrażową fabułę o "żołnierzach wyklętych": pokazującą świat z perspektywy "bandytów"; trudno uwierzyć. Czy się uda, Bóg raczy wiedzieć, wiadomo jak jest; na razie ważne, że mógł zacząć, choć już siedzi w długach po uszy. A wszystko dlatego, że dzięki niezwykłemu politycznemu zawirowaniu i sprytowi Giertycha na parę miesięcy publiczną

telewizję objęli w posiadanie "faszyści", ku historycznemu wrzaskowi salonów i nie mniejszej wściekłości Belwederu. No i "faszyści" - co im tam - dali kasę na scenariusz, który leżał i pokrywał się kurzem, nawet sam Jurek już zapomniał od jak dawna. Oczywiście potem przyszli nominaci Kaczora i w sojuszu z komuną drugą ratę wstrzymali - ale zdjęcia zacząć już zdążył.

To jest dopiero swoją drogą bezmiar rozpacz, że wódz i tak wystarczająco zgnębionej Polski tubylczej nie toleruje wokół siebie innych ludzi niż totalne zera albo pozbawieni jakichkolwiek zasad karierowicze, to, co nawyrabiał w telewizji, po prostu w głowie się nie mieści. Bronka nie mógł znieść, bo wprawdzie prawicowy, ale nie chciał słuchać partii i "politycznych konieczności", więc dał na jego miejsce Ponton a, który oczywiście natychmiast, gdy Kaczorowi się noga powinęła, zmienił front i patronów; głupio zresztą, bo myślał, że jak się będzie nadstawiać Ferajnie, to go nie wyleją, a oni wzięli, co było do wzięcia, a potem i tak kopnęli w de; nie żebym go żałował, być przez półtora

187

roku zawieszonym prezesem TVP, czyli brać pełną pensję bez żadnych obowiązków, to przecież po prostu miodzio. Skoro się wycina ludzi ideowych, bo mają swoje zdanie i przeszkadzają, kiedy kolejna "polityczna konieczność" każe zrobić jakąś wolnę, a opiera na cwaniaczkach, to musi się tak kończyć - ale Kaczor to oczywiście, jak Michnik, Wałęsa i oni wszyscy, konstrukcja bez biegu wstecznego, on nigdy żadnego błędu nie popełnia, nigdy się nie myli, a wszystkie klęski wynikają wyłącznie z tego, że w partii zabrakło posłuchu i dyscypliny. No i przez wrogie media. A najbardziej wrogie to te "prawicowe", bo potencjalnie mogą mu wykreować jakiegoś rywala na jego polu, w „żelaznym elektoracie". Mieć u władzy zorganizowaną grupę przestępczą, to już jest problem; ale kiedy jeszcze jedyną opozycją jest sekta, i to z takim guru, to już naprawdę nieszczęście, jakby nie dość ich jeszcze na ten naród spadło.

Cholernie się ucieszyłem z tego filmu Jurka, umówiliśmy się, że spróbuję mu jakoś pomóc nagłośnić sprawę. Kilkadziesiąt tysięcy Polaków, powtarzam na każdym prawie spotkaniu, walczyło z bronią w ręku w antysowieckim podziemiu, ostatniego dopadli okupanci dopiero w 1963 (za wskazanie miejsca pobytu "bandyty" wypłacono konfidentowi 3 tysiące złotych - zachował się w archiwach kwit) - a dziś, w wolnej Polsce, nikt o tym nie wie i nie chce wiedzieć, tabu, zмова milczenia, jak za peerelu o Katyniu i łagrach. Tak samo jest z ofiarami morderstw "nieznanych sprawców" w latach osiemdziesiątych. Muszą zostać zapomniani, po raz drugi zabici niepamięcią, bo naruszają mit "historycznego porozumienia" i legitymację nowej władzy, powstałej jednak ze zrośnięcia nomenklatur. To znaczy, "światłych części" byłej władzy i byłej opozycji. Kiedy w Warszawie próbowano nazwać małą uliczkę imieniem "Żołnierzy wyklętych", "Wyborcza" ogłosiła to w swojej stołecznej rubryczce "absurdem roku". Historia ma o nich głucho milczeć, bo historia, jak wszystko, musi służyć establishmentowi.

188

""

"Został na zawsze w dobrym śniegu / żółtawy mocz i ten ślad wilczy". Ten mocz to oczywiście nawiązanie do pogardliwych słów Miłosza o polskim patriotyzmie, że to "środek moczopędny" - Miłosz wielkim poetą był, ale nie dlatego jest tak obnoszony i okadzany przez

salony, tylko właśnie za tę pogardę. Szlag z nimi wszystkimi, chciałem tylko zapisać, że chwilę gadałem z Jurkiem o zdjęciach do tego filmu, które same w sobie nadawałyby się na film, bo z jednej strony aktorzy i statyści z grup rekonstrukcyjnych, którzy pracują jak w natchnieniu, a z drugiej ekipa filmowa, jak wszystko w tym światku czerwono-udecka, która nawet nie ukrywa swojej nienawiści do całego przedsięwzięcia i wręcz je próbuje sabotować.

To mi z kolei przypomniało opowieść Ricardowskiego, jak kiedyś nagrali dla telewizji z Jankiem Pietrzakiem kabaret - to ekipa była tak wściekła, że sobie kpili z Tuska i z ich ukochanej gazety, że na znak protestu wszyscy zażądali usunięcia ich nazwisk z napisów końcowych. Chociaż może - po prostu się bali pod czymś tak niebezpiecznym figurować? Każdy chce móc żyć i zarabiać na życie. Ricardo, po swoich doświadczeniach z podśmiewaniem się z Tuska, powinien taką możliwość dopuszczać.

00

Przyszło z Krakowa zaproszenie do dużego tekstu w rocznicowym numerze na Sierpień. Oni tam, dwumiesięcznik wychodzący w cyklu kwartalnym, biorą solidny zapas, inni ockną się dopiero za kilka miesięcy, ale dziękuję za przypomnienie, Że idzie okrągła, trzydziesta rocznica ... powinienem sobie powiedzieć, że będzie można zarobić. Tylko że skóra mi cierpnie na myśl o tej rocznicy. „1 proszę, jak opiewać współczesne wypadki - zamiast mitologij i są naoczne świadki”. Nie dość, że są, to jedni są na górze, a drudzy na dole, jedni się na zwycięstwie obłowili, a inni dali z niego wyślizgać. I jeszcze rocznica wypada akurat na inaugurację prezydenckiej kampanii wyborczej. Nie

189

wiem, co by się musiało w najbliższych miesiącach stać, żeby się to nie skończyło narodową żenują: rząd z fundacją Zięby będą celebrować święto Wałęsy, który kiedyś sam, tylko z niewielką grupą pomarcowych doradców, obalił komunizm, a teraz udziela inwestytury. A związek pod patronatem prezydenta upamiętni wielką zdradę klasy robotniczej, na której plecach różowe hieny, synalkowie partyjnych bonzów o niepolskich nazwiskach, wdrapali się do władzy, by się zblatować z nomenklaturą, wziąć ludzi pracy pod kapitalistyczny but i rozkraść Polskę do imentu, a nierozkradzione resztki wyprzedać Niemcom, Ruskim i Brukseli. Wszystko utonie we wrzasku, kto był, kogo nie było, kto kłamie, gdzie ten płot, gdzie ta motorówka; "na samą myśl się

"

zwraca.

Bogu dzięki, mam dość roboty, żeby się od tego wszystkiego trzymać z daleka, w pierwszym odruchu chciałem od razu za zaproszenie uprzejmie podziękować, ale jeszcze z tym poczekam. Przyszedł mi do głowy pomysł na tekst; ciekawe, czy go ktoś kupi. Pomysł jest taki, żeby wyjść od homilii prymasa Wyszyńskiego na Jasnej Górze, parę dni przed podpisaniem porozumień, o której wszyscy uprzejmie zapomnieli, dając najlepszy dowód miłości, jaką do niego żywią. Tylko moja niesforna pamięć upiera się, że "Prymas Tysiąclecia" z najświętszej ambony opatoczył w Sierpniu strajkujących i kazał im natychmiast wracać do roboty. "No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród / wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród / niech się weźmie psałterza i radeł i sochy ... "

Dobra, nie wpadłem na to teraz, jakiś czas temu ściałem się z Tomkiem, kiedy wydrukował w "Gazecie" demaskatorski tekst, jak to Mazowiecki i Geremek przyjechali do stoczni tylko gasić strajk, doradzać robotnikom, żeby brali podwyżki i szybko wracali do roboty, i niech im się nawet nie śni o żadnych wolnych związkach zawodowych, bo się Ruski zdenerwuje i będzie, łoj, co.

No i co, powiedziałem na spotkaniu w klubie, a kardynał Wyszyński też niby był trockista, ruski sługus i chciał zdrowy, ro-

190

botniczy naród poddać? Ludzie, przecież całe to pokolenie żyło pod grozą Powstania Warszawskiego, mieli w oczach wyrżnięcie Armii Krajowej, pacyfikację Budapesztu, i byli przekonani, że każde podniesienie głowy musi się skończyć kolejną masakrą. Człowiek, który jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy, organizował na KUL- u niezależny ruch wydawniczy wspominał, że dotarł do niego Nowak- Jeziorański z błaganem - błaganem! - żeby natychmiast przestali, żadnych konspiracji, bo Ruskie rozpędzą uczelnię, powiozą wszystkich kibitkami na Sybir, zniszczą odradzający się naród do korzenia. Takie mieli doświadczenia. Takie jest polskie przekleństwo, że kiedy trzeba było odpuścić, jak Hitlerowi z tym "korytarzem" (ależ się zawsze podnosi krzyk, jak to mówił), tośmy się głupio rzucili z lancami przeciwko dywizjom pancernym, a jak właśnie można i trzeba było zdychającą bestię zatłuc, to się ze strachu zgodziliśmy na Okrągły Stół i reanimację. Akurat w stoczni ta ostrożność doradców szła za daleko, okazało się po czasie, akurat faktycznie opłaciło się ryzykownie zagrać, ale dlaczego? Dlatego, idę z każdym o zakład, że bezpieka mogła przełożonym rzucić kwity na stół - spoko, towarzysze, mamy ich pod kryszą, wszędzie na czele strajków ustawiliśmy swoich TW, w Gdańsku, w Szczecinie, i w Jastrzębiu. Jeżeli tutaj, wicie, towarzysz Jaruzelski mówi, że sił LWP może nie wystarczyć na jednoczesne zgaszenie wszystkich ognisk strajkowych, to my możemy zapewnić, że utrzymamy wszystko w ramach "zdrowej, robotniczej odnowy".

A gdyby towarzysz Jaruzelski nie grał na odsunięcie Gierka, tylko przeciwnie, i zamiast odradzać "nie mamy dość sił, towarzyszu pierwszy", strzeliłby bez namysłu obcasami i krzyknął "ludowe wojsko zmiażdży kontrrewolucjonistów, a stocznię zawsze możemy odbudować!" - co? Albo gdyby towarzysz Breżniew miał akurat zły humor i zamiast łaskawie zgodzić się na zaproponowany eksperyment, zrobiłby tylko gniewny grymas, i ot, tak, ręką - to co? To zamiast troskliwie starać się kardynałowi Wyszyńskiemu zapomnieć tę nieszczęsną homilię,

191

przywoływanoby ją w kółko na dowód jego niewysłuchanej mądrości. .Pan Bóg umie pisać prosto po liniach krzywych".

I to właśnie jest dla mnie w historii najciekawsze, śledzić pomyłki, nieporozumienia, sukcesy odniesione mimochodem. Śledzić, jak ci, którzy potem mieli swe dni wielkości, pękali, i jak ci, którzy potem pękli, mieli swe chwile wielkości, jak upadali i się podnosili, albo i nie, jak bohaterowie zdradzali i jak zdrajcy dorastali do bohaterstwa, albo jak im po zwycięstwie odbijało i bratali się z łajdakami, sprzeniewierzając wszystkiemu, o co walczyli. O tym by człowiek pisał, tylko nie bardzo ma dla kogo - albo jesteś z nami, albo przeciwko nam, zdecyduj się, bo cię jedni i drudzy zgniotą między tarczami.

Bo najbardziej ponure było, jak na ten artykuł u Tomka zareagowali lustrzańcy z Towarzystwa. Jak na "Bolka" albo na ujawnienie negocjacji Kuronia z Lesiakiem: święte oburzenie i zaprzeczanie w żywe oczy. Towarzystwo do tego stopnia boi się możliwej radykalnej interpretacji faktów, że z punktu woli faktom zaprzeczyć, łągać najbezczelniej, pluć na historyków, uruchamiać cały przemysł kłamstwa i pogardy, byle tylko nikt nie śmiał tykać ich świętków. Święci są i zawsze byli, nie znali nigdy grzesznych wahań ani nie popełniali błędów, i nawet na klozecie każdy myślał tylko o tym, jak tu upodmiotowić społeczeństwo, obdarować je wolnością i demokracją i pokojowo poprowadzić do Europy.

Towarzystwo ma wdrukowaną, genetyczną nieufność do tego narodu. Lepiej tam nic im nie mówić, dać baranom przygotowaną przez fachowców wersję historii, niech ją żują z dumą i żadnych pytań, żadnych dociekań - prawda by im mogła zaszkodzić, wytrącić z błogiego zadowolenia z transformacji, a to by się niechybnie skończyło pogromami.

No i jeszcze nie zacząłem pisać, a już mi się temat rozpełzł - o czym by to właściwie miało być, o Wyszyńskim, o Wałęsie, o przełomowym dla historii Polski sukcesie, czy o zmarnowanych szansach i zawiedzionej nadziei?

192

00

Tym razem też już nie było sekretarki i jej "czy mogę połączyć z panem posłem?", zadzwonił sam. Nawet nie przedstawił się, tylko rzucił krótko: "no cześć, Rudy! Nie jestem rudy, to aluzja do wspólnych lekturowych fascynacji z młodości: "tobie, Rudy, zawsze źle, w złym stroju ci źle i w dobrym też ci źle, przez takich jak ty nigdy nie nastanie królestwo boże na Ziemi!": Raz się już tak przerzucaliśmy kultowymi cytatami, jak za dawnych czasów, aż doszedłem do "mów mi to co dzień: oni górą", to się obraził. Myślałem wtedy, że ma już dość. Może zapomniał.

No więc umówiłem się na poniedziałek, i powoli oswajam się ze świadomością, że coś mu wreszcie będę musiał konkretnego odpowiedzieć. Albo "wchodzę", albo "nie licz na mnie". Żeby to wiedział! Odkładałem, odkładałem, w końcu trzeba się zdecydować - chociaż nie za bardzo mam nastrój. Oleńka przyznała się, że drugą noc męczą ją jakieś niedobre sny. Mam nadzieję, że to tylko normalne sny, może wywołane chorobą Jacka ... Sądzę, że umiem sobie dość dobrze radzić ze stresem, kiedy trzeba się zmierzyć z jakimiś konkretnymi wydarzeniami, ale takie niejasne obawy nie bardzo wiadomo przed czym potrafią mnie rozbić znacznie bardziej, niż jestem gotów to okazać. W każdym razie myśli mi się od razu gorzej.

Zresztą, nawet nie mogę się zdecydować co do tego, o czym właściwie myśleć. Bo są dwa porządki myślenia. Prostszy byłby ten: za pół roku Kaczyński przegra wybory prezydenckie, a PiS samorządowe, i rozpoczęta afera Rywina "pieriedyszka" skończy się definitywnie, także w mediach. Zapanuje pluralizm jak w latach dziewięćdziesiątych. To nie znaczy, że będzie się jakoś sekować ludzi ze względu na poglądy. Nie, poglądy możesz mieć, jakie chcesz, byleś tylko zachowywał się odpowiedzialnie. To znaczy: nie podkopywał zaufania społeczeństwa do władzy, nie wicherzył, nie podrywał autorytetu ludzi, którzy są niewątpliwymi autorytetami, ponieważ wszyscy, którzy mają prawo o tym wyrokować, jednogłośnie orzekli, że to oni właśnie są

autorytetami. Krytyka, oczywiście, tak - ale konstruktywna, odpowiedzialna, a nie antypaństwowa i godząca w "największy historyczny sukces Polaków". Trzeba pisać o bolączkach ludzi pracy, ale na podważanie fundamentów demokratycznego ładu nie ma i nie będzie zgody ... i tak dalej.

"Już po raz trzeci wchodzę w ten kołowrót / zim i odwilży, napraw i wypaczę"ń" - widać to odwieczny los tego nieszczęsnego kraju, ciągle ganiać własny ogon. Za pierwszym razem pisałem fantastykę, roiłem o wielkich dziełach i pisarskiej nieśmiertelności po krótkim, kaskaderskim żywocie; ale wtedy nie miałem nikogo na utrzymaniu i nie zależało mi. Za drugim radziłem sobie w "prawicowej" niszy, tłukąc po siedem, osiem tekstów tygodniowo idochałturzając newsowymi dyżurami w radio -;ale wtedy jeszcze mi się chciało. A teraz? Ani nie czuję się już wystarczająco młody, żeby iść na totalną wojnę ze światem, ani, jeszcze, tak stary, żeby odpuścić. Trudny, zgredowski wiek.

Jeśli dobrze rozumiem Irka, wariant minimum jest taki - wziąć jakąś synekurę, od których nasze państwo się roi, i w zamian za życiową stabilizację zachowywać część myśli dla siebie, ewentualnie dzielić się nimi tylko z najbliższymi przyjaciółmi. A do dyskursu publicznego wrzucać jedynie starannie przebrane zdania, pasujące do politycznych koncepcji i taktyki przyjaciela z młodości. Przecież, broń Boże, nie chodzi tu o to, żebym nagle zmieniał poglądy, zakochał się w Tusku, nic podobnego - tylko o to, żebym zaczął być konstruktywny.

Dobrze, jest w tym drugi porządek myślenia. Irek mówi o tym z przekonaniem, któremu trudno się oprzeć, ma zebrane i uporządkowane argumenty, najwyraźniej zanim się zabrał do przekonywania mnie, musiał przekonać samego siebie, i dokonał tego w niemałym trudzie. Mineło dwadzieścia lat i międzynarodowa koniunktura się kończy. "Sam o tym piszesz", powtarza co i raz, "a nie wyciągasz wniosków". Projekt unijny stracił rozpęd, Europa wraca do polityki kongresu wiedeńskiego, "koncertu mocarstw", a Rosja wróciła do sił

i do racjonalności, pogodziwszy się z rolą sprzymierzonego z Zachodem mocarstwa regionalnego. Warunki dilu są wciąż negocjowane, ale samego zawarcie - \_ przesądzone. O porywie niesienia na wschód demokracji liberalnej, za Odrę, Bug i Dniestr, coraz dalej, dawno zapomniano, a krach bankowy i klapa "pomarańczowej rewolucji" przypieczętowały sprawę. Także dlatego, że sama demokracja liberalna pozostaje na Zachodzie religią panującą już tylko w sferze symboli - tak naprawdę imponuje dziś zachodnim elitom, nawet tego przesadnie nie ukrywają, autorytaryzm, głównie chiński, ale trochę także ten putinowski. Tam władza nie musi brnąć w wyborcze obietnice, nie musi przekupywać całych grup społecznych socjałem ani cofać się przed koniecznymi reformami w lęku przed zrewoltowaną ulicą, więc tam nie ma problemu rozdętych deficytów budżetowych, nie grozi plajta, interesy idą pełną parą, indeksy giełdowe szymbują - i tam, tylko tam, są poważni partnerzy do rozmów.

Widzimy to tak samo? Nie mam innego wyjścia, muszę skinąć głową.

No więc teraz - Polska. Ile się udało, to się zgodzimy, ile się nie udało, też mniej więcej wiemy, a kwestię, czy mogło pójść lepiej, wszystkie: że Okrągły Stół, michnikowszczyzna, wojna na górze, lustracja i tak dalej, aż do Tuska, zostaw historykom. Przez dwadzieścia lat,

tak przed wojną, jak i teraz, nie udało się społeczeństwu wytworzyć stabilnej elity politycznej ani nawet mechanizmów jej wyłaniania. Krytykujesz Tuska, że panuje, Zamiast rządzić, balansuje między koteriami, sitwami, mafiami - dobrze, a co ma robić? Widziałeś po Kaczorze, jak się kończy WyPowiadanie im wojny. Zwłaszcza, gdy, jak w osiemnastym wieku, każda z nich może w dowolnej chwili przeciwko własnemu państwu dostać wsparcie od któregoś z obcych mocarstw. Nie ma innej elity państwowej niż ta, która jest. Może się kiedyś uda wychować nową, ale to będzie kiedyś, a dziś trzeba rządzić w Oparciu o nią, i robić wszystko, by pozostać w sferze niemie-

195

ckiej, a nie rosyjskiej. Bo sojusz z Gruzją, Litwą i Ukrainą pod patronatem USA to mrzonka totalna.

Te wszystkie rozmowy były oczywiście dłuższe, pełne dygresji i bocznych wątków, stale zbiegających się w jednym punkcie, właściwie w jednym słowie: wchodzić. Trzeba w to wchodzić, tylko tak da się coś zmienić. PiS, "ten twój PiS", jak mówi Irek, to . ostatnie podrygi pokolenia KOR-u i KPN-u, rozpaczliwe próby powtórzenia solidarnościowej rewolucji, którą powtarzać można już tylko jako farsę. Póki co, blokują pewną część elektoratu, kierując ją w pustkę - ale to się już kończy, przegrają, bo muszą przegrać, zbyt mijają się z oczekiwaniami społeczeństwa ... A jakie są te oczekiwania? No właśnie, jakie, podchwytyją. Ty powinieneś wiedzieć lepiej, ty w tym pracujesz. No?

A Bóg raczy wiedzieć. Wszystko się w nas kłębi, gotuje.jakaś wielka wściekłość, jakieś poczucie krzywdy, jakaś chęć odegrania się - i głód rzeczy, lepszego życia, jak to sobie tylko kto wyobraża, lepszych rzeczy, bardziej kolorowych zabawek, większych domów. I cwaniactwo, uświnienie, też. I wzniosłości trochę. Ale ponad to wszystko, dodałbym, potrzeba odzyskania godności. Szacunku dla samych siebie. Bóg raczy wiedzieć, co w tym dominuje, do czego się odwoływać.

Irek twierdzi -- on, nie ja - że tak naprawdę jest tylko jedno.

To "coś", co od czasu do czasu się w Polakach budzi podczas wielkich wydarzeń, jak pielgrzymki albo śmierć Papieża, i co zawsze się potem marnuje. I dopóki to "coś", tę emocję, będzie obsługiwał politycznie Kaczyński albo Rydzyk, dopóty ona się będzie marnować, i dopóty (kto poza Irkiem jeszcze używa słowa "dopóty"? - a i on tylko prywatnie) rząd będzie miękki wobec nacisku korporacji, sitw, mafii. Żeby je zacząć jedna po drugiej ustawiać na właściwym miejscu, uporządkować państwo, nie wystarczy poparcie Europy, trzeba znaleźć w Polakach to, co jest czymś więcej, niż potrzebą odreagowania i szyderstwa .. , I nagle znowu wpada w historię, w wykład o sanacji i Dmowskim, podobno, mówią koledzy, tym sobie zdobył przychyłność Tuska,

196

który dyplom obronił z tego, jak w dwudziestoleciu wykreowano kult Marszałka; tyle, że Irek entuzjazmuje się raczej wizją, co by się stało, gdyby rozwoju II RP nie ucięła wojna. Wierzy w stopniową konwergencję systemu sanacyjnego i endecji, wchodzenie w służbę państwa takich ludzi jak Kwiatkowski i kokietowanych przez " pułkowników" ruchów narodowo-radykalnych.



Co to ma wspólnego?

Ma, bo sanacja po Piłsudskim była jak pusta butelka, i endecja by ją w końcu napełniła. I my po Tusku też będziemy taką butelką, sprawną strukturą władzy, którą trzeba będzie wypełnić ... prawdziwym programem i treścią? Złe słowo. Duchem.

I już nie pamiętam, czy kiedykolwiek zapytałem, kto ją wypełni, i czy odpowiedział wprost "ja", albo może "my" - to i tak przecież wisi nad stołem. Po Donaldzie? Tak, bo Donald, wiesz, jak go wysoko cenię, ale prawda prawdą, jest już wypalony, zrobił swoje i pracuje już tylko na jakąś eurosynekurę. Za dwa, trzy lata pójdzie do Komisji Europejskiej albo gdzieś. I wtedy - albo my, albo udecja. Ale udecja to już dziś stare dziady, przeżuwające wciąż swą elitarność, w hierarchii sztywnej jak w stadzie pawianów nie mogli sobie wychować innych następców, niż bezmyślni klakierzy. A lewica - zamknięta w antyklerykalnej obsesji, w miarę, jak blakły peerelowskie sentymenty straciła z większością tego narodu wspólny język i długo jeszcze go nie odzyska. Kto, jeśli nie my, Rafałskit I zaraz zaczyna się gdzieś w tej rozmowie płatać Dmowski, ze swoim zimnym realizmem i z odwagą, z którą potrafił wbrew wszystkim, wbrew wszystkiemu, tylko w imię politycznej analizy w kraju trawiącym martyrologię pokoleń wyniszczonych przez Moskała rzucić: trzeba iść wspólnie z Rosją, choć połowa dotychczasowych stronników oburzyła się wtedy i go wygwizdała. Masz taką klasę, żeby się postawić nastrojom swoich czytelników, czy chcesz do końca życia być tym Rudym, który tylko narzeka i pisze pamflety na złą władzę? - co, przyznaję, jest spokojnym i pewnym źródłem utrzymania, bo u każdej władzy zawsze będziesz miał co kryty-

197

kować. Tak mnie szturcha, demagog jeden - wychodzi nagle, że właśnie krytykować ich nadal i dawać się w imię prawdomówności marginalizować to konformizm, a prawdziwą odwagą będzie dopiero "wejść w to": Znaczy, w Ferajnę.

Problem z Irkiem jest taki, że kiedy usiłuję wydestylować ogólny ton naszych spotkań, to nawet trudno mi być pewnym, co właściwie padło z moich ust, a co z jego. Czy tak dobrze się przygotowuje do rozmów, wczytując w moje rozrzucone po felietonach myśli i wybierając wszystko, co może się przydać do kuszenia, czy to moje dwudziestoletnie pisanie w jakimś stopniu go ukształtowało, czy może jestem po prostu tak beznadziejnie nieasertywny, że zdolny tylko słuchać z uwagą i dopiero po przetrwaniu sprawy, z czasem, odpowiadać - wyłącznie na piśmie?

Może też dlatego mam problem z tym rozdzieleniem, co kto mówił, że Irek wciągnął mnie w jakąś dziwną, dwuosobową konspirację zupełnie niepostrzeżenie, sprytnie, krok po kroku. Przez kilkanaście lat nie widywaliśmy się w ogóle, zajmował się - sam nie wiem czym, doktoratem, wydawaniem jakiegoś pisma, chyba już wtedy na dotacjach liberałów, ale się do nich nie zapisał, dokumentował tam dokonania antypeerelowskiej opozycji i tłumaczył klasyków wolnego rynku ... Aż nagle, po aferze Rywina, postanowił wejść do aktywnej polityki. Wiem, że najpierw się wybierał raczej do PiS, i w sumie było kwestią przypadku, jak u wielu zresztą, że ostatecznie ściągnęli go dobrym mandatowym miejscem liberałowie, którym trochę brakowało na listach takich ludzi, z ładną, opozycyjną przeszłością i konserwatywnym "backgroundem": Wtedy wydawało się to ganc, w końcu Tusk i Kaczyński zgodnie zaprzysięgali się, że zbudują wolną od postkomunistycznych układów IV Rzeczpospolitą - razem, ramię w ramię. Sam powiedziałem sobie wtedy "economy,.. stupid" i

głosowałem na tego pierwszego; dopiero potem tak się wzięli za łby, że najpierw scena polityczna, a potem wszystko w państwie, poszło w drzazgi.

Był już posłem, jak wpadliśmy na siebie przy jakiejś oficjalce; zaprosił do siebie, początkowo miałem wrażenie, że solidnie się

198

w tym sejmie nudzi. Żony ani rodziny się nie dorobił, w każdym razie teraz nie ma - jakoś głupio mi było dopytywać, czy w ogóle nic, czy się rozsypało, wyniosło go z Warszawy do Krakowa, tam ciągnął jakieś lokalne sprawy, tu, jak siedział w hotelu poselskim, wydawał się nie mieć nic lepszego do roboty niż odnawiać stare znajomości. Zresztą właśnie o tych swoich krakowskich sprawach opowiadał na początku najczęściej, podrzucił mi w zaufaniu parę lokalnych afer, no, może nie tyle afer, co przykładów różnych kompromitujących powiązań albo sitw, nie oszczędzając wcale własnej partii. Tylko dla Donalda wydawał się żywić szacunek aż podejrzany, i na każdą moją cierpką uwagę reagował żarliwą obroną. Ale, mówiłem sobie, ma widocznie tę dość częstą słabość, że musi w kogoś wierzyć.

Mówił o rzeczach w sumie typowych - ot, tego rodzaju, że gówniarz tuż po studiach, wsadzony do ministerstwa z woli koleśia ze ścisłego naczelstwa, ma tam więcej do powiedzenia, niż formalny szef, on ustawia rozdania w spółkach, w radach nadzorczych, on mianuje ludzi w terenie, cała konstytucja i wszystkie ustawy to pic, liczy się, kto czyj, kto kogo zna, kto pod kim podwieszony. No dobrze, tak jest przecież wszędzie, i nie sposób o tym w kółko pisać, że prawdziwy mechanizm władzy jest oparty na "gabinetach politycznych", znajomościach i wzajemnych przysługach; może to go rzeczywiście oburzało, może tylko osłabiał przeciekami do mnie wrogą frakcję na rzecz swojej - nie wiem i się tym nie interesowałem. Kilka przypadków, kiedy szło o osoby naprawdę bardzo umoczone, nadałem kolegom od "dziennikarstwa śledczego": jakąś nominację chyba się w ten sposób udało zablokować, czy przejęcie łakomej działki budowlanej tuż koło starówki.

Potem nasze rozmowy, niezbyt częste, zaczęły nabierać innego sensu. Irek szedł w górę. Zaczęła się afera hazardowa, Tusk odepchnął od siebie większość dotychczasowych współpracowników, żeby się nic do niego nie przykleiło, i zaczął nagle pokazywać z Irkiem, a pozycja u dworu przełożyła się natychmiast na

199

wyższe notowania. Zaczęło się mówić, że jak już władza skasuje IPN, a skasuje jak w banku, musiała być kara za to, że Kurtyka nie chciał ukręcić do końca łba sprawie "Bolka" i nie zablokował publikacji teczki Kwaśniewskiego, to właśnie Irek dostanie prezesurę. Fakt, że od razu zaczął z dotychczasowym prezesem wojnę - firmował zmiany w ustawie, udzielał na prawo i lewo wywiadów, jak to źle dbamy o swoich bohaterów. I tu już nie miałem najmniejszej ochoty go popierać. Ale też wcale mnie do tego nie namawiał.

Stopniowo coraz mniej mówiłem ja, coraz więcej on. Siedzimy w gabinecie biura, z którego korzystał w Warszawie, albo w małej salce pobliskiej knajpy, oddzielonej od reszty kotarą, Irek, poza tym, że też osiwiiał - ale, w przeciwieństwie do mnie, nie ścina tej siwizny, chodzi jak za dawnych lat z długimi włosami, dzięki temu, że trochę mu się kręca, nie widać, jakie przerzedzone - wiele się nie zmienił. Kiedy się rozgada, rozkręci, robi tę samą minę, tak samo nieprzejednaną, co podczas naszych niekończących się dyskusji w osiemdziesiątym trzecim,

piątym; przymrużone oczy, lekki grymas z pogranicza dezaprobaty i odrazy ... Tylko że wtedy wszystko wydawało się proste - po pierwsze, skończyć z komuną. A ponieważ na komunę nie ma mocnych, możemy puszczać wodze fantazji zupełnie swobodnie. No, a gdyby jakimś cudem komunę szlag trafił? To wszystko by się naprawiło samo, więc też nie musimy nadmiernie przegrzewać zwojów mózgowych.

Dobrze, po co brnę w takie opisy? Żeby uciec przed problemem. On peroruje, ja się uprzejmię zgadzam, albo jeszcze uprzejmię zachowuję swoje uwagi dla siebie, bo w końcu, mówię sobie, jestem dziennikarzem, publicystą i gdzieś tam w środku przede wszystkim pisarzem: zbieram materiały po prostu, nie muszę go do niczego przekonywać.

Czasem jakby uświadamiał sobie, że za mało dopuszcza mnie do głosu, i wtedy pyta - a ty co, jak to widzisz, dobrze mówię, co?

200

1

No wiesz, nie mam pewności, czy Tusk za dwa, trzy lata, odchodząc na europejską synekurę, zostawi po sobie cokolwiek prócz zgłiszcz - rzucam. Tu akurat Irek nie jest w najmniejszym stopniu skłonny się ze mną zgodzić, może dlatego, że ekonomia zawsze była całkowicie poza jego zainteresowaniami. Japonia ma dług publiczny powyżej 200 procent rocznego PKB, Francja po kryzysie 90, Niemcy 80 procent - a nas straszą przy pięćdziesięciu procentach! I z powrotem do technologii władzy: wewnątrz niesprawnych struktur państwa trzeba stworzyć sprawną strukturę wewnętrzną, która będzie w stanie komunikować się jasno z rządzonymi; tak, jak to Donald właśnie robi. Polacy nie mają szacunku dla procedur i formułek prawnych, wybaczą łatwo, jeśli zobaczą skuteczność. A skuteczność zobaczą, jeśli będą widzieć cel. I to jest problem naszej - on mówi - naszej połowiczności, ciepła woda w kranie to nie jest żaden cel, trzeba znaleźć źródło, jeśli źródło wyschnie, to żadnej wody w kranie nie będzie.

Myślę, dobrze, że poszedł w politykę, a nie w publicystykę, a na głos podrzucam: teraz to się nazywa narracja. Mniejsza, niech będzie narracja - przecież tej narracji nie trzeba wymyślać, ty sam ją sto razy napisałeś, mniej czy bardziej między wersami, ona jest, trzeba tylko sięgnąć, przyznać się do niej ...

Wystarczy już tego stukania w klawisze. Córeczka zapukała właśnie do drzwi gabinetu i z dworskim ukłonem wręczyła: jaśnie pani zaprasza na kolację, oto list odręczny. W kopercie na skrawku uperfumowanego papieru Oleńka informuje także, że po kolacji i układaniu do snu infantek czeka w łóżnicy "stęskniona i wykąpana".

Od razu odehciewa się człowiekowi "zbytnim myśleniem głowę sobie psować"

Czy mam zaczekać na odpowiedź? - pyta mały posłaniec.

Nie trzeba, proszę przekazać Królowej, że odpowiedź zobaczy wieczorem i na pewno będzie zadowolona.

Dobrze, dosyć zapisywania na dziś, lepiej pomyśleć trochę o zbliżających się uciechach stołu i łoża. Żeby zrobić żonie przy-

jemność podwójnie, jednocześnie od środka i od zewnątrz, trzeba się trochę wygiąć i nie od razu się tego nauczyliśmy, ale obojgu się jakoś nie zamierza znudzić. Do wszystkich dotychczasowych plusów trzeba dodać, już przetestowałem, jak taka solidniejsza sesja znakomicie obniża poziom cukru w osoczu krwi; dużo lepiej niż udeptywanie step era i machanie hantlami.

00

Po ... Oleńka zasnęła, poszedłem jeszcze do dziewczynek, czy się która nie rozkopała, i poprzykrywać. Nic bardziej rozczulającego, niż będąc tak jeszcze rozleniwionym miłością, patrzeć na sen swoich dzieci i wsłuchiwać się w ich oddech.

Posiedziałem chwilę, pomodliłem się, i jakby klawiatura miała w sobie jakiś magnes, ściągnęła mnie, nie pozwalając jeszcze wrócić do łóżka. Jeszcze muszę coś zapisać - myśl, że może dlatego tak nam z Oleńką dobrze ze sobą, że nie próbujemy się nawzajem wychowywać.

Nie chodzi o to, że akurat w wypadku Oleńki jakiegokolwiek próby jej wychowywania są z góry skazane na niepowodzenie: powie "jakiś wady muszę przecież mieć" i dalej robi po swojemu. Ja też, nawet zdaję sobie z tego sprawę, tylko zawsze poniewczasie, źle znoszę jakiegokolwiek uwagi, nawet słuszne, od razu się niepotrzebnie najeżam i warczę. Na szczęście oboje zdążyliśmy przez te lata spędzone z dala od siebie zmadrzeć na tyle, żeby wiedzieć, że nie ma to sensu. Są oczywiście sytuacje, gdy coś trzeba uzgodnić, bo coś konkretnego z tego wynika - ale jeśli nie wynika, jeśli nie ma potrzeby, to zamknij się i powstrzymaj od wszelkich komentarzy, że spodnie to się wieszka tu, w szufladach układa odtąd dotąd, a jajko wkłada do osolonego wrzątku, a nie do zimnej wody. Inaczej za jakiś czas będziecie się nienawidzić.

To część ogólnej. prawidłowości, którą zwykłem ujmować grepssem: "kluczem do udanego związku jest odpowiednio nieudany związek poprzedni": Kluczem jest to, żeby nie mieć jakichkolwiek złudzeń, a za drugim razem zwykle się ich JUŻ

202

nie ma, że on-ona się zmieni, że jakoś go-ją wychowam, że będzie inny albo inna, bo przecież miłość i te rzeczy. Nie, nikt się nie zmieni, w każdym razie nie w sposób przez kogoś innego, choćby najbardziej kochającego, zaplanowany i poprowadzony. Jeśli widzicie w sobie cokolwiek wymagającego zmiany - dajcie sobie od razu spokój. Szkoda rozczarowania, łez, nieprzespanych nocy i tak dalej. Albo musisz w tej kobiecie pokochać wszystko, a już zwłaszcza jej wady, albo od razu postaw raczej na intensywność miłości niż czas trwania.

Już się rozpędziłem napisać, że próbowałem i jednego, i drugiego, i wolę czas trwania ... ale to taki właśnie felietonowy rozpęd, kiedy gładkie zdanka wypływają jedno z drugiego i prowadzą w swoją stronę. Bóg jeden wie, czego ja wtedy, przed laty, próbowałem i o co mi chodziło, wierzyłem oczywiście, że to jedna Jedyna miłość i jeden jedyny ślub na całe życie, ale co naprawdę działo się w tej kudłatej głowie, nigdy już nie odtworzę. U świętego Piotra będę się musiał z tego pierwszego małżeństwa nieźle tłumaczyć, i na razie wolę spuścić na nie zasłonę niepamięci. Wyobrażam sobie, że gdyby Olelika kiedykolwiek spotkała się z

Magdą, na przykład w pociągu, i zaczęłyby obie, nie wiedząc, oczywiście, że tamta druga to właśnie ta, rozmawiać o swoich facetach, jedna o tym, jakiego miała nieprzyjemność w życiu poznać drania, a druga pocieszać, że jednak za drugim razem zdarza się poznać tego właściwego - to mogłyby tak o mnie sobie opowiadać godzinami, od Szczecina do Rzeszowa, i żadnej by do głowy nie przyszło, że mówią o tym samym facecie.

Nie mogłem się przecież aż tak zmienić. Więc aż tak różny może być jeden i ten sam człowiek w zależności, kto jak się z nim obejdzie?

00

Jutro sobota - z rana zostawiamy dziewczynki u teściów i jedziemy na wieś, do Kałki. Zwykle jeździłem tam dwa, trzy

203

razy w roku, czasem z Ołą, przeważnie sam. Ostatni raz byłem na odpuscie - odpustów w Kątach, bo Jackowa Dębina to właściwie taki przysiółek opodal Kątów, i dożynek w Sulęczynie staram się nigdy nie tracić. I właściwie co roku obiecuję sobie o nich coś napisać, przyznać się, że, tak, doznaję wtedy wzruszenia, uczestnicząc w polowej mszy na szkolnym boisku, w festynie, oglądając występy dzieci. Lubię nastrój odpustu, rozbłyskaną w słońcu strażacką orkiestrę, lubię rozmawiać z ludźmi, których proste gęby, podobne do mojej, tylko mocno opalone, nie pasują do wyfasowanych na ten dzień garniturów. Przeciskanie się między zastępującymi dawne stragany "szczękami", które z miast zniknęły już dobrych parę lat temu, wódkę piłą pod prostą zakąskę pod gołym niebem, i tę lepszą, w namiocie dla powiatowych wip ów ... Przypomina mi to wszystko dziecięce jazdy z tatą do babci, do Sulęczyna. Do tego stopnia, że jeśli akurat pojedę sam, bo nie zawsze żona może się wyrwać ze mną, to siedzę tam za długo i do miasta docieram późną nocą, Oła boczy się za to trochę, ale tak raczej dla zasady, w końcu znała facetów, którzy mieli gorsze upodobania.

To już zupełnie inny rodzaj jazdy w Polskę - bywanie odświętne, niedzielne, na uroczystym odsłanianiu pomnika czy otwarciu czegoś. Rzadko, ale zdarzają mi się i takie wyjazdy; wtedy wydaje się, że polska wieś jeszcze istnieje, taka, jaką ją znał tato, i jaką ja jeszcze trochę pamiętam z dzieciństwa. Oczywiście, wiem, że to już tylko fantom, "powidok", jak pisze Marek. Właśnie dlatego tak chwytający za serce.

Kiedy odsłanialiśmy w Sulęczynie pomnik tamtym, przedwojennym Polakom, rozstrzelanym przez Sowietów w 1939, to i wójt, i proboszcz, każdy nie słysząc drugiego, powiedzieli mi mniej więcej to samo: że są strasznie zdziwieni, jak bardzo ten pomysł okolicę poruszył i zmobilizował, jak się wszyscy postarali. Że wydawało im się - ludziom tu wszystko, co nie dotyczy najprostszych, życiowych spraw, obojętne aż do dna, a już jakiś pomnik, miastowa fanaberia; a tymczasem ... Gdy ja to z kolei

204

, I

powtórzyłem Grzegorzowi, on na to, że tak jest zawsze, za każdym razem, dlatego się tak zapalili, że aż fundacja, cała ta robota z szukaniem sponsorów. Jest w ludziach, których nikt o

nic dobrego nie podejrzewa, głód wzniosłości, i głód tożsamości. Na co dzień starannie ukryty.

Powszednia orka to Polska zupełnie inna, w którą zapuszczam się z głuchą rozpaczą, jak Prus zachodzący na niedzielny spacer po zdziczałym Powiślu, albo młody Żeromski szarpiący się w różnych podkieleckich Obrzydłówkach z tym wypełniającym jego dzienniki zwątpieniem, czy myśleć o odtworzeniu z tej zepchniętej w degenerację ludzkiej żywniny narodu, o jej ucywilizowaniu, oświeceniu, awansie, o przywróceniu dumy i godności, nie jest w ogóle jakimś kompletnym szaleństwem.

"Ze wsi to-to już wyszło, ale do miasta jeszcze nie doszło": mawiała ze złością matka. Czasem sam po niej powtarzałem, aż kiedyś sobie zdałem sprawę, co to tak naprawdę znaczy. Bo trzeba jeździć po Polsce, żeby zobaczyć, do jakiego stopnia już nie ma, poza dożynkami i dniami świętych patronów, tej wsi, z której wszyscy wyszliśmy. Nie ma dokąd wracać. I nie ma dokąd iść, bo tego miasta, do którego wyszliśmy, też już dawno nie ma. Zostaliśmy tacy - ani stąd, ani stamtąd, ni ze wschodu, który nas schamił i zmiażdżył, ni z zachodu, który się przełajdaczył i zdycha w perwersjach, odcięci od przeszłości, i z przyszłością też niejasną. W temacie "o czym tobie marzyć, śnić" - zero pomysłu. Grzebiemy w rupieciarni pozostawionej przez naród, który tu niegdyś żył, w śmietniku idei wyplutych już przez pogrążony w dekadencji świat, przymierzamy, obracamy się w kółko, próbujemy zrozumieć sens dzisiejszych wydarzeń, przypasowując je do zupełnie skądinąd wziętych historii, i narazie nic pewnego, poza jednym - że jeszcze chce nam się żyć, a póki mamy do tego siłę i energię, to w coś się ona w końcu wtłoczy, ile by ciężkiej pracy nie trzeba było wcześniej wykonać.

I tylko od święta na chwilę się mamy czego ucapić, jak pijak zbawczego płota. Uczą nas miotać za to na siebie gromy, że Polak

205

się odnajduje tylko w takich rzadkich chwilach - a ja, może z przekory, pisałem: zamiast go za to krytykować, cieszcie się. Póki pozostaje ta odświętna, pomnikowa wzniosłość, momenty zbiorowego wzruszenia i oczyszczenia, wszystko można jeszcze odbudować, jest na czym.

Wsi nie ma też w sensie dużo bardziej prostym, przyziemnym. Mieszczuchy, które za rogatki wyjeżdżają tylko na W szystkich Świętych i Boże Narodzenie, wracając do siebie (swoją drogą, to właśnie w święta widać, jak bardzo wszyscy jesteśmy ze wsi - miasta pustoszeją, a na drogach i kolejach tłok jak sto diabłów), wyobrażają sobie wciąż chłopów w beretach i waciakach albo przykusych, donaszanych starych marynarkach w prążek, przy furmance, i jeszcze gdzieś w tle Chrystusika Frasośliwego, takiego, jaki stoi, pewnie już ostatni w Polsce, w galerii sztuki przy Nowym Świecie, z kosmiczną ceną na metce. Tak naprawdę, niestety, od lat coraz bardziej przypomina to pstrokaciznę latynoskich faweli albo amerykańskie murzynowa. Od lat nie widziałem beretu, może u jakiegoś staruszka - chłopci chodzą w kraciastych, flanelowych koszulach na mięsistej podszewce i bejsbolówkach, tylko gumofilce pozostały te same, do pracy w polu niezastąpione. Wiejska biedota i lump erka też obnosi bejsbolówki, tiszerty i bluzy z emblematami amerykańskich uniwersytetów. A najgorsza i najbardziej murzyńska jest wszechobecna otyłość, z roku na rok coraz mocniej rzucająca się w oczy. Leszek w felietonie sformułował kiedyś takie prawo: "w krajach biednych biedni są chudzi, a bogaci grubi, w krajach bogatych bogaci są chudzi, a biedni grubi"; jeśli trafne, to otyłość polskiej prowincji zaświadcza o cywilizacyjnym awansie. Nic to nie ma wspólnego z dawnymi grubasami, takimi, jak moja babcia od strony ojca; to jest otyłość czipsowo-

hamburgerowa, puchlina wywołana pożeraniem wielkimi paczkami chemizowanych chrupek, zapijanych mamucimi butlami gazowanej izoglukozy. Te same straszliwe ludzkie tołuby, co na przedmieściach Londynu czy Los Angeles, takie same nieforemne zady, i przede wszystkim

206

kim, co naj potworniejsze, tak samo upasione batonikami i colą dzieci. Wszystkie te małe Andżeliki i Dżesiki, jak rzeźne prosiaki ledwie się kolebiące na wykrzywionych pod ciężarem nóżkach \_ dowód naszego bezmyślnego zachłyśnięcia się cywilizacją, która u zmierzchu zwróciła się przeciwko swemu własnemu potomstwu, niszcząc je na wszystkie możliwe sposoby, jakby chciała po prostu definitywnie się uprzętać przed oddaniem zajmowanych terenów głodnym i młodym barbarzyńcom.

Ale, z drugiej strony, tacy faceci jak mój szwagier, który z tych czterdziestu dwóch hektarów utrzymuje od lat dziewięcioro dzieci, kombinując, zmieniając uprawy, wyszukując kontrahentów na Zachodzie i ściągając stamtąd sprzęt. Przez ostatnich parę lat karmił Niemców gęsią owsianą, i ona nadal schodzi bardzo dobrze, ale, jak ostatnio się chwalił, chyba przerzuci się na coś jeszcze lepszego. To coś nazywa się bodajże ogórecznik, zwykłe zielsko, którego miastowy by nie odróżnił od byle komosy, tyle, że nietolerujące w glebie żadnej chemii i wymagające całkowicie ręcznego zbioru. Z ziarenek wyciska się olej, który zdaniem ekoszamanów od zdrowej żywności ma jakieś cudowne właściwości uzdrawiające, a ponieważ na Zachodzie nie ma ani naturalnie nawożonej ziemi, ani sezonowych Ukraińców gotowych tyrać za drobne centy, Jacek opycha te ziarenka Holendrom za jakieś zupełnie absurdalne sumy. A kiedy kupi sobie prasę do ich wyciskania i sam będzie nalewać do buteleczek, przebicie będzie jeszcze większe. Nawet, pamiętam, pytał mnie, czy nie znalazłbym kogoś godnego zaufania pod Sulęcynem, bo tam blisko granicy łatwiej by szło to-to siać; ale nie miałem okazji poszukać.

Przez Jacka, dzięki jego organizacyjnym zapędom, poznałem trochę ludzi z tego biznesu; typ w mediach i powszechnej świadomości kompletnie nieistniejący, i też wcale się tam niepchający. Po prostu, z chłopskim sprytem i uporem, starają się dorobić, bez oglądania na wielkie sprawy. Jak im do tego przydatny Papież i "Solidarność", to są ligą rodzin, jak komuch, to są

207

kółkiem rolniczym, a tak po prostu to robią swoje. Wyobrażam sobie, że mniej więcej tacy musieli być amerykańscy pionierzy - sympatyczni albo wręcz przeciwnie, zależnie od tego, po której stronie ich dubeltówki się znalazłeś. Z jedną różnicą, że amerykańscy pionierzy nie byli deprawowani perspektywą dojenia hojnej sklerotyczki, Unii Europejskiej. A nasi niestety stale przeciągani są przez zamazaną granicę między przedsiębiorczością a cW~11 liactwem, ciężką, rzetelną pracą a kombinowaniem na podatkowych czy bankowych absurdach. I sam Jacek, choć w większym stopniu miastowy od swoich znajomych, dziwi się - a co ty chcesz? Należy się ludziom.

Dlatego on sam ze swoim holenderskim zielskiem ma znacznie mniej miru niż sąsiad, skądinąd zupełnie niekształcony, pięciu złotych by nikt na oko za jego pomysłu nie dał, który postawił niedawno chałupę jako eurooborę. Najpierw się doszukał, że Komisja Europejska ma program wspierający w regionach o dochodzie niższym od średniego rozbudowę infrastruktury i do przemysłowej obory dopłaca 60 procent kosztów budowy.

Więc tak ugadał z architektem projekt, żeby pasował do zadanych kryteriów, zgłosił, wypełnił co trzeba, i skasował - ale to dopiero początek. Bo Unia, w ramach walki z nadprodukcją rolną, ma też inny program, adaptowania na terenach objętych kontyngentem infrastruktury rolnej do celów bytowych. I z tego paragrafu z kolei dopłaca 80 procent kosztów adaptacji budynku gospodarczego - euroobory, na przykład - na dom mieszkalny. Adaptacja może szczególnie trudna nie była, zważywszy, że oborę od razu projektowano pod tym kątem, ale koszty przecież zależą od tego, na jaką sumę jesteś w stanie zebrać wiarygodne rachunki.

I tak ci to chłop spod Kątów Unię wyonacył, a ja nawet, niestety, nie mogę o tym napisać, bo całą sprawę powiedziano mi w dyskrecji - gdybym rozgadał, to już nigdy nic się więcej nie dowiem. Kiedyś tam oczywiście w Brukseli czy Luksemburgu się kropną, że ktoś ich doi, ale do tego czasu polska wieś troszkę wzrośnie w siłę i dostatek.

208

00

Jazda samochodem, bez dzieci, można pogadać. O wszystkim wreszcie, a naj milej zupełnie o niczym. Powiedzieć sobie coś miłego. Pouwodzić się troszeczkę, jak za dawnych lat. Oleńka lubi prowadzić, jeździ spokojnie, lepiej ode mnie, jak trzeba pół godziny człapać za jakąś zawalidrogą, to człapie, gdzie każdy facet w końcu wyrwałby się na trzeciego przez podwójną, więc kiedy jedziemy razem, odruchowo siadam po prawej stronie.

Zgadało się - jedziemy w końcu na posiedzenie familijnego sztabu kryzysowego - między innymi o nas, to znaczy mnie i moim rodzeństwie. Że, jakoś tak się zaczęło, sam się zastanawiam, powiedziałem, że ci sami rodzice, tak samo przecież wszystkich chowali, a jak nas jest czwórka, tak każde zupełnie inne. Na co Ola, że w sumie nie do końca, w szczegółach, owszem, każdy na swój sposób, ale jeden wspólny mianownik widać gołym okiem - mogę, na pewno? - upewnia się jakbym kiedykolwiek nie był ciekaw, jak ona widzi różne sprawy. Wy się wszyscy jakoś siebie wstydzicie. Jakbyście się bali, żeby ktoś nie zajrzał w duszę. Każde udaje kogoś innego, ale każde kogoś bez przerwy udaje - ty jakiegoś wieśniaka ...

- Kotuś, ja jestem wieśniak - mówię urażony.

\_ Tak, widziałam, kiedy poprzednim razem byliśmy u twojej siostry, jak się złapałeś do koszenia. Rolnik pierwsza klasa. Gdyby ci Jacek tej kosi nie zabrał, byś sobie zaraz uciął nogę albo głowę, i jeszcze złamał palec przyokazji. .. - no, trochę koloryzuje, ale fakt, było coś takiego.

\_ Filip - ciągnie Oleńka bezlitośnie, choć głosem łagodnym i pełnym empatii - zgrywa się bez przerwy na złośliwego gнома, i sam siebie tym męczy jeszcze bardziej niż innych. Kaśka, z kolei, kompletnie przytłoczona, zahukana, jak ją zmuszę, żeby chwilę pomyślała o sobie samej, to zaraz widzę, jakie ma przez to wyrzuty sumienia ... Nawet Martyna, wydaje się jej, że robi zupełnie, co chce, a też się dała kompletnie upuścić i coś stale

udaje.

209



- No fajnie. Familia hipokrytów, po prostu - burknąłem, urażony, sam nie wiem, dlaczego.

- No przestań, przecież nic takiego nie mówię. Po prostu jakbyście się bali odkryć, przyznać do siebie. Nawet samemu w siebie popatrzeć. Ty sam przecież jak się na chwilę niechący otworzysz, to zaraz zaczynasz się zgrywać jeszcze bardziej. Zamiast coś napisać o sobie, jaki jesteś naprawdę, od razu skręcasz w politykę, w jakieś ... narodowowyzwoleńcze kazania.

Coś tam odpowiedziałem, jak zwykle, że nie widzę w sobie nic ciekawego do opisywania, a dookoła - owszem, ale to rozmowa, którą już kiedyś toczyliśmy i pewnie jeszcze do niej wrócimy. Jakoś tym burknięciem spłoszyłem Olę i już więcej nie próbowała rodzinnej psychoanalizy, w sumie szkoda, bo, jak się zastanowiłem, może i jest w tym coś - zwłaszcza w odniesieniu do sióstr .. Martynka, mi też się czasem wydaje, jak tak popłyynie

o swoich wyjściach z koleżankami, facetach, to znaczy, właśnie

o braku facetów, czy, jeszcze inaczej, o ich panicznym lęku przed zobowiązaniami, to mam wrażenie, jakby trochę pozowała.

Kaśka, choć oczywiście prosiliśmy, żeby nie robiła żadnych ceremonii, czekała z obiadem wyszykowanym jak na rodzinne święto, ale może jej to potrzebne, żeby czymś zająć myśli. Nam powiedziała, że to dla księdza Bazyla, jak proboszcz przyjeżdża, to obiad musi być jak należy i szkoda gadania. Trudno odmówić, zwłaszcza że ksiądz Bazyl jest najlepszym proboszczem w Polsce, daj Boże każdemu. Pewnie by sobie z tatą bardzo przypadli do' serca, bo Bazyl też o Bogu za dużo nie gada - bo i po co tu gadać, jaki Bóg jest i czego od człowieka chce, to każdy wie, przecież nie z tym ludzie mają problem, że nie wiedzą, jak, tylko że nie potrafią - za to bez przerwy coś buduje. Kościół wyremontował i odmalował na błysk, zamówił witraże, wymurował plebanię z salą konferencyjną, z pełnym sprzętem, a teraz wymienia całą stolarkę. A u księdza Bazyla nie ma mowy o tandecie, żadnych tam płyt wiórowych w okleinie, drzwi kościoła - lity dąb, ławki solidne. Na następnych trzysta lat, mówi, następcy nie będą się

210

musieli troszczyć. Teraz wymyślił na placu przy parafii amfiteatr, i gdyby od niego zależało, już by tam zaczął kopać, tylko gmina, oczywiście, zanim cokolwiek zadecyduje, musi się gruntownie

zastanowić.

To, co tu teraz napisałem, myślę, też by się tacie spodobało.

Tato nie pisał, więc nie musiał sobie tego wszystkiego jakoś werbalizować; "a światłość w ciemności świeci, i ciemność jej nie przemogła" - wystarczyło mu, że z wiary wynikają dobre rzeczy, więc trzeba się cieszyć, że się wierzy. Ja powinienem umieć wyjaśnić, jeśli nie komu innemu, to córkom, w co wierzę i przede wszystkim z jakich przyczyn. Będę musiał jeszcze kiedyś solidnie to przemyśleć. Możliwe, że tym, co najbardziej mnie trzyma przy wierze, są proste, oczywiste prawdy, którym się w żaden sposób nie da zaprzeczyć. Takie jak "pokój ludziom dobrej woli": Czyli ludziom złej woli - wojna! I nie ma co deliberować, wszystko jasne: pokój ludziom złej woli oznacza zgodę na czynione przez nich zło, i tyle. I tym, którzy

mowę prostą jak tak-tak, nie-nie płaczą i zawijają w dialektyczne wygibasy, o właśnie to chodzi. "Bo Szatan nie ma mądrości, jest tylko inteligentny".

Ale ksiądz Bazyl, wracając do niego, budzi szacunek nie tylko jako budowniczy, jako duszpasterz także. Z pozoru jowialny, trochę gadatliwy wsiowy księżulo, mógłby jakiś mędrzek pomyśleć, że dość ograniczony, ale kiedy tak pogadaliśmy raz czy drugi, wyłazi z niego pełna goryczy świadomość, z jakim tak naprawdę zdżyczeniem ma na co dzień do czynienia, i ilu pokoleń będzie trzeba, żeby ludziom przywrócić podstawowe moralne odruchy, te najoczywistsze, żeby dobro szanować, święństwem gardzić, a zła nie robić. A na ludziach się dobrze zna. Zresztą, co się nasłucha w konfesjonale, to żaden pisarz pewnie by nie wymyślił. Szkoda, cholera, że księża muszą to dusić dla siebie.

W każdym razie, jak tylko się o chorobie Jacka dowiedział, obiecał, że stanie na głowie, żeby jakoś pomóc. Nie on jeden, nawet nie sądziłem, że szwagier ma tyłu przyjaciół; Kaśka też wydaje się, przy całym nieszczęściu, zbudowana.

211

Jacek jest już wybudzony i na razie, mówią lekarze, sprawa się rozwija nadspodziewanie dobrze; Kaśka nawet już z nim chwilę mogła porozmawiać. Więc nastrój. ponad oczekiwanie dobry; nawet Filip był wyjątkowo mało toksyczny. Kiedy rozmowa zesła na dzieci, powstrzymał się uprzejmie od opowieści o rozwoju intelektualnym swojego kota, którymi mnie zawsze doprowadzał do pasji.

Bogiem a prawdą, niewiele mieliśmy do uradzenia, bo dość nieoczekiwanie cały gordyjski węzeł rozciął Alek, drugi syn Kaśki i Jacka. Jak tylko się dowiedział o sprawie, powiedział, że to przecież oczywiste, on rzuci studia i wraca do Dębiny. Jak najstarszy się obroni i siostra, mówi, to wystarczy, a ja tam lubię agrobiznes, ojciec mi dużo pokazał, sam mam swoje pomysły, dam radę. Dawno chłopaka nie widziałem, bardzo zmężniał i chyba ma w głowie nieźle poukładane, robi dobre wrażenie.

Więc jakiś nieoczekiwany happy end, nikt się właściwie nie spodziewał. A powinniśmy, bo przecież - opowiadałem Oli w drodze powrotnej - tak to właśnie było z Jackiem, dokładnie tam samo; umarł jego ojciec i Jacek rzucił polibudę, a Kaśka razem z nim. Matka była tym wstrząśnięta, dla niej rzucić studia - wyższe studia, na które jej przecież komuna nie wpuściła za złe pochodzenie - to była niepojęta degradacja, i jeszcze dla jakiegoś chłopca ... Że jak mu mogła ulec, jak się dała tak omotać! A naprawdę, to nikt już na pewno nie ustali, kiedy Kaśka się wykazała większą uległością: kiedy politechnikę rzuciła, czy kiedy na nią poszła. Bo dobrze pamiętam, że te tam ... coś tam na "s" i maszyny robocze (pamiętam, że nazwę tego wydziału wykładali studenci jako "syf i masa roboty") na pewno nie były jej życiową pasją, i pewnie poszła na to tylko dlatego, żeby tato był zadowolony, tak jak i rzuciła po to, żeby z kolei zadowolony był Jacek. Tato, jak pamiętam, nie protestował, w każdym razie nie tak jak mama. Miał, może z innych powodów, nie mniejsze od niej nabożeństwo dla wykształcenia i podobnie nie wyobrażał sobie,

212

żeby dzieci mogły go nie zdobyć, ale z drugiej strony, Kaśka szła za porządnego, prawdziwego mężczyznę, z hektarami. ..

Kiedy tak opowiadam, to brzmi, jakby Kaśka była jakąś zahukaną cierpiętnicą, ale naprawdę nie sprawia takiego wrażenia, nawet teraz, przy wszystkich kłopotach. Może jest trochę bardziej zgaszona, i bardziej po niej widać wiek, ale zawsze tak samo ciepła, w jakiś taki niewymuszony sposób pogodna. "Ta twoja siostra", jak to powiedział kiedyś Jacek, "złota kobieta, po prostu złota kobieta, słowa nie powiem, tylko taka mało rozrywkowa ...  
Wieczorem, jak już te wszystko dzieciaki obrobi, pomyje, pokładzie, to człowiek by jeszcze coś zrobił, gdzieś poszedł, a ona to już tylko do łóżka i spać, najwyżej. co poczyta' ... Ola była i chyba nadal jest po prostu zakochana w tym tekście. No, i jeszcze w tym, jak sama Kaśka powiedziała przy którejś kolejnej ciąży, że po trzecim dziecku to się zachodzi w kolejne ciąży ochoczo, bo to jedyny sposób złapać parę dni odpoczynku i spokoju - na porodówce, znaczy.

Więc wróciliśmy w całkiem niezłych humorach, tym bardziej, że teść trochę lepiej, może dlatego, że jakby zaczął o siebie dbać ... Amoże jakaś ulga, że - powiedział mi na boku - jakoś tam zaczął się przez adwokata układać z tym cholernym Purchlem, trudno, mniej go to i tak będzie kosztować, niż gdyby chciał dochodzić prawa ... Dziewczyny wyszwały się u dziadków i od razu w samochodzie zasnęły zdrowym, głębokim snem ...

"Czegóż się bać?" Gdzieś w głębi ducha gryzie jakiś robak - te sny, męczące od pewnego czasu Oleńkę. Ale może już co złe, to za nami. W końcu, wiosna się właśnie zaczęła ...

00

A tak przy okazji, skoro pisałem o księdzu Bazylu - rzucił mi się w oczy taki ciekawy przypadek, że w ciągu dwóch ostatnich tygodni wszystkie polskie tygodniki i prawie wszystkie gazety codzienne, przeważnie w wydaniach sobotnio-niedzielnymi, zamieściły artykuły o kochankach księży i potrzebie zniesienia

213

w kościele katolickim celibatu. Artykuły są różne, ale generalnie idą wszystkie w jedną stronę. "Przecież" - ach, to "przecież"; ulubiony i w gruncie rzeczy jedyny argument obrazowanszczyny - "przecież" mężczyzna musi, każdy człowiek musi. Tak, jak nie można nie jeść do syta, tak nie można sobie nie pofolgować seksualnie, a kto mówi, że można, ten jest albo obłudnikiem, albo zбочeńcem. Ciekawe, nawiasem, że mnichów buddyjskich to nie dotyczy; nigdy nie słyzałem, żeby ktoś kwestionował celibat w ich kontekście.

W "Polityce" i w "Newsweeku" zrobili z tego nawet okładki.

Zachodzę w głowę - nic się przecież takiego nie wydarzyło, w sensie "niusa", co by wyjaśniało to nagle powszechne zainteresowanie tematem. W przypadek czegoś nie wierzę, ale inne sensowne wyjaśnienie fenomenu też mi do głowy nie przychodzi.

Swoją drogą, trzeba być niezłym głupkiem. Jakby Polska nie była już i tak wystarczająco umafijnionym krajem - a przecież, jak sobie wyobrażę, że jeszcze biskupi i proboszczowie mieliby tu swoje progeneritury do ustawienia ...

00

W porannej prasie zgodny chór w obronie Otwartych Funduszy Emerytalnych, na które chce podnieść zbrodniczą rękę pani minister od bezrobocia i zasiłków. Frazeologia liberalna i

rynkowa: OFE to pieniądze obywateli, a nie rządu, zarządzane przez prywatne firmy właśnie po to, żeby rząd ich nie przetracił ... I tak dalej, teoretycznie wszystko święta prawda. Tylko nijak się ma do faktów, których, jak zwykle, żadnemu z gardłujących zaciekle dziennikarzy nie chce się sprawdzić. Kapitał zbierany w OFE podlega przekazaniu lub dziedziczeniu tylko teoretycznie, obłożono to takimi restrykcjami, że w praktyce nie idzie skorzystać. A co ważniejsze, 70 procent tego kapitału, o którym mówi się frajerom, że jest oddzielony od ewentualnych zawirowań polityki, ustawowym przymusem lokowane jest przez fundusze w obligacjach rządowych. Więc jak państwo

214

zbankrutuje, to "oszczędności" w OFE wyparują tak samo jak te z kont zus czy KRUS.

Gdyby mi do łba strzeliło kupować za jakiś tam procent

miesięcznego dochodu obligacje, jako "zabezpieczenie na starość", to sam sobie mogę iść na pocztę i kupić ich dowolną ilość. A "prywatna firma" zarządzająca Otwartym Funduszem Emerytalnym za tę niezwykłą fatygę, że oto kupi klientowi, za jego pieniądze, rządowe papiery i wsadzi do szuflady, strąca sobie 7 procent całej sumy jako prowizję. Emerytura z tego nie będzie, ale bieżąca prowizja jest jak najhardziej realna - i o to tylko chodziło w całej reformie. Jeszcze jedna z mnogich form łupienia i strzyżenia obywateli, które jest racją bytu tego państwa.

Głupota większości dziennikarzy, skoro już przy tym jestem, coraz bardziej przygnębiająca. Masówką staje się wyciskanie z polityków z góry założonego zdania. Panie pośle, Tusk niszczy Polskę, prawda? No, może nie formułowałby tego tak ostro, ale rzeczywiście pewne działania szkodzą ... Czyli niszczy Polskę, tak? No, skoro palli chce tak to nazywać ... - i na czerwony pasek: .Poseł Pipsztycki (PiS): Tusk niszczy Polskę". Po półgodzinie na czerwonym pasku jeździ już: "Poseł Bąberski (PO): wypowiedź Pipsztyckiego haniebna i niedopuszczalna". Albo leci się z sitkiem do Niesiołowskiego: Panie marszałku, poseł Kurski nazwał pana oszustem i draniem. Co? To on jest bandyta i łobuz! A potem do Kurskiego: Niesiołowski mówi, że pan jest bandyta, co pan na to? A, to on sam jest bydlę. A mogę napisać: oszust i drań? Tak jest, to oszust i drań! Bęc wuja w czoło i jest wesoło - nius gotowy.

00

Tym razem to Irek przekłada spotkanie. Oczywiście, ubolewa, zapowiada, że się odezwie najszybciej jak można, bo "sprawy się robią pilne", i "projekt nabiera kolorów". Jeśli dobrze odczytuję, jego nominacja ma być sfinalizowana niebawem, w związku z czym realna staje się także oferta dla mnie. Przemyślałem

215

w wolnej chwili i właściwie może chodzić tylko o jedno, chce ze mnie zrobić jakiegoś swojego doradcę, jako prezesa IPN - u. Czyli mam nie mieć na nic żadnego wpływu, a firmować swoją twarzą "politykę historyczną" ferajny, ukręcanie łba poszukiwaniom w papierach Wałęsy, Geremka czy innych umoczonych świątków III RP. Właściwie to chcę, żeby właśnie z takim pomysłem wystąpił, bo Wtedy wręcz nie mogę go nie posłać na drzewo i cała reszta "projektu" z punktu robi się nieaktualna.

Bo "projekt" - przejął język od szefa, swoją drogą - to, jak rozumiem, plan zbudowania własnej partii, umiarkowanie konserwatywnej i narodowej, najpierw jako środowiska, nurtu wewnątrz partii rządzącej, wobec jej totalnego skupienia wyłącznie na garnięciu pod siebie stopniowo napełniającego "butelkę", strukturę, ideą. Aż do pełnego zwycięstwa i doprowadzenia Polski naprzeciw cywilizacyjnym wyzwaniom nowego wieku.

Właściwie już mi to wszystko wyłożył, i nawet się zgodziliśmy - teoretycznie. Bo dotąd tylko teoretyzowaliśmy. Ale kiedy postawi sprawę jasno, to zapytam, jak zamierza uniknąć losu wszystkich poprzedników. Naprawdę jestem ciekaw, co powie. Budować środowisko wewnątrz obozu władzy, czyli poszerzać jej wielonurtowość - nikomu od dwudziestu lat nie udało się nic podobnego. Wręcz przeciwnie. Każda z ważnych partii III RP zapowiadała na początku, że chce być wielonurtową koalicją, jednoczącą szerokie spektrum i tak dalej, każda próbowała rozwijać skrzydła - Porozumienie Centrum miało łączyć chadeków i konserwatystów wszelkich odcieni, Unia Demokratyczna chciała dla reform zjednoczyć wszystkich od umiarkowanej prawicy po liberalną lewicę, Sojusz Lewicy Demokratycznej zebrał wokół partii coś czterdzieści parę organizacji społecznych, żeby się już nie grzebać w prehistorii, jak po Rywinie zaczął się rysować okrągło stołowy gmach, to PC połączyło się z konserwatystami i narodowcami i chrześcijańską prawicą w szeroką, wielonurtową partię umiarkowanej prawicy, izolującą od centrum

216

skrajnych endeckich radykałów, no a Platforma ... Platforma wszak, kto jeszcze pamięta, dlaczego się tak nazwała - nawet nie miała być partią polityczną, tylko ruchem obywatelskim, otwartym na wszelkie oddolne inicjatywy, ruchem, w którym o przywództwie decydować miały, ha, ha, prawybory, wzorowane na amerykańskich ...

Każdy tu zaczynał od gadania o wielonurtowości, o jak najszerszym spektrum ideowym, oddolnej, obywatelskiej aktywności, a potem w praktyce zawsze było to samo - stopniowa likwidacja wewnątrzpartyjnej opozycji i konkurentów do władzy nad ugrupowaniem, cięcie po skrzydłach, zwieranie szeregów, i zawsze, nieodmiennie, kończyło się to dworem, ze wszystkimi dworskimi mechanizmami. Mam wierzyć, skoro tyle razy już się to powtórzyło, że to kwestia złej woli jednej osoby? Nie, to błąd systemu. I póki system jest, jaki jest - ordynacja proporcjonalna, budżetowe finansowanie partii na ręce kierownictwa, i tak dalej - musi się to powtarzać. Wielonurtowość - tak, ale wyłącznie w tym sensie, że wszystko jest picem, możesz sobie wygadywać lewicowo czy prawicowo, liberalnie, jak chcesz, byleś był bezwzględnie lojalny wobec wodza i pamiętał, że to wszystko pozór, pijarowska maska. Jak sobie Irek wyobraża tutaj budowanie czegośkolwiek na poważnie ideowego?

Cholera, jak pominę na razie wątek Irka, właśnie mam ten felieton, do którego się od rana nie mogłem zebrać.

00

Martynka dzwoniła, że z Jackiem jednak bardzo źle. Jest przytomny, jutro mają go otwierać znowu, ale lekarz powiedział jej na boku, żeby przygotowywać Kaśkę, bo przyszedł drugi kryzys, bardzo poważny; szanse są tak dwadzieścia do osiemdziesięciu.

Co mogłem powiedzieć? Rzuciłem coś odruchowo, w stylu, co komu Bóg zdarzy, fuknęła obrażona nie wiedzieć o co.

217

00

Znowu w pociągu, ale akurat dość pustawym, nie ma z kim pogadać, więc gazety i, na ile działa mobilny internet, portale. Najnowszy obiekt powszechnego zachwytu - herbowy sygnet kandydata władzy do urzędu prezydenta. On sam się niby to dyskretnie odżegnuje - herb? Marszałek Sejmu, ha, ha - ale towarzystwo delikatnie podtyka przeżuwaczom: proszę, prawdziwy hrabia, spokrewniony z "Borem" Komorowskim (też mi chwalebna parantela - polski Nivelles, powinien skończyć pod murem) i na dodatek się wcale nie chwali, ot, tylko skromny sygnecik wielkości włoskiego orzecha, a jakby ktoś mimo to nie zauważył, to już kamera zrobi odpowiednie zbliżenie. I zachwyty, ach, no, czyż można oddać Rzeczpospolitą w bardziej godne ręce?

Dlaczego ludzie takie rzeczy robią? I tak, niech to diabli wezmą, wygra te wybory, i tak Ferajna bierze wszystko - więc o co jeszcze chodzi, po co się nadymać, opowiadać o sobie kłamstwa, zupełnie niepotrzebne, a przecież tak łatwe do zdemaskowania? Czy to jakaś psychiczna zadra, kompleks, czy może taka orwellowska socjotechnika - żeby ludzi już do cna medialnie sterroryzować, wpędzić w stan, w którym to, że czarne jest białe, samym sobie wmówią jako oczywiste? Nawet krok dalej za Orwellem: dziś, przy takim codziennym praniu i trzepaniu mózgow, Winston Smith już sam sobie pokazuje palec, i sam siebie przekonuje, że widzi dwa.

Z ciekawości - no może ja się mylę, może rzeczywiście hrabia? - zadzwoniłem do Gaspara, ten ma wszystkie herbarze w głowie. Nie, wyjaśnia, jedynie słuszny kandydat jest z Komorowskich herbu Dołęga, takich, ot, litewskich szlachetków, a Komorowscy-hrabiowie, czyli ci od nieszczęsnego dowódcy Powstania Warszawskiego, są z Galicji i pieczętowali się Korczakiem. Ale, broni przyszłego prezydenta Gaspar, formalnie jest w prawie, bo jedna Korczak-Komorowska w XIX wieku podała jednego Dołęgę-Komorowskiego w austrowęgierskiej

218

heroldii jako przedstawiciela innej gałęzi tego samego rodu, bo wtedy tytuł dawał prawo dostępu do wysokich funkcji, zostało to przepisowo ofrankowane i uznane, więc w świetle prawa może się na hrabiostwo powoływać, chociaż takie, jak to ujął Gaspar, " przyszywane":

A co on ma na tym sygnecie, widziałeś? - pytam. Dołęgę czy Korczaka? Korczaka, oczywiście. No.

A co tam, grunt, żeby zaimponować - hrabia! Ot, nasza elita w całej okazałości: przyszywany hrabia, profesor bez matury, prezydent udający magistra, i jeszcze arcybiskup, który gdzieś na szczeblach kariery zagubił wiarę w Boga i zostały mu tylko "uniwersalne wartości humanistyczne": A to Polska (PO-Iska?) właśnie.

00

Jestem roztrzęsiony, czuję się, jakbym miał gorączkę, cukier - zmierzyłem przed chwilą - skoczył ponad 160, a jadłem Bóg wie ile godzin temu. Zresztą nie mógłbym z nerwów, gardło i żołądek ściśnięte. O spaniu tym bardziej mowy nie ma, choć dochodzi czwarta.

Oleńka jest w szpitalu. Tylko na obserwacji, w Bogu nadzieja, że koszmar zaraz się skończy. Aby dotrzeć do rana.

Po kolei. Dzień jak co dzień, pełny spokój, coś tam pisałem - trudno człowiekowi pojąć, jak kruchy jest nasz spokój i jak w każdej chwili może się coś stać. Kiedy Oleńka zadzwoniła, dłuższą chwilę nie dotarło do mnie, o co chodzi. Mógłbyś dzisiaj odebrać dziewczyny? No, mogę, coś się stało? Tak, bo jeszcze, wiesz, dzisiaj jest w szkole próba, bardzo ważna, a ja nie mogę pójść, mógłbyś mnie zastąpić? Próba? Tak, a co się stało? Wiesz, na szczęście nie jest najgorzej, ale się samochód popsuł. .. Jak to się popsuł? To weź taksówkę. Kiedy właśnie muszę tu niestety być, zanim ściągną, spiszą wszystko, no, miałam mały wypadek, nie denerwuj się tylko ... Jezus Maria, nie denerwuj się! Jaki wypadek? Co się stało?!

219

No, tak mniej więcej wyglądała ta rozmowa. Miała zderzenie z tramwajem, samochód "trochę pogięty", policja już jest, nie policzyli jej punktów - czyli że nie jej wina, jeśli dobrze zrozumiałem - ale trochę to potrwa. A dzisiaj akurat dzieciaki mają próbę Smoka, czybyś z nimi mógł popracować, tekst przecież znasz, a co robić, wszyscy mniej więcej wiedzą, poradzisz sobie, a jak nie to 'dzwoń, a potem weźmiesz Zosię, podjedziesz z nią po Manię i wrócicie, no bardzo cię przepraszam, ale naprawdę nie wiem, ile to potrwa.

Dobrze, mówię w końcu, ale czy na pewno nic ci nie jest? Z Oleńki ciężko takie rzeczy wyciągnąć. W końcu się przyznała, że jest "trochę poobtłukiwana", ale że wszystko to oczywiście nic. Ale poduszka odpaliła? No tak, ale tak w sumie to niepotrzebnie. Ale czy jakiś lekarz cię widział? Kochanie, nie ma "trochę poobtłukiwana", człowiek na adrenalinie nic nie czuje, a potem się nagle może Bóg wie co okazać. Jeśli pogotowie nie przyjechało, to jedź sama im się pokaż. Nie, absolutnie nie, uparłem się, spytaj tych policjantów, jak mówisz, że tam są,

Wiem, że się czasem zachowuję jak stary, upierdliwy mentyka, czasem mi nawet z tego powodu wstyd, ale w tym wypadku - nie. W porządku, obiecała w końcu, że zadzwoni do Martynki i po wszystkim zajrzy do nich na izbę przyjęć, tak po prostu na wszelki przypadek.

Z początku nie byłem tym wszystkim jakoś szczególnie przestraszony, no, kłopot, pewnie, ale Bogu dzięki nic się nie stało. O samochód nawet nie spytałem, odruchowo spisując go na straty. I tak go już czas wymienić. Może nawet lepiej się stało, że jest powód, bo to stary model, nie ma z tyłu poduszek ani bocznych kurtyn - może to właśnie jakiś palec Opatrzności, żebyśmy nie jeździli z dziećmi bez zabezpieczeń? Pojechałem do szkoły, dzwonił się z Olą jeszcze raz czy drugi, w końcu załatwiła, co miała, z samochodem trzeba będzie poczekać na decyzję PZU, jedzie zgodnie z obietnicą do szpitala, no dobrze, uspokoiłem się.

220

Odprężony, mogłem się przyjrzeć, jak tam dzieciaki radzą sobie z moim - to znaczy, Szwarca w mojej adaptacji - Smokiem, i jak to wszystko sprytnie moja żona poustawiała. Mogłem spokojnie podziwiać, bo pani Agnieszka, nauczycielka współpracująca przy przedstawieniu,

na wieść, że Ola nie może, uparła się zostać po godzinach, chociaż naprawdę jej do tego nie namawiałem. No, ale to szkoła społeczna, nie państwowa, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Zwłaszcza Tomek, grający burmistrza/prezydenta, przecież to cholernie trudna rola nawet dla dorosłego, ma moim zdaniem autentyczny talent. A naj śmieszniej sze, że "pani Ola" go musiała wciągnąć do tego teatru podstępem, nie chciał, nie interesuje go to, i tak dalej. Trochę rozumiem, ja bym w jego wieku się zachowywał tak samo. Grać w jakimś przedstawieniu? Chłopak? Obciach i wstyd. Generalnie, szkolny teatrzyk cierpi na nadmiar dziewczynek, trzeba było obsadzić nimi także mniej ważne role męskie, ogrodnika na przykład, mieszczan zmienić na mieszczki, i nawet jedną z głów Smoka zrobić dziewczynkę; skądinąd przydało mu to zupełnie niezamierzonej głębi. (Parytetowy smok, rozśmieszyło mnie to, pamiętam -- więc najlepszy dowód, że nie od razu mnie sytuacja pokonała). No, ale z czasem się chłopak wciągnął, a jak odwała świra w scenie rady miejskiej ("pogratulować, panowie, wpadłem w rozdwojenie jaźni") - szacuneczek, chociaż może trochę za bardzo kopiuje Pazurę z sitkomu o komisariacie. No i moja Zosia jako kot, po prostu sam wdzięk i kwintesencja chodzenia własnymi drogami. Najtrudniej, oczywiście, być bohaterem pozytywnym. Sam, gdyby mi przypadło robić za Lancelota, nie miałbym za grosz pomysłu, jak go uczłowieczyć.

Ćwiczyliśmy z panią Agnieszką całą kulminacyjną scenę pojedynku, najtrudniejszą. ale i emocjonalnie najbardziej nośną - aż mi ciarki szły po plecach, od "no nie rozumiem, dlaczego ten Lancelot jeszcze się nie poddaje, przecież wie, że pana smoka nie można pokonać ... on po prostu umyślnie nas dręczy" - aż

221

po chóralne "precz ze smokiem! Przez tyle lat nas oszukiwano". Widać, że to czują, że znają tych ludzi, te zachowania, a proponując szkole właśnie ten tekst, miałem wątpliwości, czy młode pokolenie cokolwiek w nim wyłapie.

Sukces, wyszedłem z Zosią bardzo zadowolony i zbudowany - przedstawienie 15 kwietnia, nie mogę się doczekać, no i jak nie wygrają tym jakiegoś festiwalu, to się po prostu obrażą na rzeczywistość.

Dopiero gdy już zabrałem i Młodsza, ruszaliśmy właśnie spod przedszkola, zadzwoniła Ola ...,... myślałem, że z domu, kiedy będziemy. Ale nie, jest jeszcze w szpitalu, zrobili jej tomografię i co tam trzeba -- Martynka zadziałała, jak zwykle - i pan profesor chce ją na noc zatrzymać. Na wszelki wypadek, powiedział. Nic nie powinno się dziać, ale na wszelki wypadek niech zostanie. Możesz mi jakoś przywieźć rzeczy, piżamę, czy mam dzwonić do mamy? Albo może w ogóle zawieź dziewczyny na noc do rodziców, chyba że mafia by przyjechała ...

Oczywiście się nie zgodziłem, pewnie, że na co dzień mało w domu robię, ale to dlatego, że nie mam czasu - nie jestem tym typem mężusia-fujary, co bez żony siada i płacze, bo nie wie, skąd się biorą czyste majtki i skarpety. Powiedziałem, że zadzwonię po nianię, ale nawet tego nie było trzeba, dziewczyny w końcu są już duże, zapewniły, że przez tę godzinkę będą grzecznie oglądać film i nie tkną gazu, prądu ani szkła, a gdyby czego potrzebowały, obiecała pomóc sąsiadka.



Więc złapałem, co mi tam Oleńka przez telefon kazała z tej i tamtej szuflady, książkę na wieczór, podjechałem do niej, no i na widok posiniaczonego boku żony troszkę mną trząchnęło. Głowa to nawet nic, z głową wszystko w porządku, ale uderzenie w żebra, bo tramwaj przypadkowo w nią z boku, kasując obie pary drzwi i słupek, było na tyle silne, że zaczyna się tam coś zbierać - jakaś torbiel, płyn, nawet się za bardzo nie dopytywałem o szczegóły, i tak nie zrozumiałem. Powtórzyli jeszcze raz to samo, że nic wielkiego, nie wygląda źle, ale wolą być na miejscu-

222

gdyby "co". Jakie to może być "co", ani Oli, ani mnie, nie chcieli powiedzieć. Po prostu tak się robi. Kręcą, oczywiście, pierwsze słyszę, żeby każdego kierowcę po stłuczce zatrzymywali rutynowo na noc. Ale w końcu to dobrze, że potraktowali sprawę poważnie, jedną noc z dala od siebie jakoś przetrzymamy.

Grunt, że Oleńka się czuje dobrze, poza ogólnym obtłuczeniem. Nawet nie było czasu pogruchać, bo jednak sąsiadka sąsiadką, a dzieci same w domu - trochę strach.

Póki musiałem uspokajać dziewczyny, robić kolację, kapać i szykować je do łóżek, sam nie miałem czasu się straszyc.

Potem dzieci poszły spać, i zrobiło się gorzej.

Pomyślałem - siądę i popiszę. Ale nie idzie pisać, kiedy myśli krążą tylko wokół jednej, uporczywie odpychanej obawy. Nie, nie ma właściwie jakiegoś konkretnego powodu, jeszcze, uchowaj Boże, nie ma żadnego konkretnego powodu do zmartwienia, ale ten rok - najpierw mama, potem ...

Ciebie on z łowczych obierzy wyzuje i w zaraźliwym powietrzu ratuje, w cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie ... - powtarzam wciąż od nowa.

Nie jestem moim tatą, który dostał od Boga dowód, że to nie poetycka przenośnia, "niech pewien będzie", kto "przeciwko mnie szczerze postępuje" ... Jestem tylko jego synem. Tato pewnie by mnie zgromił wzrokiem, jak mogę wątpić, ale '-' to nawet nie zwątpienie, tato, to świadomość, że On wie lepiej, że On właśnie ze mną "szczerze postępuje": Ileż się Magda namodliła o dziecko, nie mówię ja, ja sobie na wysłuchanie niczym nie zasługiwałem, ale ona, taka pobożna, zasadnicza, surowa dla siebie, a przecież Pan nam wtedy tego dziecka nie dał, i dzięki mu za to stokrotnie; wiedział lepiej. Przecież sam wiem, że nie zrobię wszystkiego, o co mnie dzieci proszą, bo wiem lepiej, co im wyjdzie na dobre, a co na złe, do pewnego stopnia, oczywiście. Kiedyś, właśnie 'po rozwodzie, a może po tym, jak się już ostatecznie zesłiśmy z Oleńką, jak sobie powiedziałem, że nie będę przed tą miłością uciekał, spróbuję raz jeszcze i stanę na

223

uszach, żeby tym razem nie spieprzyć, mniej więcej wtedy uświadomiłem sobie, że w ogóle nie należy się modlić o coś, w każdym razie nie o coś dla siebie. To moja głęboko skrywana tajemnica, nie jestem na tyle pewien, by komukolwiek tę myśl narzucać, ale od tego czasu nigdy o nic dla siebie Boga nie proszę, tylko Mu dziękuję. Mam za co dziękować, w takim prostym, ludzkim sensie, ale właśnie, pomyślałem sobie, że cała sztuka umieć Mu dziękować

nie tylko za to, co radosne, trzeba za wszystko, i za to, co wydaje się złe, nie zasłużone, niepotrzebne, co boli i przeraża, bo po coś to jest, bo On wie lepiej, bo widocznie trzeba przez to przejść, widocznie dobrze to Stachura pisał o cierpieniu, że jest jak rzeka, przez którą po prostu trzeba przejść, żeby się znaleźć na drugim brzegu. Ale łatwo gadać, łatwo wiedzieć, że się powinno dziękować nawet za nieszczęście - a zrobić to, pogodzić się z taką myślą, to zupełnie co innego.

Można tylko, jak sam Jezus, prosić: jeśli możliwe, oddal to od nas ... Ale niech się dzieje Twoja wola.

Męczą mnie jakieś straszne przeczucie, boję się. Boję się nawet wyraźnie powiedzieć, czego się boję. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Oleńce coś mogło się stać. Przecież na niej się cały świat trzyma. Bez niej nic nie miałoby sensu, tak, jak już raz nic go nie miało. A dzieci? Nasze "gimpusie": nasze skarby, takie radosne, szczęśliwe, mądre, wszystko przecież dzięki niej, wszystko jej praca, jej porzucona kariera zawodowa, nieustanne bycie przy dzieciach, nieustanne rozmawianie z nimi, odpowiadanie na pytania, nieustrudzone pokazywanie, uczenie świata ...

Panie, jeśli to tylko możliwe proszę Cię - "i zacności /

i lat sędziwych, i mej życzliwości" .

Ja nie rozumiem, przecież teraz, teraz nic się już stać nie może. Kiedyś, ale nie teraz, nie kiedy się wreszcie znaleźliśmy na tym świecie po tylu latach szukania, kiedy mam szczęśliwą rodzinę. Wiem, będę się tam po drugiej stronie miał z czego tłumaczyć. Jakoś nigdy nie chciałem źle, naprawdę, ale wychodziło, jak wychodziło. Magda - naprawdę wydawało mi się,

224

że to miłość mojego życia, że ją zmienię, albo sam się dla niej zmienię, że miłość zmieni nas oboje. Piękna i nieprzystępna, niczym Rachel z oglądanego dwanaście razy Blade Runnera; nie można było jej nie pokochać, i jeszcze bardziej nie było można z nią wytrzymać. A potem Iza, jej dokładne przeciwieństwo, nie tylko w typie urody, pod każdym względem - zachłanna na miłość' chwytająca łączywie każdą chwilę szczęścia z pogańskim brakiem skrupułów, bez oglądania się na nic. I Oleńka, Trzy kobiety, nie licząc różnych przygód, chyba dość, jak na jedno życie, zwłaszcza gdy jeszcze dziwnym zrządzeniem akurat takie: teza - antyteza - synteza. Czasem wydawało mi się, że to nie mogło się tak dobrze skończyć samo z siebie, że lazałem prostą drogą w jakąś przepaść i ktoś mi musiał tę Oleńkę wymodlić, zesłać, może tato, za te wszystkie kościoły, których po Polsce nabudował, zdołał to dla mnie załatwić - więc jak mogłoby teraz, gdy jest tak dobrze, gdy wszystko zostało logicznie i szczęśliwie spuentowane, cokolwiek się zmienić?

Po prostu nie wierzę, żebyś mógł człowiekowi dać wszystko, co tylko można mieć, a potem nagle zabierać. Nie jestem Hiobem, jestem tchórzem, i jeśli trzeba mnie doświadczyć, to nie kosztem tych, których kocham. Trzeba to było zrobić wcześniej.

Bredzę, a teraz, czuję, będę bredzić jeszcze bardziej, ale muszę to zapisać. Przed chwilą, żeby się oderwać od klawiatury, poszedłem do dziewczynek, poprzykrywać - bo zawsze się w nocy rozkopują, kręcą. Najpierw Mania - widzę, kołdra skopana aż na podłogę, a mój Mań leży z

nogami na poduszce, głową w przeciwną stronę. Przełożyłem, przytuliłem, okryłem, odczekałem chwilę, idę do Zosi - to samo, nogi na poduszce, więc też na ręce, obróciłem, przykrywam ... I nagle, jakby mnie piorun strzelił, przypomniał mi się ten kretyński filmik z rzygowinami i jakimiś satanistycznymi paskudztwami, filmik, który jakiś idiota dokleja do wszystkich moich artykułów w necie - ten z ciągłym odwracaniem mojej fotografii do góry nogami.

225

Ja wiem, że to idiotyzm kompletny, że, naprawdę, jeśli istnieje coś takiego, jak skuteczne przekleństwo, to nie przez internet - ale wiedzieć, i nawet mieć poczucie własnej śmieszności, to jedno. Ale jest najciemniejsza godzina przed świtem, Oleńka jest w szpitalu, a ja czuję się jakby moje serce dobijało resztek sił - i ten rok, rozpoczęty śmiercią mamy, te wszystkie złe sny żony, wróżby, choroba Jacka, a dookoła - "dorzynanie watahy" na całego, i skundlenie maksymalne, aby tylko ocalić posadkę, za każdą cenę ... .Panie, nie pozwól mi zwariować" ... "na żaden strach nocny I na żadną trwogę ani dbaj na strzały / którymi sieje przygoda w dzień biały" ...

Oleńko moja, nie może ci się nic stać. Wiem, że nie jestem dobry w okazywaniu uczuć, nigdy ci nie powiedziałem tego wszystkiego, co powinienem - ale wiesz ... Nic ci się nie może stać. Błagam cię. Za siebie, za Zosię i Manię, i za jeszcze, może, jak Pan Bóg da, następne nasze dzieci. Nie przeżyjemy bez ciebie, cały świat trzyma się na tobie.

"N a lwa srogiego bez obawy siędziesz / i na ogromnym smoku jeździć będziesz ... "

00

Krażę po mieszkaniu, nie mogę usiedzieć w miejscu - zadzwonił telefon, mało się nie zabiłem, biegnąc po słuchawkę, ale to Martynka. Usłyszałem jej głos i wiedziałem, byłem po prostu pewien, co usłyszę - że Jacek nie żyje. Po cóż innego by dzwoniła tak rano?

Nie, Jacek w porządku, otwierali go kolejny raz i mówią, że proces zapalny się zatrzymuje. Czyli że jeśli organizm znajdzie jeszcze trochę siły, żeby wytrzymać najbliższe dni, to zacznie zdrowieć. Dzwoniła ... Boże, po piętnastu minutach nie potrafię sobie przypomnieć, po co dzwoniła. A, no oczywiście, spytać, co z Olą. I jeszcze coś, Kaśka potrzebuje, czy mamy może ... nie pamiętam. Łeb mi wysiada. Tylko tego brakowało.

226

00

Teraz to była Oleńka. Wszystko w porządku, trochę niewyspana, bo się tak rozgadały z babami na sali, ale to mi kiedy indziej opowie, trochę obolała, ale to nic w sumie, powiedzieli, że chcą ją jeszcze raz zbadać i jeśli nic złego nie znajdą, puszcza do domu. Kiedy? Zadzwoni.

Budzenie dzieci, śniadanie, ubieranie - nie wiem, jak ona sobie z tym codziennie daje radę, a przecież teraz są już starsze, łatwiej, niż dwa-trzy lata temu (ubieranie dziecka to jakby się wciskało w kurtkę i spodnie ośmiornicę, mówiła wtedy) no i dziś są wyjątkowo chętne do współpracy, poważne, wiedzą, że mamusia chora i tacie trudno, trzeba mu pomóc. I jeszcze

do tego wszystkiego - telefon, czy mogę połączyć z panem pośłem? Nie, przepraszam, za godzinę, dwie, teraz naprawdę nie mogę.

00

Jakby się wszystko sprzysięgło. Dzieci porozwożone, z gazety na gwałt osiem tysięcy znaków - skomentować Jaruzelskiego, znowu był wczoraj u Liza, nieważne, że nie oglądałeś, zaraz ci przyślemy, kłamał o Grudniu 1970 w żywe oczy, bezczelnie, przy kompletnym braku reakcji prowadzącego, a można o tym napisać tylko w jutrzejszym numerze, bo potem miejsca nie będzie, zaczyna się Wielki Tydzień (ależ czas leci, faktycznie, uświadomiłem sobie, że przez cukrzycę przegapiłem Tłusty Czwartek). Nie dość, że nie mam w ogóle głowy do pisania, to jeszcze - akurat o Jaruzelskim? Przecież to beznadziejnie nieciekawy przypadek, wbrew stereotypowi, postać niewarta żadnego sporu. Kliniczny przykład "banalności zła" - maszyna zdrady i zbrodni wyniosła na szczyt wcale nie żadnego demona, tylko miernotę z kompleksem prymusa, z psychicznym przymusem bycia żołnierzem na wzór-konspekt, czegokolwiek akurat na odznakę wzorowego żołnierza wymagano. Trafił w takie a nie inne czasy, więc został wzorowym komunistą. Urodziłby się ciut wcześniej, skończyłby z przestreloną czaszką

227

jako wzorowy Polak-katolik, urodziłby się bardziej na Zachód, zostałby wzorowym nazistą. Powierziliby mu koncentrationlager, zorganizowałyby wzorową Zagładę, ustanawiając rekordy wydajności komór i pieca, powierziliby ratowanie Żydów - też by się dochrapał cenzusu. Całe życie naprężał się, żeby go Kreml głąskał po główce za wzorową zdradę swych rodaków, a kiedy to osiągnął, walczy jeszcze o swoje miejsce w historii tego narodu, który zdradzał. Ciekawy temat dla jakiejś polskiej Arendt, ale ja - dlaczego akurat? Dlatego, wzdycha Dominik, że dopiero co pisałeś o "czarnym czwartku" i masz temat zdokumentowany, a poza tym Broniek wziął urlop na kończenie powieści, a Piotrek jest w Niemczech, i nie rób mi proszę obstrukcji. No dobra, to osiem tysięcy na czternastą.

No i Irek, zgodnie z zapowiedzią. Zmiana planów, miał lecieć do Katynia z Tuskiem, w środę, ostatecznie wymienili się w klubie, polecą w niedzielę z Kaczyńskim. Obrzydlistwo, co wyrabiają z tym Katyniem, a już wplątanie w tę grę Ruskich to po prostu kryminał, to znaczy, Trybunał Stanu raczej. Ciekawe, czy to, że go przesunęli do wrogiego samolotu, to znak niełaski, czy może jakaś wredna misja? Może uznali, że Irek z całej ich ekipy będzie dla pisowców stosunkowo najbardziej strawny, mimo roli, jaką mu powierzono w kastrowaniu IPN, a może on sam uznał, że zawsze się przyda w czułym na patriotyczne imprezy pisowskim elektoracie? Próbowałem podpytać, mruknął coś pogardliwie o "nekroturystyce" i że to naprawdę nie ma znaczenia.

W każdym razie, ustalamy poświęteczny czwartek, już na bank. "Sprawy się ułożyły, mam dla ciebie konkretną propozycję"

A jeszcze do tego Jarek - nagle się ocknął, że umówił mnie do tego swojego przyjaciela diabetologa na jutro, dasz radę? Dam, jakby Ola miała jeszcze zostać w szpitalu, to dziewczynami przyjedzie się zająć teściowa. Nie do końca mi się to uśmiecha, bo jak znowu mnie złapie taka faza jak tej nocy (boję się nawet

228

zajrzeć, co nawypisywałem), to wolałbym, żeby nikt mnie nie widział. Ale może właśnie dzięki temu mnie nie złapie.

co

Tekst o Jaruzelskim wysyłem w półtorej godziny, czasem włącza mi się taki specjalny bieg; i nawet dobry ",)'szedł, ostry, ale merytoryczny, punktujący dokładnie fałszy program. I zaraz zostałem przez Opatrzność nagrodzony: zgrzyt klucza w zamku i jak gdyby nigdy nie wchodzi Oleńka! No miałaś przecież zadzwonić?! A co miałam ci przeszkadzać, wzięłam taksówkę, niespodzianka ...

Całe szczęście, że sobie w ostatniej chwili przypomniałem, żeby nie łapać żony w serdeczny uścisk.

Coś tam się zebrało, powiedzieli na USG, ale na tyle nie dużo, że powinno się wchłonąć samo, nie trzeba interweniować - proszę się nie przemęczać, nie dźwigać, obserwować, za tydzień przyjść na kontrolę.

00

Dziewczyny, mama dzisiaj musi odpoczywać, co robimy?

Same z siebie wymyśliły, że musi być coś, żeby mamie sprawić przyjemność. Mama z książką do swojego pokoju, a my do swoich, i tajemnica, nie wolno zaglądać; tata oczywiście tylko jako pomoc techniczna. Pod kierunkiem Zosi wymalowana została i wyklejona ogromna laurka na arkuszu, który diabli wiedzą kiedy i po co znalazł się w tatowych zasobach. A w centralnej części Zosia wpisała, pod dyktando, ułożony przez Manię wierszyk:

Mamo, mamo, kocham cię Bo bez ciebie żyć nie da się Gdyby cię nie było

Kto by ze mną bawił się Kto by ubierał mnie.

229

Naprawdę jej nie podpowiadałeś? Sama zrymowała? Naprawdę. Poetka - pięć lat. A obrazek, ilu ośmiolatków by tak umiało? Co? Ha!

Wieczorem, dla przypieczętowania rodzinnej ulgi (odpukać, Boże, aby tylko nie przedwcześnie!) wyłączamy telewizor i organizujemy jedną z wychowawczych zabaw, w jakich Oleńka celuje: to teraz każdy powie, co w sobie najbardziej lubi, a czego w sobie najbardziej nie lubi. I co najbardziej lubi u innych, a co go u innych denerwuje ...

Z trudem udało się małym wytłumaczyć, że nie mogą z mamą spać, dopiero jak zobaczyły posiniaczony bok.

Oczy mi się kleją, ale chciałem to zapisać. W dawnych czasach człowiek w mojej sytuacji fundował kościół, albo przynajmniej witraż do już istniejącego. Ja jeszcze nie wiem, ale coś muszę wymyślić.

Jeszcze Smok - olśniło mnie, kiedy opowiadałem Oleńce wrażenia z próby, muszę zapisać. Prawdziwa wersja gorzkiej bajki, jej polska wersja, jeszcze bardziej gorzka, niż rosyjski oryginał. W oryginale Lancelot wróci, i tak jak pokonał smoka, tak wykopie i nikczemnego burmistrza, który wykorzystując przekonanie o śmierci rycerza, ogłosił się prezydentem. Ale Lancelot tylko był ranny, ukrył się w górach, kiedy wydobrzeje, przybędzie ponownie i wymierzy sprawiedliwość.

A u nas Lancelot nie przyjdzie. Bo nie było żadnego Lancelota. Przecież już nie ma na świecie błędnych rycerzy, gotowych tłuc się po bezdrożach i bezinteresownie nadstawiać karku za innych - a ci osiadli na włościach i zamkach dawno się ze smokiem-sąsiadem dogadali, nasze miasto i nasza wolność zawsze im wisiały nacią.

"Unicestwiłem ośmiuset dziewięciu rycerzy, zniszczyłem sześć armii i pięć watah zbuntowanego motłochu ... " Tak, żaden rycerz smokowi nie dał rady, choć byli dzielni, prawi, i walczyli

230

pięknie. Ale "spotkała ich śmierć bez chwały": ich kości użyźniły pola i piwnice katowni, "historia o nich głucho milczy". I kto w końcu gada utłukł? Cham. Cwany szewczyk, wcale nie bardziej od innych odważny, za to zbrojny w inną cnotę, najwyższą cnotę ludzi od pokoleń chowanych w pańszczyźnianej niewoli: w chytrą. Zamiast miecza i tarczy użył podstęp, nakarmił gada owieczką nafaszerowaną siarką, i bydlę tak się opilo wody, aż je rozparło, i zdechło.

I dotąd się bajka plotła pięknie-ładnie, ale kiedy już się smoczysku kałdun rozpękał, to szewczykowi odbiło. Może się zanadto rozsmakował w pochwałach, może zawróciły w głowie bogactwa ze smoczego skarbcza, dość, że zapragnął szewczyk być rycerzem, zapragnął wszystkim wmówić, że on wcale nie byle chłop, ale heros z królewskiej krwi, z cesarzy. Przejęci po smoku pisarczykowie rzucili się preparować historię, jak to rycerz-prezydent dzielnie zadzierał przyłbicę i rąbał gada mieczem, lokaje w nastawionych kołnierzach i ciemnych okularach ruszyli czyścić archiwa, palić teczki, zastraszać świadków, a dworacy ćwiczyć chóry intelektualistów w stadnym oburzeniu na każdego, komu się wyrwało, że pamięta jak naprawdę było, w mieszaniu oszołoma z błotem i wydluczaniu z publicznego dyskursu ... I jakoś tak się okazuje, że smoka nie ma, a apiać po staremu żyjemy w kłamstwie, i po staremu uczciwi są gnębieni, a zaprzędane władzy świnię łupią ich i doją jak chcą, no bo przecież musi szewczyk dbać o tych, na których się oparł.

I tylko notoryczni głupcy wciąż wierzą, że w Czarnych Górach w wielkiej jaskini leży Księga, gdzie się stronica po stronicy zapisują wszystkie ludzkie skargi, wszystkie krzywdy krzywdzonych i wszystkie zbrodnie zbrodniarzy, wszystka najprawdziwsza prawda, której żadna swołocz załgać ani zniszczyć nigdy nie zdoła.

00

Na kolacji, kilkakrotnie przekładanej, bo i my zalatani, i ona - Ela. Miło, że wciąż nie poddaje się presji, mocnej w jej srodo-

wisku i coraz mocniejszej, by "zapomnieć ludzi, a bywać u osób": ale rozmowa w swej istotnej części znowu depresyjna, że tylko w łeb sobie strzelić. Ela jest Amerykanką, Polką półkrewi (Afropolką, podśmiewamy się z politpoprawnego żargonu) w kolorze mlecznej czekolady, ale po mamie z pokolenia emigracji jeszcze wojennej poczuwa się wobec starego kraju do zobowiązań - stąd pracowała parę lat przy stawianiu polskich projektów wielkiej, międzynarodowej firmy informatycznej.

Pracowała, bo właśnie odpuściła i jedzie z jakimś pomocowym programem do Afganistanu (pogratulować odwagi). Mówi zupełnie otwarcie, że nie czuje się na siłach walczyć z mafią, zwłaszcza w kraju, gdzie mafia cieszy się zupełnie nie skrywanym poparciem rządu i wszystkich służb państwowych. Ale też, co otwarcie powiedziała swoim szefom, nie zamierza żyrować nazwiskiem rozkradania pieniędzy polskich i zachodnich podatników, bo do tego się w sumie wszystko sprowadza, że światowej renomy koncern obrósł tu spółkami, które umiejętnie, nawet bez naruszania miejscowego prawa, trochę je czasem najwyżej naciągając, dystrybuują kasę z międzynarodowych inwestycji i publicznych zamówień między swoich. Spółki reprezentowane są przez ludzi, którzy nawet nie próbują ukrywać, że nie ma na nich mocnych, bo to wszystko synowie albo zięciowie byłych i obecnych szczytów wywiadu, kontrwywiadu i nomenklatury.

Sporo sobie wynotowałem, ale Ela słusznie mówi, że najwyżej chyba do powieści, bo tego i tak żadna licząca się na rynku gazeta nie odważy się ruszyć, zresztą nie da rady, gdyby nawet się odważyła, oni się na dojeniu znają odpokoleń i nawet ustawy w odpowiednim czasie podyktowali takie, jakich potrzebowali. A z kolei napomknąć tylko o sprawie, jeśli nie stanie za tobą duży medialny koncern, to zgnoją - w najlepszym wypadku procesami, prawników mają wszystkich na posyłki, tu się przecież żaden Darrow nie trafi, obcinają takich od razu na aplikacji.

A Amerykanie i tak na mniej pozwalają, niż na przykład Niemcy i Francuzi, w ogóle "państwa starej Unii": Ci, mówią

ludzie od biznesu, w naszej korupcji czują się jak ryba w wodzie; niezwalczona plotka, której nie umiem mimo prób zweryfikować, mówi nawet, że Niemcy z teutońską akuracją odpisują u siebie od podatku wręczane naszym urzędnikom łapówki. Ech, żebyśmy tak kiedyś mogli znać te deklaracje podatkowe my, nie tylko oni. ..

Zastanawiałem się po wyjściu Eli, nic z tego zastanowienia

nie wynikało, poza przypomnieniem podsłuchanych rozmów taty o różnych przekrętach w kombinacji czy na budowach, o których wiedział, a nic na nie poradzić nie mógł - nie jakieś tam proste robolskie wynoszenie cegły czy papy, ale dojenie zorganizowane, na skalę owych czasów wielkie, które zresztą, czasem myślę, czy nie należy na to spojrzeć tak w duchu Dziańskiego, może bardziej się przyczyniło do upadku komunizmu niż strajki i "Solidarność" (co by też tłumaczyło, dlaczego ta wolna Polska zamiast szklanych domów przyniosła wielki szaber). W każdym razie tato ustawił sobie kryterium uczciwości podobnie jak Ela. Nie walczył - zresztą moralny zgryz, złodzieje niby złodziejami, ale władza, którą okradali, sowiecka i okupacyjna, donosić takiej na rodaków mowy nie ma - ale też sam nigdy nie brał i

jak szukali kogoś, kto oczy przymknie albo podpisze, mówił jasno: znajdźcie innego. Oczywiście mieli go za skończonego frajera, tak jak w tej szkole oficerskiej.

Do pełnej rozpaczki dobija jeszcze to, że Ela, jak to ma we zwyczaju, przyniosła słoik cytryn w cukrze, znakomitych, według przepisu mamy. A ja nie mogę i już nigdy w życiu nie będę mógł.

00

Do doktora trzeba się było tłuc na drugi koniec miasta, przychodnia przy szpitalu kolejowym - nędza z bidą, ale facet rzeczywiście robi dobre wrażenie. Siwy, szczupły, z zadbaną bródką, nienagannie budujący zdania, można by go sfotografować do słownika jako ilustrację hasła "profesor" (za wygląd, bo nie jest

233

profesorem, tylko lekarzem "z drugim stopniem specjalizacji"). Typ mężczyzny, jakiego można jeszcze czasem spotkać w Tatrach, tak od Kalatówek w górę. Spóźnił się solidnie, ale jak już przyszedł, obejrzał wszystkie wyniki bardzo uważnie i długo wypisywał sobie z mojego glukometrowego dzienniczka kolejne pomiary. Zresztą bardziej niż poziom cukru zainteresowała go dokumentacja, ile schudłem.

- Dużo pan dla siebie zrobił - podsumował. - Bardzo dużo. To dobrze rokuje.

- Ale nic mi lekarze nie mówili, że mam tak zrobić - bo wcale nie ukrywałem przed nim, że go traktuję jak ostatnią instancję. Odpowiedział, że raczej dominuje wśród lekarzy przekonanie, że nie ma co pacjenta naciskać, przeważnie i tak się będzie objadać, nie potrafi się powstrzymać, więc tylko mu się funduje dodatkowy stres. Ale jak pan potrafił, to dobrze. I nic pan nie brał, z tego, co panu zapisała? Nic?

Wzbudziłem jego zainteresowanie.

- No, wie pan, w całej praktyce, a to już prawie trzydzieści lat, drugi raz widzę pacjenta, który się sam wyrównał, tylko dietą i ćwiczeniami.

- A ten pierwszy?

- A, to był, proszę pana, gangster, autentyczny gangster,

z Wołomina. Tu siedział, gdzie pan teraz; wielki chłop jak szafa, sto trzydzieści kilo, miał cukier ponad czterysta, podpisał mi, że odmawia hospitalizacji, i rzeczywiście, zawzięty się okazał tak jak i pan ...

- I jak się teraz czuje?

- Już nie żyje - przyznał doktor, i poprawiając okulary

wyjaśnił szybko - ale to nie miało nic wspólnego z cukrzycą. Pan się śmieje ...



- Śmieję się, bo mi to przypomniało, jak byłem u dentystki, jakiś rok temu. Pani dentystka nie mogła zrozumieć, że nie chcę znieczulenia. Jak to, borować ząb bez znieczulenia? Tak, nie ma potrzeby, chyba że pani się zamierza dobrać do kanału,

234

ale tak, to po co się mam zatruwać; a poza tym, w ogóle, wstyd dla dorosłego chłopca. "Na takie bóle to umierają srule" - jak to mawiał tato, ale tego jej nie cytowałem, powiedziałem tylko, moje pokolenie to jeszcze pamięta wolnoobrotowe wiertła z gabinetu szkolnego, takie napędzane pedałem, i tym tutaj mnie pani nie nastraszy. Prawda była taka, że szedłem tego dnia na imprezę i nie chciałem, żeby mnie ściągali z żyrandola, bo diabli wiedzą, jak się takie znieczulenie skrzyżuje z alkoholem. Ale gdybym wiedział, że dentystka spoci się z przerażenia, i przy każdym moim oddechu będzie podskakiwała -- o Boże, zabolalo? Boli pana?! - to bym może z tej imprezy zrezygnował, bo żal było na nią patrzeć. Mniejsza, przypomniało mi się dlatego, że po wszystkim powiedziała wtedy, że drugi raz ma takiego pacjenta, który się nie pozwolił znieczulić. A ten pierwszy? A to był taki śledczy z CBS, wielki taki, że się ledwie na fotelu mieścił ...

- Tak że się zastanawiam, panie doktorze, czy ja się przy-  
padkiem nie minąłem z powołaniem.

No tak, pośmieliśmy się, wyjaśnił mi parę wątpliwości, udzielił paru szczegółowych wskazówek co do diety. W końcu:

- Wie pan, pana mi polecił Jarek, ja mam do niego zaufanie, do pana też mam, więc jak pan powie, tak zrobię. Ale proszę tak szczerze: muszę brać te piguły?

- Niech pan bierze. Cukrzyca się sama nie cofnie. Nie w pana wieku, nie po takich wynikach. Nie ma sensu ryzykować.

No dobra. Nic nie powiedziałem.

- Ja zawsze pacjentom doradzam, żeby zwiedzali zabytkowe cmentarze. Niech pan sobie kiedyś zajrzy, poszuka takich grobów sprzed pół wieku. Mężczyzn. Czterdzieści pięć lat, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć ... Chodził chłop, chodził, i nagle padał, jak nie na zawał, to na wylew. Nielezione nadciśnienie, blaszka miażdżycowa, zakrzep ... Nie ma się co bać leków, one są naprawdę potrzebne. Dużo pan zrobił, i to zaprocentuje, ale więcej już się nie da.

23~

- Nawet jak zrzucę jeszcze piętnaście kilo? Mam z czego.

- Nawet. Nie ma co szaleć i niepotrzebnie ryzykować.

Pochylił się nad papierami i wypisując receptę, rzucił pocieszającym tonem:

- Ale możemy te dawki znacznie zmniejszyć, przy takich wynikach jak teraz.

No i na tym stanęło. W zasadzie - kapitulacja, ale honorowa.

Oddaję twierdzą, ale wychodzę z bronią i sztandarami, jeszcze odbierając salut. Ostatecznie dał mi połowę dawki, od której pierwsza pani doktor chciała zaczynać, a leku na cholesterol nawet jedną czwartą. Więc coś tam swoim uporem zwojowałem.

Kolejne skierowania, recepty na paski do glukometru i piguły' proszę przyjść z wynikami badań za dwa-trzy miesiące, jeśli się nic niepokojącego nie będzie działo. A może się coś dziać? Nie, niech pan trzyma tego montignaca, jak panu tak dobrze służy, i będzie spokojny. To trochę upierdliwa choroba, ale jak się ją szanuje, to można z nią, ho, ho ...

Obiecałem, że nie tylko będę szanował, ale nawet postaram się polubić - no bo wie pan, powtórzyłem, młoda żona, małe dzieci, jest dla kogo się starać o jeszcze czterdzieści lat w maksymalnej kondycji.

No i tak; obwiązać wszystko wstążką i schować do pudełka.

Ile mogłem zrobić, tyle zrobiłem, mam nadzieję, że wystarczy, bo więcej już nie dam rady.

00

Miałem nie chodzić w tym roku na żadne redakcyjne "jajeczka", żeby sobie oszczędzić pokus - ale jakoś podbudował mnie pan doktor na tyle, że postanowiłem zaryzykować. Kawalek śledzia, jajko na twardo, mikroskopijna kromka, jeśli razowiec, tyle ujdzie. A zresztą, trzeba się nauczyć z tym żyć, przecież nie będę wiecznie się chował, żeby czegoś nie podeźreć, w moim zawodzie to nie do pomyślenia.

Wytrzymałem nadspodziewanie łatwo.

236

Ciekawa rozmowa: Ricardowski opowiada, jak zrobił do "Życia" wywiad z głośnym na salonach literatem. Taki tam wywiadzik o warszawskich knajpach, bohemie sześćdziesiątych, nic specjalnego, ale Ricardo odkąd wyleciał z roboty w miejskim domu kultury, bo Platforma potrzebowała synekur dla swoich, ma kiepsko z kasą. Rzecz w tym, że zawiesił na jutubie piosenkę o platformie, nie jakieś tam krwawe bluzgi, tylko takie dość pocziwe żarty z miłości Tuska do narodu, i stał się trędowaty. Normalnie w estradowym światku zawsze znajdziesz jakąś chałturę, zwłaszcza jeśli w nim jesteś od dawna, przecież, jak wszędzie, wszyscy wszystkich znają. Ale po tej piosence starzy kumple z innych domów kultury nagle wszyscy okazali się nieuchwytni, najbardziej odważni zdobyli się na szczerze wyjaśnienia: stary, ja cię lubię, ale ja nie chcę mieć nic wspólnego z polityką. Sam tego chciałeś, wiesz, jak jest ...

Pewnie, że wie jak jest, ja też wiem, tak zwana kultura wisi całkowicie na łasce samorządu, a samorząd jest przecież partyjny. Nie trzeba wcale rozbudowanej egzekutywy, jaka istniała w peerelu; wystarczy wieloletnie przyzwyczajenie - lepiej się nie wychylać, nie podkładać i nie narażać. "Jak komu ciepło i miska pełna, to najlepiej spać". Ricardowski, jak na mężczyznę przystało, nie za wiele o tym mówi, zresztą nic mi przecież nie powie, czego bym nie wiedział, tylko stara się przeszkody ominąć - stąd pomysł wywiadów dla stołecznej gazety z różnymi celebrytami o warszawskich tradycjach birbanckich. Zna sławnego literata z

dawnych czasów, więc zadzwonił, literat chętnie poopowiadał o czasach, kiedy jeszcze mógł, zautoryzował, i poszło.

A potem nagle zadzwonił, że nie pozwala. Ale dlaczego, o co chodzi - nie możesz teraz "wycofać zgody", autoryzowałeś i tekst już jest w druku. I wtedy sławny literat łamie konwencję i zaczyna prosić. Błagać. On był za granicą, on nie wiedział, że teraz "Życie" stało się dodatkiem do "Rzeczy", on nie może przecież pozwolić, żeby jego nazwisko się tam znalazło, stary, nie

237

rób mi tego, co sobie o mnie pomyślą w towarzystwie, jak - i tu clou sprawy - jak ja się Adamowi wytłumaczę?!

Ricardo po takim tekście zmiękł i poprosił redakcję, żeby uznała tekst za niebyły. Obaj się smutno pośmialiśmy, ale ja już drugi dzień myślę i nie mogę pojąć. Na litość, facet nie jest byle tam bubkiem, debiutantem, dla którego recenzja to być albo nie być. Ma pozycję, zresztą odniósł autentyczny sukces na Zachodzie i jako taki może pluć z piątego piętra na ewentualne najgorsze nawet recenzje w "Wyborczej" czy jej towarzyskie bojkoty.

Ale na myśl, że Adam zmarszczyłby brwi, uznanej sławie dosłownie trzęsą się gacie. I żeby jemu jednemu ... "Senator wypadł z łaski, z łaski, z łaski!".

To jest coś, czego organicznie nie potrafię pojąć, i nigdy nie pojmem: ten wpływ, jaki Adam Michnik wywiera na rzesze polityków i intelektualistów. Dziś jest już tylko formalnym, właściwie fikcyjnym naczelnym gazety, którą od dawna robią inni, z której nie był nawet w stanie wylać autora biografii Kapuścińskiego, może się tylko żalić na niego bezsilnie przy różnych okazjach. A mimo to nadal kupie ważnych, ustawionych ludzi bardziej niż na czymkolwiek w życiu zależy na jego uśmiechu i pochwałach, umieszczeniu w orszaku, i wciąż boją się zmarszczenia brwi. ...

Rozumiem mistrza Wajdę i innych, liczących, że Michnik osłoni (chyba osłoni) ich przed dociekliwością biografów - choć przykład Kapuścińskiego dowiódł, że to już złudne nadzieje, że i na to jest za cienki. Ale przecież niemożliwe, żeby wszyscy mieli w życiorysie jakieś haki. Rozumiem ludzi, którzy sami z siebie znaczą niewiele albo nic, i tylko łaska Michnika czyni z nich celebrytów intelektu. Ale pozostali? Wydaje się, że oddaleni od jego dworu po prostu uschlipy jak Owidiusz na wygnaniu. W każdym razie boją się tego panicznie.

No dobrze, michnikowszczyzna zbudowała cały przemysł kreowania "autorytetów", dystrybuowania szacunku i reglamentowania sukcesu w zawodach artystycznych czy naukowych;

238

bez ich stempla wciąż nie ma co liczyć na nagrody i zaszczyty. No i co? Zaszczyty rzecz ulotna. Jak byłem mały, bawiłem się znalezionym w szufladzie ze szpargałami odznaczeniem taty - nie wiedziałem wtedy, że to się nazywa Krzyż Walecznych, ale mgliście zdawałem sobie sprawę, że taki medal dają za męstwo na wojnie, i wyobrażałem sobie, że tacie musi na nim bardzo zależeć. Więc kiedy niechcący urwałem ogniwo, na którym się to-to wieszało, i jeszcze obłupał się kawałek emalii, mało nie umarłem ze strachu. A tato tylko się uśmieł,

widząc, jak to przeżywam, i powiedział, że chyba zgłupiałem, tak ryczeć o głupi kawałek blaszki.

Wiele lat potem zgadało się, że dostał ten krzyż za Kołobrzeg.

Cały jego pułk potraktowano w nagrodę szacownym tytułem "kołobrzieskiego": A inny pułk, z innej dywizji, który zdobył - bez szczególnie zaciętych walk - jakąś miścinę, kawał drogi stamtąd, po niemiecku nazywaną Kalkberg, też został "pułkiem kołobrzieskim" i też dostał do rozdyskretuowania między żołnierzy te krzyże, bo się pomyliło komuś w ruskim dowództwie - Kolberg, Kalkberg, w końcu brzmi podobnie. I potem przez wiele lat mój tato, który naprawdę zdobywał Kołobrzeg i mało nie skręcił tam karku, i ludzie, którzy tego Kołobrzegu na oczy nawet nie widzieli, chyba że na czasach z FWP, mogli się chlubić dokładnie takimi samymi szacownymi za jedyną samodzielną bitwę I Armii Ludowego Wojska Polskiego.

To tatę nauczyło dystansu do nagród. No dobra, nie wszyscy ten dystans mają. Niektórym potwornie zależy na błyskotkach, to pozwala zrozumieć wiele upadków. Tylko że do opisanego powyżej to nie pasuje.

Czarus napisał kiedyś otwartym tekstem, że prawicowcem został, bo jak po Okrągłym Stole wrócił z emigracji, to na spotkaniu z grupą działaczy uświadomił sobie, że Michnik nimi wszystkimi cynicznie manipuluje. Oczywiście, dobrze o Czarusiu świadczy, że to wtedy zauważył - Michnik potrafił nie takimi wielkościami kręcić niepostrzeżenie jak pętaami - ale

239

pamiętam, że jak tylko to wtedy przeczytałem, od razu sobie pomyślałem, oj nie, coś z tym facetem nie tak, będziemy mieli z nim wstyd. I fakt. A ostatnio czytałem książkę starego komucha, który w stanie wojennym robił najbardziej wredne propagandowe kawałki w "Dzienniku Telewizyjnym", a za III RP w "Nie" u Urbana - i też, czytam wyznanie, że on komuchem został właściwie na złość michnikowszczyźnie, bo go odrzucili i do dziś nie rozumie, dlaczego, przecież w Marcu był po ich stronie, protestował przeciwko relegowaniu Michnika i nawet został za to spalowany przez ORM (ja bym zgadywał, że zatrzęsnięto mu drzwi salonu za złe, chamskie pochodzenie, ale co mi właściwie do tego). A oni go potem tak brzydko potraktowali, więc żeby się na nich odegrać poszedł na służbę do Wrony.

Jezu przedwojenny ... Jak trzeba mieć beznadziejnie niską samoocenę, jak bardzo być zewnątrzsterownym, żeby w tak trywialny sposób dokonywać w życiu wyborów, i potem jeszcze bez cienia wstydu się przyznawać? Na czym polega uwodzicielska moc tego człowieka, że profesorowie i wielcy artyści rozmaślają się przed nim jakgrouPies przed gwiazdorem, drżą w oczekiwaniu akceptacji, a politycy podlizują się, jak Kwach, który - to nie plotka, zbyt wiele źródeł potwierdza - nawet jako prezydent przylatywał do niego do domu z flaszką, jak uczeń do mistrza, po wytyczne i wskazówki? No dobrze, Kwach może tylko grał głupa, żeby mieć protekcję w jakichś francuskich łóżach, to jeszcze od biedy da się wyjaśnić racjonalnie, choć spiskowo. Ale pisarz, który przecież już wdrapał się na szczyt, a swoje lata ma, i nie musi zabiegać o pchanie wyżej, bo wyżej i tak już nic dla niego nie ma - ?!

Choć łbem w ścianę tłucz - nic, za cholerę nie pojmuję. Skąd się bierze u tak zwanych intelektualistów ta dojmująca potrzeba całkowitego poddania Nauczycielowi i Mistrzowi,

rozpłynięcia w autorytecie, uzyskania odeń certyfikatu, że się jest Kimś - i dlaczego proste, chamskie natury, jak moja na ten przykład, są od niej zupełnie wolne?

240

00

Zgadało się też o przygotowywanych w Gdańsku obchodach trzydziestolecia strajku. Szykuje się niezły propagandowy cyrk, z którego, dokładnie tak, jak się spodziewałem, wynikać ma, że cały Sierpień był triumfem woli Wałęsy. Który dziś, wszem i wobec, namaszcza jedynie słusznego następcę. Ktoś śmie jakkolwiek naruszać tę sakrę, jest tylko - by użyć niezrównanej frazy i konstrukcji logicznej redaktora Liza - "swołoczą opluwającą wielkiego Polaka" której trzeba zatkać plugawą paszczę właśnie w imię wolności słowa, bo dopuszczanie do głosu osobników dyskredytujących mit, ideologiczną podstawę władzy, byłoby obiektywnie dla demokracji szkodliwe. Ktoś by pomyślał, że go złośliwie parodiuję, a ja najrzetelniej jak to możliwe streszczam wypowiedź, w której Liz wyjaśniał, dlaczego do swego najbardziej przez Polaków oglądanego programu z zasady zaprasza tylko jedną, słuszną stronę: Jaruzelskiego, Wałęsę, Michnika, i ich gorliwych chwalców.

Wałęsa, jak wynika z całej tej nagonki na Zyzaka, a wcześniej Cenckiewicza i Gontarczyka, od urodzenia myślał tylko o tym, jak upodmiotowić zniewolone społeczeństwo i wprowadzić je do Europy. Wałęsa nie mógł za młodu łobuzować, szczać księdzu do chrzcielnicy, pić wódki ani zrobić dziecka starszej od siebie kobiecie, bo to nie pasuje do pomnika, którego Polacy potrzebują. Iście komunistyczny absurd tej nagonki tkwi w tym, że nikt - no, poza skrajnymi już ciołkami - nie próbuje zaprzeczać faktom, o których historycy pisali, bo wszyscy wiedzą, że są to fakty prawdziwe, niepodważalne. Ale, huczą wszystkie propagandowe trąby i działa, te fakty nie powinny być eksponowane, bo nie są ważne. Ważne są te, które budują pozytywny mit III RP, "największego historycznego sukcesu w dziejach Polaków"

O ile w treści nagonka stara, to jej forma - i to rzecz warta przyszpilenia do papieru - już nowa, postmodernistyczna. Władcy PRL swe metody bali się ujawniać, ukrywali. Elity III RP zupełnie otwarcie, na łamach, formułują tezę, iż społeczeństwo

241

jest za głupie, żeby znieść prawdę, i że ludzie światli po prostu muszą je okłamywać dla jego własnego dobra. Nikt się nie obawia, że społeczeństwo przeczytawszy to w gazetach, poczuje się dotknięte, obrażone, albo że uprzedzone w ten sposób straci do swych elit zaufanie (zresztą nie ma czego tracić) i przestanie się dać okłamywać. Macherzy zachowują się jak lekarze omawiający lobotomię w obecności wariata, w pełnym przekonaniu, że on i tak nie rozumie, o czym mówią, a zresztą jeśli nawet, to CO zrobi? - przecież jest w kaftanie. Najtrudniej mi znieść myśl, że - wszystko to potwierdza - oni mają rację. Ten układ władzy, dojenia i manipulowania nastrojami pracuje na wielkich liczbach. W prawie czterdziestomilionowym kraju sprzedaje się dziennie trochę ponad milion egzemplarzy gazet, ale ta liczba myli, bo większość kupujących bierze parę tytułów, rzeczywisty krąg odbiorców słowa pisanego jest znacznie mniejszy. Więc na nasze niebłagonadiożne pisanie w paru gazetkach Ferajna może machnąć ręką. Co innego telewizja. Co było nowego w filmie Towarzysz generał, czego dotąd by nie wiedziano? Nic. Ale był sugestywny obraz, trafiający za jednym zamachem do paru milicjonów odbiorców. I dlatego tu już reakcja była ostra,

wściekła, z natychmiastowym wyrzucaniem ludzi z pracy. Przekaz mediów elektronicznych musi być spójny, inaczej nici z masowej tresury.

Zresztą, w USA policzyli, że i telewizja, kiedy mówi o polityce, dociera tylko do półtora procenta - reszta usłyszawszy trzy słowa na poważny temat, natychmiast strzela pilotami. Dlatego kampanie wyborcze przeniosły się do talk-shows i wieczornych programów komediowych, najważniejsze dla kandydata jest wyprosić umieszczenie go w teledysku albo kreskówce. A władza wróciła tam, gdzie zwykle w dziejach było jej ulubione miejsce - w zacisze gabinetów i kularów, starannie skrytych przed wzrokiem motłochu.

Kopiujemy tylko upadek i rozkład świata, który straciliśmy z oczu w 1939, i dlatego przez pół wieku wyobrażaliśmy sobie,

242

i jeszcze nawet teraz wciąż chcemy wierzyć, że to świat wolności, dobrobytu i rozwoju.

Myślę, że jednak napiszę ten tekst o Sierpniu.

00

Wielki Piątek. Nie odnotowałem, czy Urban, jak co roku, urządza tradycyjne wielkopiątkowe obżeranie się przed kamerami kielbasą; może już staremu knurowi zdrowie nie pozwala na takie dietetyczne szaleństwa. Ale są inni, którzy równie dzielnie stawiają czoła katolickiej opresji w "tym kraju": "Krytyka Polityczna" zaprasza do swojego najbardziej trendowego klubu w stolicy na "wielkopiątkową dyskotekę": ze święceniem jaj, leżeniem krzyżem i innymi atrakcjami; cóż za lekkość dowcipu. Ale politkrytyka przynajmniej, tak jak i Urban, nigdy nie udawała, że nie jest antykatolicka.

A „Wyborcza”, zawsze pełna świętoszkowatej retoryki "katolicyzm tak, byle tylko posoborowy": z coniedzielną rubryką religijną i własnym narcybiskupem, wali na pierwszej stronie artykuł-reportaż pod tytułem Ukredytowany. Chodzi o jakiegoś, świeć Panie nad jego biedną duszą, idiotę, który się był bezmyślnie nabrał pożyczek, nakupował za nie rozmaitych dóbr luksusowych, potem nabrał następnych pożyczek, żeby spłacać te pierwsze, a w końcu, jak już się zadłużył wyżej uszu, napisał do gazety list, który zapewne miał być wstrząsający, i beztrósco popełnił samobójstwo, zostawiając spłacanie długów żonie. Na zdrowy rozum, ktoś, który nie potrafił się oprzeć hasłu reklamowemu banku, powinien już dawno wyskoczyć z okna, w przekonaniu, że mu po red bullu wyrosną skrzydła. A tu ci z zadęciem godnym mądrzejszej sprawy wmawiają, że coś podobnego może się przydarzyć każdemu, tak, każdy może paść ofiarą chciwych kapitalistów, zostać przez nich skuszony kłamliwymi reklamami i "ukredytowany" na śmierć.

W istocie, historia jak z książeczek o "nagrodzie Darwina":

Facet targnął się na życie, w przekonaniu, że heroicznie ratuje

243

przed spłacaniem swych kredytów żonę - a więc nawet nie pofatygował się sprawdzić, że wedle polskiego prawa długi się dziedziczy. Jeśli cała ta historia nie jest w ogóle wyssana z

palca, bo trudno doprawdy uwierzyć w jej prawdziwość, to jaki w ogóle miał być sens publikacji? Natrząsanie się z człowieka, nad którego trumną przyzwoicie byłoby raczej zachować milczenie?

No dobrze, przyjmijmy, że w czasach, gdy wyemancypowane matki wychowują mężczyzn kompletnie wymóddzonych i nieodpowiedzialnych, zanik elementarnych przymiotów dorosłego mężczyzny zaszedł już tak daleko, że publikowanie podobnych historii ma jakiś wychowawczy sens. Niech będzie. Ale ten tytuł? W Wielki Piątek? Każdego innego dnia można by tego „ukredytowanego” uznać po prostu za żenujący, niesmaczny wyskok, ale akurat wczoraj trudno doprawdy uwierzyć w przypadek.

Co to, do diabła, miało niby być? Taki „efekt dramatyczny”: że „ukredytowały” wstrętne banki niewinnego baranka? Ale skojarzenie Chrystusa z barankiem dotyczyło jego niewinności, a nie głupoty! Ukrzyżowany nie trafił przed oblicze Piłata z powodu własnej nieodpowiedzialności. Co to za wycieranie sobie gęby świętym imieniem?

Zastanawiam się, czy napisać o tym felieton jeszcze do sobotniego onlajnu, czy może zostawić na po świętach. Opuścić raczej nie można, nawet jeśli to nie prowokacja, tylko zwykła głupota. Żalozne banalizowanie Chrystusa jest od pewnego czasu coraz bardziej modne. Koterski po Dniu świra, całkiem udanym portrecie typowego czytelnika „Wyborczej”: regularnie „gwałcącego się” w swoją jedyną gazetę, nakręcił teraz ponurego knota o alkoholizmie, tytułując go Wszyscy jesteście Chrystusami - aktor biegnie w koronie cierniowej i z krzyżem, a obrzygany pijacki żywot tremensa przyrównywany jest z emfazą do Golgoty; kompletne skretynienie, bo przecież nawet jeśli zredukować Syna Bożego tylko do znaku kulturowego, to jest to znak niewinnej ofiary i poświęcenia za innych, a nie fatalnego w skutkach braku silnej woli. Może reporterka „Wyborczej” też uznała, że

244

imię Ukrzyżowanego to jak napis na dropsach, można robić sobie kalamburki na każdą okazję? Ale to chyba nie reporterka podjęła decyzję, żeby taki kalamburek wałnąć jako okładkowy tekst akurat w Wielki Piątek?

Pointa do felietonu, albo może nawet powtarzane refrenowo pytanie: czy kolegium redakcyjne pozazdrościło Urbanowi i jego młodym uczniom, czy ma zamiast mózgów cement i tłuczone szkło?

00

Jeszcze zapiszę rozmowę z Wojtkiem na redakcyjnym śledziku; chodził za tematem, urobił się, a jak już prawie zrobił, to właśnie opuścił. Szło o prosty, a niezwykle skuteczny przekręt, na grube miliony, według mechanizmu ~ on wie, i ja wiem, wszyscy wiemy, a napisać tego nie można, bo prawnicy zgnoją - niezwykle popularnego. Trzeba było tylko w porę się kapnąć, jak sejm w ramach implementowania prawa europejskiego przegłosowywał po kilka tysięcy stron różnych „dostosowawczych” ustaw dziennie, i podłożyć odpowiednie tłumaczenie eurodyrektyw. Przecież jasna sprawa, że nikt nawet nie próbował tego czytać, a szło przeważnie o szczegóły.

Potem, jak się nawet okazało, że na nowej ustawie jakaś cwana sitwa tłucze miliony, i nawet ktoś się dał namówić, żeby oczywisty „błąd” naprawić, to wychodziło na to, że formalnie

rzecz biorąc, nic już nie można. Nawet jeśli w dyrektywie unia napisała "czarne", a u nas przetłumaczono "białe", to "białe" jest teraz obowiązującym, "dostosowanym" prawem, i już, nie przewidziano żadnej procedury poprawienia "błędu". Dopiero po licznych sygnałach zaczęto pisać ustawę, która to umożliwi, kiedyś tam - prawdopodobnie dopiero jak na rząd tupnie Komisja Europejska.

Wojtek chodził za konkretnymi przypadkami, no i już miał jeden udokumentowany procesowo, ale, mówi, tłumacz, który skasował za podłożenie w odpowiednim punkcie odpowied-

245

niego terminu, dającego praktyczny monopol w niszowej, ale dochodowej branży, błagał go na kolanach, żeby nie pisał, a co najmniej wycofał, co mu wcześniej powiedział, że w ogóle z nim rozmawiał - bo mafia grozi, że mu spalą tę chałupę, którą sobie dzięki nim postawił, albo nawet zabiją dziecko i żonę. I mogą to faktycznie zrobić, chodzi o zbyt grubą kasę, żeby mieli się cofnąć przed 'czymkolwiek.

No i Wojtek odpuścił; chociaż gotowy tekst właściwie się rozsypał - bo co może zrobić? Im nikt tutaj niczego nie może zrobić.

00

Oleńka była na badaniu, wszystko się dobrze goi - płyn się wchłania, krwiak rozchodzi, choć wygląda jeszcze bardziej upiornie, niż na świeżo. PZU oczywiście odmówiło naprawy uszkodzenia, choć w sumie do wymiany jest tylko słupek i dwie pary drzwi, ale samochód ponad osiem lat. Za to jeśli sprzedamy wskazanej przez nich firmie, wypłacają dziesięć procent wartości transakcji. Nie rozumiem tego interesu, pewnie i w tym tkwi jakiś szwindel, ale akurat się składa, że właśnie nam na rękę nie naprawiać, tylko rozejrzeć się za czymś nowym, bezpieczniejszym.

Święta, siedzimy u teściów. Dziwnie jakoś - dietetyczne święta ... Trochę wędliny, jajko na twardo, śledź, parę sucharów z pełnoziarnistego chleba. Szczypta szaleństwa - odrobina masła, i już ostrożne kapanie krwią na glukometr. I tak już teraz będzie? Tak. Więc nie ma co kombinować. Dobra wiadomość jest taka, że trochę wina, a nawet setka wódki, byle nie na pusty żołądek, nie zaszkodzi, zapewnił doktor, więc skorzystałem, żeby uczcić, że udało mi się "wyrównać": Ofensywa osiągnęła założone cele, teraz przechodzimy do walk pozycyjnych. Czerwone wino po tak długiej przerwie smakuje przyjemnie, i nawet jeden kieliszek daje miły szmerek, ale nie mam wrażenia, żebym był z tej strony narażony na jakąś poważniejszą pokusę.

246

Oleńka zafundowała mi niespodziankę - świąteczne ciasto, zupełnie bez cukru i bez mąki, a pyszne. Tylko odtłuszczone serki, galaretka i odrobina magii, dla glukometru w ogóle nieważkie. Długie chodzenie po lesie, wieczór przy kominku, Zosia zaprezentowała najnowszy taniec, Mania zaimprovizowała bajkę o królu Stanisławie, który się zamieniał w konia, i królowej Hani, wspólne rysowanie ... Telefony powyłączone, komputer też zaraz wkładam do pokrowca. Cudowne, świątecznelenstwo.



Jacek się trzyma, i lekarze znowu mówią, że powinien dojść do siebie. Teść strasznie słaby. Podrzemuje co chwila, nawet mu się za bardzo nie chce rozmawiać. W końcu się zdecydował, że kupują do domu tę maszynę z tlenem, widać, jak go ta kapitulacja boli, ale to powinno rozwiązać problem. Wiosna idzie, jak to tato mówił, "kiedy starzec przeżył marzec - będzie zdrow". Oczywiście przy teściu tak nie powiem, podchodzi do swojego stanu z godną zazdrości. pogodą ducha, ale po co go jeszcze dołować "starcem".

Odpoczywam, i od razu wzbiera jakaś irracjonalna nadzieja, że jak się ten rok zaczął, tak się zaczął, ale teraz już będzie z górki.

00

W telewizji, jak to w święta, upłynnianie zapasów. A człowiek rozleniwiony, to patrzy. Ale niekiedy warto; Wojna światów, Bóg wie, ile lat temu oglądałem to po raz ostatni - przeraźliwie aktualny, aż dreszcze ... Dziwne, bo reżyser potem poszedł na psy kompletnie, skończył żalosnym bzdetem spod sztancy ("liberalny inteligent kosmopolita pryncypialnie miota gromy na zacofanych rodaków"); na dodatek bez cienia finezji wciągnął w idiosynkrazje tutejszego salonu biednego larryego, któremu przecież zupełnie o co innego chodziło, Polska pojawiła się w Ubu Królem na tej samej zasadzie, co Kazachstan w Baracie (swoją drogą, namacalny dowód naszego międzynarodowego awansu: dwadzieścia lat temu Borat jak nic byłby Polakiem).

247

I jeszcze gorzej - za stanu wojennego Szulkin uchodził, właśnie dzięki Wojnie światów, za artystę zbuntowanego i "anty", a teraz, żeby zdobyć kasę na tego beznadziejnego Króla Ubu, zapisał się do komitetu wyborczego Kwaśniewskiego, czy coś w tym stylu.

Ale sam gdzieś pisałem, że w tym się właśnie, między innymi, wyraża zeszklerozienie oficjalnego życia artystycznego pod kontrolą michnikowszczyzny, że wszystkie role rozdano na sztywno, dożywotnio. Jeśli ktoś raz został ogłoszony mistrzem, to zauważyć, że dołuje, znaczy naruszyć tabu, godzić w ustrój i sojusze. Marny Piesek przydrożny otrąbiany jest arcydziełem, bo jak Miłosz, nasz noblista, no to musi być arcydzieło; byle głupawe Lapidarium ileś tam czy Tatarak opiewane jest na najwyższym diapazonie, więc Cesarza czy Wesela właściwie już nie można pochwalić bardziej, nie starcza skali - wychodzi, że to arcydzieła tej samej rangi. W gruncie rzeczy sami w ten sposób niszczą własne autorytety. A jeszcze bardziej, zużywając je na potrzeby propagandowego przytłaczania ludzi jednością ideowo -polityczną wszystkich "wykształconych i na poziomie": Używanie wybitnego artysty czy naukowca do medialnego duraczenia to jak używanie statuetki do wbijania gwoździ: gwóźdź wchodzi marnie, a narzędzie się szybko zużywa. Więc, z typową dla intelektualistów nieumiejętnością kojarzenia skutku z przyczyną, wyskakują zaraz z jeremiadami o upadku autorytetów i kryzysie inteligencji, jednocześnie wypatrując, gdzie by tu jeszcze podjudzić jakiegoś stojącego nad grobem zasłużonego profesora i za pięć minut sławy nająć go do nabluzgania, że Kaczyński to mały Hitlerek, a Polacy podatni na jego patriotyczne hasła to "bydło": miotane zawiścią wobec ludzi mądrych i odnoszących sukcesy. A potem macherzy orkiestrują listy autorytetów oburzonych, że gdzieś tam na widok wybitnego profesora syczały staruszki, albo jakiś odrażający oszołom, nie wiadomo dlaczego jeszcze tolerowany w mediach {dzień dobry!} wytknął mu starczą demencję. Podłość! Nienawiść! Polskie piekło!

248

Dlatego nigdy dość powtarzania truizmów, że autor jednego wybitnego dzieła może się schłaćturzyć, a chałturnikowi może być dany błysk geniuszu, i to tak samo proste, jak to, że ktoś w pewnym okresie życia może być bohaterem, a w innym zwykłą zaprzędaną gangsterem świnia. Muszę sprawdzić, kto to powiedział, że "nie ma bardziej zajadłych reakcjonistów, niż byli rewolucjoniści, kiedy już się dorwą do władzy": do Michnika i jego totumfackich pasuje to idealnie.

Więc, wracając, cokolwiek produkował reżyser potem, Wojna światów zdradza po latach błysk może nie tyle geniuszu, co proroczego natchnienia. W swoim czasie opowieść o splocie przemocy medialnej i policyjnej, o telewizji manipulującej wszystkim totalnie, odbierana była oczywiście jako aluzyjna krytyka "prylu": Tylko ta ostatnia scena, kiedy już Irona Idema rozstrzelują, i to rozstrzelanie też okazuje się na niby, na ekranie pada trup, a w rzeczywistości wszyscy się po prostu rozchodzą, odegrali swoje - nijak nie pasowała. W "Wujku" strzelano ostrą amunicją, nieznani sprawcy Jaruzelskiego i Kiszczaka mordowali naprawdę. A dzienniki, w ogóle telewizja, kłamały nie dla siebie i nie we własnym interesie, były posłusznym narzędziem. I nikt nie udawał, że Tumanowicz czy inny "szklany kondon" jest niezależnym dziennikarzem, a jego program komercyjnym show, w którym chodzi tylko o oglądalność.

Rzeczywistość dogoniła ten film dopiero po trzydziestu bez mała latach. "Dlaczego ty to wszystko robisz? - Rosną! Rosną!": Świat całodobowych mediów informacyjnych oderwał się od rzeczywistości, tworzy własną. I podstawią tę wykreowaną przez siebie na miejsce prawdziwej. Prości ludzie mniej są na to podatni, bo ich życie dotyka jakichś konkretów, ale .wykszałciuchy", obrazowanszcina, skądinąd stanowiący najbardziej pożądaną przez reklamodawców grupę targetową - wklejają się jak muchy w miód. Od rana w samochodzie wali ich w łeb jakaś zetka czy Tok FM, w pracy iw domu na okrągło brzęczy TVN 24, do tego jeszcze gazetka i tygodnik, i wszędzie to samo: święte

249

oburzenie, apokalipsa, bicie na trwogę, nieustająca mobilizacja. Nie można od tego nie zgłupieć, I głupieją; ludzie, którzy kilka lat temu dawali się szanować, nawet gdy mówili rzeczy kompletnie nietrafne, stali się oszalałymi nienawistnikami godnymi tylko pożałowania. Profesor, ekonomista i do niedawna czołowy liberał, broni z pasją rządowego zamachu na niezależność NBP i łatania dziury budżetowej rezerwami walutowymi, i jeszcze ubliża histerycznie od "pisowców": kiedy mu przypomnieć, że jego "liberalny" rząd realizuje stary postulat "Samoobrony": swego czasu także przez niego uznawany za chory i populistyczny. Dlaczego? Dlatego, że rząd jest teraz jedynie słuszny, a prezes NBP z nominacji Kaczyńskiego. A przecież ekonomia to jeszcze jakieś konkrety; czego oczekiwać od wychowanków dziedzin tak ezoterycznych, jak politologia czy filozofia?

W wielu tekstach wykladałem swoje wyjaśnienie. Ogólny ton mediów panujących nad umysłami obrazowanszciny mieści się przecież w tych samych od czasów "wojny na górze" wytycznych: po pierwsze, afirmacja istniejącego porządku, z jego trwałym uprzywilejowaniem jednych i dyskryminacją innych (nie radzą sobie w transformacji, ich wina) .. "Największy sukces Polaków w ich historii": "owoc mądrego kompromisu światłych elit z obu stron historycznego podziału" i tak dalej. Po drugie - nieustająca przestroga, że Kościół, polski patriotyzm i tradycja, zwłaszcza endecja, i w ogóle szeroko rozumiana prawica, to nieustające zagrożenie dla demokracji i modernizacji. W ostatnich latach może

dodałbym do tego jeszcze intensywną pracę nad nowym pokoleniem, żeby je wychować w oikofobii (a co, ja też znam mądre słowa) i przekonaniu, że przyłączenie się do pogardy dla "starszych, gorzej wykształconych i z małych ośrodków" cudownie przeistacza ich w członków elity. To znaczy, "chłopaki, problem jest ogólnie taki": że młode pokolenie ma generalnie przerąbane, drogi awansu pablokowane przez sitwy i mafie, jedyna szansa na sukces w kraju to ożenić się z kaprawą córką kogoś ważnego (jak ważny ma córkę ładną, to ożeni ją w swojej

250

sferze, więc zero szans), no i te wszystkie długi też przecież będą spłacać oni, nikt inny -r-v- więc tresura musi być naprawdę ostra, żeby to wszystko wydało im się mniej ważne, niż symboliczne zaliczenie do "młodych, wykształconych i z dużych miast":

Ale to wszystko myślenie w starym paradygmacie - przemoc medialna jako jeden z rodzajów przemocy stosowanej przez państwo, jak podczas stanu wojennego i potem, często o tym mówię na spotkaniach.

A teraz, podczas oglądania po raz któryś filmu, przyszło mi do głowy, że może jesteśmy już dalej. Bestia wyrwała się z klatki i robi to wszystko, żeby rosnąć, a demokrację i wolności obywatelskie zagryza niejako przy okazji. Media muszą mieć wojnę, muszą mieć konflikt, muszą mieć głęboki podział społeczny, bo to rodzi emocje, którymi się żywią. Telewizja potrzebuje ludzi krzyczących i płaczących, rwących sobie samym i sobie nawzajem włosy z głów, potrzebuje spazmu, a po nim następnego spazmu. Jak napięcie przestaje wzrastać, to zaczyna spadać oglądalność. I może bardziej już chodzi o to? Polityczne interesy zadziały u zarania konstruowania ładu medialnego III RP jak silnik startowy rakiety, która teraz leci już siłą rozpędu i bezwładu, przez nikogo niesterowana? "Rosną! Rosną!"

Jeśli stary opis odpowiada sytuacji, to wystarczyłoby odsunąć pewną grupę drani od władzy i wpływów. A jeśli jest tak, jak mi przyszło do głowy przy repetowaniu Wojny światów, to właściwie ratowanie demokracji wymagałoby jakiejś formy wzięcia mediów za pysk, poddania publicznej kontroli, czyli obieralnej władzy. (Ale czy istnieje jeszcze gdziekolwiek kontrola i obieralność władzy? Państwo opiekuńcze zniszczyło klasę średnią, przywracając społeczeństwo feudalne, z wąską warstwą szlachty i licznym plebsem, z zasady niezdolne do wykształcenia demosu, a rewolucja medialna dała tej szlachcie, czy, ściślej, jeszcze węższej nowej arystokracji w jej obrębie, skuteczne narzędzia do manipulowania emocjami mas, co czyni głosowanie procedurą całkowicie kontrolowaną. Kontrola władzy przez wyborców to

251

w takiej sytuacji tylko augustiański pozór). Boże, do jakich to herezji człowiek dochodzi - gdybym, uchowaj Boże, został tzw. autorytetem, to powyższych słów mógłby jakiś polityk użyć jako ideologicznej podkładki do wzięcia mediów za mordę. I ciekawe, co by wtedy o mnie pomyślał ten Rafałski sprzed dwóch-trzech dekad, na przykład, ten, który właśnie przed chwilą pierwszy raz obejrzał Wojnę światów? A pamiętam, że był to jakiś pokaz zamknięty, na pół legalny, z mocnym posmakiem politycznej niebłagonadiożności.

00

Poświęteczne szaleństwa kulinarne - ale oczywiście w ramach tego, na co doktor pozwolił, a glukometr zaakceptował. Więc zamiast pracować, obmyślałam, co tu jeszcze da się ułożyć z dozwolonych produktów. Na przykład taki lancz: jajko na twardo, kilka paluszków niby krabowych, czyli tak naprawdę po prostu dorsz w podfarbowanej czerwono skórce, pół opakowania chińskiego makaronu z fasoli mung, parę płatków łososia, a na to wszystko pół kubka chudego jogurtu i trochę sosu sojowego; minuta osiem roboty, kalorycznie i glikemlcnie praktycznie nieważkie, a żołądek głęboko usatysfakcjonowany; no i miła odmiana po tygodniach niemal wyłącznie na najchudszy mięsie i zieleninie. Możliwe, że dzięki cukrzycy wreszcie napiszę pierwszy w życiu prawdziwy bestseller: jak jeść, żeby nie zjeść, a się najęść. W każdym razie wymyślanie cukrzykowych posiłków zaczyna mi sprawiać autentyczną przyjemność. "Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma": Oleńka oczywiście jest w tym bardziej pomysłowa, nawet trochę zaczyna na mnie fukać, że to ona jest od takich spraw, a mnie Pan Bóg wymyślił do pisania, i mam pisać.

Próbuję, ale to po świętach trudne, nie tylko przez rozleniwienie, także dlatego, że święta to tradycyjnie czas repetowania klasyków. A to zawsze wtrąca mnie w bezradne poczucie, że oni już wszystko napisali, wszystko wyjaśnili, nic nie pozostaje,

252

00

najwyżej cytować. Proszę bardzo: "Żył w świecie, w którym, oszustwa, podstępne bankructwa, plajty, wszelkiego rodzaju szwindle, wyzysk - były chlebem codziennym, wszyscy się tym łakomie karmili, zazdrozczono głośno sprytnie ułożonych łajdactw, opowiadano sobie po cukierniach, knajpach i kantorach coraz lepsze kawały, admiirowano tych publicznych oszustów, wielbiono i czczono miliony, nie bacząc, skąd pochodzą; co to kogo obchodziło, zarobił czy ukradł, byle te miliony miał!": Czyż to nie o naszych czasach i naszych elitach?

Telefon z redakcji, że jest możliwość zabrać się z prezydentem do Katynia - okazało się, dziennikarze nie lecą z wipami, będzie osobny samolot. W tym głównym się nie mieszczą, tak się delegacja rozrosła przez tę pogrzebową rywalizację. Skoro Tusk pojechał osobno, poszejkhendować na grobach z Putinem, to jego chłopcy robią wszystko, żeby wizytę Kaczora jak najbardziej zmniejszyć i zmarginalizować. No to z kolei chłopcy Kaczora robią wszystko, żeby ci najważniejsi goście przelecieli z prezydentem, i to jak najliczniej. żeby było widać, kto ważniejszy.

Beznadziejnie żałosne, i jakieś takie do szpiku polskie, jak Kargul z Pawlakiem u płota. Tomek trochę zdziwiony, że nie jestem zainteresowany, ale nie mam siły tego tłumaczyć, nawet przez telefon. Tu nie chodzi o tę akurat wizytę i ten żałosny targ, czyje wieńce ważniejsze. I nie to, że bym podzielał poglądy Irka na "nekroturystykf Trudno to wytłumaczyć, nawet samemu sobie, tak bardzo jesteśmy wytresowani wychowaniem w martyrologii, w kulcie ofiar ... No tak, chylę głowę i klękam przed tymi pomordowanymi, i przed wszystkimi w ogóle naszymi ofiarami, pomodlę się za nich i zapalę znicz - ale dyskretnie, w ciszy, żeby tego nikt nie widział. Celebrować to ja bym chętnie pojechał nad jakiś dół, gdzie by leżeli Ruscy albo Szwaby pomordowani przez moich przodków. O, wtedy mogłyby być i kamery, i reflektory, proszę bardzo! Nawet byłbym gotów się szczerze jako potomek

zbrodniarzy zawstydić i wyrazić ubolewanie, że taką mamy historię, prawda, bolesną i trudną, no, przykro mi bardzo, ale co robić, niech nas ta historia już dłużej nie dzieli ...

Ale tak ciągle w jedną stronę, to już nie mam sił - jeszcze to światu przypominać, że nas zawsze wyrzynali, zsyłali i zakuwali w kajdany jak chcieli, a my tylko z imieniem Najświętszej Pani na ustach ...

00

Skrawek ziemi w centrum Warszawy, o jakieś 150 metrów od naszego domu, może służyć jako modelowy przykład do prześledzenia "transformacji ustrojowej": Za komuny nie było tu nic, wybetonowany plac pomiędzy blokiem z wielkiej płyty a pawilonem handlowym. Ludzie zostawiali tam sobie samochody, bo w pobliżu ich nie ma gdzie zostawiać, kręcili się men ele i cwaniacy oferujący zdesperowanym kolejkowiczom spod pawilonu zakup tych samych mebli, za którymi stali tygodniami, od ręki, po cenach komercyjnych.

Zaraz po zmianie ustroju burmistrz - czy może już prezydent miasta, nie pamiętam, jak się to wtedy nazywało - oddał ten plac, jak wiele innych miejskich placów, kina i inne dobra, jakiemuś swojemu koleśowi czy pociotowi, który ogrodził teren łańcuchami, postawił strażników i zaczął za bezpłatne dotąd parkowanie kasować jak za zboże. Ludzie klęli, ale mu płacili, bo w centrum już nie było gdzie samochodu postawić; w krótkim czasie facet bez praktycznie żadnych inwestycji - poza ewentualnymi kosztami załatwienia sobie tej "dzierżawy": o których nic konkretnego nie wiadomo - udoił dość, żeby przekształcić się w spółkę, a potem awansować do "poważnego biznesu": Odzyskaną przez kolejnego prezydenta działkę miasto połączyło z działką po wyburzonym w międzyczasie pawilonie i wydało zgodę ..-- kulis przetargu znowu można się tylko domyślać - na budowę biurowca, który zajął połowę dawnego parkingu. Na drugiej postawiono parkomat - kulis wyboru firmy, która

254

go postawiła, i firmy konsultingowej, która udoiła zdrowo za doradzanie miastu w przetargu na wybór tej pierwszej domyślać się wyjątkowo nie trzeba, bo cały przekręt opisano dość dokładnie w raporcie NIK i podano do publicznej wiadomości bez jakiegokolwiek zauważalnego skutku. Dopiero ostatnio, po latach deliberacji, prokuratura ostatecznie umorzyła tę sprawę, nie pamiętam już, z braku znamion przestępstwa czy wskutek przedawnienia.

Potem następny władarz miasta objął resztkę placu zakazem parkowania, a że ludzie, klnąc na płacone co któryś raz mandaty, parkowali dalej, kazał tam ustawić siedem koszmarkowatych słupków. Tymi słupkami obsadził zresztą wszystkie krawężniki w mieście, a za każdy jakiś koleś czy pociot, któremu to zlecił, skasował 120 złotych na rękę, plus ryczałt za ich konserwację. Ponieważ słupki były z racji swej szpetoty powszechnie krytykowane, kolejny prezydent zerwał umowę z pociotem poprzedniego, wypłacając mu karę umowną, i wziął innego pociota, swojego, któremu zapłacił za usunięcie starych słupków i postawienie nowych, kutyh w stylu secesyjnym. Do ceny umownej za usunięcie starego słupka i postawienie nowego media już nie dotarły.

Potem przyszedł następny, który gospodarzem stolicy został tylko po to, żeby z tej pozycji za dwa lata zawalczyć o prezydenturę całego kraju, więc priorytetem było dla niego niedopuszczenie do jakichkolwiek afer, czy nawet podejrzeń o aferę, na co jedynym sposobem było wstrzymać w mieście wszelkie inwestycje. Ogólny zastój ogarnął także nasz placyk. Cichcem, w tajemniczych okolicznościach zniknął jeden ze słupków, otwierając od strony, gdzie niegdyś stał blok - obecnie już również wyburzony i zastąpiony biurowcem - dojazd do nielegalnego miejsca parkingowego. Miasto zrezygnowało z obsadzania w dziurze nowego słupka, zamiast tego od czasu do czasu straż miejska wpadała na placyk zakładać nielegalnie parkującym blokady na koła i kasować haracze za ich zdejmowanie. Lu-

255

dzie klęli i płacili, ale mim? to placyk wypełniony był zawsze, bo w centrum, jako się już rzekło, parkować nie ma gdzie. Ale z czasem widok samochodu z nałożonym żółtym "sabotem" stawał się coraz rzadszy.

Obecnie nad placikiem góruje wielki znak zakazu parkowania, pod którym stoi zawsze kilka wielkich, luksusowych terenówek, jakimi zwykli jeździć wszelkiego rodzaju dorobkiewicz, dwa czarne merce i bodajże BMW. Na parterze jednego z biurowców znalazł miejsce gabinet kosmetyczny, w którym często bywa Ola, a ja zachodząc czasem po nią, zawsze sprawdzam placyk za oknem. Stąd wiem, że terenówki i limuzyny są zawsze te same, przez nikogo nie niepokojone - najpewniej należą do ludzi z zaludniających biurowce firm. Kiedy jednak jakiś leszcz, zwykle przyjezdny, ośmieli się zająć miejsce stałym bywalcom, natychmiast pojawia się dzielna straż miejska i zakłada mu na koło sabot, a potem z wielką łaską bierze w łapę za jego zdjęcie.

I tak stopniowo wszystko się uleżało, ustało ... Właściciele samochodów, którzy wykupili sobie prywatny abonament u strażników - zadowoleni, bo pewnie to taniej, niż za parkowanie legalne. Strażnicy - zadowoleni. Miasto - też zadowolone. "Spokój, Montag. Zadowolenie, Montag" Nasza mała - bardzo mała i bardzo podśmiardująca - stabilizacja.

00

Irek głęboko urażony, jakbym mu wyrządził osobistą przykrość, i zdumiony - jak ja mogę jeszcze się zastanawiać? Jak mogę nie podskakiwać z radości, słysząc od niego taką propozycję? Czarna niewdzięczność; czy ty nie zdajesz sobie sprawy, co ja biorę na klatę u siebie, jak się będę musiał z twojej nominacji tłumaczyć, może nawet samemu Donaldowi, po tych wszystkich twoich złośliwościach na niego, ale on zrozumie, bo jest pragmatyk, nie zaciętrzewia się.

Ja też jestem zaskoczony - swoją własną niepewnością. Tym, że zamiast odmówić od razu, wykonuję jakieś zwody uszami, że

256

się muszę zastanowić, z żoną porozmawiać, wręcz jakbym chciał zwałać potem decyzję na nią. Brakuje mi asertywności? Czy raczej argumentów przeciwko jego natrętnemu gadaniu o Kwiatkowskim, który gdyby się trzymał na wieczność zmarginalizowanej i pozbawionej jakiegokolwiek praktycznego przełożenia endecji, to by Gdyni ani COP nie było? Sam nie wiem, w każdym razie uparłem się: muszę mieć weekend na przetrwanie sprawy. To

przecież skok, powrotu nie będzie. W dziennikarstwie mam już jakąś pozycję, w polityce byle czyj kaprys może mnie za rok, dwa, posłać w niebyt.

Jakoś przyjął ten argument. Choć, odniosłem wrażenie, na końcu języka miał już jakieś naprawdę nieprzyjemne słowa, co najmniej o skończonym frajerstwie, a może czymś jeszcze gorszym.

Generalnie, same zaskoczenia. Po pierwsze, wcale się nie wybiera do IPN. Ani przez moment! Ściera, kontrolowana plotka. Będzie ministrem kultury. To już pewne. A ja - w gabinecie politycznym, mogę nawet zostać jego szefem, ale to tylko na parę miesięcy, dla przecwelenia (nie nazywa tak tego, oczywiście, ale przecież o to chodzi, żeby nie było wątpliwości, że dołączam do Ferajny), a potem widzi dla mnie miejsce w mediach. Co wolę - albo Krajowa Rada, tam mniej mogę zrobić, ale kadencja długa i robota pewna, albo zarząd TVP, gdzie władza zdecydowanie większa, ale, nie da się ukryć, zawsze istnieje możliwość zmiany układu. Chociaż jak ktoś już zostanie członkiem zarządu, to raczej się go zawiesza, a nie odwołuje, czyli o "marność" też bym się raczej nie musiał kłopotać.

Nie wiem, co on myślał - że podskoczę z radości, z niedowierzania, że jacy oni dobrzy, jak wiele gotowi zrobić, żeby pokazać, proszę, nawet taki facet, który tyle razy nas ostro krytykował, w imię, widzicie, tej wspólnej odpowiedzialności za państwo ...

Cholera, od czasu, kiedy rozlatywało się moje pierwsze małżeństwo, nie miałem takiej decyzyjnej huśtawki. Chwilami wydaje mi się, że to przecież oczywiste, tyle dobrego mogę zrobić,

257

a na Ferajnę, jakakolwiek by była, nie ma i długo jeszcze nie będzie siły, "trzeba w to wchodzić" i naprawiać, nim się Polska zawali. A zaraz potem, jakby mokrą szmatą przez pysk, dopada mnie świadomość, jaka by to była zdrada. Jak byś spojrział, Rafalski, w oczy swoim czytelnikom, tym wszystkim ludziom, którzy przychodzą na spotkania w interiorze? Nie pytam, jak byś im to wytłumaczył, bo wiem doskonale, że przy odrobinie wysiłku jesteś w stanie wytłumaczyć wszystko, ale właśnie \_ jak spojrzeć w oczy? A w lustro?

To nie jest błaha sprawa - inni. Inni to nie żadne "piekło"; jak bredził francuski piesek Stalina. Inni to tymczasowa delegacja Tego, przed którym przyjdzie się ostatecznie rozliczać ze wszystkich decyzji życia. Bez innych, bez tego, co sobie o mnie pomyślą, co sobie o mnie powiedzą, łatwiej się człowiekowi zamienić w bydlę. Jak Kurtz z Jądra ciemności, który za to, co sobie o nim pomyślą buszmeni, nie musiał się wstydzić ani odrobinę.

Tak, tak - "heroizm niewolnika": Nazywajcie to jak chcecie. I kusi, i odrzuca. Chciałbym podjąć decyzję racjonalnie, na zimno, a przecież sam widzę, że tak czy owak zracjonalizuję coś, co wynikać będzie z emocji. "Wszyscy jesteśmy niewolnikami swojego pierwszego wzruszenia": Cytat, oczywiście \_ nie umiem wymyślić dwóch zdań, żeby nie użyć cudzych słów, łeb napakowany cytatami, i to, co najgorsze, nie z tych, których cytować jest trendy. Teraz się chyba mówi "seJ\.-y": Przyjąć. Kazać mu się pocałować w rzyć. Wariacki metronom nastrojów: tak, nie, tak, nie. Może to ostatnia szansa, żeby coś dla Polski zrobić. Za wysokie progi. A bo to mi źle, pisać felietony, jechać równo po wszystkim i po wszystkich, na co mi miliony, i tak żyję lepiej, niż mogłem w najśmielszych snach oczekiwać, dziewczyny będą

miały start jak należy, a po co mi więcej? Olać go. Moje pierwsze wzruszenia - opowieści taty, londyńskie wydanie Monte Cassino, przedwojenne książki o wojnie z bolszewikami: skarby, relikwie, pożyczane pośród najbardziej zaufanych kumpli pod karą śmierci, czytane po nocy, z łomotem serca.

258

•

A gdyby tato nie miał wobec Boga osobistego długu za ocalenie tam nad Wisłą, nie posłaliby go na tę przeprawę, i poszedłby otwartą ścieżką kariery - gdzie bym teraz był? Po tamtej stronie od dawna.

Tak, znam podręczniki, byłem w końcu w Ameryce -lepszą najgorszą decyzją niż brak decyzji, lepszą złą decyzją podjętą w porę niż dobra poniewczasie ... A czy ja kiedykolwiek udawałem, że się nadaje na menadżera? Nie tylko nie wiem, jaką podjąć decyzję, nie wiem nawet, jak się podzielić swoimi rozterkami z Olą. Wyjdzie, jakbym chciał przerzucić decyzję na nią, a powinienem sam wiedzieć, czego chcę,

Żeby go szlag - może jeszcze się coś stanie, co uczyni całą pokusę niebyłą?

00

No, to naprawdę perełka, po prostu nie można nie zapisać --'- ha wielkiej, nagłościonej szumnie debacie o tolerancji pod najwyższymi auspicjami, jeden panelista bardziej poprawny od drugiego, literat chodzący w aurze męczennika od czasu, gdy napluł (w sensie medialnym) na Ojca Dyrektora, i w odwecie jakaś staruszka napluła na niego (dosłownie, bo ona innej możliwości nie miała) jasno i wyraźnie zdefiniował wreszcie, na czym polegać ma walka z nietolerancją. Na tym, "żeby chujów przestali wpuszczać do mediów!":

Ot właśnie. Kwintesencja tolerancji i walki o nią, Zapisuję, bo a propos. I zapisuję dosłownie, w charakterystycznej mowie naszych elit kulturalnych, bo "taki mamy, kurwa, haj-lajf", jak komentował Janek w kabaretowym monologu taśmy Rywina i inne podsłuchy z ekskluzywnego towarzystwa.

00

Kończyłem właśnie sobotni felieton do onlajnu, kiedy zaczął dzwonić telefon. Najpierw domowy, nie odebrałem, żeby się nie odrywać od pracy. Potem komórka Oleńki. Znowu zostawiła

259

w domu, zabierając dziewczyny nad Wisłę. Kończyłem akapit. Teraz zadzwoniła moja komórka; odebrałem.

Filip. Przerażony głos:



- Jesteś? Gdzie jesteś? Wszystko z tobą w porządku?

- Co ma nie być w porządku? W domu jestem, o co ci

chodzi, porąbało cię?

Odetchnął ciężko, a może teraz mi się tylko wydaje, że tak, w każdym razie, już swoim normalnym głosem warknął - nic nie wiesz, telewizji nie oglądasz, głupku? To zobacz! - i się rozłączył.

Oczywiście, poleciałem do salonu. Ale w telewizorze była cisza. Wszędzie była cisza.

Przeraźliwie mało pamiętam. Pamiętam, że jak włączyłem telewizor, podawali tylko, że jeszcze nie wiadomo, co z nimi. A ja już wiedziałem, że jeśli od tyłu mówią, że nie wiadomo, to znaczy, że oni nie żyją. Oni wszyscy nie żyją. Inaczej mówiliby, że jest szansa, że ktoś tam, co najmniej ktoś Jeden, przeżył, mówiliby cokolwiek, jeśli nic nie mówią, to znaczy, że ... Chciałem się mylić, ale już wiedziałem.

A zaraz potem zadzwoniła Oleńka, z telefonu koleżanki \_ czy ja już wiem? Ona się właśnie dowiedziała, przed chwilą, na miejscu, od innych mam, bo w samochodzie nie słuchała radia.

Nie, kochanie, dziennikarze lecieli jakiem, wcześniej. Mówią o tupolewie, o prezydenckim tupolewie. Tak, wracajcie do domu.

00

Przeraźliwie mało pamiętam. Z tych pierwszych godzin właściwie nic. Jak wtedy, gdy umarł tato, pamiętam tylko, jak się o tym dowiedziałem - i potem z pół dnia zniknęło w jakiejś czarnej dziurze. Telewizor, czerń, wszechobecna czerń. Żałobna muzyka, zdjęcia Kaczyńskiego i Marii, też już wpuszczone w czerń, coraz bardziej profesjonalne klipy filmowe, przypomi-

260

-

nające ich wszystkich. Jakieś idiotyczne myśli - pierwsza, że nie będzie wpiątek szkolnej premiery Smoka, że szkoda, tyle pracy w to dzieciaki włożyły, ale przecież na pewno będzie ogłoszona żałoba co najmniej na tydzień; że niepotrzebnie zrywałem się rano pisać ten psu na buty teraz potrzebny felieton.

Nikt nie przeżył. Nikt nie miał szans. Czy wiedzieli, co się

dzieje? Czy długo to trwało?

Nie, dziennikarzy tam nie było. Politycy, generałowie, rodziny katyńskie. Walentynowicz i Kaczorowski też? Boże. Jarosława nie było? Do ostatniej chwili miał być, matka w szpitalu, został przy niej. On też? Ion? Ion? Lista nazwisk, teraz nagle to tylko nazwiska. Z Kochanowskim rozmawiałem tydzień temu. Ze Skrzypkiem byliśmy umówieni na wywiad. Ze Stasiakiem na przyszły tydzień. Z Irkiem - no tak, przecież Irek ... I fala poczucia winy,

jak mogłem pomyśleć, jak mogłem to zapisać \_ żeby cokolwiek się stało, żebym nie musiał mu odpowiadać, gdybym tak nie pomyślał, gdybym tak nie powiedział, to by się nie stało ... Absurd, oczywiście, ale nie mogę się opędzić.

Teraz mi się wydaje, że wczoraj postanowiłem już ostatecznie, że nie wchodzę, że jak wróci, sam zadzwonię i podziękuję za propozycję. Ale naprawdę postanowiłem, czy nadal się wahałem, a teraz sobie wmawiam?

Zginął razem z Kurtyką. którego atakował, i do dziś wszyscy myślą, że go miał zastąpić. Z Kaczorem, z którego kpił. Ze Szmajdzińskim, kandydatem postkomunistów na prezydenta, i z Jarugą, feministką, wszyscy zginęli razem. Boże, jak ja mam się w tym dopatrzeć sensu? Jakiego?

Telefony, telefony. Ściszone rozmowy. Tylko ja i Oleńka, i dziewczynki w swoim pokoju, nawet one mówią ściszymi głosami. Zdjęcia Kaczyńskiego. Nagle nie wygląda na nich jak nadęty kurdupel, nagle nie jest małpą w klatce, nagle go szanują nawet w TVN. Wspomnienia. Katyń. Rzędy pustych krzeseł i czarnych parasoli. Wszyscy płaczą, nawet książk unoszący

Hostię.

261

Nic nie wiadomo, nic nie potrafią powiedzieć. Powtarzają - lądowali cztery razy, uparli się wylądować, Ruscy mówili, żeby nie. Potem dopiero, nie, nieprawda, podchodzili tylko raz. Teraz wszyscy ..., \_ samolot, musiał nawalić samolot, przecież to stare graty, ile razy się psuły, ile razy pisano, że to skandal, latać czterdziestoletnim szmelcem, i ciągle odwoływane przetargi, ciągle się mówiło, to się przecież kiedyś źle skończy. Dlaczego lądowali w tej mgłę, dlaczego wszyscy byli w jednym samolocie - tylu ludzi, najważniejszych w państwie, wsadzić do jednego samolotu? Tylu ludzi, wszystkich tych, którzy najostrzej darli się z Sowietami, wsadzić do jednego, ruskiego samolotu - i wysłać do Rosji? Kto to zrobił, jak było można?

Ulica, Pałac - nie mamy przecież daleko. Razem z dziewczynkami. Jakiś odruch, naprawdę nie wiedzieliśmy, że ludzie się tam schodzą, kamery dopiero się instalują - po prostu wszystkim nam przyszło do głowy to samo. Żeby tu przyjść, wziąć znicz i zapalić im. Cisza.

Gdzieś dalej od płonących zniczy i naręczy kwiatów - rozmowy. Ściszone.

00

Gazety, portale internetowe na czarno. Wiadomości - nie żyje prezydent, szef kancelarii, były prezydent na uchodźstwie, legenda "Solidarności": prezes IPN, przewodniczy Rady Ochrony Pamięci, marszałkowie i szefowie klubów parlamentarnych, dowódcy sił zbrojnych, posłowie, społecznicy. Ekonomia: nie żyje prezes NBP. Prawo: nie żyje Rzecznik Praw Obywatelskich. Kultura: nie żyje Janusz Zakrzewski. Sport: nie żyje prezes Komitetu Olimpijskiego. Kilometry nekrologów. Nie ma miejsca bez czerni.

00

Piszę - muszę. Wolałbym nie. Że ateistom jest łatwiej, ateści wierzą w absurd, w nonsens, przypadek. My nie możemy.

262

Jeśli tak się stało, coś z tego musi wynikać. Jakoś to musimy pojąć, przetrwać, żeby wydało plon. "Pośród niesnasków Pan Bóg uderza w ogromny dzwon". Znak. Strasznie mitotwórczy tekst, nie wiem, czy się go nie będę wstydził. Ale już wysłałem. A choćby jeszcze raz, nie umiem napisać nic innego; "Dzisiaj kto w Styksie kłakiem / jutro mostu przeszło" - znaleźć jakiś sens, zrozumieć, niczego bardziej człowiek nie potrzebuje

w takiej chwili.

Nie mogę usiedzieć w domu. Nosi mniej po mieście, za-

mienionym w wielki ołtarz. Za rogiem, pod Elektrimem, pod IPN, pod biurem Kochanowskiego wystawiane portrety. Znicze. Kwiaty. Księgi kondolencyjne. Zapalali ogień, modlą się lidę dalej. Pod biurem SLD chwytam parę spojrzeń, nie wiem, czy zdziwionych. W redakcji mówią, że Jaruga będzie miała katolicki pogrzeb. W Polsce nawet ludzie uważani za zjadłych wrogów Kościoła mają katolickie pogrzeby.

A potem znowu Krakowskie Przedmieście. Tłumy coraz

większe. Od placu Piłsudskiego, od Nowego Świata, z dołu, Bednarską od Wisły - ciągną gęsto ludzie. Zatraca się powoli rzeczywistość. Zaczepiają mnie, rozmawiam, w końcu trzeba zacząć rozmawiać, ale twarzy jest zbyt wiele, żeby zapamiętać. Coś trzeba zrobić, ale nikt nie wie, co. Być, po prostu. Chociaż nie wiem, czy my naprawdę jesteśmy, czy to jest rzeczywiste, czy to cienie przeszłości. Papież umiera? Nie, wtedy było tylko czarno. Teraz jest biało-czerwono. Nie wiem, skąd powyrastały dziesiątki, setki stolików, straganów, stojaków, na wszystkich biało-czerwone flagi, chorągiewki, kokardy. I znicze, oczywiście. Powietrze gęstnieje od dymu, jak nad powstańczymi kwaterami na powązkach w dniu Wszystkich Świętych.

W coraz gęstszym tłumie niemal zderzam się z Jasiem. Czeka na kamery, zaszedł tu i nie może wyjść, wyklóca się o sprzęt, chce filmować, chce nagrywać - ludzie zaczepiają go i zagadują, poznają z telewizji, mnie zresztą też, ludzie muszą się wygadać, ciężkie milczenie pęka - po gęstwie na wszystkie strony roznosi

263

się "zabili ich": "zabili go": Kto? Ruskie? Kto inny. Tusk. Ci co szczuli, co opluwali. Żal przerywa tamy, gęstwa pozwala mówić rzeczy, które normalnie UWięzłyby w gardle. Oddali śledztwo Ruskim, Tusk oddał wszystko, nie dopuszczają nas, zrobią co będą chcieli. Zabili. ..

Nie mogłem uwierzyć, w domu przysiadam do komputera, skrzynka kipi ~. ale ludzie mówili prawdę, to nie plotka. Oddali wszystko Putinowi! Wyciągnęli konwencję chicagowską. Przecież to samolot specjalny, wojskowy, 36 pułk lotniczy \_ co tu ma konwencja o ruchu cywilnym? Putin obiecał, że dopilnuje śledztwa osobiście. Boże, czy ci nasi naprawdę w to wierzą? Czy są aż tak skończonymi idiotami? Putin osobiście nadzorował śledztwo po

zatonięciu "Kurska": i do dziś Sowietci upierają się, że stuknęła ich jakaś tajemnicza łódź podwodna "zachodniej konstrukcji"!

Ruskie śledztwo znaczy tyle, że, po pierwsze, radziecka technika jest niezawodna, więc sam samolot i całe wyposażenie lotniska pozostaje poza wszelkim podejrzeniem, po drugie, radzieccy specjaliści, najlepsi na świecie, nigdy się nie mylą, więc kontrola lotu i wszystko, co po ich stronie, też poza podejrzeniem. Więc co zostaje - to musi być wina Polaków. Musi i już, jeśli jakiegokolwiek fakty temu zaprzeczają, tym gorzej dla faktów. Przecież już na dzień dobry zaczęli od kłamstwa o czterokrot \_ nych próbach lądowania, co będzie dalej?

Z tego śledztwa nie dowiemy się niczego. Może kiedyś poznamy prawdę, ale jak na razie, skazani jesteśmy na stek kłamstw. Na pewno zrobią wszystko, żeby zatuszować - tylko co? Ruski bardak i gizdajstwo? A może gorzej? Ale po co, po co na litość Boską, mieliby strącać samolot? Kiedy i tak wszystko szło po ich myśli - tylko dlatego, że to Katyń, i żeby się stało zadość tradycji?

Nie wiem, czy ta ekipa rozumie, że właśnie straciła szansę zapanować nad emocjami, które ją prędzej czy później wysadzą w powietrze. Co mnie oni zresztą obchodzą.

264

~'---

00

Czytam jeszcze raz, co napisałem - sam trochę zdziwiony, gdzie się podział mój zwykły, zawodowy dystans, że mafia, owszem, mafia, ale i sekta to przecież sekta. Wszystko wydaje się z innego świata. Z tej ulicy pod Pałacem nie można wrócić takim samym. Za tydzień, dwa, wróci chłód, dystans i proporcje wydarzeń. Na razie - "chwila wielce osobliwa" ...

00

Największym trudem powstrzymuję się, żeby od rana nie przeklinać od najgorszych; chwilami aż mi się wzrok zaćmiewa, dobrze, że zacząłem brać te leki na ciśnienie, bo nie wiem, czy by się to nie skończyło jakimś wylewem. Łajdacy, wytrzymali dwa dni - tyle tylko. Dwa dni! Myślałem, dureń, że taka tragedia jest w stanie coś zmienić, że nimi wstrząśnie, że ... na co ja, idiota, liczyłem? Że padną na kolana, zaczną sypać popiół na głowy, jak w wierszu Marcina? Myślałeś, naiwniaku, że to papieskie umieranie? Nie, to było dawno i nieprawda. Dziś i Papież, gdyby dożył, byłby dla nich już tylko "pisowcem", który się nie pozwala ludziom "bzykać":

Schowali się tylko, przycichli na moment, oszołomieni, zdumieni tymi tłumami, o których już zapomnieli, już byli pewni, że one wymarły, nic już nie ma, tylko oni, lepsi, mądrzejsi, nowocześni, uwolnieni od tej ciężkiej kamieniem polskości». nas instynkt wywiódł na ulicę, oni instynktownie cofnęli się od okien, ale nie na długo. Na dwa dni.

Łajdacy, wyobrażam sobie tę furję, jaka nimi zatrzęsała. Jak to, oni mają mieć Wawel, a my tylko Skałkę? Burak - na Wawelu? No nie, tak być nie może! Nie ma przebaczenia, nawet dla trupa! Zwlec go z tego żałobnego stosu, wyrwać palmę męczeńską, wykpić; zszargać, opluć - i to szybko, zanim tamci zrobią z niego bohatera. z którym będzie trudniej wygrać, niż z

żywym. I już zganiają gówniazerię, żeby hałasowała na ulicy przeciwko pochówkowi prezydenta, szczują po raz kolejny te same wyliniałe autorytety ... Co za świństwo.

265

"Boże, jak serdecznie mam tego dość ... nie chce mi się nawet rzygać. Ogarnia tylko bezmierne zdumienie, że są ludzie, nawet nie ludzie pewnie - osobniki, które w czymś takim zdolni są uczestniczyć ... Niczego się nie uczą, nie wyciągają żadnych wniosków. Pozbawieni wyższych uczuć potrafią odczuwać przemiennie tylko strach i pychę': Znowu cudze słowa okazują się lepsze od własnych, nie ma tych własnych, z trudem wyciągam je z głowy, z trudem nazywam to, co czuję sam - gdzie mi myśleć o oddaniu tego, co dzieje się z innymi, z nami jako zbiorowością? Nie jestem pisarzem. Bardzo chciałem nim być, ale nie jestem, nie potrafię. Rozmieniłem się na drobne, może nie zmarnowałem, ale zużyłem wszystkie siły w drobnych potyczkach, większe batalie musi już stoczyć kto inny. Nie daję rady. Nie mogę.

Nie pozwolą ci nawet na żałobę, Rafałski. Zamiast przeżywać milczenie i majestat śmierci, musisz oglądać gęby zgonionego przed kamerę motłochu, wywijającego obelżywymi transparentami, wykrzykującego, że nie życzą sobie jakiegoś warszawiaka na Wawelu. Takie same gęby musieli mieć ci, którzy dobijali powstańców, i przynosili zaborcy za nagrodą ich poucinane głowy.

Dowiaduję się, że mieli tę manifestację przygotowaną na dziś już wcześniej, przeciwko przyznaniu prezydentowi honorowego obywatelstwa miasta. No to co, jak mieli już wypisane transparenty, wyznaczony termin i przygotowane gadżety, miało się zmarnować? A że po drodze "burak" się zabił w samolocie, co przeszkadza? Martwy jest jeszcze groźniejszy. Jakies tabu? Przyzwoitość? To dla [rajerów i moherów. Nic się nie stało ... Tak właśnie, mówią dziennikarze, zareagował spierniczały oberautorytet na prośbę, żeby przyszedł do radia powiedzieć coś o ofiarach katastrofy: "nic się takiego znowu nie stało, żebym się musiał fatygować': Ale dać głos przeciwko pochówkowi to się oczywiście pofatygował: "prezydenta Warszawy chowa się w Warszawie, a nie na Wawelu': Nawet w takiej chwili nie umie się przestać mścić za to, że mu kiedyś Kaczyński nie okazał czci, do jakiej przywykł - zacierzewiony, małostkowy dziad.

266

-

I ten drugi kabotyn, który się nagle poczuł głosem ludu, pewnie wściekły, że mu zajmą miejsce, na którym sam się zamierzał położyć. Nie dość mu, że tłucze na nieszczęściu kasę, bo nagle, po katastrofie, jego nudny, wymęczony knot o Katyniu, którego normalnie nikt na świecie nie mógł obejrzeć, pokazują wszystkie światowe telewizje; jeszcze musi się napuszyć, jaki z niego moralny autorytet, pouczający, kogo metropolicie gdzie wolno pogrzebać, a gdzie nie ... "Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki, żeby was piorun trzasł!"

Mania zaproponowała w przedszkolu, żeby wszystkie dzieci namalowały dla pana prezydenta i jego żony obrazki, a pani je zanieś pod Pałac. Przedszkolanka pytała, czy to my jej to podrzuciliśmy? Nie, naprawdę, sama wymyśliła. Zobaczyła, kiedy byliśmy na Krakowskim - rzeczywiście, teraz i ja sobie przypominam - dziecięce rysunki pomiędzy zniczami. Pięcioletnie dzieci wiedzą. ..

Nie chciałem, naprawdę, pokazywać się w telewizji. Ale Pawlasty wymyślił takie krótkie, kilkuminutowe rozmowy - wspomnienia, pożegnania przyjaciół. Zadzwoił, czy to prawda, że się znaliśmy z Irkiem z dawnych lat? A ostatnio? Mógłbyś przyjść? Bardzo cię proszę, bo jest straszna walka o program. Kierownictwo jedynki porobiło się ze strachu, chcieli w ogóle zrzucić program, a razem z nim i odpowiedzialność, wpuścić na antenę Info; tam rządzi SLD, niech oni się martwią. A jedynka, niby to z mianowania Kaczora, ale na przyszłość Kaczor już nikogo nominować nie będzie, kombinują więc, jak się nie narazić i jakoś przetrwać. Pawlasty wywalczył, że jednak będą robić osobny program, trudno mu w takiej sytuacji odmówić. Zresztą Irkowi się przynajmniej tyle ode mnie należy (znowu to irracjonalne poczucie winy) - tak, będę.

Kiedy wszedłem do studia, okazało się, że wszystko inaczej, improwizacja totalna - bo na lotnisku właśnie wylądowała casa

267

z trumnami prezydenckiej pary, będzie ceremonia powitania, potem przejazd konduktu ulicami Warszawy. Ksiądz, który miał komentować egzekwie, ugrzązł gdzieś na mieście, jedzie, a prezenter w studio zagrypiony, półprzytomny od pigułek przeciwgorączkowych, potrafił tylko powtarzać co jakiś czas "przypominam państwu, że transmitujemy uroczystość powitania w Polsce zwłok prezydenckiej pary ... Po ceremonii trumny prezydenta i jego żony przewiezione zostaną w kondukcje do Pałacu Prezydenckiego i tam wystawione na widok publiczny": I rozpaczliwymi ruchami rąk dawałmi znaki, żebym coś mówił.

Więc coś mówiłem. Nie jestem w stanie powiedzieć, co.

Spociłem się cały, dyszałem po wyjściu ze studia, mokry i wyczerpany, jakbym przepłynął wpływ morze, ale coś tam dałem radę mówić, w przerwach ceremonii, i potem, gdy kondukt ruszył, i powoli, przeraźliwie powoli przejeżdżał warszawskimi ulicami, wśród milczących tłumów. Potem dojechał ten ksiądz, ale ograniczył się tylko do fachowego komentarza, ot, to jest taka modlitwa, to taki obrzęd, nic więcej, dosadzili Staszka, który też był wcześniej umówiony na taką pięciominutowkę, już nie pamiętam o kim, i przez cały ten czas właściwie we dwóch opowiadaliśmy o Kaczyńskim, o jego wizji prezydentury i o co naprawdę w niej chodziło.

"Jedzie prezydent martwy a wielki stukrotnie" ... Ilu ludzi musiało tam być, żeby tak gęsto, jak za pierwszej papieskiej pielgrzymki, obstawić całą drogę z Okęcia na Krakowskie? Pół miliona? Milion? Jeszcze nas tyłu zostało, czy tamci dawni Polacy powstawali na chwilę z grobów?

00

A potem - kiedy położyliśmy dziewczynki i Oleńka zasnęła wtulona w moje ramię - ubieram się i znowu idę pod Pałac. Idę, bo nie mogę już wytrzymać bezsilnej rozpaczki, nie mogę wytrzymać tego korowodu upiorów w telewizyjnym ekranie. "Cyrk ... Kompromitacja przed światem ... Absurdalne, stadne

268

odruchy ... Polacy to tylko od święta potrafią...; Boję się tych tłumów, tych ludzi owiniętych w biało-czerwone flagi. .. Duszne opary polskiego mesjanizmu ... mitologizowanie marnej w sumie prezydentury ... Budzi się demon polskiego patriotyzmu". Demon patriotyzmu! Tylko człowiek wychowany w ubeckim domu mógł coś podobnego powiedzieć, Polakowi przez myśl by nie przemknęło. "Trumienne upiory ... " - bulgocze "komercyjna' telewizja, bulgoczą ich portale internetowe, gazety. Już się ocknęli, już mają swoją "narrację": wszystkiemu winien Kaczyński, oczywiście, bo się tam pchał - nie wiadomo po co, skoro już był premier z Putinem. Na pewno kazał pilotom lądować. Pewnie był pijany. Zabił siebie i dziewięćdziesięciu ludzi. Nie wolno pozwolić, żeby motłoch robił z niego bohatera. Nie zasłużył na Wawel. Nawet na współczucie nie zasłużył. Nie pozwólmy się "terroryzować żałobą": Nie dajmy się "im" dłużej szantażować.

Salon warszawski; pełna obcość. Nie mamy ze sobą nic

wspólnego. Nie jesteśmy z tej samej krwi. Nigdy nie będziemy. Zmusiliście mnie do wyboru, więc wybieram.

Noc, ubieram się i idę pod rozświetlony żałobnymi ogniami Pałac. Już na Centralnym wpadam w gęstwę ludzi ze wszystkich stron Polski. Coś im kazało tłuc się tu pociągami z drugiego końca kraju. Stać w niekończącej się kolejce, na całą noc, po to tylko, żeby przejść przed trumnami, skłonić głowę, nie ma czasu nawet przyklęknąć, bo tłum napiera. Harcerze. Znajomi. Nieznajomi. Dziękują za to, co powiedziałem. Co ja powiedziałam-

łem? Pytają, co będzie?

Tłum jeszcze większy. Trudno się przecisnąć. Gwar rozmów.

Coś trzeba zrobić, coś trzeba zrobić, to się nie może tak skończyć. Jakiś ogień w oczach - nic już nie będzie tak samo ... Chciałbym, ale starość podpowiada zgryźliwie - będzie, będzie ... Polacy jak dzieci, w pierwszej chwili szaleją, ale zaraz zapominają. Będzie jak po Papieżu, wypłaczą się i rozejdą, jak "pokolenie JP 2". Trzeba ciężkiej pracy, jeszcze wielu lat ciężkiej

269

pracy, żeby się stali dojrzałym narodem. Żaden mit, żadna tragedia bez tej pracy nie wystarczy.

Coś się musi zdarzyć, coś trzeba. Ale co, nikt nie umie powiedzieć. Wierzą. Ja wierzę w to, co mi powtarzał tato. Że są sprawy, o których nigdy się nie zapomina i nigdy się na głos nie mówi; te najważniejsze.

Nieznajomi- Znajomi. Jurek - wrócił z planu. Statyści płakali, a szef ekipy odmówił wywieszenia flagi narodowej. A w końcu, po awanturze - wywiesił na toi-toiu. Jurek strzelił go w mordę, tamci wzywali policję, ale jak się rozniosło po planie, przestraszyli się ludzi. Zawiesił zdjęcia do pogrzebu. Jasiu z kamerą, patrzę, jak ludzie do niego podchodzą, potrzebują powiedzieć, co myślą, co czują, i wszyscy - coś trzeba zrobić, coś musimy ...

Jeszcze Tomek, zcałą ekipą z "Gazety", nabuzowani wszyscy tą energią - teraz się zacznie, teraz się musi zacząć, to ich koniec, naród się budzi. Chciałbym, naprawdę chciałbym uwierzyć. Ale nie wierzę. Naród się sam z siebie narodem nie zrobi.

Ciężka praca. A dopiero co wydawało mi się, że już jestem zmęczony.

Wracam pod blaknącym niebem, w potoku biało-czerwonej lawy. Oleńka śpi. Dziewczyny oddychają równo. "Nie zapamiętam, i owszem wspomogę!": Nie potrzebuję dziś snu. Trzeba się pozbierać, zakasać rękawy. Szkoda czasu tracić na te zapiski, uświadamiam sobie w jednej chwili. Nic ciekawego, grzebanie się w powszednim dniu i w sobie.

Tato patrzy na mnie poważnie ze zdjęcia nad biurkiem. Jak to on zawsze mówił - trzeba orać.

Listopad 2010